

# **Historia prawdziwa o Petрку Właście palatynie, którego zwano Duninem**





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

---

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

# *Historya prawdziwa o Petрку Wła- ście palatynie którego zwano Duni- nem*

OPOWIADANIE HISTORYCZNE Z XII WIEKU

STANISŁAWOWI DUNINOWI  
*z lat lepszych Towarzyszowi miłemu  
przesyła*

Autor.  
*Florencya  
17 Marca 1878.*

# TOM I

## I

Zmierzch był dnia jesiennego, a takię jak ta jesieni ludzie najstarsi nie pamiętali. Przyszła ona jakoby Boże błogosławieństwo, aby biedne ludziska z pola, co gdzie jeszcze na niēm było pochwycili do brogów i stogów, a ozime polka obsiać mogli wczas, i do weselisk, zawsze porą jesienną obchodzonych, przy pełnych stodołach, — przysposobili się bez troski.

Dziesiątnicy duchowni już byli wszędzie powytykali, co gdzie kościołom należało i zdali na wierne ręce, wybranym do przechowania kmieciom, dopóki by się to nie sprzedało. Poczynały się po lasach łowy gorące, aż się puszcze rozlegały, bo o wojnie jakoś pod ten czas słyhać nie było. I lud boży oddychał.

To téż jadący polem, lasem podróżny, na zaraniu, wieczorami choć ptactwa świergocącego i przyspiewującego nie posłyszał, bo to było umilkło jedno a drugie za morza poodlatywało, ludzkie śpiewy wesoło chwycił uchem i serce mu się od nich radowało.

Około chat na rucianych ogródkach śpiewały dziewczki, około stawów wyciągając z wody len i konopie śpiewały niewiasty, koło stad na wypasach zawodzili pastuszkowie, a kędy kościół stał wieczorem otwarty i z niego słyhać było nuconą chwałę Bożą.

U gościńca do Wrocławia wiodącego, w gęstym lesie na skraju stała gospoda, bo to szlak był, którym do miasta na targowice dużo ludzi ciągnęło, nietylko ze Szlązka i z Polski, ale i z kupią z obcych ziem, którą pod owe czasy mieniano na inną albo ją i za kruszec sprzedawano. Zbiegały się w Wrocławiu drogi ze wschodu i zachodu, jechali tędy kupcy od Rusi z greckimi wyroby i ruskim towarem, przyjeżdżali niemce od Sasów i od Franków, czasem Szwaby, ba i dalsi.

Ale onego dnia w gospodzie jakoś pusto było, i Mikuł gospodarz, żona jego Samicha, a czeladź ich nic do czynienia nie mieli.

Budowa była drewniana, duża jak szopa, z przed sieniami na słupach dokoła ją obiegającymi, aby się gdzie lud czasu słońca gorejącego i niepogody miał schronić, nie dusząc w izbie, choć izba téż była przestronna, w ławy dokoła przybrana, w pośrodku ognisko z kamieni czysto mająca wyłożone. Po nad niēm dziura, w wyżkach i dachu, kłapą zamykana, przez komin z chrustu pleciony, gliną wylepiony, dym się nad dach dobywał.

Naokół ogniska, w którym się teraz ledwie węgli ostatki tliły, leżały kłody i kamienie, aby czasu zimy ludzie bliżej ciepła przysiąść się mogli. Był z jednej strony i stół duży, a na nim jeszcze próżne kubki drewniane i gliniany dzban stał od piwa, a w rogu obyczajem powszednim chleba bułka i nóż przy nięj, na ręczniku.

Cicho było w gospodzie, jak to gdy się ludziom na sen i spoczynek zbiera, tylko w szopie obok do izby przytykającej, ścianą z dylów od nięj przedzielonej, beczały owce gospodarskie czarne i bure, prychały krowy i koni para rżeniem się do wieczornęj paszy odzywała.

Co się najadło wprzód i napiło, przed spoczynkiem po swojemu mrużąc Pana Boga chwaliło.

Mikuł stary człek, przygarbiony, w grubęj, szaręj bieliźnie jednéj, i chodakach skórzanym z sznurami do nóg poprzytwierdzanych, na ławie siedział u okna odsuniętego i czegoś postękiwał, powzdychiwał, zadumywał się oburącz głowę podłysiałą podparłszy i brodę rozczochraną, krótką zadarłszy do góry.

Z rękami na piersiach założonemi, dalej nieco siedziała otyła, stara Samicha, żona jego, kądziel jeszcze trzymając pod sobą, a wrzeczono już w nią zatknąwszy; bo jęj w kącie zmierzchło i ręce od snucia nici drżały. Z czeladzi dwoje przed gospodą leżało brzuchami na ziemi, głowy na rękach oparłszy, trawę skubiąc z próżnowania i gryząc ją bez myśli, a pomrukując lada co.

To się tam który rozśmiał, który zdrzemał, to jeden drugiego ręką sięgnął a po družbie dał kułaka. Nie było bo co robić.

W izbie na ławie niskięj jednym jeden drzemał sobie stary dziad z gęślą na plecach, siwowłosy, spoczywając téż, ale z nałogu, gdy się przebudzał, coś sobie podśpiewywał

i sen mu z ust powoli pieśń zdejmował. I słyhać było zamiast niéj chrapanie, a potem przyśpiewkę znowu i sen wtóry.

Znać tu starowina znanym był, bo na niego nikt nie patrzył, i nie było mu pilno ani do snu, ani do pieśni, ani w drogę. Są bo takie chwile na człowieka, że mu się nie chce niczego, nawet życia. Ciemniało już i kury wszystkie z pod gospody poszły spać na poddasze, mieszcząc się na grzędach.

Wśród tego milczenia, gdy i las nawet zdrzémnąwszy się nie szumiał, hen, zdala coś zatętniało. Mikuł zaraz głowę podniósł i ucha nastawił. Samicha się jakby przebudziła i kądziel postawiwszy wstała przeciągając się, dziad téż przetarłszy oczy coś głośnień płacziwym głosem zanucił.

Czeladź co na darni leżała podniosła się nasłuchując, wstawać czy nie, gdy z krzaków dwa duże, piękne psy łowcze się wyrwały i nosami po ziemi tropiąc poczęły biegać, dopieroż ludzi postrzegłszy naszczekiwać, i stanęły.

Za niemi z gąszczy, w której zaszeleściało i zachrzęszczało, jakby zwierzę się z niéj dobywał duży, wysunął się jeździec i stanął. Trudno go było poznać co za jeden był, bo odzież na sobie miał niepoczesną, ale pod nim koń krępy, gruby, mocny, zażywny szedł, jakby pański.

Na nim rząd prosty, skórzany wdziany był i siedzenie niewykwintne. Człek na plecach luk i kołczan miał prosty, a u nogi przytwierdzone toporek i oszczep.

Wydobyszy się na gościniec, poczał się tu i owdzie rozpatrywać mocno, wprzód, w tył, niby się dziwując, że tu stał, niby nie wierząc oczom własnym.

— Sam tu! — zawołał ku czeladzi. — Co to za państwo? jaka to droga? kogo wy tu słuchacie? czyj las? he?

Posłyszawszy pytanie, nim się parobcy zebrali odpowiedzieć na nie, sam Mikuł wyszedł z pokłonem, przypatrując się pytającemu. Człek był zasię młody, ogorzały, bujnego wzrostu, silny, pięknej twarzy, z pańska wyglądający, choć odzież pana nie wydawała. Mikuł, który pochwycił pytanie, poczał przybliżając się ku jeźdźcowi, odpowiadać powoli, choć więcej patrzył niż mówił.

— Czyż to Wasza Miłość tak z dala, że o nas nie wiecie?

— A z dala i dużom puszciami poblądził, dni już trzy się po nich rozbijając. Odbiłem się od swoich, oman jakiś czy co po bezdrożach mnie wodził.

— Ziemia to pana Petrka Włodkowego — rzekł Mikuł — coście pewnie o nim słyszeli, bo o nim na wsze strony szeroko głośno. Pan mocny jest, a teraz gospoda i ziemia siucha do klasztoru, któremu jest nadana, do czarnych mnichów. Karczma ich i szynk ich, i ja téż siedzę z ich ręki od księdza opata.

Do Wrocławia ztąd niewielki kawał drogi.

Splunął jakby z gniewu podróżny, słuchając, a potem się zaraz przeżegnał.

— A to diabeł chyba mnie kędyś tak daleko zaciągnął. — Gdzie u licha! Pod Wrocław!

I ruszał ramiona a potrząsał sobą. W tém na gościńcu z dala turkotać zaczęło. Mikuł zamilkł wyglądając ku lasowi i ku polom na przemiany. Od strony Wrocławia wóz się toczył i huczało, gdy szedł po twardém. Siedział na nim człek jeden powożąc się, drugi wyrostek przyczepiony był u drążka. Dwa konie ciągnęły wozisko, a trzy za niémi biegły, wszystkie jakby pomęczone bardzo, głowy zwieszały i wlokły się, ten podkuliwając, drugi ledwie ciągnąc nogi.

Gospodarz na wozie, na garści słomy siedzący w czapce dużej, z opończę narzuconą na ramiona, średniego wieku, twarzy zaszepionej, za pasem siekierkę miał, przez plecy torbę skórzaną.

— A wiu! a wiu! — popędział konie, aż pod gospodę podjechawszy, stanął.

Odwrócił się do Mikuły.

— Witaj ojczu Tymochu! — odezwał się gospodarz, zwracając ku niemu.

— Bóg zapłać, jestem żyw, jak widzicie — a i to szczęście, — odparł Tymoch. — Z „przewodem” mnie gnali, gnali, że i we mnie, i w koniach ledwie już tchu stało.

To mówiąc i nie spojrzawszy nawet na jeźdźca, który stał i słyhał, z wozu zlązł przybyły, konie jego poczęły trawę skubać, on im z wozu, z pod słomy garść siana zarzucił, aby miały czém zęby przetrzeć — a sam do izby pociągnął.

Stojący jeszcze na koniu podróżny rozmyśliwszy się, podjechał też pod szopę i ze szkapę zsiadł na czeladź huczając, aby mu ją wzięto do żłobu. A tuż i psy doń przybiegły, z którymi razem do izby krokiem śmiałym wszedł, jak ten, co się wszędzie panem czuje.

— Gospodarzu miły, — ozwał się głosem młodym i mocnym, który pięknie brzmiał, — jam głodny i koń mój także, o obu radźcie, jako możecie. Psom by się też coś zdało.

— Piwo i miód na rozkazanie, — rzekł Mikuł, — jak lepsze nie mogą być, chleb też jest, sól, słonina i sér, a baba i polewkę ciepłą zwarzy, kiedy każecie.

— Niech warzy, co chce! głód nie patrzy, co dają, — rzekł na ławie zasiadając za stołem młody pan.

Tymoch popatrzał jakoś nieufnie, podejrzliwie, z trwogą prawie na mówiącego, jakby go dopiero teraz dojrzał, przy dziadzie niecopodal na ławie stęknąwszy, usiadł i piwa zawołał.

— W gardle zaschło, Mikuł! nim konie tchną ja się napiję.

— A wy to zkąd? — spytał go jezdny z za stoła.

Nie zaraz mu odpowiedział Tymoch.

— Mil parę ztąd siedzę, wolny kmieć jestem, z przewodu powracam. —

Westchnął.

— A kogożście to przewodzili? — zapytał jeździec.

— He? czy to teraz na podwoły nasze przewodów brak? — począł Tymoch, bo mu się już gęba rozwiązywała. — Miłościwy panie, i my i konie ledwie dyszemy. Albo to u nas księdzów mało? a który z nich jedzie czy swoją ziemią czy cudzą, juści mu wszędzie przewód dać trzeba, a nie to po łbie i konie z szopy bez człeka zabiorą, co ich potem nie ujrysz. Nie pytają oni, czy i nam kmieciom chudoba wyzdycha. Pędzi starościński włodarz czy dla Władysława, czy dla Bolka, czy choćby i dla Wojewody jakiego, a podoba się Jego miłości księdzu Biskupowi któremu jechać, to i ich ludzie pędzą do przewodu, i starościńscy, i dla żupanów i dla pańskich urzędników, a choćby i dla psiarzy książęcych.

Westchnął znowu i głowa mu zwiśla.

Młody popatrzał nań milcząco, — podawał mu właśnie Mikuł gospodarz miód, a Tymochowi piwo.

— Tak że to ono z wieku bywało! — odezwał się młody z za stołu. Tymoch się na to strząśł.

— Ojcowie inaczej pamiętali — szepnął od ust kubek odrywając — dawniej się różno trafiła, z laty gorsze nastąpiło. Panów się moc namnożyła wielka i żupanów i urzędników i duchownych i księdzów tych i owych. Kmieciowi coraz ciężej.

— Zawždy ludzie narzekali — odparł młody podpijając i przegryzając.

— Dziadom bo lepij było — wtrącił Tymoch, — dopóki do nas nie przyszedł wszelki obyczaj niemiecki. A no. —

Machnął ręką i usta mu się zwarły.

— Mówcie jako chcecie, mówcie, — odezwał się młody, — jam ci nie niemiec a swopak. —

— To swopak wiedzieć musicie, jak nam kmieciom teraz jest, — mówił Tymoch. — Płaciemy poradne, dajemy podworowe, naraz, dajem przewód, idziemy do grobel, haci i mostów, do pletów i do tynów, do zwózki; dajemy osyp, miód, kury, woły, a gdy przyjdzie pogoń, pogońce... Kto tam zliczy!! Czyż może być gorzej? —

Znów zamilkł; a tchnąwszy jak sam do siebie, ciągnął.

— Bierze ksiądz dziesięcinę dodatku. Jak zostanie na przednowku chleb dla nas z ościami, a dla koni strzecha, Pana Boga chwał, bo na stacyi stogi nasze pańskie konie zjadły, a czeladź płoty popaliła.

Mikuł, który stojąc przysłuchiwał się, uśmiechnął z pod wąsa.

— Coś bo wam dziś przewód zalał sadła za skórę, — rzekł pomrukując. — Ono to wszystko prawda, a jaby się z wami jeszcze pomieniał na moją biedę i w targu zarobił. Ludzi macie dosyć, czeladzi, parobków, koni, stadniny, trzody i pól i barci, głodu nie zaznacie...

— Jak ono pójdzie dalej tak, — ciągnął Tymoch, — kmiecie zejda na zagrodników. Im więcej panów, tém na nas ciężej. Bywał bo jeden pan, jeden król, jednośmy słuchali, teraz już czterech czy pięciu, panów Biskupów drugie tyle, co jak królowie panują. —

Niech się to rozrodzi, będzie po jednemu na kmiecia. Coraz koło nas cieśniej — dodał, — a do sądu i po sprawiedliwość albo ja wiem, dokąd iść z datkiem i żalobą? Za jedno do żupana, za drugie do księcia, za trzecie do Biskupa — każdemu sądowi trzeba płacić, a żaden sprawiedliwości dać nie mocen.

Gdy się tak gwarzyło, Mikuł, wychylony przez kmiecia kubek piwa, nalał na nowo.

— Napijta się — rzekł podając mu, — lżej na sercu a jaśniej w oczach będzie.

Więc gdy pił Tymoch, a młody podróżny na dalsze żale ucha nastawiał, dziad co dotąd niemy siedział w rogu ławy, począł coś pomrukiwać. Niby śpiewał, niby mówił, niby drugim, niby sobie. Zrazu go i zrozumieć było trudno, aż jakby zdali kędyś przychodząc, to mruczenie zbliżyć się i w mowę coraz wyraźniejszą zmieniać zaczęło.

— Bywało inaczej — jak ono bywało! — wiedzą tylko groby, mogiły śpiewają, gdy wiatr po nich dmucha. A któż wiatru słucha? Żywych co patrzali na świecie nie stało. Bywało! bywało! I ziemia rodziła i paśli się ludzie i krew się nie lała, a pana nie znali i panami byli — bywało! a kiedy to było? kiedy słonków dwoje na niebie świeciło, a cztery miesiące około nich chodziło. — Héj! héj! —

I począł się śmiać sam do siebie, sam z siebie.

— Ojcie Tymochu — mruczał dalej — jako świat był światem, wilcy krowy dusili a żupany kmieciów cisnęli. Na co Pan Bóg zęby dał??

— Héj ty dudo dudarzu — przerwał Tymoch gniewnie, — ale onego czasu na dziesięć krów był jeden wilk, na stu kmieci żupan jeden, teraz na jedną krowę dziesięć wilków, na jednego kmiecia stu żupanów!

Jak posiało milczeniem.

— Z Wrocławia jedziecie? — zapytał młody.

— Bo do Wrocławia przewód mój był — rzekł kmieć, — do dwora pana Petrkowego jakieś książątko jechało. Ledwie z niem u wrót pod Sobótką stanął, konie wyprzągł, nie czekałem Bóg zapłać i w nogi do domu. Nużby drugi nazad przewodu potrzebujący pochwycił!

— Nadaremna to trwoga — rzekł Mikuł, — boć pan nasz Petrek, Boży sługa, dla kmiecia i wszelkiego człowieka litościw wielce. Prędjéjby was pokarmić kazał, niż dalej gnać. —

Dziad potwierdził.

— Toć pan! — rzekł — nie minie człeka bez jałmużny, a i pani Petrkowa dobra jest i syn Świętoch się wdał w rodzice, zmiłowanie mają nad ubogim narodem.

— Co bo wy ich tak chwalicie bez miary — wyrwał się kmieć — jakby to go ludzie z dawien dawna nie znali.

— Ja tego chwale, na czym wózku jadę, — rzekł Mikuł skrobiąc się po głowie, — toć to karczma jego była, i jam jego był, mało co jak ją zdał na Czarnych. — Gdybym go i nie słuchał, powiem jak się godzi, bo dobry pan.

— A no! dobry teraz, pewnie, gdy się spaś — rzekł uparty kmieć. — I wilk gdy niegłodny, krowie się ogonem kłania. Miałbym ja to co on, takżebym dobrym był. — Złoto u niego korcami mierzyć.

— Czemu nie, — odparł Mikuł — a ziemi ma, co jój w rok nie objedzie, lasów tyle, co ich nie przepoluje w pięcioro lat, wszelkiego dobra u niego jak u księcia, a pani krasna i dzieci piękne.

Tymoch głową potrząsał i śmiał się.

— Jam człek nie dzisiejszy — odparł, — pamiętam ja króla i stare dzieje, a owo, co ten Petrek dokazywał, za co żonę i skarby pobrał i łaski się pańskiej dokupił, że go król nieboszczyk potem za brata i swata miał.

Mikuł brodę darł i marszczył się.

— Nie gadajcie, nie mielcie — a kto to tego nie wie!

— Owszem mówcie, ja choć wiem, to niespełna — odparł młody. — Choć się co słyszało, wywietrzało, radoby się przypomniało.

Tymoch z niechęcią, ukradkiem wskazał na dziada.

— Ten niechaj wam gada gadki — odezwał się, — dziadowska to rzecz do torby zbierać po drodze chleb, a do drugiej ludzkie plotki. Obieży świat, wszystko wie i każdą rzecz powiedzieć umie.

Wyjął młody z sakwy srebrniczka małego i dziadowi go rzucił.

— Praw dziadzie — odezwał się, — nim zwarzy jeść gospodyni, gadaj, bym nie spał.

Mikuł, jakby mu się słuchanego słuchać nie chciało, poszedł do komory ciemnej, a ci, co zostali, umilkli, ku dziadowi się obracając. Dziad splunął i począł.

— Héj, stał raz dąb nade drogą, a szli ludzie podle niego. — Piękny dąb, dobry dąb, — rzekł jeden, — gdy sobie pod nim zasnął oparłszy się on i cień nad głową od gałęzi miał.

A drugi, co przyszedł, gdy się pod nim do snu ułożył, padł mu z dębu żołędź dojrzała, z wysoka na oko i zranił źrenicę. Ten przeklinał dąb jako zbója, aby go pierwsza siekiera nie minęła; pierwsza burza wywaliła, pierwszy piorun spalił.

Ptactwo, co się w jego liściach gnieździło, błogosławiło, wiewiórka, co w dziupli siedziała sławiła, a orlęta, których ojca ubito, gdy na gałęzi siedział, kłęło i bluźniło nań.

Nasz pan jest, jako ten dąb wielki; jedni go chwalą, drudzy klną, każdy sercu swojemu dogadza, a dąb sobie stoi, jako stał.

Dawne to dzieje, za króla Krzywoustą się działo; choć mnie tam nie było może, możemy ja tam i był, choć przez sen. Dziś ja żebrak i pruchno, za młodum wojaczyl i za pany tarcze wozil, oczy miał, uszy miał.

Petrek u króla był i z królem na spól wojował. Gdzie trzeba było piorunem bić, ptakiem lecieć, wężem podłazić, nikogo słano, ino Petrka. On wszystko umiał, a co król rzekł, rozstap się ziemio — zrobił — jak przykazano.

Brała się król wówczas i z ruskim kniazem, zbratał tak, aż się poswarzyli. Kto lepszy. Wołodar począł trąbić, a na nas swoją dzicz prowadzić i palić lasy i sioła i jeńców brać a gnać. — Zdradził pana naszego; król rozsierzdził się srodze. Złapać go, wiatru w polu nie było można. — Dałbym, — rzekł, — coby ze mnie żywno kto chciał, byłem zdrajcę w rękach miał. Petrek słuchał i śmiał się.

— Co mi dasz królu, panie, — zapytał, — związanego ci na twój dwór dostawię?

Nie wierzył król. — Dam ci jego samego — rzekł powstawszy, — weźmiesz okup, jaki zechcesz, ja sobie nie chcę jednej grzywny, tylko bym go w rękach miał.

A było tak, że Petrek na Rusi nie jeden już raz gościł, gdy król się jeszcze z kniazem Wołodarem bratał i za posła był używany i Wołodarowi do chrztu dziecko niósł, a kumem się mu zwał.

A kto królowi panu krzyw i zdrajca, komu kumem taki być może?

Tymoch głową potrząsł, ramieniem ruszył dziad mówił dalej.

— Wołodarowych wojów tysiące było, a pan Petrek się nań wybrał w sześćdziesiąt koni. — Król patrząc rzekł. — Żal mi cię, na zgubę jedziesz. — No to zginę dla Miłości Waszój, — odparł Petrek — i jechał. Jechał wprost na zamek kniazia, a nie w kopę koni, bo ludzi w lesie zostawił, jak mu potrzeba było, tylko samotrzeć — i przybywszy na zamek, bił czołem Wołodarowi. — Król mój pan, pozdrawia was, kniazu Wołodarze, — mówił, — chociażście wy mu wrogiem, pragnie pokoju z wami, śle mnie do was, abyście mir po staremu uczynili.

Kniaź Wołodar słuchał i zdumiewał się, ale że kuma w nim znał, odparł. — Szczęście masz, żeś mi dziecko do chrztu trzymał, nie godzi mi cię imać i karać, a kazałbym cię na wiek do ciemnicy wrzucić, abyś w niej gnił. — Jam wojny nie poczynał, król twój najężdżał ziemię moją, chcąc mnie zawojować. Nie dam mu się, jakom żyw; Ruś nań całuchną ściągnę i Połowców i Jaćwę i co gdzie jest wszelakiego wója z najdalszego krańca.

Na to mu zsiadłszy z konia i do nóg się pokloniwszy, rzekł Petrek. — Ziemiami się podzielicie i w zgodzie żyć będziecie, jak na panów chrześcijańskich przystało. Proszę was o to tylko, abyście mi łaskawego nie skąpili ucha.

Więc udobruchał się nieco Wołodar i szli razem na zamek, a kazał mu tylko milczeć, aby o królu Krzywogębie mówić więcej nie śmiał — to mu już dobrym będzie.

Siedli tedy za stół i pili razem i jedli, gadali o łowach i o ruskich sprawach i o niewiastach i o stratach, ale o królu o Krzywogębie ni słowa. A gdy zapili się tak późno w noc, rzekł mu Wołodar, idź i lęgnij spać, bo kury pieją, a miód w mózgu kręci.

Drugiego dnia zwołał swoich posadników, bojarów, drużynę kniaź Wołodar i znów posadził kuma za stół i poił go. Mówili o wszystkiem, a gdy Petrek króla wspomniał tylko, Wołodar pięścią w stół uderzył aż stolnica pękła i rzekł — o nim mi nie mówcie. Znać go nie chcę, Krzywomordy tego.

Gdy już drugiego dnia szli spać, rzekł Petrek. — Do domu powrócę ze sromem bo z niczém! Zatrzymał go kniaź jeszcze, tylko mruknął. — Nie gadaj, że powrócisz z niczém, gdy głowę całą przywieszysz na karku, ona taki coś warta.

Dnia trzeciego pili znowu sam na sam do wieczora, wieczorem im niewiasty służyły i śpiewały. A była przy Wołodarowej żonie plemienna jój, Swiatopełkówna Marja, piękna dziewczka, którą Petrek napatrzył gdy im miód nalewała. I rzekł do kniazia Wołodara.

— Na świecie nad nią piękniejszej nie było i nie będzie. Na co Wołodar mu odpowiedział śmiejąc się a pocmokując. — Bo niema nigdzie niewiast jak na Rusi i w Kijowie, a to kniaźna jest i wiedzma kijowska. I nie weźmie jój chyba król a moczarsz, albo taki pan co carskiej jój krwi godzien będzie, bo w niej Cezarów krew płynie.

A Petrek głową potwierdzał, i pili do nocy późnej z sobą. Gadać o królu i tego dnia nie dał mu Wołodar, bo się zaraz do noża brał. Żegnał go Petrek. — Jadę jutro rano. — Ja też jutro na łowy, — odparł, Wołodar, — jedź z mną razem; gdy się łowy skończą, wracaj sobie do domu, do tego co cię posłał i powiedz mu, że jego ziemię na kopytach rozniosę, spalę i zniszczę, bom mu wrogiem, a druhem nie chcę być i nie będę.

Nazajutrz do dnia jechali na łowy razem. Puścili się za łosiem, Petrek wiedział gdzie konie swe i ludzi w lesie zostawił i pokierował tak, aby Wołodar z nim na zasadzkę wjechał. Zmówione to było, bo gdy razem pili, sam Petrek na łowy wyzywał, choć się kniaziowi zdało iż on ich zażądał. — Trąbką ludziom zasadzonym dał znać, aż gdy w gąszcze wjechali, oskoczyli ich zewsząd Petrkowi. Chciał się Wołodar bronić, ale mu wnet pęta na ręce rzucili i na nogi, oręż odjęli i przywiązanego do konia gnali z sobą nie ustając, choć pienil i krwią buchał.

A Petrek mówił mu. — Wrogiem się czyniłeś pana mojego, bądźże jego niewolnikiem. Co on z tobą postanowi to będzie.

Tak gnając z nim dzień i noc przez lasy uwiózł go precz, a ludzie Wołodarowi po kniejach trąbili szukając go napróżno, myśleli że niedźwiedź rozszarpał, albo dzikie bestje nocą pożarły. Wprost wiózł więźnia na zamek do króla Petrek, a gdy król go zobaczył, oczom wierzyć nie chciał, wołając. — Czarownik jesteś.

— Jam sługa twój — odparł Petrek. Słowam dotrzymał; trzymajże ty swoje królu a panie, bo mi się to należy, szyjem stawił.

A tak się stało, że Petrek okup ogromny wziął i wszystkie skarby Wołodarowe za żywot jego; król zaś za jeńca nie wziął więcej niż jego przysięgę na krzyż i księgę, że z nim wojować nie będzie. Petrko zaś dodał — skarbów mi mało, skoro Maryi Swiatopełkownej mieć nie będę — tę mi musisz dać albo ci życie wezmę. I zbogacił się pan Petrek skarbami i żonę dostał jaką chciał, a król go swoim Wojewodą wielkim uczynił i gdy umierał, dał mu nad synami opiekę. — Oto jak rósł i urósł pan nasz....

— A dobrzeż urósł — podchwycił Tymoch, — że kuma co mu zaufał zdradził, tego z którym chleb łamał, jadł i pił, w zasadzkę uwiódł i pochwycił a wydał? dobrzeż to?

— Héj! héj! — odparł dziad — co wojna, to nie mir, nie zna ona kumów ani braci! Przecież Petrek grzech swój znał i zna i za to kościoły buduje. Skarby wysypuje, pokutę odprawia. A co uczynił dla swojego pana, ocaliwszy ludzi tylu, którzy przez wojnę ginąć mieli? toć nie grzech a zasługa. Służył temu komu przysięgał. A widać że mu tego za grzech pan Bóg nie poczytał, bo jako rosnać począł za Krzywoustego, tak rośnie i teraz, a co wysypie na kościoły to mu się wnet powraca Bożą mocą, kto mu kamieniem rzuca, na tego się on odbije! Héj! héj!

Gdy dziad prawil, noc była nadeszła, Tymoch milczący zabierał się już do wozu. Z gościńca w tém poczęło się wołanie powtarzane.

— Bywaj tu! bywaj! Jest tam kto?

Wybiegł Mikuł o kamienie przy ognisku obraziwszy nogę, kulejąc. Przed gospodą na koniu siedział zbrojny mąż stary, chudy, kościsty, czeladzi koło niego kilkoro się kręciło, a on wołał o światło i gospodarza i sierdził się.

Wyniesiono zapalone łuczycwo, wysunął się z za stoła i młody podróżny popatrzyć — wyglądał kto żył. Przybyły wzrostu olbrzymiego prawie, nieco wiekiem przygnębiony ale krzepki, srebrnowłosy, bardzo rycersko patrzył. — Zbroją miał przy sobie i na sobie, miecz i mieczyk, a hełm wisiał tuż na koniu za rzemyki uczepiony.

Pytał do Wrocławia, a konie jego buchały parą i bokami robiły. Zsiadł wreszcie, aby tchnęły nieco.

Tymoch korzystając z téj chwili zamętu, do wozu swojego się przesunął, i wnet konie pognawszy, na gościńcu zaturkotał. Dziad zobaczywszy rycerza przychował się do kąta. W tém na drodze znowu zatętniało i wóz długi stanął u drzwi. Mikuł ledwie miał czas gościom się pokłonić, czeladź zwijała się żywo. Z długiego wozu dobył się w czarnej sukni duchowny. Tych naówczas więcej szanowano niż rycerzy, więc Mikuł przybiegł rękę całować i kolana ścisnąć, choć rozmówić się z nim nie umiał, bo on czarny mnich, jak się okazało, Francuzem był i nad kilka połamanych słów polskich więcej nie znał.

Rycerz i mnich weszli do izby pospołu, stary wprzód pokłonił się ojcu i mało co doń zagadawszy, wnet na język jego trafił, tak że się dobrze rozumieli i przyłgnęli do siebie.

Młody podróżny sam przyzostał na uboczu.

Mnich otyły, rumiany, wesołej twarzy, wcale na surowego pokutnika nie wyglądał, ani nawet na zakonnika. Suknię długą miał podkasaną, postawę a ruchy więcej żołnierskie niż klasztorne.

Zaledwie wszedłszy już śmiejąc się do Mikuły wołał o miód, rycerzowi się spowiadając, że bo z pragnienia marł, a po drodze woda była w studniach obrzydliwa. Dla nikogo też gospodarz tak się nie zwijał, jak dla opasłego mnicha, i nie dziw, karczma bowiem do czarnych należała i jak swym panom służyć im musiał. A z oczu mnichowi patrzyło, że nie dałby sobie chybić, bo choć oręza żadnego nie nosił, kij w rękę trzymał kuty potężny, który stałby za oszczep w potrzebie, i rękę miał silną, co tym kijem mogła tego obracać i lice takie, którego się musiał uleknąć kto w nie spojrział, bo choć niby wesołe i rumiane, groźne było zarazem i zuchwałe.

Od progu już stary rycerz i czarny mnich, języka od siebie wzięwszy, przystali jeden do drugiego. Stary był jakby dla takiego mnicha na towarzysza stworzony. Wojaka w nim poznać było łatwo i z ramion silnych, z blizn mnogich i z twarzy pomarszczonej i nasepionej, na której brwi nawisłe, kępiaste, najeżone, na pół zakrywały oczy połyskujące dziko. Gdy mu się usta blade ścięły a zapadły, bo zębów już był postradał — strach brał co z nich wyjdzie gdy się otworzą. Odziany był i zbrojny dostatnio a nie pysznie; ręka którą ukazywał, tak się zdawała ogromną, jakby dęby z korzeniem wyrwać była nawykła.

Mnich czarny, gdyby nie otyłość siłą by mu sprostał. Wnet też swój swojego poznał, poczęli coś głośno rozprawiać obcą mową, a hałasowali. Młody podróżny wciąż się od nich na stronie trzymał.

Gęślarz z kąta, ciekawie poglądając, słuchał, z komory wyzierała Samicha i para przebudzonych, pół nagich dzieci.

Ci tak się zagwarzyli z sobą, że ani zważali czy ich kto słucha, bo i nie obawiali się snuć, aby ich prości ludzie rozumieć mogli.

Stary rycerz, gdy miód podano, mnicha z kubkiem do stoła wiódł, tu mu miejsce pierwsze zrobił, sam też na ławie przy nim zasiadł i dopiero teraz, wzrokiem powiódłszy dokoła, szukając znać gospodarza, trafił na młodego podróżnego, który stał, jako sobie pan, nic nie okazując ani trwogi ni poszanowania.

Popatrzył nań stary i ostro go zagadnął.

— A ty coś zacz?

— Podróżny — rzekł młody dumnie.

— Któżci to?

— Wolny człek jako i wy, i tego samego pono rzemiosła — odezwał się zapytany.

— Cóż, rycerz? czyj? pytał stary.

— A swój, dzięki Bogu! rzekł dumnie młody z pół uśmiechem.

— Przecież komuś służycie — mówił stary marszcząc się.

— Tak jako i wy? A wy, komu? odparł młody.

— Ja książęciu Władysławowi panu naszemu.

— No — i ja też innego pana nie znam.

— A toć mi pyszny pan! śmiał się stary.

— Czemubym nie miał być! mruknął ów.

W czasie, gdy się tak jakoś ostro zagajała rozmowa głosami poruszonymi, mnich na młodego poglądał zuchwałe, mierząc go oczyma groźnemi, wzrokiem niby staremu wtórując, gdy nie mógł mową. Młody i tych oczów wcale się nie zdawał obawiać.

— Nie zgadnąć bo się z wami! zawołał stary kubka się imając.

— Toć was téż gadać ze mną nikt nie siłuje — odrzekł po izbie się przechadzając swobodnie młodszy. Gdy się tak poruszać zaczął, psy jego, które w kącie były legły, podniosły się ku panu idąc. Ten je głąkał a pochylał się do nich. — Rycerz wlepił w nie ciekawe oczy, widać że go zdziwiły i ze psów téż o ich panu począł inaczej sądzić. Więc mruknął.

— Nie lada sobaki, bodaj kędys z dalekiego kraju — nie nasze. — Młody pytnia jakby nie słuchał. Wtedy mnich domyśliwszy się, że się oni z sobą nie porozumieją, odezwał się swą mową do starego rycerza.

— Zapytajcie no gospodarza, ten wam powie kto u niego gości, znać go musi.

Skinął rycerz na stojącego opodal Mikułę, ten się zbliżył.

— Kto jest ten ze psy? zkąd?

— Obcy — odparł Mikuł — nie znam go.

Nie było więc rady, obrzuciwszy go znowu oczyma ciekawemi, mnich z rycerzem rozmowę dalej ciągnęli.

— Niepocześnie odziany, mówił stary półgłosem, ale może być i nie prosty człek, bo mi się nawet nie pokłonił. Musi w okolicy mieszkać, choć go tu nie znają, boć ze psy pewnie z łowów jedzie.

— Szkoda, że języka waszego mało znam — rzekł mnich swoją mową, dobyłbym z niego zaraz kto jest.

— Ojcie przewielebny — odparł śmiejąc się zdala stojący młody, jeżeli o mowę chodzi, jać waszą rozumiem niczego, i tę którą dalej na południu mówią i tę co nią szwabyszwargoczają.

Posłyszawszy to oba i mnich — i rycerz głośno się rozśmieli, a stary zaraz powstał rękę wyciągając.

— Siadajcież, bracie, z nami, zawołał — po mowie znać, że do nas należycie. — Suknia mnie zwiodła — staremu nie miejcie za zło.

Młody wnet rozchmurzywszy twarz powoli, z poszanowaniem do stołu przystąpił. Naprzód mnicha w rękę pocałował, potem staremu się pokłonił, aż z boku na ławie, jak młodemu przystało, zajął miejsce.

## II

Mnichowi tak jakoś rażno było, że dla gęby towarzyszków znalazł, z którymi się mógł rozmówić, że mu się już nazad do wozu nań oczekującego nie chciało: Miód popijał, coraz o stół kubkiem stukając; śmiała mu się twarz szeroka, zwracał się na przemiany to ku staremu, to do młodego, rozparł wygodnie plecy do ściany przyłożywszy, i tak gwarzył, jakby już w refektarzu swym spoczywał.

— Do klasztoru mi nie pilno — mówił — jest ci komu na chwałę Bożą w chórze zaśpiewać, a i do wszelakiój roboty braci dosyć. Trochę się na swobodę wyrwawszy człeku rażniej, zapomni choć, że tę czarną suknię nosi i głowę ma wygoloną.

— A dawności tu u nas w tym kraju? zapytał stary.

— Już bo lat kilka — mówił mnich, — wydały mi się wiekiem prawie. Choć z kraju Gallów jestem rodem, żyłem wprzódy na Monte Cassino, w italskiej ziemi, gdzie dobre wino rośnie. Nie po dobrej woli się w te wasze puszcze zabłąkałem, posłali mnie ojcowie pod obedjencyą. Jeszczeż lato jak lato, jesień pół biedy, ale zima pół roku i duszę ze człeka wymraża!

Westchnął ciężko.

— Co za kraj! co za powietrze! — dodał — niedźwiedzom tu żyć, którym pan Bóg dał futra królewskie, nie nam gołym ludziskom.

— Jam téż — przerwał stary — tułając się po świecie odwykł był od swój ziemi i nieba, marzną téż i ja — ano niczém mróz, gdyby ludzkie serca cieplejsze były. Westchnął z kolei, oczy w ziemię wlepiwszy.

— Jakże tu ludzie ciepłi być mają, odezwał się jowjalnie mnich, krew w nich zastyga od chłodu. Gdyby choć jak bobaki zimę przesypiać mogli?

Zwrócił się do młodego.

— Wycie téż pewnie kędy dalej bywali, gdy językiem cudzym dobrze mówicie? — Zapytał stary.

— Trochę, trochę — począł młody, — więcejbym światu jeszcze zobaczyć pragnął, ale to z pomocą Bożą kiedyś się uczyni.

Mnich tymczasem coś sobie półgłosem podśpiewywał po łacinie, nogą bujając w powietrzu. Kubek w dłoni trzymał, i miód posmoktywał, patrzył na Samichę, która ogień pośrodku izby roznieciwszy, warzyć coś poczynała.

— Wyście się tu porodzili — począł — wam tu znośnie, ba i dobrze być może; dla nas gorsza więzienia ta ziemia. Niema czém pocieszyć ni oka, ni duszy. Morza nie ujrzyć, szumu jego nie posłyszeć, gór niebotycznych nigdzie, równiny jak na dłoni, lasy a lasy i lasy na nich szumią, rzeki ospałe płyną jakby się pomęczyły, błoto i piasek! piasek a błoto! Na drzewach nędzne szyszki rosną, wino choć go sadź i chuchaj nie dojrzeje — kraj wasz nie dla ludzi!

— Wybyście się nań skarżyć nie powinni, — przerwał stary — wam tu mało nie jak w raj. Ziemi, pól, wody, lasu, służby do nich macie dostatkiem i do woli. Królowie, książęta, my też dajemy wam wszyscy, biskupi na rękach noszą — toż królujecie u nas!

— A cobyście też wy bez nas poczęli? — zawołał mnich, oczyma mrugając. — Gdyby nie Włosi, nie Francuzi, potroszę i Niemcy, pana Boga byście nie znali, któżby u was wiarę Chrystusową krzewił? Waszych duchownych tyle tylko prawie macie co po wsiach, po plebaniach siedzą i niezgorzėj katechizm umieją — nie wiele co więcej. Jak książkę na wagę złota, tak i nauczycieli do niej na wagę złota kupować musicie, inaczej byście po wiek wieków w ciemnościach zostali.

— Juści też do tego powoli przychodzimy, — odezwał się młody, — że swoich księży i biskupów mieć będziemy przecie.

— A coby biskupi wasi i księża bez nas zrobili! — odparł Francuz. — Wasi polscy biskupi nie wiele znają, księża jeszcze mniej, po chałupach z dziećmi i żonami siedzą, do stodoł zboże ściągają, pociechy z nich nie wiele.

Zaśmiał się.

Oba przy nim siedzący posepnie jakoś zamilkli.

— Nie mówię zła na nikogo — dorzucił mnich gadatliwy, — a uchowaj Boże przeciw ks. Janika z Brzeźnicy pasterza waszego... Toć zacny pan! zacny pan. — Wszelako coby on poczynał bez Roberta Archidiakona?? he?

Więc, choćbyście wy nam, idącym do was na szrony i lody, sukнем i szkarłatem drogi wyścielali, nie skarżcie się. — Jest za co, światło niesiemy!

Zanucił znowu coś po łacinie, nie z tego tonu co w chórze, ale wesoło i rażno, jakby do gospody na gościńcu. Trudno go było zrozumieć.

— Miły panie, odwrócił się popiwszy do starego, ja mam imię Maura, wiecie kto jestem i z jakiego Opactwa, bom od św. Wincentego, dajcież wy się mnie znać.

— Ho! ho! zaśmiał się stary — gdybym ja wam opowiadać chciał com za jeden, słuchałby wam się odechciało. — Wielem przeżył a osobliwych przygód i dziejów. Ale wy chyba jeden, ojciec Maurze, żywota mojego nie znacie, drudzy o nim po całej ziemi naszej wiedzą i rozpowiadają. Głośny on się stał za Krzywoustego, któremu Bóg daj niebo, że mi sprawiedliwość wymierzył.

Jam — Żegota Zaprzaniec.

To mówiąc, spojrzął ku młodemu, a ten dopiero kołpaka nachyliwszy, nisko mu się pokłonił.

Wesoły mnich popatrzył nań i dotykając ręki poufale — odezwał się.

— Srodzem ciekaw życia waszego. Kiedyś do klasztoru nie powrócił, dopóki furty nie zamknęli, co mi tam? posiedzę z wami! Swobody zażyję, miodu się napiję — mówcie, proszę.

— Po setny chyba raz dla was swoją historię powtórzę — odezwał się stary popijając trochę, jakby sobie usta chciał zwilżyć.

Wielem już ludzi tą gadką karmił, aż mi się samemu obrzydliwą stała. — Nic to, mogę ją jeszcze raz gwoli Ojcu powtórzyć.

Pomilczawszy trochę, pogłaskał brodę stary i tak począł:

— Jeszcze nieboszczyka króla Bolka ojciec dogorywał w Płocku, gdy ja, naówczas młodym będąc, nasłuchawszy się dużo od obcych księży o krajach różnych, zawziął wielką ochotę je zobaczyć. Żył naówczas ojciec stary i dwu braci moich, Nawój i Sędziwój.

Siedliliśmy się naszym rodem z prastarych czasów wedle Krakowa, tam było gniazdo i ojcowizna Starzów. Ziemię na okół mieliśmy szerokie, i staliśmy między ziemiany na czele. Zapalono wici na wojnę, a zawołano — Starża! tysiące ludu szło naszego z toporami po staremu.

Gdym się u nieboszczyka ojca prosił, aby mnie trochę puścił w świat, ofuknął się ani słuchać o tém nie chcąc. Było co robić koło domu. Mnie piekło skosztować i zła i dobra, a popatrzeć jak się to tam gdzieindziej dziewało. Więc, ojcu się już nawet nie opowiedziawszy, pod pozorem łowów, na młodym koniu siwym, którego sobie sam ujeździł, zbroiczki nabrawszy trochę, puściłem się naprzód na dwór królewski, niby służby wojennej szukając, że mi się w pokoju mierzilo. Ztąd gdy Niemcy jechali precz do siebie, którzy byli z Magdeburga za jakąś sprawą posłani, z niemim się jako jeden z nich wykradł, naprzód do onego Magdeburga. Ale tu między żołnierstwem biskupiem, panami i różnym ludem żołdaczym, niedługom wyżył, niewielem téż zobaczył. Zaciągnąłem się do cesarskich, Henrykowych, wówczas kiedy już ów cesarz sam chwał się na swoim tronie, o czémem ja młody nie wiedział. Majestat zdał się wielki i rycerstwa koło niego, pięknego, dużo się jeszcze zwijało — a ci mnie między siebie przyjęli. Henryka Bóg pokarał snąc za to, że na Ojca chrześcijaństwa całego się porwał, na rzymskiego biskupa i papieża, a teraz nań téż własni synowie godzili, chcąc mu berło wydrzeć z dłoni. Mnie tam naówczas młodemu nie było w głowie kto panował, inom patrzył ktoby mnie zawiódł daleko, abym coraz nowe ziemie oglądał. Z cesarskiemim się więc po niemieckich ziemiach tłukł naprzód, różnego losu zażywając. Jeden syn co się był na cesarza Henryka porwał, zmarł jakoś, z pomsty Bożej; wnet i drugi po nim Henryk także się podniósł przeciw ojcu. A miał z sobą i Papieża rzymskiego i Bawarów i innych wielu.

Jam z ojcem cesarzem i Niemcami jego szedł, gdy nad Regenem pod miastem Racisboną, spotkaliśmy się z wojskiem synowskiem. W sierpniowy skwar zeszły się zastępy, a już syn między naszymi wielu miał swoich i cesarscy bić się nie chcieli, swoją krew przelewając.

A toć wszyscy pono wiecie, jak potem cesarza syn więził i zamorzył, bo ze strapienia i zgryzoty zmarł Henryk stary.

Nawet ciało jego potem z grobu Papież kazał wyrzucić. — Ze służby ojca poszedłem do syna, choć mi temu ojcobójcy służyć się nie bardzo chciało. Tegom jednak dopiął z tym synem, czego z ojcem nie mogłem, bośmy z nim pociągnęli na Włochy.

Byłem onych dni krwawych w Rzymie, gdyśmy się ledwie motłochowi zburzonemu obroniwszy, Papieża pojмали i zmusili go, aby czynił po woli cesarskiej. Stałem przy tém gdy go Paskal biskup rad nie rad, ze łzy na oczach koronować musiał, a łzy te jak groch na koronę cesarską z przekleństwem padały.

— Ho! ho! — zaśmiał się przerywając Ojciec Maur — wyście to i Rzym nasz widzieli. A znacież jaka u nas o tym Rzymie Ewangelia chodzi? — mówił wesoły klecha. — Pewno nie? Ja ją na pamięć umiem. Chcecie to posłuchajcie...

Stary Zaprzaniec przerwał swe opowiadanie, z ukosa patrząc na mnicha. Ten powstawszy z ławy, minę uczynił niby pobożną, w rzeczy szyderską, i jakby w kościele do czytania Ewangelii się zabierał, głosem grubym rozpoczął:

„*In illo tempore dixit Papa Romanis...*”<sup>1</sup> Onego czasu rzekł Papież do Rzymian. Gdy przyjdzie syn człowieczy, do tronu majestatu naszego, rzeczenie mu naprzód: Przyjacielu, czego przychodzisz? A jeżeli trwać będzie pukając, a nic nie dając wam, wyrzucicie go precz w ciemności zewnętrzne. I stało się, że przybył jeden klecha. —

Mnich z pobożnością niby wielką zabierał się ciągnąć dalej, gdy młody rycerz, na uboczku stojący, poruszył się i odezwał cicho.

— Ojczy przewielebny, nie godzi się nam słuchać rzeczy tych, które na pośmiewisko sprawy biskupa rzymskiego podają. Popadlibyśmy w grzech znaczny. Duchowni sobie żarty stroić mogą, bo to tam ich sprawy, nam świeckim ludziom, nie przebaczyłyby spowiednik.

Mnich się zwrócił ku niemu, z nieco szyderskiem wejrzeniem.

<sup>1</sup>*In illo tempore dixit Papa Romanis...* — ewangelia ta satyryczna u Du Méril'a *Poësies latines avant le XII siècle*. p. 407. [przypis autorski]

— Chwali ci się to — odparł siadając, — że boicie się grzechu! Ano, Ewangelia moja była piękna, i nie posłyszycie jęj już, bo więcej nie powiem.

Spojrzał ku staremu, od którego się może czego innego spodziewał, ale i ten brwi nachmurzył, głowę zwiesił i widocznie mu szyderstwo z rzeczy świętych nie w smak było.

— A wy co na to? — zapytał go Maur.

— I jam nie rad słuchać nic co mi sumienie obciążyć może — rzekł Zaprzaniec. — Dobrze powiedział młody, sprawy to wasze, nam nic do nich.

O. Maur śmiać się począł.

— I wam się to chwali — rzekł, — na próbę brałem, a wyszliście z niej dobrze. Wam tego słuchać nie przystało, boście świeccy, dzieci i sługi nasze, mnie wolno, bom ja u siebie doma a tak dobry jako i ci, których na biskupów święcą.

Potarł szeroką dłonią głowę — milczeli wszyscy. Ojciec Maur widząc, że mu się z jego żartem nie powiodło, wnet zagaił.

— Ano — mówcie dalej, mówcie, coście tam w tym Rzymie i gdzie dalej widzieli. Ja choć sobie z Rzymu drwię, ziemię tę italską kocham mocno. Niema życia jeno tam, alem się nad Tybr próżno prosił, posłali mnie na lody i śniegi.

Zaprzaniec spoczawszy dalej mówił.

— Byliby nam Normandowie z Kapui biejąc na obronę Papieża uszu i grzbietu natarli, gdyby się prędzej pospieszyli. Przyszli za późno, gdy Henryk już cesarską koronę wdział i co chciał to na Papieżu utargował. Powracaliśmy do Niemiec, gdy Papież za nami pognął odwołaniem tego co mu siłą było wydarto i nasi biskupowie cesarzowi z rozkazu jego opierać się zaczęli.

Byłem ci i ja na weselu cesarskim, a potem znowu we Włoszech, gdyśmy szli wojować, a papież musiał uchodzić z Rzymu przed nami. I takem drugi raz w życiu ów gród osobliwy oglądał.

Długoby to opowiadać było, cośmy się z cesarzem tym nawłóczyli po świecie i natłuki dopóki pokój z Papieżem nie stanął. Cesarz też zmarł właśnie gdym się z nim na Franków wybierał.

— Bo się ich złąkł — wtrącił Maur. — U nas tego czasu ruszyło się co żyło, a byliby go i was w miazgę starli, pod chorągwią św. Dyonizego!

Stary głową potrząsnął.

— Kto wie coby tam było — rzekł. — Mnie się też już było naprzykrzyło owo szukanie guzów po świecie, i gdy Lotariusza sasa obrali, jam się do jego rycerstwa przyłączył, przeciw Frankońskiemu Konradowi.

Na niedługo. Do domu się bardzo tęskniło, gdy się Niemcy z sobą za łby brać gotowali, jam samotrzeć z pachółkami dwoma i trocha tego, co się po świecie uciulało, do domu zawrócił.

Sławnyż to powrót był — westchnął stary, — niechaj od takiego pocziwych ręka Bozka broni. Żłem uczynił, żem zamiast wprost na dwór króla Krzywousta, pociągnął do swoich, do braci, bo ojciec nie żył, ale tęsknica się w sercu odzywała do swoich i bodła.

Rodzica mi żal było, żem go przy życiu nie znalazł, do braci tém spieszniej było — wierzyłem w serca braterskie.

Było to, jak oto teraz, jesienią, gdym na tym samym koniu, którego z domu wywiódł, co mi się w niejednej srogięj bitwie wysłużył i życie ocalił, który, jako i ja, rany miał i blizny — przywłókł się pod Tęczyn.

Myślałem sobie, dać się im zawczasu poznać, czy nie? Próbować postanowiłem, czy też poznają. Zatrąbiłem u wrót. Wyszedł odźwierny z zapytaniem — kto? — Rzekłem mu rycerz obcy, podróżny o gościnę prosi. Puścili mnie.

Braci doma jakoś zastałem obu, z łowów powracających, z mnogą drużyną, a gdym się oznajmił, że tej ziemi ojczycem jestem i u cesarzom służywałem, wzięto mnie do stołu poczestnie i ugaszczano.

Jam w nich braci poznawał łatwo, choć postarzeli wiele, oni mnie jako żywo. U wieszczy tedy gdyśmy siedzieli, rzeknę im, żem z cesarskimi po Włoszech się włócząc, i widział i znał człeka, który się mienił z krakowskiej ziemi od Tęczyna, a zwał się Żegota.

Spojrzeni po sobie, zdumieni trochę i Nawój się pierwszy odezwał.

— Byłci to bodaj brat nasz, ale słyszeliśmy, że tam kędyś na obczyźnie głową nałożył, bo warchoł był zawsze z młodych lat i ojcu śmierci nieposłuchem swym przyspieszył.

I dobrze uczynił — dodał Nawój, — że zginął, bo tu nie miał po co powracać.

Na tom rzekł. — Azali zginął nie wiem, bom ci go żywym oglądał, a o śmierci wcale nie słyszał.

Poczęli tedy od téj chwili jakoś koso na mnie spoglądać, a żem się tém i owém pytaniem wydał, iż ziemię i okolice znam dobrze, dziwowali się, zkądem o tych ludziach wiedział i o sprawach ich. — Na tom rzekł. — Niema się czemu dziwować, bom tutejszy. Na to nic już nie odpowiedzieli, tylkom widział, że mnie na oku trzymali mocno, chwili nie spuszczać ze mnie wzroku.

Gdy pora do snu przysła, komornikowi zawieść kazali spać do izby pod wieżą, za którą podziękowawszy im, rzekłem, żem zdawna obyczaj miał tam sypiać, kędy koń mój stał, bo mój siwy do mnie a ja do niego jak do brata i druha nawykłem.

To rzekłszy, do szopy szedłem na sienne posłanie, na co, choć się pomięszali, nie odpowiedzieli nic.

Gdym się już do snu, konia opatrzywszy, miał układać, a była noc księżycowa jasna, posłyszałem szelest i — patrzę, stoi we drzwiach szopy postać jakaś, jakby widmo niewieście. Domyśliłem się kto był, bo przy wieczery, gdy niewiasty posługiwały, nadzorującą nad niemi starą Nanię poznałem, która mi niegdyś mamką była. I widziałem, że oczów nie spuszczała ze mnie i głosowi się memu przysłuchiwała z kąta, dziwnie ręce łamiąc. Nie sądziłem jednak, aby poznać mnie miała. Obaczywszy postać w bieli tknęło mnie zaraz, że nie kto inny, ona była.

Ta obejrzawszy się dokoła, ostrożnie pocichu przystąpiła do posłania mojego, po imieniu wołać począwszy. Nie zapierając się więc, wstałem witać ją, która się od łez i jęku, całując nogi i ręce moje, wstrzymać nie mogła, a nie rychło się ukoiliła z płaczu srogiego, radości i trwogi jakiejś.

Gdy się nieco uspokoiła, mówić dopiero zaczęła, że po wyjściu mojem, bracia moi podejrzenie powziąwszy, azalim nie był Żegota, długo się naradzali, co począć mieli.

Mówili między sobą. — Co poczniemy, jeżeli on Żegotą jest? Mamyż mu oddać część jego ojcowizny, którąśmy zawładali i między siebie rozdzielili? — Sędziwój rzekł naprzód.

— Dopókim żyw tego co trzymam wydzierać nie dam sobie. — Choćby Żegota był, jak on się wywiedzie, że bratem jest naszym? Lat minęło mało nie trzydzieści, gdy opuścił ten kraj, ojciec go znać nie chciał, i my nie będziemy.

Po czém naradzali się jeszcze i postanowili, dla bezpieczeństwa rzucić mnie do ciemnicy i trzymać w niej, ażbym się albo siebie wyrzekł lub marnie w niej zczeształ.

Mamka mnie zaklinała, abym natychmiast nocą uchodził i szedł do króla z żalobą, której mąż stary wrotnym był i ten mi miał otworzyć bramę. Rzekłem na to niewieście, iż nie może to być, aby mieli na własną krew rodzeni bracia nastawać. I choć u nóg mych leżąc, błagała z płaczem, ległem na siano spać, nie powziąwszy strachu.

Jakoż nazajutrz szedłem do komnat ich, jedliśmy i pili znowu, tylkom widział, że mnie oczyma śledzili, coraz pilniej o brata swojego badając. A gdy się już ucza miała ku końcowi, powstałem z kubkiem w dłoni podanym, i odezwałem się.

— Pytaliście mnie o brata waszego, a oto on, Żegota brat wasz, który staje przed wami. Jam jest.

Struchleli zrazu — popatrzyli na się. Sędziwój pierwszy ochłonął i odparł z uśmiechem.

— Dobryś nasz brat, doznasz takiego przyjęcia, na jakies zasłużył. Od nieboszczyka Żegoty nasłuchałeś się o nas i nauczył, przychodzisz nam kłamem i samozwaństwem ojcowiznę wydzierać.

Oba wnet na czeladź huknęli.

— Wiązać i do ciemnicy rzucić zdrajcę.

Zaklinałem ich, aby tego nie czynili a nie obciążali sumienia krwią braterską, ale się oba z drużyną swą rzucili na mnie nawalem. Jam też miecza dobył i obraniać się musiał. Na mnie jednego ludzi było dwudziestu, obalili więc, z tyłu pochwycawszy, na ziemię, i związanego, skrępowanego rzucili, jako chcieli, do lochu, drzwi zabiwszy, gdzie mnie głodna śmierć, powróż pewnie lub miecz czekał.

Łaską Bożą stara mamka, jak skoro krzyk i wrzawę posłyszała, domyśliwszy się co się stało, ze dworu natychmiast wybiegła, wprost do króla do Krakowa, gdzie właśnie bawił podówczas pan spoczywając po wojnie. — Padła mu do nóg z jękiem wielkim, wszystko wyznawając i ratunku dla mnie, jakby dla własnego błagając dziecięcia.

Jam, o niczym nie wiedząc, na barłogu leżał, nie mając nawet ani chleba ani wody kropli, gdy na wieczór łomot, tentent i wrzawę posłyszałem wielką w podwórcach. Anim wiedział co było, śmierci się spodziewając i do niej gotując, rozmyślając w sobie, iż mnie ona od obcych ominęła, aby mi ją swoi zadali. Tymczasem król, poruszony płaczem niewiasty, natychmiast konia podać kazawszy, przybył na zamek sam, aby sprawiedliwość wymierzyć.

Gdy im o panu znać dano, Nawój i Sędziwój pospieszyli naprzeciw, nic się nie dorozumiewając, z pokłonami, nogi całując a do zamku zapraszając na spoczynek. Przyjąwszy to król, nic im zrazu po sobie poznać nie dając, szedł do izby, gdzie już stół mu zastawiono i gotowano ucztę wielką.

W tém, gdy do mis zasiedli, ozwie się pan nagle, iż mu od cesarskiego dworu znać dano, jakoby trzeci ich brat był żywy, a miał do domu powracać.

— Nie może to być, miłościwy panie, rzekł Sędziwój śmiało — bo wiemy to na pewno, iż zmarł ubity, gdy z cesarzem Henrykiem do Rzymu wchodził, i w ulicach zamieszka była z papieżkim ludem, którego Włoch albo Normand dzidą przebił.

— Musiał się on z onej dzidy uleczyć — odezwał się król, bo na pewno donoszą, iż żyw jest. Jeźliby zaś kłamca jaki na siebie zbroję jego wdział i imię przywłaszczył, słusznaby go ująć i karę, na jaką zasłużył, domierzyć.

Na to bracia zamilkli strwożeni bardzo, nie chcąc przyznać się do tego, że mnie już mieli i do ciemnicy wrzucili.

Król tedy poczekawszy mało i widząc, że milczą, wstał, misę od siebie odsunawszy, kołpak na głowę nałożywszy i miecz pokładając przed sobą, zawołał.

— Jużem ja tu nie gość ale sędzia najwyższy. — Niechaj tu stanie ten, któregoście do ciemnicy wrzucić kazali.

Uklęli się oba straszliwie i zmartwieli, choć chcieli wykłamywać się, nie mogli już. Sędziwój na kolana padł przed królem, miłosierdzia błagając. Król wołał.

— Tu mi go stawić na sąd z wami, jeżeli żyw, niech stanie, jeżeli trup, wy głowy dacie pod miecz katowski.

Gdym posłyszał chrzęst wielki i wołania a bicia we drzwi ciemnicy, które mamka okazała, Bogu duszę polecałem już, myśląc że mi tu zaraz głowę dać przyjdzie a na ścięcie mnie wywloką.

Odbito drzwi, ujrzałem królewskich ludzi, którzy mnie poczestnie pod ręce ująwszy przed króla zaprowadzili.

Temu, gdy pokłon oddałem, rzekł mi.

— Mów jakoś wyszedł, gdzieś i z kim był i jak powrócił, a wywiedź się i okaż, żeś nie jest samozwańcem i oszustem.

Duch tedy wstąpił we mnie i poczęłem opowiadać całe dzieje moje, jakom jechał, com i gdzie poczynął, i jak w końcu od Łotarza saskiego uszedłem do swoich. W tém, precisnąwszy się przez tłok ludzi przystąpiła mamka stara i poprzysięgła jako poznała mnie za dziecko swe, które jęj piersi ssało. Ukazałem też znak na ciele rodzimy, o którym wszyscy wiedzieli, że z nim na świat przyszedł: Król tedy uznał, że praw był.

Co widząc bracia kajali się, mówiąc że przyznają mnie, a jam odparł, iż jako żyw znać ich nie chcę. — Ojcowizny część, jaka mi należy, odbiorę, ale rodu i zawołania z niemi trzymać nie będę i wolę znać się od *starego konia*, który mi służył, niż od ojca co mnie przeklął i braci co się zaparli.

Za czém się nazwałem Zaprzańcem; i dzieci moje nosić będą to imię, aby się pamięć zachowała przynajmniej na wieki.

Dokończywszy opowiadania stary westchnął, czoło potarł, które zmarszczki okryły, a mnich dziwować się począł i użalać, sławiąc Bożą opiekę nad nieszczęśliwym Zaprzańcem.

Młody podróżny odezwał się też, że o historii tej dużo słyszał, a szczęśliwym był, iż na swe oczy oglądał tego, który tyle przecierpiał i doświadczył.

— A żebyście wiedzieli, rzekł w końcu, ktom jest i że się z rodem moim tać nie chcę, powiem wam o sobie, bo mnie tu niezna nikt. — Zwę się Markiem Jaksą z Miechowa, a krwi jednej jestem z księdzem Janikiem, który biskupem jest na wrocławskiej stolicy.

Mnich mu się pokłonił nisko, śnać przypomniawszy, że o duchowieństwie polskim lekko mówił i mało je ważył.

— Ksiądz Janik, ciągnął dalej młody, ledwie o mnie słyszał, drudzy też nie więcej, bo przez ojca oddany byłem na naukę do klasztorów i na dwory niemieckie, a dopiero co do domu wróciłem i mało kogo na oczy widziałem, przy matce siedząc. Dzisiaj zaś tu prawie cudem się znalazłem, bom trzy dni temu na łowy ze psy, niebardzo świadom okolicy, wyjechał, po lasach błędząc ledwom z głodu nie zdechł, a żeby nie ubite koźle i ja i psy możebyśmy w puszczech byli zostali.

To mówiąc Jaksza śmiał się sam z siebie.

— No to — rzekł mnich — teraz się wam najlepsza nadarza zręczność, gdyście już tak Wrocławia blisko, abyście ks. Janika, powinowatego waszego odwiedzili i pana Petrka, który też wam jak biskupowi krewnym być musi, poznali, jeżeli i jego nie znacie.

— Wcale go nie znam, — odparł Jaksza — a no, prawdę rzec i poznawać się go nie spieszę, takie o nim dziwy prawią ludzie.

— Ludzkie języki kłamliwe i niepocziwe są — podchwycił ksiądz żywo. — Toć pan świętobliwy, rozumny, potężny, który z książęty na równi stać może, ale psy na księżyc nawet szczekają.

Stary Żegota dodał.

— Od niego jadę, znam go dobrze, coś też powiedzieć potrafię o nim. Młodemu, gdy do niego przystęp mieć może, zdala się trzymać byłoby złém i szkodliwém, bo przy nim urosnąć można łatwo, a bez niego w tych krajach ciężko co zrobić. Szanuje go i kocha książę Władysław i drudzy panowie książęta, którym przez nieboszczyka Krzywousty wyznaczony został za opiekuna. Można jest, silny jest, rozumny jest.

— Potężny jest, — dodał mnich — a złota ma tyle, ile go żaden z książąt naszych nie ukáže.

— I nieprzyjacioły też ma, — dokończył Zaprzaniec — bo kto mocen, bogaty, silny, wielki, ten ich musi mieć.

Po chwilce głos zniżywszy, mruknął.

— Z nieprzyjaciół jego najstraszniejszą ... jest — niewiasta. — —

Na samo wspomnienie imienia niewieściego, mnich rękę podniósł do góry i głowę przechyliwszy minę uczynił taką, jakoby nie wiedział sam czy miał bronić czy potępić.

Wzdrygnął się w końcu.

— Wspomnieliście — rzekł — owo stworzenie, które Bóg na świat wyprowadził z kości pierwszego człowieka, na zgubę ludzi, na pokusę, na narzędzie dla szatana. Prawda, bez niewiasty nie byłoby świata i nas, ale też przez nią świat i my przepadamy. Niewiedząc czy ją słać, czy przeklinać — zmilczę!

Tymczasem przemilczawszy przez poszanowanie dla duchownego, Zaprzaniec kończył.

— Tak jest, iż ma jednego a najstraszniejszego nieprzyjaciela w niewieście, i nie w innej jako w możnej i przebiegłej pani żonie ks. Władysławowej, Agnieszce, Niemce. Z tych Niemek u nas wszystko złe szło i idzie.

— Przecz że go nienawidzi? — zapytał Jaksza.

— Łacno to dojść — odparł stary. — Gdy król nieboszczyk Krzywousty umierał, radzili mu biskupi, i wymogli na nim, aby państwo swe na równi między synów podzielił.

Jeden tylko Kazimierz został, któremu nie dano nic, Bogu go polecając. Nie sądząc ja pany nasze biskupy, ale bodaj podział ten dla nich bezpieczniejszym był, przeto go chcieli. Z jednym a potężnym panem twardo im szło, a tak każdy książę ma przy sobie biskupa, z którym władzę dzieli i każdy biskup jednego pana pilnuje. Tém łacniej rządy swe duchowne sprawować mogą.

Jaka była wola króla i biskupów, tak się i stało. Kraje się podzieliły. Na Krakowie zwierzchnim siadł ks. Władysław, i wziął Szlązko dodatku. Bracia poszli na dzielnice z posłuszeństwem głowie. Cesarskiej krwi pani Agnieszce nie chciało się być i nie chce księżną, a żąda być królową. Więc dobrego pana a małżonka swego pędzi i zmusza, aby braci powyganiał, zwojował i sam jeden nad wszystkimi dzielnicami panował.

Tęgo i biskupi nie chcą, i pan Petrek pilnuje, aby się to nie stało, ale żeby się spełniała wola nieboszczyka króla. Więc ztąd do Petrka nienawiść wielkiej pani i niemieckiego jej dworu.

— A nic mu nie uczynią — gorąco wtrącił mnich — ma nas wszystkich po sobie ile jest, biskupi z nim, Pan Bóg z nim! Widzieliście przecie albo słyszeli, gdy niedawno dla opactwa naszego do kościoła św. Wincentego relikwii z Magdeburga zażądał, których i książętom odmawiają, bo ich żadnymi skarby opłacić nie można. Jemu arcybiskup świętych nie odmówił kości i widzieliśmy, jak je do kościoła w tryumfie prowadzono, gdyby zdobycz największą. A ktoby tego dokazał, żeby się z nim świętością, co opiekę niebios zapewnia, dzielono? Kto? chyba jeden pan Petrek. Na co patrząc i znając go niech pani Agnieszka w Krakowie pamięta, że jeśli się porwie na człowieka, który świętych Pańskich i duchownych ma za sobą, rychłej ona sama padnie, niż się on zachwieje.

Mówił O. Maur z gorącością wielką, a drudzy milczeli.

— Prawdą jest — potwierdził Zaprzaniec, — że panu Petrkowi nikt tu nie straszny, bo i powagę ma wielką i rozum i bogactwa.

A co nań prawią nieprzyjaciele, że zdradą do mocy tej przyszedł, złością jest, boć co mu w sumieniu ciążyło dawno odpokutował.

— Duchowni wszyscy z nim, nasi opaci i starszyzna — dodał Maur — nietylko w opactwie św. Wincentego, lecz wszędzie gdziekolwiek są. A są po świecie całym i jak ona drabina Jakubowa nieba, my tronu biskupa rzymskiego dotykamy! Wszyscy modlemy się za dobroczyncę, msze zań odprawiamy, a grzech, gdyby go miał, dawno zmyty jest ofiarami ołtarza, zarzucony temi kamieniami, których tyle na kościoły ponawoził, starty złotem, którym je przyozdobił... Rzeczono bowiem, że co my rozwiążemy rozwiązane jest, a co zwiążemy na wieki związane.

Napił się O. Maur miodu, bo się mówiąc zmęczył, otarł pot kroplisty z szerokiego czoła i ciągnął dalej, błyszczącemi oczyma wpatrując się w Jakcę.

— Już i dlatego warto poznać dom pana Petrka, że nigdzie nie zobaczycie ani macierzy takiej powagi, jak księżna żona Petrkowa, ani córki takiej piękności, jak ona Beatryks, którą tu zwą Błogosławą, rajski kwiat! Ani anioły boże piękniejsze nie są, ani czystsze — dodał mnich ręce składając. — Gdy do kościoła wnijdzie, modlić się chce do niej nie do ołtarza!

— Gorąco to mówicie — przerwał Zaprzaniec. — Jam stary i już dla mnie niewiasty uroku takiego nie mają. Napatrzyłem się ich też po ziemiach różnych, szczególnie w Italii i Rzymie, gdzie, póki młode najpiękniejsze są, a po krótkim czasie straszne się stają.

— Tak, że i szatan nad nie ohydniejszym być nie może! — dokończył mnich ze śmiechem.

— Muszę to przyznać — rzekł Zaprzaniec — zem nad córkę Petrkową Błogosławę, nigdzie ani piękniejszej ani podobnej nawet nie widział.

Piękna jest inną pięknnością, której południowe kraje nie znają, tamtych niewiasty z płomienia zdają się ulepione, te z powietrza i mgły czystej.

— Jédźże młodzieńcze — zawołał mnich rubasznie — jedź, abyś choć raz w życiu to oblicze mógł oglądać. Szczęście to jest popatrzeć na nią.

— Jedź — potwierdził Zaprzaniec — dwór tam gościnny, a powinowatego przyjmą serdecznie. Cóż gdy cię biskup wprowadzi? Wszak żony nie masz??

Rozśmiał się Jaksa swobodnie.

— Ani myślę tak rychło gniazda ślać — odpowiedział — wojuję, lubię wędrówki, a niewiasta do domu zawczasu przykuwa. Jechać zaś teraz — dodał — na dwór p. Petrka, nie przystało mi bom oto sam, jak palec, z dwojgiem psów tylko, bez odzieży, bez łańcucha, bez dworu, a tak mi się stawić, dla pamięci ojca nie godzi.

Gdy zamilkli na chwilę, O. Maur przeciągnął się i ziewnął szeroko.

— Hę! hę! noc bo już jest, a nocą się włóczyć nie dobra rzecz, legnę tu chyba spać. Gorzej jak w mojej celi nie będzie, bo tam nasz opat na gołych deskach spać każe i nocą mu się na dzwonek co godziny do chóru zrywać potrzeba.

— Ha! na toście się święcili! — odparł Zaprzaniec.

— Ja? ja? — zawołał O. Maur ruszając ramionami. — Ani mi to było w głowie! Rodzice mnie w leciech dwunastu oddali Benedyktynom, musiałem iść, bo oni tak słubowali nimem się urodził, że mnie panu Bogu na ręce synów ojca Benedykta oddadzą!

Ochoty do kaptura anim miał, anim nabrał. Na koniu bym wolał hasać i wesołą żonkę mieć, niż to życie nędzne prowadzić!

— Nędzy przecie i biedy na was nie widać! — rzekł Zaprzaniec.

— Boć sobie rady dać umiemy — rozśmiał się O. Maur. — O ha! Rozległe mamy włości, zajrzeć tu i ówdzie potrzeba, to się jeździ, a w drodze zapomina się i klauzury i różnych srogich reguł zakonu. Pan Bóg łaskaw przebaczy!

I ogromną pięścią w piersi się buchnął.

Nie musiał się tak bardzo mowie mnicha zdziwić Zaprzaniec, bo widział i wiedział, co się po całym świecie w klasztorach benedyktyńskich działo, że je papież i biskupi oczyszczać wciąż i naprawiać musieli, a do dawniej ich reguły doprowadzić nie mogli, więc tam u nich pono o łowach, napoju, jadłach i wesołych godzinach, niż o chórze i godzinkach myślano. Ojciec Maur właśnie do tych należał, co jarzmo potrząsając i lekceważąc śluby, pracowali na to, aby ich z wrocławskiego opactwa wygnano, co też się wkrótce dokonało.

Po tej rozmowie szli wszyscy spać na siano do szopy.

Noc była chłodna, gwiazdzista i cicha. Jaks sam dłużej pozostał na podwórku z psami swymi myśląc bodaj o dworze pana Petrka i o pięknej Błogosławie, którą mu tak zachwalono, że się w nim młodzieńcza rozbudziła ciekawość. Sam był i bez wszelkiego do odwiedzin przygotowania, ale czemu by też, myślał sobie, nie miał zdala najrzeć na to cudo, nie dając się poznać? nikomu się nie opowiadając kto był?

Nęciła go bliskość miasta, odstręczało to, że do zmyślenia cudzej postaci nie miał ochoty ni zdolności. Tak podumawszy sam, niewiedząc co jutro pocznie, po jakimś czasie rzucił się też na posłanie nieopodal od konia swego, a psy wierne do nóg jego przyległy. I cisza nastała w gospodzie, lesie, na świecie, tylko puhacz gdzieś zdala coś wróżył odzywając się posepnie.

### III

Ranek jesienny trochę mglisty obiecywał piękną pogodę, biała rosa perlista okrywała trawy i drzewa, z za mgły wychylało się słońce jakby snem nocnym rozmarzone jeszcze, jak na wół przebudzone. Niekiedy okiem jaśniejszym spojrzało na świat i osłaniało się wół przezrystymi obłoczkami, zdając wstawać leniwo. Na gościńcu do Wrocławia prowadzącym, już się poruszało od świtu życiem dwojakim miasta i wsi, kupieckim i gospodarskim, wędrownym i domowym.

Już też i w izbie Mikuła ludno było, w ognisku ogień płonął, a że dym z niego nie rażno odchodził dymnikiem, po izbie się powłóczył i oczy wygryzał. Jedni pili u stołu, drudzy zziębłe ręce u ognia zagrzewali, spoglądając na siebie, bo byli ludzie wszelacy, tutejsi i obcy. Większa ich część noc spędziła na łakach i chłód ich na legowisku objął jesienny. Znać to było z zarumienionych twarzy, z żywych ruchów, którymi rozgrzewać się chcieli. Z noclegujących pod szopą, pierwszy co się ze snu po cichu zerwał i wozowi kazał gotować do drogi, był tłusty mnich, który po wczorajszej zbytniej wesołości swój, ponuro teraz i kwaśno wyglądał. Lękał się może Opata, dla spóźnionego powrotu. Nie żegnając więc nawet swych towarzyszków, starego Zaprzańca i młodego Jaksy, na wóz się wdrapał i ku miastu poganiać kazał, w drodze głośno odmawiając pacierze zaległe, bo choć się zdał nie bardzo pobożnym i język mu czasem świerzbiał, bezbożnikiem nie był, po swojemu pana Boga chwając i przed nim się korząc.

Zaprzaniec za nim ruszył się drugi, a wprędce potem zerwał się Jaks, który sen miał niespokojny, sam nie wiedząc jeszcze co z sobą uczyni. I Wrocławia mu się chciało i od domu a matki się odbiwszy, radby był dla niej co rychłej powrócić.

Stary go przywitawszy, głośno modlitwy rozpoczął, a tuż i pacholek jego przybył, co mu do lepszego odziewania się pomagał.

Tymczasem Jaks przed gospodę wyszedłszy, poglądał na gościniec, tam i sam, ważąc jeszcze co lepiej, nawracać do domu, czy zajeżdżać do miasta?

Jeszcze tak dumał, gdy stary Żegota już sobie napojonego konia podawać kazał, a mając go dosiadać zawrócił się ku młodemu.

— Zdrowi bywajcie — rzekł, a trafi się wam podle Krakowa droga, to mnie też pustelnika na skale mej nawiedźcie, rad ludzi widzieć u siebie.

Dziękował Jaks.

— A wam kędy droga? zapytał Zaprzaniec.

— Sam ci jej nie wiem jeszcze — rzekł Jaksa, ważę się, na lowym się tylko wybrał, a podróż musiałem zrobić.

Stary zważywszy może iż się nie chciał z tem wydać co pocznie, nie pytał już więcej, na konia siadł, ręką pozdrowił i ruszył; a, choć siedem dziesiątków lat miał na sobie, mnogie boje i blizny, jechał jeszcze tak krzepko, rażno, jakby zawsze młodym był. Patrzył za nim Jaksa długo, aż mu zawróciwszy na leśnej drodze, z oczu zniknął.

Słońce wybijało się z za obłoków, czas i jemu było ruszać, konia też chłopcu kazał podawać, na psy, które pokarmiono, świsnął i dał koniowi rozstrzygać o tém (przeżegnawszy się) gdzie ma jechać dalej.

Zdało mu się to bezpieczniejszém niż rozum własny, który uczył dobrze czego nie trzeba było robić, ale co robić, nie wiedział.

Koń prychnawszy, dla tego może iż w tę stronę więcej wozów i ludzi ciągnęło — zawrócił ku Wrocławowi.

Jaksa prawie rad był, ale w duchu sobie powiedział, że w mieście ino popasie, rozpatrzy się maluczko i do domu nawróci.

— Gdyby jakim szczęściem dało się zobaczyć ową Błogosławę, mówił jadąc — dobrać by to było, ale gdzież i jak się to trafić może?

Tego się cale nie spodziewał, po młodemu tylko o dziewczęciu marząc. — Ludzka rzecz.

Miał też powód szukać sobie i napatrywać żony, choć jej niby nie chciał i wypierał się wczoraj. — Miał Marek Jaksa jedną tylko panią macierz starą, która jedynaka swego miłowała jak oko w głowie, a ciągle modliła i prosiła go ażeby się, jeżeli nie dla siebie, to dla niej żenił. —

— Dla mnie starej, mówiła mu, pociecha by była z synowej i wnucząt, choć do kogo zagadać, choć się z kim popieścić. Ty zawsze kędyś w drodze, ja sama, a uchowaj Boże nieszczęścia na ciebie, mnie też nie żyć, bo niemam dla kogo.

Dla téj miłej macierzy radby się był ożenił już Jaksa, pewnie więcej niż dla siebie, bo trudny jakoś był i największa piękność mu nie smakowała, gdy obyczaj miała prosty. Czegoś pragnął więcej niż umiał powiedzieć — wysoko patrzył. Więc owa Petrkowa córka, zachwalona tak, w głowie mu utkwiała. Choć tam może starali się możniejsi a dumny Petrek za zięcia książątko by chciał mieć, i panu Jaksie nie było co zarzucić ani z rodu ani z mienia. Ich też pono dawniej kneziami zwano, a z owych czasów włości a ziemi zostało im podostatkiem. Tak myśląc jechał powoli Jaksa, a psy, po zaroślach się zwijając, wietrzyły, bo rosa im pomagała. Szlak ludny był, wozy na targ nim sunęły, ludzie szli, bydło gnano. Już też zdala i gród poczynało być widać, i wieżę nad nim krągłą, gdy od strony miasta ukazał się orszak pański. Zdala trudno go było dobrze rozeznąć, pył się za nim i przed nim niósł i tumanami go zakrywał. Dopiero nieco się przybliżywszy dojrzał Jaksa przodem jadącego, męża poważnego w sukniach długich ciemnych, z brodą siwiejącą postrzyżoną, bez broni żadnej u pasa ni u kolana, za którym dwu czeladzi przystojnie odzianej wiozło łuki, kołczany i oszczepy. Siedział na koniu dzielnym, kapą okrytym, a nikt się z nim na równi nie ważył stać i z tyłu reszta kroczyła, konie hamując niecierpliwie. Oczyma mąż ten rzucił do koła, jakby się tu panem czuł, w kraju na który patrzył. — Przyglądając mu się lepiej Jaksa, na sukni dostrzegł u piersi krzyż złocisty na łańcuchu, i po nim, więcej się domyślił niż poznał powinowatego, którego od dziecka nie widział, Biskupa Janika Gryfa z Brzeźnicy, który choć duchowny, łowy, konie i zabawy rycerskie nad miarę lubił. Pomawiano go nawet o to, że więcej był rycerzem niż pasterzem, o co on mało dbał, bo swój obowiązek pełnił pilnie. Duchownych diecezji swój po żołniersku trzymał, a gdy wizyty kościelne odbywał, zwykł był nie inaczej się w drogę wybierać jak z końmi, psy i ptaki, aby czasu nie tracić, kapelan za nim jadący, modlitwy głośno czytywał. Biskup je po cichu powtarzał, ze psów nie spuszczać oczu. Taką już słabość miał, za którą pana Boga przepraszał, zwyciężyć jej nie mogąc. Psy biskupie gromadą wielką, po polach się właśnie rozbiegły, a że Jaksowe też tam były, padły na się sobaki warcząc i do gryzienia się zabierając. Zwróciło to uwagę ks. Janika, a gdy postrzegł że obce psy duże i piękne były, nie domowego porodu, i ich i pana szukać zaczął oczyma po gościńcu. Tymczasem psiarze z batami rozganiali warczących.

Jaksa, który się bokiem gościńca brał, mimo to natknął się na orszak biskupi. Spojrzał nań ks. Janik wcale nie poznając.

— Wasze to psy? zagadnął jadącego, który go niskim uczcił pokłonem.

— Moje!

— Cóż to tak z niemi po cudzych polach hasacie? zapytał biskup.

— Nie zajechałem tu po dobrej woli, odezwał się Jaksa, i nie na łowy, alem się srodze obłąkał.

Stanął Biskup i na psy, które przybiegły, chciwie patrzył.

— Zkąd te psy macie? zagadnął, u kogo służycie?

— Nie służę nikomu, rzekł Jaksa, którego suknie powszednie za pospolitego człowieka podawały. Psy z sobą z Niemiec aż z nad Renu wywiózłem.

Biskup więcej na psy patrzył niż na człowieka.

— Dobre są? zapytał.

Chciał go już wymijać Jaksa, gdy się ku niemu zawrócił — i krzyknął.

— Sam tu! do mnie! kto wy jesteście? Psy bym wasze do mojej psiarni rad mieć.

Ciężko się już było Jaksie panu stryjecznemu wykłamywać, zdjął więc czapkę i zbliżył się.

— Daruj mi, miłość wasza, że w tej sukni przed nim stoję, alem się zbłąkał, a nie śmiałem przed nim się tak stawić, wypadkiem się tu znalazłszy.

— Jestem Marek Jaksa z Miechowa. Biskup cugle puściwszy ręce podniósł.

— A niepoczciwy! zawołał — i mijaleś mnie tak, nie dawszy się znać?? Pogroził mu.

— A toż godziwo, ciągnął dalej, że do domu powróciwszy, dotąd do mnie po błogosławieństwo nie szedłeś? A któż ci dziś bliższy nademnie?

Jaksa z konia zlazłszy, stał przed nim jak winowajca.

— Nie wińcie mnie, rzekł Biskupa w rękę całując. Macierz tęskliwa trzymała mnie z dnia na dzień, nie odpuszczając od siebie. Dni temu cztery, nieszczęście chciało, nieopatrznie się wybrałem na łowy i takem brzydkiem się w puszczech obłąkał, że w nich o mało z głodu nie zmarł. Wczoraj pod noc dopiero znużony dobiłem się do tego gościńca.

Biskup Janik głową potrząsał jakby nie dowierzał, wciąż pono więcej na psy patrząc niż na bratanek. A te się też przy swym panu ochoczo i wesoło zwiły.

— Hej, psy, prawdziwe molossy! szeptał cicho i podniósłszy głowę zawołał.

— Dokądże teraz?

— Będąc już pod miastem zachciałem je choć zobaczyć, albo co dla drogi kupić, aby znów głodem się nie morzyć. Do Waszjej miłości w tej odzieży jechać nie śmiałem.

Biskup nań uśmiechając się patrzył i głowę kręcił.

— Jedźże dalej, rzekł, jedź z Bogiem, ale mi ty tak nie ujdiesz. Zawrócił się ku swoim i skinął na starego czelaka, który podbiegł na koniu.

— Słuchaj Drygas — oto ci wziętego jeńca na ręce daję, żebyś mi go strzegł i zbiedz mu nie dał. Krok w krok za nim, ugość go u mnie we dworze, bo to bratanek mój, krew moja! Słyszysz? Ja też niezabawem powrócę, ino się ze psy przejadę trochę — żebyś tam na mnie czekał!

I pogroził łagodnie Jaksie, który Biskupa w rękę pocałowawszy z drogi mu z koniem ustąpił i przypatrzawszy się nieco przeciągającemu orszakowi, zabierał się ruszyć do miasta.

Stał przy nim już, ówznaczony mu do dozoru Drygas, stary czelak z postrzyżoną głową, dobrodusznego wyrazu twarzy, znać myśliwy, jak niemal wszyscy biskupa domownicy, bo się tęskno za psami oglądał.

Uśmiechnął mu się Jaksa.

— Nie w smak ci stary, rzekł, ze mną nawracać do domu, alem ja nie winien temu, tylko pan wasz. Jedźmyż!

Jechali tedy, w trop za nim Drygas coraz się oglądając, aż i miasto się wyraźniej z za wałów sypanych, ostrokołów i tynów ukazywać już zaczynało. Gdzieniedzie ponad te wały wyglądała wieżycy gruba, niekształtna z oknami ciasnymi i małymi. Za wałami gromadą stały domostwa drewniane, z dachy słomianymi i dranicowymi. Po nad chaty i dwory gród się tylko nieco podnosił, a w drugiej stronie, u góry Sobótki, domyślał się już sam Jaksa, w znacznych zabudowaniach, dworca pana Petrka i przy nim Opactwa, bo po nad nim krzyż na dzwoniczce widać było i kawał muru tam szarzał, czerwienił się i bielił. We wrotach miejskich ścisk był wielki dla dnia targowego, gdzie właśnie myto

brano, ludziom z wozów chwytając to drzewo, to inną kupią zamiast pieniędzy. Z tego rósł tu swar i wrzawa. Miejscy stróże z oszczepami u bram dokazywali, opierających się obuchami tłukąc. Ci służyć Biskupiego poznawszy, obu podróżnych przepuścili z pokłonem.

Właśnie gdy mimo Sobótki przeciągać mieli, dzwonek się nad kościółkiem począł odzywać. Zwrócił się Jaksza do sługi.

— Radbym mszy posłuchał, rzekł, weźcie na sznur psy moje, bo gotowe za mną i tam, a co po psie w kościele? Nie zabawię długo, a na biskupi dwór i sam trafię...

Drygas głową jakoś pokręcił.

— Pozwoli mi, miłość wasza, abym rozkaz mojego pana spełnił jak należy. Postoję ze psy u proga. Właśnie do parkanu opasującego cmentarz i kościół podjeżdżali, tu Drygas psy na sznur wziął, a Jaksza przez wrotka do bocznych drzwi kościelnych iść zaczął.

Naprzeciw tych wrót cmentarza któremi wszedł, była w kawałku muru furta stojąca, wiodąca w stronę dworca pana Petrka, pokryta kamieniem i zakończona daszkiem. W chwili gdy Jaksza jednemi wroty wchodził, otworzyły się i drugie, a przez nie wyszły dwie niewiasty i za nimi poduszki niosąca służebna. Strzymał się tedy Jaksza i ukryć chciał dopóki by nie przeszły, bo do tychże drzwi kościelnych zmierzały — ale skryć się nie było gdzie, tylko że do muru przyległ patrząc ciekawie.

Z dwu niewiast pierwsza poważna, niezbyt już młoda, szła tak jakby po swej ziemi, pańsko, dumnie, wolno, ledwie że na świat spoglądając, myślami pewnie będąc gdzie-indziej, bo i tam gdzie patrzała nic się widzieć nie zdawała. Piękna jęj twarz, choć na nięj lata kilka już marszczek zarysowały, jaśniała jeszcze ową niezgasłą pięknnością córek północy, które się tak zdają przychodzić na świat z marmuru kute, aby ich czas nie spżył. Wypełniło się tylko jęj oblicze, i stało z pięknego majestatycznem a resztką młodości jeszcze w niem przegłądała. Na głowie, na włosach jasnych, które mało co widoczne były, miała złotogłowy czepiec, na nim zasłonę białą. Na sukni ciemnej, obcisłej, długiej, bramowanej, płaszcz lekki podbity szkarlatem, narzucony był na ramiona. Obie ręce białe, złożone na piersiach, osłaniały wywinięte rękawki. Na szyi łańcuch się okręcał, u pasa torebka wisiała pozłocista. Suknie się tak jakoś na nięj składały posłusznie do jęj postaci i ruchu, że wszystko poważnem było, jak twarz, czoło i wejrzenie zadumane. Idące za nią dziewczę młodzieuchne, z rysów oblicza poznać łatwo było jako jęj dziecię. Też same jasne twarzyczkę okalały włosy, w splecionych kosach długo spadając na ramiona, ze wstęgami i łańcuszkami, które się w nie wplatały. I twarz do matki miała podobną, białą jak śnieg z modremi oczyma, tylko od nięj piękniejszą daleko, nie samą młodością ledwie rozkwitającą, ale czystością rysów życiem, smutkiem, łzami niepokalanych. — Było to szczęśliwe dziecię macierzyńskich pieszczot, nie oderwane jeszcze od matczynego łona, nie żyjące sobie, ale w matce i dla nięj. Ubiór miała jaśniejszy i lżejszy, a kolce, łańcuch, pierścienie i ozdoby, zdały się jakby umyślnie dla nięj zrobione z pajęczyn złotych, ze srebrnych nici. Coś dziecinnie wesołego patrzyło z oczu jęj spokojnych, a gdy matka zdawała się nie widzieć nic, bo już wszystko przepatrzyła na świecie, ona się ciekawie przyglądała najmniejszęj rzeczy.

Jednego ptaszka, muszki, listka drżącego na gałęzi nie minęła nie uśmiechnąwszy mu się jak dobremu znajomemu i przyjacielowi. Zwracała ku nim główkę powoli, zdając się chcieć zgadywać te sztuczne kształty, w które koło nięj przyodzięwało się życie. Tak samo jak na przelatujące wróble, poczęła patrzeć na stojącego u wrót Jakse, po dziecinnemu, ciekawie, śmiało. Lecz, gdy się z jego oczyma spotkała, twarzyczka się jęj zarumieniła, zmarszczyła brew i odwróciła wejrzenie. Jaksza niepozornie wyglądał a nadto patrzył śmiało, pogniewało ją to może. Prosty był człek a tak zuchwały! Spojrzała raz drugi ukradkiem, patrzył jeszcze i odwróciła się znowu. — Wtém matka weszła w ciemne drzwi kościelne i znikły w nich obie.

Jaksza stał jeszcze chwilę, jakby nie śmiał się ruszyć, nie chciał spotkać, dał im wnijsć i służebnej, która go też oczyma mierzyła szczerze pogardliwemi; potem i on zwolna posunął się ku kościółkowi.

Właśnie do bocznej kaplicy, przed Chrystusów krzyż wychodziła msza święta. Z zakrystyi poważnym krokiem sunął mężczyzna urodziwy, postawy wspaniałej, w sukniach uroczystrych od złota i jedwabiu lśniących. U ołtarza klęczały już matka z córką na podrzyconych im poduszkach. Jaksza z boku stanął i pobożnie począł się modlić.

Nie wielki ale wspaniały był ów benedyktyński kościółek, znać w nim było rękę pobożnego fundatora, a gdzie sztuce ówczesnej brakło mistrzostwa, zastępowało je złoto. Lśniło się niém wszędzie. Na złotych tłach stały malowane obrazy, w złoto poprzyodziwane były ołtarze, złotem dzierzgane suknie. Ledwie że go na podłogę nie rzucono, a na stropie gwiazdami jaśniało i pręgami się świeciło.

Z kamienia też ciosane posągi, na owe czasy osobliwa rzecz, — obficie kościół zaludniały, a choć chude i sztywne, coś już w sobie życia i coś myśli zawierały. Modliły się wszystkie lub bolały — a boleść jest też modlitwą.

Język sztuki zaprawdę cudownym jest i sił jakichś nadziejskich pełnym. Dla młodych ludów starczy ledwie skazówka jego, aby z niej żywa ich wyobraźnia wysnuła obraz żywota. To też, to co dziś u nas wstręt by i politowanie obudzało — unosiło duszę i myśl w inny świat dźwigało. Rośnie kunszt z ludźmi razem jak ich mowa, z potrzebami i duchem rozpościerającym się coraz szerzej. To co do zepsutych ludzi się wdzięczy i pięknnością ich zdumiewa, dla wpółdzikich, surowych mdłem by było i niezrozumiałém.

Ztąd ta krasa barw w pierwszych wiekach, ztąd kolorów wrzawa i posągów lub jakaś martwota sztuczna swą siłą niepożyta, albo dzikie a dobitne ruchy. Jaksa patrzył na świętych z kamienia, ale więcej jeszcze na posąg ten żywy, na to dziewczę którego zdaleka kibić tylko zręczną, z pod długiej mógł dojrzeć zasłony, giętką jak trzcina którą wiatr ugina.

Nią tak ugiwała modlitwa.

Ani czuł ani wiedział Jaksa, gdy się skończyło nabożeństwo i ksiądz dawszy do pocałowania pacyfikał niewiastom, tym samym krokiem poważnym, z twarzą rozpromienioną z jaką szedł do ołtarza, powrócił do zakrystyi.

Młodzieniec stał zadumany u drzwi, gdy poczuł że go ktoś zlekka za suknię pociąga i odwróciwszy się ujrzał O. Maura, który z chóru go zobaczywszy, przybył powitać. Właśnie niewiasty wstały były i mimo nich przechodziły, więc Jaksa wpatrzony w nie ciekawie, ledwie wesołego mnicha mógł pozdrowić. Prześliznęły się przed nimi jak cienie. Starsza skinęła głową Ojcu Maurowi, który ręce na piersiach złożywszy, pokorny pokłon jój oddał.

— A cóż? odezwał się cicho gdy wyszły, nie mówiłemże wam, iż do téj cudnej Betryksy modlić by się można??

— Któż ona jest! zapytał roztargniony Jaksa.

— A któżby to mógł być, jeśli nie Pani Petrkowa z córką? — z tą gwiazdą jakiej równa nie świeci żadnej ziemi, z tą perłą godną cesarskiej korony?

Jaksa zmilczał, O. Maur ciągle się uśmiechał.

Widzę żeście od widoku jój ostupieli — dodał — ani dziw! gdy we mnie starym kłocu dusza się na widok jój śmieje, cóż dopiero w młodym, w którym soki żywe płyną? Nie jestli to niewiasta najpiękniejsza w świecie? Najprzewielebniejszy Opat nasz ojciec Anzelmus, którego mszy słuchaliście, jest téj pani duchownym doradcą, a córki nauczycielem. Szczęśliwy człek gości tam we dworze codziennie, bo i p. Petrkowi za to jest miły że mu niewiasty zabawia. Wonią téj lilii zaledwo rozkwitającej i téj róży w pełnym kwiecie napawa się nasz najprzewielebniejszy do syta! Najmilszeć to jego owieczki, które i na chwałę Bożą strzycz się dają, bo jójmość hojną jest na domy nasze!

O. Maur rozgadywał się tak żywo, gdy Jaksa wcale do rozmowy nie zdawał się okazywać ochoty. Pożegnać już miał księdza, gdy ten przeprowadził go za drzwi kościelne.

— Widzę że was do miasta wzięła pokusa, rzekł, jam to przewidywał!

— Nie po dobrej woli tu przybyłem — odparł z uśmiechem młody, w polu spotkałem ks. Biskupa Janika, i nie mogłem go wyminąć bez poklonu. Poznał mnie i przykazał jechać na swój dwór, bo sam wyruszył nieco na łowy. — Ot, jakem się tu znalazł...

— A! a! rzekł O. Maur z przekąsem i głową trzęsąc — pewnie gdybym ja był biskupem, wołałbym też konno w pole ruszyć, niż w celi siedzieć zamkniętym! Ma rozum ks. Pasterz, wybiera co lepsze! Nasze życie utrapione! westchnął — a Opat coście go przy mszy widzieli, zda się zdała człek miły i gładki, tymczasem zblizka żelazny, kamienny dla nas. Przypóźniłem mu się wczoraj do klauzury, dziś mi drewnka do kuchni nosić kazano.

Skrzywił się i strząsnął gadatliwy mnich.

— Szczęściem O. Anzelm pójdzie zaraz sam do pani Petrkowej, bo to jego codzienna peregrynacja — a za mnie drwa braciszek przyniesie! Rozśmiał się, Jaksa śpieszył go

pożegnać, bo już stali u wrót cmentarza, za które O. Maur spojrzął z tęsknicą za swobodą i wolnym krokiem do opactwa pociągnął.

Jaksa z towarzyszem ruszył do dworu biskupiego.

Ludzie naówczas mniej potrzeb i wymagań mieli, lecz zwierzchnicy stojący u góry musieli dla wrażenia posłuszeństwa, dla powagi otaczać się blaskiem i przepychem. A że Biskup stał na równi z książętą, jeśli często nie wyżej nad nich, musiał im nie ustępować zewnętrzną okazałością. Dwór też biskupi, jak panującego liczny był, wielki i wspaniale się przedstawiał. Znaczne z dóbr nadanych, sądów i kościołów dochody pozwalały Prałatom życie prowadzić wystawne. Trzymał z nich każdy żołnierzy swych, pachołków, dowódcę straży, miał Marszałka, kanclerza, kapelana, świeckie rycerskie i duchowne sługi a urzędniki.

W początkach zwłaszcza, gdy władza metropolitalna ustaloną nie była, a każdy biskup u siebie gospodarzył, wprost się znosząc i zależąc tylko od Rzymu, pasterze niezawisli, każdy po swęj myśli, wedle swych usposobień, po dyecezyach się rządźili. Całe duchowieństwo swe mieli na rozkazy, sąd własny, więzienia, na nieposłusznym kary, a kogo obrzucili interdyktem lub klątwą, ten i po śmierci w grobie, jak Cesarz Henryk IV, nie miał spoczynku.

Ówczesny dworzec biskupi we Wrocławiu nie ustępował książęcym tak był rozległy i ludny. — Roilo się tu ludem różnym, a że duchowieństwo przeważnie z cudzoziemców się składało, nawet u ks. Janika było ich pełno.

Polak naówczas na stolicę biskupią nie łatwo się mógł dostać, a jeśli na nią wszedł, musiał, jak ks. Janik dzielić na wpół władzę z dodanym mu Archidyakonem, który obcym był. Włosi, Francuzi i Niemcy zapelniali klasztory, do których Polakom także przystęp był trudny. W wielu miejscach, jednego tylko trzymano tłumacza z konieczności, resztę mnichów z zagranicznych ściągając klasztorów. Niektóre przy zakładaniu wpisany miały warunek, że samych Niemców mieścić w sobie były powinny.

Okolo ks. Janika dwór był dwoisty, polski i obcy; ostatni, jak wszędzie, władzy sobie i znaczenia więcej przywłaszczał niż mu należało. Zaledwie w podwórzu pełne księży ze wsi przybyłych, żołnierzy i ludu wjechali, gdy już ks. Robert archidyakon, który tu biskupa zastępował, a właśnie strojny w komżę i biret przechodził, po drodze ręce do pocałowania nastawiając i odbierając pokłony — zobaczywszy Jakse, który mu czci tak pokornej nie oddał, ku niemu się rzeżko zwrócił pytając, kto by był i czego tu żadał!

Nim on się zebrał na odpowiedź, przyskoczył Drygas z tłumaczeniem i ks. Archidyakon pozdrowiwszy uśmiechem przybyłego, pociągnął dalej.

Stary sługa biskupi postarał się zaraz o to, aby Markowi izbę wyznaczono i aby głodnym nie był. A że zwyczaj naówczas nie znano noszenia jadła po domu, musiał Jaks znijsć do wielkiej izby na dole, która była rodzajem gospody i refektarza dla gości.

Wszystkich ich ks. Janik przyjmował po prostu, ale nikt ztąd, jak ze dworu książęcego głodnym nie odszedł.

W godzinie tej właśnie ogromna izba, na słupach oparta, którą trzy stoły przedzielały, otoczone ławami, pełna była ludu najrozmaitszego. Czeladź roznosiła misy, a stoły obsiadali pielgrzymi rozprawiając z sobą. Była ich dnia tego liczba znaczna. U stołu jednego karmili się żebracy i lud ubogi, u drugiego proboszcze i wikaryusze z dyecezyi, u trzeciego rycerstwo i ziemianie. Każdy z jakąś sprawą przybywał.

Księża prawie wszyscy zaskarżeni albo skarżący wyglądali ubogo, ledwie w nich duchownych poznać było można, tak suknie nosili różne. Znaczniejsza ich część konno przybywszy, ostrogi u butów miała, i noże ukryte pod suknią zwierzchnią, które w przypadku napaści i do obrony służyć mogły... Duchowieństwo ówczesne w całej Europie, jak i u nas, nie było jeszcze tak ścisłemi związane ślubami, wielu z nich przybywali w sprawie rodzin swych, bo dotąd żonatych było wielu, a niektórzy zaskarżeni o bigamję, musieli się oczyszczać, albo za synami swemi prosić, aby ich od ołtarzy nie usuwano. Biskupi ściślej coraz zaczynali wglądać w życie prywatne świeckich duchownych.

Niemaló też z rycerstwa pozwanych było przed sądy duchowne, o różne przestępstwa główne. Każdy swoje opowiadał, narzekał i uniewinniać się starał. —

Nie wesoło tu było a nad miarę gwarno, bo się sobie obżalowani wzajem zwierzali. — Jaks wszedł na tę wrzawę, szukając sobie miejsca, a znajomej twarzy nie znajdując,

w rogu stołu skromnie zasiadł na uboczu. Ziemianie go, jako niepozornie ubranego, poczęli mierzyć oczyma, że się ku nim zbliżył, i zdawali wejrzeniami chcieć odegnać, gdy nie młody człeczyna pomiędzy niemi siedzący, ciekawie mu się jął przypatrywać.

Była to postać, nawet w tym tłumie pełnym osobliwszych ludzi, uderzająca dziwotą. Niewiadomo było na pierwszy rzut oka, czy więcej go na szerokość czy na wysokość urosło, tak mały był a otyły. Twarz też miał ogromną, z oczyma małąkami, wargi wielkie, usta szerokie, brodę rzadką, a głowę niemal łysą. Opięto odziany zdawał się ledwo w sukni mieścić.

Spojrzał nań Jaksa i jakby się go domyślił czy poznał, patrząc nań, uśmiechu na ustach powstrzymać nie mógł. Gdy się tak mierzyli oczyma, ów rozrosły wszérz człek ręce rozstawił, za stół chwycił, podniósł się. Nie wiele go przez to przybyło. Drgnęła deska na której oparł ręce, zadźwięczały stojące na niej dzbany i kubki. Wnet dobywając się z miejsca swojego pośpieszył zdyszany do Jaksy, który na powitanie go powstał.

— Albo ty być musisz Jaksa z Miechowa, lub jam ślepy i głupi! zawołał okragły człek.

— Jam ci jest — ściskając go odezwał się wesoło młody — a stryj co tu poczynasz?

— Nic nie wiesz, rzekł odciągając na bok ku ławie stary. — Prawda żeś wędrował! Com miał czynić? Na konia już nie siędę dla brzucha, ledwie grzeszne to dźwigam ciało. Synom oddałem mienie, aby oni z niego księciu służyli, a sam bratu przybyłem marszałkować, jeść, pić i modlić się. — Z wielkiego żupana ot na com zszedł na starość, siedzę na łasce. Brzuch mnie zgubił. Rósł, rósł niepomierne, naprózno go ściągałem, próznom smarował czém radzono, i ot — co się ze mną zrobiło!

Spuścił smutne wejrzenie na swój pas, który na ostatnią dziurkę spięty, zdawał się chcieć pęknąć...

Jaksa mu do ucha powiedział swą przysgodę i przybycie.

Stary Żuła głową potrząsał słuchając.

— Dobrze że się mu pokłonisz — szepnął, pan jest mocny, ale swoim on nic nie pomoże, bo go obcy objadają.

— Ja też nic od niego nie pożądam — rzekł Jaksa.

— Tu ks. Robert archidyakon tyle waży albo i więcej co nasz Janik, mówił Żuła. Daje mu się bawić ze psy i po polach jeździć, a sam wszystko w ręce zagarnia. My tu u siebie w domu, gdyby goście, Biskupi, mnichy, Niemce, Włochy; książęta, ich żony, jakby nie swoi, wkrótce może Wojewodowie i Starostowie cudzy będą — a no — szal chodź jeść, potem o tém. Misa paruje a wnet rozerwą z nię i nam kości zostaną. —

To mówiąc i ciągnąc za rękę bratanka, Żuła posunął się do stołu i zajął przy nim miejsce, starając się ugościć krewniaka, na którego wszystkie oczy były zwrócone. W sukni czarnej kleryk około gościnnych stołów gospodarzył, utrzymując przy nich porządek.

#### IV

Jaksa, który na krótki czas z domu dla łowów był wyruszył, pochwycony przez ks. Janika, który puszczać go od siebie nie chciał, siedział już dni kilka na biskupim dworze.

Pierwszego dnia zaraz konnego sługę wysłał Biskup do pani matki z oznajmieniem, iż się synowi nic nie stało, że go stryj u siebie ugascza, bo mu z serca jest rad. Przez posła tego Jaksa nakazał do domu aby ludzie jego, dwór i odzież przybyła, nie chcąc tu jak jakiś przybłęda wyglądać. Nim mu przywieziono co było potrzeba, prawie zamknięty w izbie siedział, bo i sam Biskup w odzieży, która jego stanowi nie przystała, ludziom go nie chciał okazywać. — Zabawiali się tak przy zamkniętych drzwiach sami z Żułą i Biskupem o łowach, psach i ptakach rozprawiając. Jaksa, który w obcych krajach wiele słyszał, widział i nauczył się rycerskich a łowieckich spraw, miał o czém obu stryjom rozpowiadać.

Biskup tak samo jak psy łowieckie, sokoły lubił i hodował, a najmilszém mu było gdy je oglądał i pieścił. Cała jedna izba ogromna pełna była białozorów, jastrzębi, orłów, i różnego ptactwa noszonego, aż do małych, a żwawych kobuzów. Nad niemi opiekę szczególną miał Żuła, bo dopóki nie był się tak roztył ogromnie, i on rad z ptaki jeździł. Owo zamiłowanie biskupa dziwném się nikomu naówczas nie wydawało, bo nie było między ziemiany i możniejszemi człowieka, któryby z dzieciństwa się z łowiectwem nie zżył, tak że mu ono w nałóg i obyczaj poszło. Tęsknił każdy pod dachem, a częściej

bodaj nocowano w lesie niż doma. Cały boży rok było na co polować, to na drapieżne stworzenia, to dla skóry, to dla mięsa. Dobry łowiec żywił swój dom dziczyzną; wędzona i solona w fasach stała wszędzie na powszedni chleb, a bieda tam była gdzie wołu zarzezać musiano na stół, bo pan łosia dostać nie umiał. Lasami okryty kraj cały karmił zwierza podostatkiem. Kto się z dziecka nauczył biegać po kniejach, choć go potem w suknię duchowną odziano, tęsknił do lasu. Tak i ks. Janik z Brzeźnicy, którego uczyniono Biskupem, dawny młodzieńczy obyczaj zachował.

Człek miłosierny i dobry, chociaż na oko surową miał postać, zdaniem ks. Roberta, utrzymującego, że w tym kraju i z tym ludem bez żelaznej różgi obejść się nie było podobna — za łagodnym był do rządzenia dyecezyą. Surowością zastępował go ks. archidyakon.

Biskup milczał, czuł może nieudolność swoją, nie umiał ani zgromić, ni nastraszyć, ani ukarać ostro, żał mu zawsze było biednych ludzi, nakłaniał do poprawy, a przestępcom rad był zawsze przebaczyć, mówiąc że wszyscy są ułomni. Twarz tylko miał groźną a surową — ks. Robert ostrzejszy daleko, rozumny, że kraju nie lubił, bo rodem był Włoch, choć tu od młodości przebywał, pogan, jak ich zwał, rad nękał i mścił się za to na nich iż z niemi żyć musiał. Człek był zresztą uczony i prawy — ks. Janikowi swobodę dawano w domu i życiu, dyecezyą więcej niż on rządził ten przybysz, a że biskup powolny był i sam się odsądzał od spraw wielu, godzili się z sobą, wzajem sobie folgując. Samotności nie lubił pastérz. — Pomodliwszy się i obowiązki swe spełniwszy szukał ludzi, tęsknił za niemi, gdy ich nie miał.

Dlatego i otyłego Zułę chętnie do siebie wziął, aby go w chwilach samotności rozrywał, dlatego i młodego Jakse, powagą stryjowską rad był przytrzymać u siebie, — aby mieć z kim chwilę przepędzić, gdy pół dnia proboszczom z urzędu grozić i karcić ich musiał. — Kilka tak dni zabawiali się zamknięci, gdy wieczorem jednym, właśnie we trzech zasiadłszy, a o psach rozmawiając, posłyszeli hałas i ruch wielki w pierwszych izbach.

Ktoś się natarczywie wstępu domagał i jakby do niego prawo miał. A głos coraz podnosił. Biskup nakazawszy milczenie, posłuchał nieco, głową rzucił i żywo wstał z siedzenia.

— Nie kto mi się tam tak dobija, ino pan Petrek, — rzekł śmiejąc się — tego już potrzeba kazać wpuścić, bo drzwi potłucze i ludzi porozpędza, nienawykłym będąc, aby go od progu odprawiano.

Skinął na Zułę, który zaraz wybiegł, a Jaksie, który się chciał wycofać, kazał pozostać przy sobie.

— Pokłońże się i ty, możnemu Palatynowi naszemu — rzekł bijąc go po ramieniu. — Nie mały człek jest, przydać ci się może. Aniby się go minąć godziło gdy jesteś u mnie, żał by miał. Człek to równy z książętą, a od wielu z nich lepszy.

Ledwie słów tych domawiał, gdy żwawo miotając się wkroczył do izby człek niemłody, silnej budowy, odziany tak żeby go z wejrzenia nikt, nietylko Palatynem ale Starostą na małym gródku nie poznał. Buta tylko była rycerska, twarz czarna, ogorzała, rysy nie zbyt wdzięczne. Orli nos dużą część twarzy zajmował, resztę broda ciemna a rudawa pod światło. Na głowie włos mu się jeżył, i wzbierał nieposłuszny, porozrzucany a bujny.

Czoło miał już zorane marszczkami a chmurne.

Żelaznego w nim męża łatwo poznać było, nieulekłego, śmiałego, niedającego się niczym złamać. W oczach niepokój jakiś mieszkiał, na obliczu duma, lecz gdy się uśmiechnął, z duszy dobroć ukryta na świat wychodziła. Śmiał się też rzadko.

Czarna odzież, dobrze przeszarzana okrywała go, mieczyk niepoczesny miał u boku, czapkę prostą w rękę.

Szedł ku biskupowi jak na mury zdobywca.

— Do Miłości Waszój, pasterzu nasz, już bo się i dostać nie można! — zawołał od progu, oczyma zaraz rzucając po izbie dokoła. Dostrzegłszy w kącie Jakse, którego ciekawem zmierzyl wejrzeniem dodał. — Juściż niewiast u siebie nie macie w goście!

Biskupa przystąpił w rękę pocałować, a ten dotknął usta głowy jego.

— Zawsze z was ten sam szalony Petrek! — począł śmiejąc się Biskup. — Nie kazałem obcych puszczać, bom sam chciałem być z bratankiem, któremu na drodze przypadkiem pochwycił.

I wskazał na Jakse, który się skłonił milcząco.

— A mnież to wasz bratanek obcym być ma? albo mi to go widzieć nie wolno — poczał Petrek. — Cóż to jest! ażalim w niełaskę popadł!

Biskup poruszył ramionami.

— Chowalem go w izbie, — odparł, — aż mu suknie z domu przywiozą. —

— Cóż go to zbóje po drodze odarli? — pytał Palatyn.

— Nie, boby się im był obronił — mówił ks. Janik — alem ja go zbłąkanego na drodze chwycił. Nie znając kraju, w którym mało bywał, chowając się u obcych, w puszczech się obłąkał. Dopiero gdy szatny przybędzie z Miechowa, stawić się z nim mieliśmy wam i należny oddać pokłon.

Petrek spoglądał jakoś niedowierzająco.

— Prawdali to? — zapytał:

— Jakeś mi miły, Petрку mój — potwierdził Biskup.

Usiadł gość z oczów nie spuszcżając Jaksy.

Zwrócił się wnet cały ku niemu, i jął badać o życie, o podróże, o naukę, o to co lubił i co mu miłém było. Uwziął się nań aby pytać, ale z Jaksą niełatwa była sprawa, bo, choć zrazu nieśmiały, gdy się raz przemógł, każdemu dotrzymał kroku. Petrek go swą szorstką, napastliwą mową nie zmięszal wcale.

Wśród tego badania, Zuła postarał się o wino i kubki, rozsiadł się Palatyn, poczęto prawić o różnych rzeczach; szeroko i długo. W ostatku gdy pocichu coś Petrek Biskupowi szeptać zaczął, Zuła z Jaksą z izby się wysunęli.

Powstał z siedzenia Palatyn i przybliżył się do ks. Janika.

— Nie darmom się ja — rzekł, — do drzwi Miłości Waszój tak dobijał, mówić chciałem z nim i potrzebowałem — radzić się. Z Krakowa coraz gorsze wieści dochodzą.

— Co zaś! — odezwał się Biskup.

— Władysław pan nasz, nie winię go, do zbytku pono dobry i miękki człek jest, a Agnieszka niewiasta chytra i dumna. Na złe go ona prowadzi, grozą nam niepokoję.

— Władysław nie będzie się ważył ich wszczynać — odparł Biskup.

— Niewiasta go zmoże, — mówił Petrek. — Swą krwią cesarską dumna jest nad miarę, mało jój księżną na jednym grodzie być, królową pragnie. Ile razy nasi Piastowie niemki brali, zawsze nam z niemi wojny przychodziły i klęski. Bodaj i teraz tak będzie.

Niemcy, ulubieńce księżnej, biją jój w uszy, że siedząc na Krakowie panować powinna nad wszystkimi ziemiami, że braci Władysław powinien precz wygnać, posiąć wszystko, tak jak Mieszek i Chrobry...

Władysław dobry jest, ale najlepszego niewiasta zła uczyni chciwym i dumą napoi, gdy dzień w dzień jedno mu śpiewać będzie. — Poleje się krew, nie czyją tylko nasza!

Biskup westchnął.

— Bogdajbyście nie byli prorokiem.

— Nie daj Boże krew przepowiadać, — ciągnął Petrek, — za łaską Bożą, ja i drudzy nie dopuścimy może do jój rozlewu. Nieboszczyk król zwierzył mi wolę swoją — w imieniu ojca odzywać się będę. — Słowa nie poskapię, męztwa mi nie zbraknie.

— A pani Agnieszka? — wtrącił biskup.

— Będzie musiała zmilczć — mówił Palatyn. — Jeśli jój tu ziemi mało, kraju mało, niech jedzie nad Niemcami królować. My jój tu z jój zausznikami wicherzyć nie damy.

Odezwał się dziad Herman w tym wnuku, — mówił dalej, — téż samą dobroć ma, pobożność i uległość dla niewiasty — ale królowej miłośnik Dobek Niemiec, nie dorósł Sieciecha! — Niech sobie króla przy jejmości wyręcza, nie nasza to rzecz, ale wara palce wtykać w rządy nasze!! wara!

Mówiąc to powstał Palatyn i chodził żywo, a coraz większa jawnie gorączka go opanowywała.

— Z Płocka, z Gniezna, z Sandomierza ślą do mnie donosząc o coraz gorszych poszlakach. Że już do Krakowa ściągają lud, że spiski się na młodszych księżąt kryjome czynią.

Radzić trzeba, pilno radzić trzeba!

— Wy sami chyba po temu siłę mieć będziecie — rzekł ks. Janik — wy, albo brat mój, biskup krakowski, jeżeli was posłuchają. — Jam do tego niezdolny i mnie ks. Władysław nie usłucha.

— Nas wszystkich razem, usłuchać musi! — zawołał Petrek. — Posłuszny mu jestem jako panu alem wprzód ojcu jego, miłościwemu memu przysięgał, że czuwać będę aby się wola jego spełniła. Gdy przeciwko niej najmniejszą rzecz uczynią, stanę chociażby sam na wszystkich. —

Nachmurzył czoło Palatyn.

— Ukaże się najmniejszy znak jeszcze, — mówił dalej żywiej coraz, — a poznam że się chce porwać na braci, do Krakowa pojedę prawdę mu rzucę w oczy.

— Petru mój miły — westchnął Biskup głos zniżając i ton przybierając łagodny wielce — w paszczę smoka i niewiasty dobrowolnie się rzucać bezbronnemu nierozumem by było. Jeżeli Agnieszka tak złą jest, jeżeli już księcia, dwór i wszystkich tam zdołała sobie pozyskać — wszak ci was łatwo zgubić mogą.

Na całe gardło rozśmiał się Petrek i stanął hardo patrząc Biskupowi w oczy.

— Mnie zgubić? oni? Na mnie by się mieli porwać? Nie! Władysław nadto jeszcze pamięć rodzica szanuje, a wie że ja nie moją wolę a nieboszczyka rozkaz pełnię. — Nie będą śmieli tknąć mnie, ani on, ani ta niemiecka wiedźma, której się nie boję, ani jęj słudzy, któremi gardzę jak plugawstwem.

— Patrz abyś nadto śmiałym i ufny w siebie nie był — wtrącił biskup.

— Dla strachu ja się nie cofnę — zawołał Petrek — rychlójby mnie groza znęciła ku sobie.

— Radźcie się ludzi!

— Sumienia się naprzód radzę — odparł Palatyn, — ono starczy, a i ludzie mi nie naganią tego co uczynię.

Biskup popatrzał nań, a jako sam srogim nie był, tak i drugich rad hamując, począł zwolna rozjątrzonego uśmierzać.

— Co ci ludzie do uszów przynoszą — rzekł, — plotki być mogą. Ile wiem, poszłaków dotąd znacznych niema. Władysław w swęj dzielnicy siedzi spokojnie, do braterskich spraw się nie mięsza. Czekaj przynajmniej aż jawnie wystąpi i będzie za co strofować.

— Może być po niewczasie — odparł Petrek. — Gdy wojska ściągną, gdy Żupanów po grodach sobie zjedną, a Agnieszka żagiew rzuci i księżę za nią pójdzie, późno będzie wołać że — gore.

— Miły mój! — przerwał Biskup, — tyś gorący, strzeż się, byś na pożar nie wołał, gdy go niema.

— Gorący! a tak — potwierdził Petrek. — Byłem nim i będę pókim żyw. Tylko gorącością się coś czyni, chłodem i małodusznością chyba nic. Wy ojcie dobrzy jesteście, miłujecie pokój, jam zły i miłuję wojnę.

Uderzył się w piersi.

— Boże bądź miłościw grzesznej duszy mojej.

Napił się z kubka Palatyn i po izbie obejrzał.

— A bratanek wasz! — zagadnął — cóż myśli? Czy nie na dwór pański? Młody jest, rycersko wygląda, woli za piecem gnuśnieć!

Czy go matka chce przyszytym trzymać do spódnicy?

— Nic nie wiem — odpowiedział Biskup zwolna. — Ja go jeszcze tak jak nie znam. Od dziecka go po raz pierwszy widzę, ale cieszę się nim. Młodzian rażny, roztropny, gnuśnieć by mu szkoda. — Nie może służyć inaczej tylko rycersko albo duchownym, a do tego nie zdaje się powołany.

— Służyć! — żywo podchwycił Petrek — komu? gdzie? My już rycerstwo nasze pogrzebliśmy z Krzywoustym. Żaden z synów nie ma jego ducha. Gdyby go miał Władysław, toć Ruś stoi przed nami, toć Pomorze nie zwojowane, toćby na Sasach i Niemcach swoje ziemie odbijać potrzeba — a księciu nie to w głowie, tylko braciom ojcowiznę wydzierać! Komuż będzie służyć i z kim iść! — wołał ramionami ruszając. — Młodzieź się u nas pomarnuje. Za Krzywoustą Sulisławy, Wojsławy, Skarbimierze z ziemi rosły, a dziś. — Dobki co się babom wdzięczą i przez baby zwady sieją, aby się im téż co z tego upiekło! Ot na co zesłiśmy, ot na co!

— Ale bratankowi ja nie dam zmarnieć — odparł Biskup. — W rodzie naszym, krom Zuły co się biedaczysko roztył, choć dawniej dobry wojak był — trutniów nie słycać.

Umilkł Palatyn i po chwili pokłoniwszy się biskupowi, do wyjścia zabierał.

Ks. Janik go uściskał — Petru najmilszy bracie mój, — odezwał się, — niegorączuj się. — Źle jest kto nic nie czyni, ale też nie dobrze kto za wiele chce czynić i bez rozmysłu.

— Najgorzej, ojczy, kto nic nie czyni — dodał Petrek — ja tym być nie chcę, nie mogę.

Pocałował go w rękę. Usłyszawszy odchodzącego, Zuła z Jaksą weszli pożegnać i przeprowadzić Palatyna.

— Słuchajże, miły plemienniku mój — odezwał się Petrek do młodego — abyś mi się ty ztąd nie ruszył nie bywszy u mnie. Któż wie i ja ci się tu na co zdać mogę! Stary jestem, nie zgrzeszysz poszanowawszy... Dobrze wam życzę — ty mnie, ja tobie mogę być pomocnym...

Spojrzał nań — Jaksie może cudna twarzyczka Błogosławy na myśl przyszła i uradował się wielce, pokłonił wdzięcznie.

— Juścibym wam czołem nie biwszy nie poszedł ztąd — odparł z uszanowaniem. — Znam co komu należy — tego mi i przypominać nie trzeba, miłościwy panie...

I oba z Zułą powiedli go do drzwi, a Jaksą aż do konia. —

Przybył nareszcie i szatny z Komorowa, a Jaksą mógł się przyodziać tak aby na dworze pana Petrka stanął bez zasromania. — Brał wówczas na się każdy do ludzi to co miał najlepszego, aby okazać swą możność. Jaksowie zdawna majątni byli, a skarbiec ich stary obfitował we wszystko, co w te czasy najwyżej ceniono.

Zbytkiem naówczas była nawet koszula, bo ją nie wszyscy nosili; cienka, lniana szata spodnia, której nic kobiece ręce przędły a niewieście oko na blechu jej strzegło. Szyto też wzorzysto owe lniane gźło około rękawów i kołnierzy i na codzien go nie kładziono.

Szła po niem suknia krótka do kolan, z rękawy spuścistemi, rozprutemi, długiem do ziemi, z pod których albo gźło wyglądało, lub drugi rękaw obcisły, kłapą na przodzie część ręki do palców okrywający. Suknia ta z przywożonej z nad Renu tkaniny wełnianej szyta i bramowana złotem lub purpurą, przepasana bywała pasem ze skóry lub kruszczu sztucznie uplecionego. U pasa wisiał nożyk mały, gdy większy miecz za panem zwykle strojne nosiło pacholę. Na szyję szedł łańcuch złoty, im cięższy tém bardziej pański, często z klejnotem wyrażającym fantastyczne zwierzę jakie, albo pieniądzem złotym. Na nogi już spiczasto zakończone buty kładziono, których długie nosy blaszkami złożonemi były przyozdobione... Na wierzch zarzuciwszy płaszcz, a na długie, na ramiona spuszczone włosy włożywszy czapeczkę z pióropuszem, mogło młode panie, zręcznej postawy, cale okazać wystąpić. —

Takim właśnie strojnym chłopakiem, do niepoznania zmienionym, ukazał się stryjowi Jaksą, gdy go szatny przyodział.

Biskup uradował mu się wielce, tak mu było do twarzy. — Nie miał się go powstydzic prowadząc z sobą.

Przypatrywał mu się, oglądając go ze wszech stron, z pociechą wielką i w głowę pocałował.

Sam też wybierając się do pana Petrka, suknię biskupa wdział dostatnią, łańcuch z krzyżem na szyję, ogromny pierścień biskupi na palec i czapeczkę na głowę futerkiem okładaną, ale mu w tém wszystkiem tak było jakby tylko co z siebie zbroję i kaftan rycerski zrzucił — krwi tej wojaczkiej sukni duchowna nie mogła do spokoju ukołysać, a gdy potem na koń siadł, wyglądał więcej na wodza prowadzącego do boju niż na pasterza niosącego błogosławieństwa pokoju.

Dosyć liczny dwór strojny za Biskupem i Jaksą podążał, i Markowi bowiem matka ludzi jego przysłała, aby samopas nie szedł, bo samemu wstyd było się ukazać na dworze.

Gdy do dworca pod Sobótką przybyli, Jaksą który wiele słyszał o bogactwach i mocy Petrka, zdziwił się trochę mieszkanie jego zobaczywszy. Z powierzchowności domostwo cale wspinałem nie było. Na dosyć obszernej parkanami dokoła obwiedzonej przestrzeni porozrzucane stały szopy, składy, schronienia dla czeladzi i służby, skarbce, stajnie, bo się Petrek w koniach kochał, psiarnie, bo gromady psów trzymał, sokolarnie, bo i ptastwa miał siła. Dla siebie i rodziny dworu jeszcze takiego był nie wznioł jak na wielkiego

pana przystało. Gdy się temu dziwiono i pytano o przyczynę, powiadał że naprzód Bogu domy stawić musi, a potem dopiero pomyśli o sobie. Powiadano iż ślub był uczynił taki, że w każdej majątności swój kościół z kamienia zbuduje; a że ich miał po wszystkich ziemiach bardzo wiele, nie dziw że ich siedemdziesiąt i siedem potem liczono, choć ich pewnie tyle nie było.

Dwór pana Petrkowy cały prawie był drewniany, okrom małej części, w której się skarby droższe zachowywały. Widać było że go budowano i dobudowywano. Więc jedna część wyżej się podnosiła nad drugą, na jednej dach był spiczasty, u drugiej płaski, kryty dranicami, słomą i cegłami. Ganków i przejść pod słupami wszędzie siła widać było dokoła, to z surowego drzewa, to na czerwono i pstro pomalowanych, wedle prastarego obyczaju słowiańskiego. Wszędzie po pod ścianami ciągnęły się niższe i wyższe podsienia, gdzieniegdzie tak szerokie, iż czasu lata pod niemi wygodnie stoły można było umieścić. Nigdzie na zewnątrz nie wydawała się owa sławiona, wielka zamożność p. Petrka, chyba tém że po podwórcach konie pod nakryciami bogatemi wodzono i wozy stały obciążane sukniem szkarłatnym, kute mosiądzem jasnym i ludzi się snuły kupy lepiej postrojonych od samego pana.

Gdy Biskup z Jaksą ukazali się we wrotach, a odźwierny znak dał ku dworowi, wnet w drzwiach ujrzeli wychodzącą panią Petrkową i syna jój, młodziana pięknego wzrostu, do matki i siostry podobnego. Córka Błogosława, której oczyma szukał Jaks, na spotkanie nie wyszła. Oprócz nich i samego Palatyna, tuż za nim ukazał się czarno zarosły mąż, silny, z twarzą dumną i ufność w sobie wyrażającą, trzymający się w boki, strojny, obwieszony złotem łańcuchy, przy sporym mieczu u boku. Wzięłby go nieznający obu za Palatyna samego, tak Petrek niepocześnie przy nim wyglądał.

Był to, jak Biskup Jaksie oznajmił Rogier sędzia Wrocławski, druh wielki i najlepszy sługa Petrka, prawa ręka jego, mąż wielkiego męstwa i ducha.

Sam Palatyn, jak naówczas gdy na dwór Biskupi przybywał, odziany był niewykwintnie. Suknię miał na sobie wynoszoną, ładającą, ani nawet łańcucha na szyi, a na nogach proste skórznie od łowów.

Wiedziano, że stroju i wystawności dla siebie nie lubił, a najmiliej mu było chadzać w wygodnej codzienniej odzieży, w której się mógł swobodnie poruszać, jako chciał. Włos też miał rozczochrany jak pierwszą razą.

Biskup zobaczywszy wychodzących przeciwko sobie, zdala począł błogosławić, palce złożywszy wedle zwyczaj. Wszyscy skłonili głowy.

W tej chwili wyszedł też ze drzwi, nieodstępny tu prawie Opat Anzelmus, którego Jaks widział już odprawującego w kościółku mszę świętą. Ten wspaniałej postawy, pięknej i szlachetnej twarzy spokojnej mąż, zdala przystał i ostatni Biskupa przyklęknięciem powitał. Ks. Janik na ramiona mu ręce położywszy ucałował go jak brata.

Gdy Opat z Biskupem obok siebie stanęli, można było dostrzedz wielką różnicę charakteru obu duchownych; O. Anzelm był poważnym kapłanem, ks. Janik bojującym kościoła zapaśnikiem.

Przodem kroczył do wnętrza domu ks. Janik, do tej części, która dla przyjmowania gości była przeznaczona. Różniła się ona wielce od drugiej, w której sam Petrek zamieszkiwał. O ile pierwsza była wspaniałą, o tyle druga do zbytku prostą i niemal opuszczoną. W sypialni, w izbach przytykających, które sobie Petrek zbudował, nie było nic krom ław i stołów od siekiery wyciosanych. A że psy myśliwskie wstęp tu miały, zdarzała się często i słoma pod stołami i barłóg przez nie wyleżany. Wśród tych ścian drewnianych nie obleczonych niczém, na podłodze z prostych dylów, na dębowych ławach, Petrek sobie lubował, a mawiał, że mu tu najlepší i najmiliej było. Dla gości wszakże, w tym domu niepozornym, komnaty były prawie królewskie, bo i pani Petrkowa w zbytku i okazałości wielce się lubowała, pochodzenia swego kniaziowskiego nie mogąc zapomnieć. Znać to było z każdego ruchu niewiasty nie wiele mówiącej, lecz nakazującej poszanowanie obejściem się swém i dumnej.

Izby te gościnne, choć niskie, przestronne były i wspaniałe, drogi w nich sukniem słane, na ścianach zbroje, obrazy, przy drzwiach naczynia do wody złociste, tarcze malowane na ćwiekach, po stołach opony ze złotogłowia i jedwabiu, puhary, cebrzyki, nalewki, kubki złociste i wszelkiego naczynia na półkach mnogość wielka. Na ławach i siadzeniach, jakby trony królewskie poduszkami wysłanych, wszędy leżał szkarlat, a powietrze won-

nościami wschodnimi przejęte, zapach miało jaki po kościołach z kadzielnic tylko się dobywa.

Izb takich okazałych kilka ciągnęło się za sobą, że było w nich gdzie i dużo ludzi pomieścić, i, gdy pierwszej zdumiało się oko, jakby je na to obrachowano, idąc w głąb rosła coraz podziw, bo coraz większa rosła wspaniałość. Gdy do trzeciej komnaty wchodzili, w której siedzenie wysłane wskazał gospodarz dla Biskupa, Jaksza idący za nim ujrzał w progu dalszych mieszkań stojącą Błogosławę, która w białej sukience, z rozpuszczonym włosom i zielonym wianuszkiem na nim, przysła pokłęknać przed ks. Janikiem, prosząc go o błogosławieństwo.

A była, wśród tych izb nieco przyciemnionych, jakby jakąś jasnością otoczona; wszyscy co na nią patrzyli stanęli w niemym osłupieniu nad promienistą jej pięknnością, i po licu matki szczęśliwej przebiegł uśmiech dumny... Z tych drzwi czarnych wychodząc zdała się zjawiać jakby cudem, a w izbie stało się od niej jaśniej i weseliej. Lica się wszystkim uśmiechały.

Ucałowawszy rękę biskupią, piękna dziewczeczka wstała, zarumieniona, a nim Jaksza olśniony przypatrzyć się jej lepiej zdołał, znikła znowu za ciemną oponą.

Słudzy zatem poczęli nieść dzbany, kubki, biały chleb słodki krajany w koszach srebrnych, napoje i zamorskie łakocie.

Siadła zdała pani Petrkowa, Opat na niższym krześle podle Biskupa, Jaksza skrył się nieco w kąt, a za nim poszedł młody Światosław, bo go miał za swojego gościa, i z twarzy wraz polubił, a czuł się pociągniony ku niemu.

Widział Jaksza gdy się Błogosława przesuwiała iż wzrok jej padł na niego i że poznać go musiała, tak jak pani Petrkowa, bo obie pamiętały go z kościoła, ale żadna z nich tego po sobie znać nie dała.

Gospodarz, nie siadając sam, Biskupowi służył, przez uszanowanie dla dostojenstwa i dla tego też może iż starcowi ruchawemu na miejscu wytrwać ciężko było. —

Wśród tego złota, dostatków i przepychu ów jeden, odziany z prosta, wyglądał prawie na sługę, tak niepozornym był, acz skinienia jego wszystko słuchało.

Gdy starszyzna po cichu rozmowę wiodła z sobą, Światosław z Jakszą jednolatek, do niego się przywiązał. Dobra znajomość pomiędzy rówieśnikami wnet została zawartą, wyszli razem do drugiej izby, aby swobodnie na ławie siadłszy rozgadać się o młodzieńczych sprawach. O czymże jeśli nie o psach, koniach, sokołach i zbrojach.

Światosław, choć rycersko chowany, więcej miał w sobie natury matki niż ojca, więcej w charakterze spokoju i pańskości. — Jaksze niewymownie się podobał może z tego iż oczyma niebieskimi, rysami twarzy i łagodnym jej wyrazem, piękną swą siostrę przypominał. Z obu stron chłopcy przyjaźń ku sobie powzięli wielką. Z pytań w pytania Jaksza prawil o swoich wędrownkach, Światosław skarżył się że tęsknił za oglądaniem świata Bożego. Przyznał się że oprócz służby rówieśników innych i druha nie miał, ani zabawy z młodzieżą.

— Jaka to szkoda, mówił, że wy tu przy stryju swym Biskupie nie zamieszkacie, miałbym z was pociechę jak z brata!

Jaksza też ofiarował się mu bratem być, zapraszając w gościnę do siebie, utyskując nad tem że jak Światosławowi, matka mu się mało od siebie oddalać dozwalała. Tak różne opowiadając przygody dwaj młodzi dużo czasu razem w izbie sam na sam strawili, a Światosław poznał do niej miecze i luki nowe, jakimi go ojciec obdarzał, aby Jaksza próbując dał o nich zdanie swoje.

W tém z drugiej komnaty Biskup bratanka wołać zaczął.

Pani Petrkowej już tam nie było, siedzieli tylko w okół Biskup, gospodarz i Opat cicho coś gwarząc, gdy Jaksza pospieszył na wezwanie.

— Słuchaj no, miły mój, rzekł ks. Janik zwracając się do niego — oto ci się z porady p. Petrka przygodzi iż darmo doma gnuśnieć nie będziesz bo to młodemu nie przystało. Jakby ci się to zdało, gdybyś listami opatrzony, na dwór ks. Władysława jechał i tam się rycersko zabawiał. Kraków miasto niczego; tyś do Niemców nawykł, znajdziesz ich sam dosyć?

— Wdzięczen muszę być za łaskę p. Petrka, odparł kłaniając mu się Jaksza — jechać bym jechał gdzie starsi poradzą, byle nie zależeć pola; aliści dwór ks. Władysława z wiel-

kiego rycerstwa nie słyńie. I to jednak nie waży, tylko, gdy mi pan Bóg ojca nie dał, pani matce mojej opowiedzieć się muszę.

— Słuszna! pocziwa — dodał Biskup, albowiem powiedziano, szanuj ojca i matkę swoją, chceszli długo żyć na świecie, Pani matce zaś powiedzić możesz iż ja tego dla was życzę abyś na dwór jechał, i widzę tego potrzebę.

Spojrzał znacząco na bratanka, na którego téż Petrek patrzył oczyma bystremi, jakby go na wskroś chciał przeniknąć. —

— Potrzeba ażebyście tam jechali, dodał poufnie, zniżając głos nieco, i dla was się to zda i dla drugich. Tylko nie dworować około niemki, która jest zdradliwa i zła, a starać się o zachowanie księcia. Od ks. Agnieszki mieć się na pieczy. Około pana obracając się napatrzycie się i nasłuchacie a nauczycie rzeczy wiele, co młodemu zda się nie dziś to jutro. Na grodzie wśród lasów sięć zawczasu a dziczć na to was szkoda.

Jaksa zdziwiony był trochę tém staraniem nagłóm o los swój, ale więć się już nie odzywał. Podziękował p. Petrkowi za dobrą wolę.

— Doświadczycie tego, odparł rubasznie gospodarz — po ramieniu go uderzając, żem ja wam szczerze życziwy. A jakżebym nie miał nim być gdyśmy powinowaci? Swoi się kupą zawsze trzymać i o sobie zapominać nie powinni.

Rozmowa przeciągnęła się trochę jeszcze aż do zmroku, poczem Biskup ruszył się do odjazdu zabierając. Jakby wiedziała o tém pani Petrkowa, wyszła z za opony dla pożegnania, a za nią zjawiła się znowu jasna postać Błogosławy z włosy rozpuszczonemi i wianuszkami u skroni, przemknęła jak cień uśmiechnięta. — Znowu Jaksa pochwycił jęj wejrzenie, a tak go ono swą siłą do miejsca przykuło, iż zapomniał kędy był i co się do koła jego działo. — Patrzył na nią i za nią, i zdało mu się jakby we drzwiach znikając, zwróciła się ku niemu, na jedno oka mgnienie, niby go szukając wzrokiem. — Było to może złudzenie. — Wychodzącego Marka młody Światosław przeprowadził, pod rękę go ujawszy, zmawiając się z nim, aby nazajutrz razem ze psy i sokoły na łowy ciągnęli, i obiecując zajechać po niego.

Weselszy daleko niż jechał na ten dwór powracał Jaksa z Biskupem. — Ks. Janik poszedł zaraz do pacierzy swych i oczekujących nań księży, a Marek sam został z Zułą, który chciwie o dwór pana Petrka i o przyjęcie na niem dopytywać go zaczął. — Stary ciekawy był bardzo a dla otyłości mało się mógł ruszać. — W ciągu opowiadania, gdy o Błogosławie napomknął młody i mimowolnie się zarumienił wymawiając jęj imię, Zuła chwycił go śmiejąc się za rękę.

— A no! krzyknął, więćście to cudo widzieli, tę białą gołąbkę, która się w gnieździe Petrkowém niewiedzić zkad wzięła! Nieujmując Petrkowi, do jastrzębia albo kobuza podobniejszy jest, niż do ojca takiej ptaszyny złotój. Dziki i prosty człek, choć doszedł wielkich skarbów i mocy wielkiej. Jeszcze starzy ludzie pamiętają, gdy od czeskiej granicy w kilka pono koni tu przybył, ofiarując się na służbę królowi, zwano go naówczas rycerzem z Donina. — Urósł potém prędko i księżniczki za żonę dostał i takiej córki ślicznej i syna dorodnego — i włości niepoliczonych i skarbów o których cuda prawią. A muszą być wielkie, gdy niemi na kościoły sypie i sypie i nieubywa mu nic...

Córka godną króla zaślubić! dodał unosząc się i ręce składając Zuła.

— Piękniejszój nad nią widzić trudno, tam nawet gdzie na pięknościach niezbywał zawtórował Jaksa.

— A wiano po nięj, — rzekł Zuła — mało powiedzić dziesięć kublów złota i dziesięć srebra wozów!!

Wziął się aż za głowę stary. — Ale téż tam — dodał — prostemu rycerzowi, ziemianinowi na jednym dwu gródkach ani się posunąć. — Chowają ten rajski kwiatek dla mocnej dłoni! — dla pańskich rąk! Oboje wysoko patrzą, — szczególniej sama Petrkowa, która się kniahinią nazywać każe. A mówi, — słyszę — głośno, — niech mąż z synem robi co chce, córkę ja wydam sama, i nie dokąd tylko tam zkad jęj matka, aby na stolicy siedziała.

Jaksa posepnie spuścił głowę. —

— Szkoda będzie tego kwiatu, gdy go nam zabiorą, — rzekł Zuła, — ale bab mamy siła, — zostanie tego zawsze dosyć. — Każda z nich hoża póki wianuszek nosi, i wszystkie

potém więdnieją pędko, że ich nie poznać! — I tę pewnie nie inny los spotka, bo piękność jak wiosna jest, — kiedy rozkwita przekwita.

Śmiał się prawiąc tak Zuła a Jaksza milczał już.

Drugiego dnia ze Światosławem jechali na łowy, cały dzień biegając ze psy i sokoły, tak że późno już na noc wrócili do miasta. A że podle dworu i góry Sobótki jechać im było trzeba, Światosław na wieczorny chleb zabrał przyjaciela z sobą.

Ledwie doń zasiedli, gdy, pewnie o obcym niewiedząca siostra nadbiegła do brata. Jaksza się porwał, ujrawszy ją i o mało nie spłoszył strwożoną, gdy go ujrzała. — Brat ledwie na chwilkę mógł ją powstrzymać zapytaniami o rodziców.

Miał czas gość stojąc z wlepionymi w nią oczyma, przypatrzeć się jak chciał ślicznemu dziewczęciu. Serce mu w piersi kołatało, gdy ona, jak dziecko zuchwałe, mierzyła go ciekawém wejrzeniem.

Widział ją uśmiechającą się do brata. Słyszał mówiącą takim głosem, jakim rajskie śpiewają ptaki i wydała mu się zblizka stokroć piękniejszą niż zdaleka, a gdy odchodząc na pożegnanie, oczyma rzuciła ku niemu płonąć cała, ledwie na kolana niepadł przed nią.

Gdy potem do dworu Biskupiego wracał, po tój wielkiej radości, która tak krótko trwała, zrobiło mu się w sercu smutno i tęskno i sam niewiedział dla czego poczył strasznie boleć nad sobą. Na świecie mu było pusto i czarno — nieznośnie...

Zuła, który wyszedł go witać, słowa zeń dobyć nie mogąc, domyślał się trafnie, że sokoły ks. Janika musiały się źle popisać. —

## V

Stary gródek w którym podówczas mieszkali Jaksowie, co się z Miechowa pisali, był w Komorowie. — Lasami ogromnymi otoczony, na pagórku tkwił nie wielkim, ale wałami mocnymi obwarowany, i, choć nie obszerny ani pokaźny, sławił się jako najstarsze w tój ziemi gniazdo rodu Jaksowego. Jak wszystkie takie przedwieczne grodziska, zdała na to czém był nie wyglądał. Ludzie wszakże wiedzieli, że w Komorowie Jaksowie mieli skarbiec książęcy i wszelakiego dostatku moc ogromną. — Ci co się dworu dotykali, służyli i stróżowali około niego, opowiadali że jako jeden gród był na górze, tak drugi większy daleko, niedostępny dla nikogo w górze samój, pod ziemią się mieścił, a chodnikami z niego kędyś wyjść było można w świat niepostrzeżonemu. — Opowiadano tóż że w wykutych w ziemi izbach i komnatach stały kadzie złota, leżały stopy srebra jak w lesie drzewo, gdy je rąbią i składają. — Prawiono cuda — tego jednak nikt obcy niewiedział nigdy, gdyż zawsze tylko jeden z rodziny znał tajemnicę wchodu i wychodu, a niepowierzał jój nikomu, aż na łożu śmiertelném. — Mówiono tóż iż były zaklęcia jakieś straszne, co przystęp do podziemiów śmiertelnym dla obcych czyniły. —

Powiadano że gdy raz, sto lat temu, Połowce na zamek wtargnęli i dobyli się do wnętrza, znikli z niego ludzie wszyscy jakby cudem, że oprócz koni w stajniach i psów żywego nie znaleźli ducha, a łupu tóż tak jak żadnego, bo go miano czas gdzieś unieść i poukrywać. — Przypisywano to czarom i sile jakiejś nieznanój, której lud pospolity lękał się wielce.

Do zamku wiodły jedne wrota z wieżycą drewnianą, ale te pominawszy szło się szyją między wałami dwoma i dopiero drugimi wroty wchodziło w dziedziniec. — Tu w środku dwór stał stary z ogromnych modrzewiowych kłoców, jakby na wieki zbudowany. Takich drzew z jakich go zestawiono już potém lasy nie widziały. — Były to pono pierwsze co tu urosły po narodzeniu się ziemi i po opadnięciu wód, a każdy pień był tak przepotężny, że ludzie w kilku jednego objąć nie mogli, a tak twarde że ich topor nie imał, i szczybił się jak na kamieniu. — Więc choć ten dwór setki lat stał, zdrów był i cały, tylko posiwiał i zczerniał miejscami. — A drasnąć było tę skórę, którą nań włożyły wieki, z pod niej zdrowa miąższ żółta jako wosk świecila.

W ścianach grubych siedziały małe starodawne okienka bez błon, z okienniczkami szczelnymi, które mało co światła do środka puszczały i drzwi były niskie i wszystek pozor nie terażniejszy. — Ten co to budował nietylko o moc dbał, ale i o ozdobę, bo w tych kłodach po rogach, po belkach, — nad drzwiami dziwołagi powyrzeżywał, jakich chyba nigdy na świecie niebywało, i żadne oko ludzkie ich nie widziało. — Siedziały tam, jakby na postrach poczwary z głowy ptasiami, z nogami lwów, z łapami niedźwiedzi, ze skrzydły

rozpostartemi, to orły niby z paszczkami wilczemi, to smoki jakieś z pozakręcanemi ogony węzowemi. — Niegdyś potwory te malowane były, ale barwy z nich dawno zmyły deszcze i wypaliło słońce do szczętu. —

W osobliwym tym starym dworze latem, — około tych poczwarów, ba w ich gardłach gnieździło się ptastwo, kręciło po nich i szczebiotało, tak że one drewniane rzeźby żyć się i gadać zdawały. —

W Komorowie mieszkała matka Jaksowa, — pani wielkiego rodu, kędyś z za Łużyc czy od Pomorza wzięta. — Poganką ją pono zaswatał był stary, — przywiózł na dwór swój, — ochrzcił, i tu się dopiero nowej wiary uczyć musiała. — Miał po niej wziąć skarby bardzo wielkie, ale i w niej samej skarb wziął, bo niewiasta była osobliwa, którejby nie jeden mąż nie sprostał. —

Powiadano o niej, że gdy straciła pana swego, a sama jedna w domu z synaczkiem pozostała, i Jaksowie stryjeczni opiekuna jej dać chcieli, — którym pono owego otyłego Zułę wybrać miano, albo brata jego, później zmarłego — tak się im postawiła że tykać jej nie śmieli i nie wtrącać się więcej, dając z synem czynić co sobie upodoba. —

Wyszła naówczas owa mężna niewiasta na wpół z mężką odziana, włosy sobie ustrzygłszy, mężowską zbroję na się skórzanną z huskami włożywszy, z mieczem i toporkiem, na rękę synaczka niosąc — i stawiała się im, pytając czego by chcieli? A gdy rzekli, że opiekę jej dać mają, zaśmiała się smutnie odpowiadając, że niepotrzebuje żadnej, oprócz Bożej, że ludzi i mienie utrzymać potrafi a — dali Bóg, nieprzyjaciół i na wojnę, sama ze swém zawołaniem po wsiach i opolach pojedzie — a choćby i na czele ich stanie.

Stryjowie rozmówiwszy się z nią, już się tam nie zgłaszali, a Hanna trzymała majętności, jak żaden mąż, — żelazną ręką. — Gdy było potrzeba dosiadała konia, jechała, — skarżyła, na dwór królewski szła, do Biskupów, do sądów, krzywdy sobie żadnej czynić nie dając. —

Tak się wszyscy dziwowali niewieście mężnej, że potem nikt jej nie śmiał zaczepić. — Gdy jeden z Doliwów zajechał jej ziemię na granicy, dopóty nań czyhała aż związanego, porwawszy na łowach, nie wsadziła do więzienia na zamku, a nie puściła go, aż jej z sześciu poręczycielami poprzysięgać musiał, że więcej krzywdy czynić nie będzie i zemsty wszelkiej zaniecha. — Mimo to co od niej ucierpiał tak się potem w niej ów Doliwa rozmiłował, iż ją za żonę chciał mieć, na co mu odpowiedziała, iż tam z kąd ona była niewiasty z mężami szły na stos, a kiedy dla dziecka żyć musiały, nie ślubowały powtórnie nikomu, bo się za umarłe światu liczyły...

Teraz już lat mając pod sześćdziesiąt, Jaksowa silną jeszcze była, jakby skamieniałą, niewczas, niewygodę, trud znosząc młodą siłą jakąś, która w niej pozostała. — Tak samo jak na koniu gotową była we skwar i mróz, dzień przesiedzieć i noc, tak pod dachem, w domu umiała rządzić dziewczkami, dworem, od kądzieli i krosien nie stroniąc. — Tylko gdy do spokojnej siadała roboty, na usta jej przychodziły pieśni jakieś stare, dziwne, niezrozumiałe nikomu, co ich ludzie podsłuchując czasem pode drzwiami, słupieli. — Głos miała mocny, na wpół mężki, smutny i poważny, a w trąbkę tak zadąć potrafiła, że w jej ustach innego nabierała głosu i brzmiała niby piorun, grzmot, albo jakiś wrzask nadludzki.

Pomimo starości nie była jeszcze brzydka trzymała się prosto, a że jej dawno pierś wyschły, wyglądała na mężczyzną i była gibką a zwrotną a silną, że nieraz z łowów przyniesionego kozła za rogi ująwszy, do góry podniosła.

W twarzy ogorzalęj, nieco już pomarszczonęj, widać było smutek wieczny i zadumę, ale razem spokój i siłę. Trwogi po sobie nieokazała nigdy. — Duchowni nie byli z niej bardzo radzi, — zwali ją nawet poganką dla tego, że ich nie bardzo słuchać chciała, ale szczerą dłońią sypała im zawsze. — Do kościoła chodziła, znajdując się w nim przystojnie, pilnując aby i czeladź tam uczęszczała, ano potem pilniej jej było do swojego śpiewu, do roboty jakiej, niż do długich modlitw i pacierzy. —

Surowa dla wszystkich pani, — dla jednego dziecka swego była jakby inną. Nie było dla niej na świecie tylko ono jedno, dla niego życie by dała i wszystko. Chowała go tak tą miłością wielką, że nigdy karcić nie potrzebowała. —

Długie lata młody Jaks przy niej nieodstępnie był, pilnowała go nie spuszczać z oka. — Na pierwsze łowy, w pierwsze pole sama z nim wyjechała. Potem do Krakowa sama ruszyła szukać dlań klechy, coby go uczył innych rzeczy, których ona nie umiała. — Tam

siedziała dopóki nie znalazła takiego, co się jęj dał powodować i tęg był myśli dla dziecka co ona. — Stał mu tedy ów Klecha za pierwszą szkołę, potem ten sam jechał z nim w świat do szkół innych, aby się chłopię przecierało, — naostatek owemu ks. Marcinowi, gdy święcenia wziął dała plebanię i wieś do nięj za wierne usługi. —

Był teraz ks. Marcin proboszczem w Miechowie, i nic mu naganić nie mógł nikt, — bo, choć wówczas mało który pleban żony nie miał, on żył jako mnich, — około chwały Bożęj pracował wielce, tylko więcj pono po siolach ludzi nauczał niż śpiewał w kościele, co mu drudzy za złe mieli.

Długo będąc chłopca nauczycielem, nabrał tego nałogu bakalarstwa i po wsiach dzikich apostołować chodził, — nawracał, — chrzcil, — a tęsknił do ludzi opuszczonych, do ślepych, aby im nieść światło...

Dwór Jaksowęj w Komorowie prawie z samych starych sług był złożony, z dawnych męża jęj ludzi lub dzieci ich. — Było tego dosyć, wolnego i niewolnego ludu, a nikt tam ani biedy, ani głodu nie zaznał, dostatek był zawsze, zbytku nigdy. — Sama pani to jadala i tęg żyła, co jęj sługi. — Nosila się ciągle na pół po mężku, w butach chadzając, w sukni krótkięj, z nożem u pasa, przy czém, gdy w domu białą namitkę włożyła na głowę, niewiedzić było, czy niewiastę człek miał przed sobą czy męża.

Od kilku dni syna spodziewala się pani Jaksowa. — Zrazu gdy Marek zbłądził i niewracał, a ludzie co z nim na łowach byli, do domu poprzybiegali, rozpaczając że go znaleść nie umieli, zatrwożyła się mocno o jedynaka. — Wyjechała sama z gromadami plądrując lasy i szukając syna. Nigdzie śladu jego nie znalazłszy uspokoiła się potem będąc tęg myśli, że się tylko zapędzić i obłąkać musiał. Ufała w to że dziecko po nięj i po mężu się wzięło i męztwo, a łąco się nie da ani ująć, ani pokonać, ani zastraszyć, ani uśmiercić. — Czekala więc dosyć spokojna, gdy nadbiegł sluga od ks. Janika, przez którego nakazala aby nie bawił z powrotem. Czekala więc go co godzina.

Nad wieczór wreszcie dnia jednego zjawił się mlody, matce do nóg kłaniając, która go słowa nie rzekłszy do piersi przycisnęła. Dopiero jakby odetchnawszy, odezwała się do niego.

— Srogiegoś mi niepokoju o siebie napędził. — Minęło to, siadaj, spocznij i praw coś czynił. —

Począł Marek od początku, jak mu się na łowach nie wiodło, jak się zapędził, obłąkał, po puszczech przedzierał, jak potem Biskupa spotkał, jak u niego czas spędzał, a Petrka poznał i rodzinę jego, o której stara duzo i wprzódy już słyszała. —

Nawykl był syn nic nie taic przed matką, więc mówiac jak Błogosławę zobaczył, a potem ją widział raz wtóry i trzeci, — nie ukrył tego, że mu się dziwnie piękną wydała i że na myśli uroda jęj stała mu ciągle. — Tak się tęg mówiac o nięj rozciągał szeroko z pochwałami i opisy, iż matka poznała łatwo, że mu dziewczce mocno się upodobać musialo.

— Dziewka piękna być może — odezwała się — ale ona nie dla ciebie, — ty nie dla nięj. Nie dla tego abys jęj nie był wart, bo Jaksowie tęg od innych kniazioów nie gorsi, ani żeby bogatsi byli, albo mocniejsi od nas — ale nie takięj żony tobie, a mnie synowęj trzeba. — Niech będzie piękna jako chce, co mi po nięj? — Królować zechce i przewodzić u nas, a jam się na niczyją slugę nie rodziła, ani ty masz być nim kiedy! — Wolę prostą dziewczkę z której, jak z ciasta korowaj, ulepię co zechcę dla ciebie i dla siebie, niż taką królownę, przed którą my padać będziemy musieli. —

I pomilczawszy dodała.

— Pamiętaj i o tęg że pieniądz i skarby zdradą kupione nie szczęscą się. — Czém Petrek tak wielkim stał się? — Na wojnie zdobycz, choć krwią zbroczona, swoję tęg jest obmyta — a ta. —

Potrząsa stara głową.

— Nie — nie. — Nie myśl o tęg dziewczce. —

Jaksa się smutno uśmiechnął. —

— Myśleć o nięj po dobrej woli nie będę, a mimowoli muszę, bo mi się upodobała.

— Zapomniećby lepiej — dodała matka. Tyś mąż i pan, uczynisz sobie co zechcesz, ja, choć matka, rozkazywać ci nie będę — ale twoja dola nie tam! nie tam!

Przyznał się dopiero Jaksa, że go na dwór ks. Władysława wysyłać chciano, przypisując to Biskupowi i powiadając że sam nie był od tego, aby pożyć w Krakowie. —

Stara i na to głową potrząsała.

— To już inna sprawa — odezwała się — w tém będzie stanowić wola twoja, ja ni zatem ni przeciw temu. — Nie radabym cię wypuszczać z domu, inaczejem sobie układała, a doli się trudno opierać. — Jaksowie zawsze przy książętach bywali i u nich rośli — rób co chcesz, jakoś winien. —

Rozmów się jeno wprzód z ks. Marcinem — stary kocha cię jak ja i wychował, Kraków i ludzi zna. — Posłyszysz co on powie.

Dla stariej Hanki słowo i sprawa były jedném, ledwie napomknęła o ks. Marcinie, nieupłynęło dwa pacierze, gdy posłaniec biegł do Miechowa po niego. Nazajutrz rano ks. Marcin się stawił. Stary był, silny jeszcze, ale już wielce skolatany, głowa mu ciężyla ku ziemi, gięły się barki, a gdy dłuższy czas siedział, trzął się. Okryty prostą suknią czarną, w wysokim birecie, z kijem w ręku, z nogami nabrzękłemi, na których onuczki tylko i chodaki nosić musiał, wszedł starszek wesoło do dworca znanego sobie od lat tyłu, w którym był jak w domu, błogosławiąc, uśmiechając się, szukając oczyma wychowańca.

— Gdzież mój chłopiec? — pytał po drodze.

Gdy go zobaczył kij mu z rąk wypadł, usta się rozśmiały, wziął go za głowę i całował zaczął. Jakska też jak ojca go po rękach i ramionach całował. Matka stojąc a patrząc śmiała się zarazem i płakała.

— Siadaj ojcze — ozwała się, byleś nam potrzebny. Mnie baby on nie posłucha, ani ja mogę mu rozumu mojego narzucać, tobie ufa, tyś stary — rozmówcie się o tém co mu radzą i gdzie go wiodą.

Ks. Marcin wciąż jeszcze patrzył, uśmiechał się, oczów nie mogąc oderwać od pięknego chłopaka, którego niemal od dziecka na rękach wynosił. — Znowu Marek musiał rozpocząć opowiadanie całe o łowach, obłędzie, o tém co widział i słyszał, co mu naostatek radzono. Tylko w opisie dworu Petrkowego pominął Błogosławę, nie wspomniał o niej wcale. Było to może niemniejszym znakiem że go obchodziła, od wyznania matce uczynionego. —

Ks. Marcin posłyszawszy o tém, że ks. Janik na dwór ks. Władysława chciał Jakse słać, zadumał się głęboko i długo nic nie mówiąc, ważył i rozważał. Dopiero gdy Jakska dokończył i zamilkł, odezwał się nie rychło.

— Co ja ci mam mówić? — co radzić? — Jam prosty człek, a toć Pastérz, osoba wysoko siedząca, widząca daleko. Ja nisko stojąc tylko to co blizkie dostrzedz mogę. Czemże mój mały rozum biedny przeciw jego mądrości? Ks. Janik wam stryjem jest, więc jakby ojcem, bo własnych ze krwi niema dzieci. Życzy ci dobrze pewnie, widzi bystro, mogąć ja stawać przeciw niemu i moje proboszczowskie obawy kłaść na szalę? — Ani mi się to godzi czynić, anibyć śmiał...

Pomyślał chwilę. —

— Na dwór jechać? — czemuż nie? — Tamtędy droga do Żupaństwa, na Województwo, do wszystkiego przy łasce pańskiej i do srogiego też boju z ludźmi zazdrośnemi. — Dwór, dziecko moje, toć zwierzyniec, do którego i dzikiego i swojskiego napędzają stworzenia, gwoli uciezce pańskiej. Znajdzie się tam, jak w zwierzyńcu, wszelaki zwierz dobry i zły, dziki i swojski i łanie gładkie i wilcy okrutni i lisy chytre; ale Lew pan i Lwu tam służy co żyje. Kto w łaskach u Lwa, ten w niełasce u ludzi, choć mu czołem bić będą; a padnie na kogo niełaska łatwo traci głowę i życie. I dobrze tam jest i źle. — A ciągnieź cię co do dworu? —

Jakska poruszył ramionami.

— Cóż mam poczynać w domu?

— Pewnie, — potwierdził ks. Marcin, młody się poruszać musi, aby w nim krew nie zakrzepła.

A spuściwszy głowę na piersi, tak dalej ciągnął — głos zniżając.

— Jeżeli na dwór dla czegoś na pana Władysławowy, chyba że najpierwszy i najznaczniejszy? — Wierzę iż pan dobry jest, miłościwy i cnoty ma ojcowskie, ale mu jednej brak — mężem nie jest. Miękki pono do zbytku, słaby, — w pychę go wbijają Niemce, rządzi nim niewiasta, — ludzie szepcą, że tylko co nie widać jak się rzuci na braci.

Tak ci bywało i u nas i gdzieindziej. Cesarze i ich bracia a dzieci dla dzierzenia potęgi się pożerali. — Ale na jednego Władysława a kupkę Niemców, jest trzy dzielnice i trzy młode prawice, a za niemi stoją pasterze, stróże sprawiedliwości. Łacno go spotkać może

co syna Ryksy spotkało. Po niego potem szli ludzie, bo ziemia była bezpańska, po tego nie pójdzie bodaj nikt, bo jest komu wodze wziąć...

Krucho siedzi Władysław na Krakowie, jeśli prawda, że przeciw braciom spiskuje, — a po cóż ci siadać do dziurawej łodzi?

Dokończywszy ks. Marcin smutnie się zadumał.

— Wy to, mój ojczu, — widzicie prorocze mi oczyma, — odpowiedział Jaksza, ale to wszystko we mgłach jeszcze... Wszyscy młodzi książęta siedzą jeszcze na dzielnicach swoich i rządzą w nich, Władysław doma się trzyma, i o nic nie odzywa.

Ks. Marcin się począł uśmiechać. —

— Ludzie co z Krakowa jadą, inaczej mówią — odezwał się. — Wróżą że tam lada dzień coś wybuchnie. Sposobią się wojska choć niema nieprzyjaciela, ludzi ściągają i płacą. Księżna Agnieszka pokoju mężowi nie daje, aby sam jeden królował koniecznie.

— Toć jam człek wojenny, zawołał młody, do wojny się powinienem sposobić, czemu bym nie miał tam iść gdzie się ona gotuje?

— Dziecko moje — odparł ksiądz, albo to wojna z Niemcami, z pogany, z Pomorzaniem, z Lutyki, z Połowcami i Rusią? To wojna, w której Jaksza będzie musiał iść na Jaksę... Doliwa na Doliwę, Bogorya z Sandomierza na Bogoryę z Krakowa. Brat na brata, jak książę sam na swych rodzonych. Takięj wojnie p. Bóg nie błogosławi.

— Prawda, mój ojczu — rzekł Jaksza, nie myślałem o tém, ale nim do niej przyjdzie i czy ona będzie?

— Na dwór ci się chce — przerwał ksiądz — to darmo — ciągnie cię tam! Na Komorowie ciebie strzymać gdy jedna stara matka a drugi sługa stary przytrzymywać chcą? trudno... Nie wiąże cię nic. —

Stara matka słuchała rozmowy to zbliżając się to oddalając, po tych słowach podeszła ku nim.

— Ojczu mój — odezwała się — jemu już trzeci lat dziesiątek dochodzi. — Wygląda młodo, ale mu na gniazdo czas, tembardziej, że w gnieździe jeden jest. Zrywa się ztąd jak ptak co pary szuka. Sam nie wie czemu i zaczął mu tęskno, toć wola Boża.

Ksiądz spojrział, — Jaksza się zapłonił cały.

— E! rzekł — nie tak mi pilno jak się matusi zdaje!

— Ty sam niewiesz o tém, a oko matki patrzy w ciebie i widzi w głębi aż do wątroby — (serca). Cóż w tém złego? Mnichem nie chciałbyś być! jeden u mnie jesteś, mnie wnuki kołysać czas. — Mnie też pilno. — Żenić cię trzeba, — żenić. —

Zwróciła się ku księdzu. —

— Prawda, — ojczu?

— Tak — tak mówi Apostoł — szepnął ks. Marcin, potrzeba by się żenił, kto w grzechu żyć nie chce. —

Przerwał stary. — Jaksza nagliła. —

— Mów ojczu za mną, prawda, — niech się żeni!! Ja powiedzieć tego jak ty nieumiem.

— Ani ja — ani ja, mruknął ks. Marcin. Nie nasza rzecz małżeństwa i niewiasty zalecać, bo wiele między nimi złych jest i złego wiele przez nie przychodzi a mało takich jak wy, pani matko, coś dziecku za ojca i macierz stała. —

— Jak ja? smutno się śmiejąc podchwyciła wdowa. Ja! niewiastą byłam na chwilę tylko i to krótką, los mój uczynił mnie, ot czémś ni babą ni mężem. Ani się już znam do niewiast, ani mi się godzi mężem zwać. — Matką ledwie umiała być, żoną począwszy aby osierocić rychło. Poszedł mój do grobu i co niewiasty we mnie było, zabrał z sobą. Mnie za przykład nie stawcie! Ja innéj dla niego chcę, takięj jakiej chyba nigdzie niema, coby umiała być żoną i matką a niewiastą — bo mu i lice krasne potrzebne i usta śmiejące się i ręce białe.

Ksiądz się ofuknął strzepując rękami. — Dajcież pokój! dajcie pokój! pani Hanno! Co synowi głowę macisz! Niechaj sobie żony sam szuka, to najlepšíj, znajdzie ją, to błogosławiemy. —

Wdowa bystro spojrziała na syna.

— Niechaj szuka i sama dodała — a niech na gniazdo pamięta. — Wiana mu nie potrzeba, złota nie łakniemy, mocy też mamy w sobie dość, ino, by pocziwa krew a serce dobre!

Ksiądz się niecierpliwie poruszał.

— Toście mnie tu widzę ściągnęli, rzekł, — abym ja jemu kazanie o małżeństwie prawil, nie moja to rzecz!

— Do małżeństwa niewiem jak przyszło — odparła stara — chciałam pytać o radę czy na dwór jechać czy nie?

Ksiądz ręce podniósł do góry, a potem głowę i oczy.

— Jam stary i ślepy, nie widzę nic — rzekł broniąc się — boję się wszystkiego. — Powtórzę com mówił, Pasterz tak chce, stryj radzi, — nie wiódłby na zgubę.

— Ja też tak sądzę! — odezwał się Jaksa.

— A ja znam ks. Janika — przerwała matka, szanuję go, pocziw jest, lecz bystrego wzroku niema. Gdyby o psa lub sokoła szło, nie spierałabym się!

Potręsała głową, syn się rozśmiał, — stary ksiądz usta otworzył zdumiony śmiałą mową, bo nawykł był zwierzchników duchownych szanować. —

— Nie darmo mię poganką zwą — ciągnęła dalej stara Hanna, gdy stoi u ołtarza, pasterz on dla mnie i ojciec, a gdy w izbie siedząc u kubka ze psy się zabawia, taki człowiek jak i drudzy.

— A toć istne pogaństwo! — wykrzyknął gwałtownie ks. Marcin, grzeszna mowa! Nie taki on człowiek jak drudzy, bo namaszczony jest na żywot cały nie na godzinę jedną, którą stoi u ołtarza. — Kapłanem on i pasterzem zawsze! zawsze!

Stara poganka usłyszawszy mowę gorącą, zamilkła chmurno. — Co miała rzec dwóch przeciwko sobie znajdując? Czoło się jój namarszczyło, podparła twarz na dłoni — nie odezwała się już więcej.

— Matusiu — rzekł Jaksa widząc matkę smutną. — Niebójcież się wy o mnie. Kraków nie za górami. Pojadę, popatrzę, służba nie wiekuista, ani niewola.

Źle będzie, nie po myśli, precz się usunę. Niech ks. Janik nie mówi, że m łaską jego pogardził, że radę odrzucił, niech się pan Petrek na mnie nie gniewa.

— Od Petrka zdala! zdala! mruknęła matka.

— Bogobojny to pan jest — odezwał się głowę skłaniając ksiądz. Daj nam Boże takich jak najwięcej. —

— Wam ale nie nam — poprawiła Hanna sierzisto. — Wam on za grzech swój płaci to go miłujecie, a ja go za grzech ten nie cierpię.

— Bóg grzechy sędzi i cnoty waży! a kto bez grzechu! — odparł ks. Marcin. — Nie rzucajcie kamieniem.

— Ja go ani sądzić nie chcę, ni widzieć, ni słyszeć o nim! — zakończyła Hanna zwracając się ku synowi, który z rumieńcem na twarzy, pozostał milczący.

Ks. Marcin nie odezwał się też, nie mogąc dobrze zrozumieć co starą tak oburzało i w niepokój wprawiało.

Dla Jaksów nawet, choć się ci do najmożniejszych rodów liczyli, Petrkowa córka była małżeństwem wielkiem, niosła z sobą nietylko bogactwa ojca ale związki jego i znaczenie po wszech ziemiach. — Poganka jednak nie chciała jój dla syna, obawiała się. Bogaty a tak nagle i dziwnie wywyższony ulubieniec Krzywoustego, dla starych rodów miał zawsze na sobie znamię obcego przybysza, co się gwałtownie dobił znaczenia i przywłaszczył stanowisko. Obawiano go się dla gwałtowności wielkiej, zuchwalstwa z jakim się wszędzie stawil, na równi chcąc być bodaj z panującymi, i szanować się każąc choć sam nie chciał uszanować nikogo. Obawiała się też przezorna matka wciągnięcia syna przez Petrka w niebezpieczne zabiegi, w niespokojne jego i ruchawe życie. Wolała go widzieć panującym w swoim domu, niż posłusznym towarzyszem Palatyna. Miała przeczucie, że Petrek, co się zawsze rzucając szedł coraz dalej, nie pozostanie przy tém co miał, nie ograniczy się samém budowaniem kościołów, które teraz po wszech ziemiach stawil, o czém szeroko głoszone. Wielkie te ofiary samėj pobożności przypisać było trudno, tłumaczono je więc pokutą za grzechy dawne, które ludzie wymyślali przez zazdrość, bo mąż silny był współzawodnikom solą w oku.

Nasłuchiwała się o tém stara Hanna, i brzydziła tajemniczym tym Władyką, który urósł z niczego.

Jaksa postrzegł, że z matką już o pięknej córce Petrkowej mówić nie było sposobu, pomyślał sobie jednak w duchu, że gdyby ją raz przywiózł do Komorowa, Hanna by ją, podąsawszy się, za córkę przyjąć musiała, a urokowi jój oprzećby się nie mogła.

## VI

Niemal wiek cały upływał od czasu jak Szczodry na Zamku Krakowskim z Boleszczycami uczyty wyprawiał. Opuszczony po nim gród doczekał się dopiero za Krzywoustego nowego życia, a z niem i miasto u stóp Zamku rozsiadające się i przedmieścia poczynały coraz bardziej zaludniać się i ożywiać. —

Kilka kościołów wznosiło się już wpośród wałami otoczonej stolicy, kilka domostw kamiennych widać było tu i owdzie. Reszta z drzewa budowana, wśród ogrodów i zieleni skryta, nie miała dzisiejszych miast pozorów. Nawet do koła wielkiej targowicy wpośrodku, otoczonej szopami na słupach wspartymi, gdzie były gospody dla kupców obcych, którzy ciągnąc przez ziemię tę, stawać w nich musieli — nie wiele wspaniałej wyglądały budowy. —

Nigdy u nas miasta samą ludnością miejscową na prawdziwe ule mieszczańskie urosnąć nie mogły; miast u nas nie znano, ino wsie i targowe rynki. — A wieś u nas, jak dwór, była obozem rozbitym wśród wygodnego miejsca, namiotem w którym się koczowało, nie zasiadając na wiekiistość. — Starodawny nałóg czysto wojowniczego i rolniczego narodu nie dopuszczał zamykać się po grodach ciasnych, chyba z musu. —

Ludzie potrzebowali roli dużo, powietrza wiele, swobody ruchu i wolności dla siebie. Nielubiono miasta jak więzienia, w mieście też gromada panowała, człek się stawał jej niewolnikiem, na wsi każdy w domu u siebie był panem. Obyczaj miejski przynosili z sobą cudzoziemcy, Niemcy najwięcej.

Jeszcze dla nich nie nadszedł był czas zawojowywania koloniami swemi krajów całych, jak to później rozpoczęli, ale już w dwunastym wieku wciskali się gdzie mogli bezkarnie, gdziegdzie z bronią w ręku, ziemi zagarniając jak najwięcej. Nienawidzony Niemiec od pierwszych Piastów płynął do Polski potajemnymi drogami, wioząc towary, przynosząc religijną naukę, rozpościerając się po dworach pańskich, w których wszystko poczynało być niemieckie, żony, sługi, dwory, księża, zbroje i sprzęty. —

Cesarze, księżęta dawali chętnie siostry swe i córki do Polski, wiedząc, że tym sposobem drogi sobie do niej ścielą. Niemogąc orężem pokonywano Mieczysławów i Bolesławów wpływem ich żon, które choćby nawet z klasztoru brać im dopuszczano — byle królowały. Za księżną szedł kapelan, marszałek, służebne, rycerze, język, obyczaj. — A że trochę oglądy od Włochów nabrali niemieccy księżęta, tu się ona podobała i przyjmowała.

Po ojcu Krzywoustym wziął Władysław Kraków, mało jeszcze mając czasu coś w nim odmienić. — Ale ojciec jego ztąd panował całej ziemi, jemu przypadała część jej tylko i prawo braterskiego starszeństwa, głowy rodu i domu. Ze skarbców, ze zbrojowni, ze wszystkiego mienia trzeba było oddać młodziej braci część na nich przypadającą, a tych strat nie wynagrodził posag księżnej Agnieszki, która więcej z sobą dumy przyniosła niż zasobów i skarbów.

Dla tej pani i zamek się musiał przystrajać na nowo, bo niezapominała, że była siostrą przyrodną cesarza. Chciała tu nie na dzielnicy jednej skromnie siedzieć, ale nad całym krajem panować. —

Krzywousty w istocie najstarszego uczynił głową i dał mu władzę zwierzchnią nad braćmi, ale oni byli równemi mu księżętami, z których każdy panował u siebie. Wspólne tylko niebezpieczeństwo i sprawy wspólne miały ich pod starszego chorągiew gromadzić. — Ziemie były w związku z sobą, ale nie w podległości, krakowska dzielnica siostrą starszą szła przodem. — Tu zaś w Krakowie nie pomału się około tego krzątano, jakby rozbite ziemie w jedno złąć, władzę w jedną rękę dać, a młodszą bracię wydziedziczyć. Mówiono o tém głośno, wzdychano nie tając się. —

Zamek roił się Niemcami, a i ci z domowej służby, którzy niemi nie byli, na sposób niemiecki przystrojeni i uzbrojeni chodzili.

Gdy Jaksza z listami biskupiami i zaleceniem od Petrka przybył do Krakowa, dosyć dworno w kilkanaanście koni, nie jechał wprost na Zamek, ale obyczajem ówczesnym gdy gospód dla rycerstwa w mieście nie było, wprosił się do zamożnego mieszczanina Lorka, który Jaksów zdawna znał i chętnie ich u siebie podejmował. Ztąd dopiero przyodziawszy się, miał się udać do Biskupa i do księcia Władysława; gdy, stojąc jeszcze w ulicy a roz-

glądając się, postrzegł od Zamku idącego strojnego i zbrojnego mężczyznę, który, jakby tylko co z konia zsiadł, przy ostrogach, w płaszczu sunął kędys szybko między ogrody. —

Młody chłop ów, wyglądający na dworaka, wiekiem równy Jaksie, pogwizdywał idąc a oczyma rzucając na wszystkie strony, twarz mu się śmiała, był dobrej myśli. — Mijał już dworek Lorka, niepostrzegłszy Jaksy, gdy ten wpatrzywszy się w niego, poskoczył doganiając uchodzącego.

Gdy z ks. Marcinem w Niemczech na naukach był, trafiło mu się, że niemieckiego pana syn Helmut z Pfordten razem z nim czas jakiś w Trewirze bawił, gdzie się z sobą pobratali i poprzyjaźnili.

Twarz, ruch, głos w przechodzącym, wszystko mu tak Helmuta przypominało, iż choć nie rozumiał coby on tu mógł robić, postanowił z bliska się przekonać, ażali nie on sam był.

Gdy Jaksza poskoczył, a idący się ku niemu odwrócił, wlepił weń oczy zdziwione naprzód z wyrazem groźnym, potem począł doń uśmiechać.

— Helmut?

— Jaksza! — zawołali prawie razem.

— Żem ja tu się znalazł, dziwu niema — rozśmiał się Jaksza — bom ja na swojej ziemi i niedaleko od swojego gniazda — ale wy??

— Ja? — odparł Helmut. — Trzeba, żebyście wiedzieli, mój miły, że prawdziwemu rycerzowi gniazdem jest ten ziemi kawałek, gdzie on zatknie włócznię swą z proporcem. Potrzebna mu włóczęga i szukanie przygód. Dopiero na starość, gdy nogi się połamią, grzbiet zgarbi, siada gdzieś w stariej jak sam dziurze, aby tam kości położył!

— Ale cóż cię tu do nas mogło przyprowadzić?

— Ochota przypatrzenia się jak się tu u was żyje, co na północy za rycerstwo? jak wyglądają dziewczęta wasze! — rozśmiał się Helmut. — Ja bowiem żyję dwojgiem tylko, wojną i miłością.

— Toś się do nas źle wybrał, przyjacielu — rzekł Jaksza — wojny pod czas nie mamy, Bogu dzięki; niewiasty nasze po waszych trudno aby się wam podobały!

— Jestem przy dworze ks. Agnieszki — odezwał się Niemiec — nie jest tu tak źle bardzo. Naprzód, że ma przy sobie dosyć naszych dziewcząt niemieckich, a potem — boć to nikomu nie tajno, dwór to dziś jeszcze książeący, ale wprędce urośnie, królewskim się stanie, więc jeszcze przybędzie mu rycerstwa i niewiastek...

Jaksza niedowierzająco potrzęsł głową.

— No — a ty? — spytał go Helmut.

— Ja także na ten dwór się myślę dostać, ale jeszcze nie wiem sam czy będę przyjęty i czy się pomieszczę.

Niemiec słuchał już roztargniony, spieszył się i wyrywał, podglądał w ulicę, szepnął coś żywo na ucho Jaksie, podał mu rękę i pobiegł. Łatwo się było domyśleć, że gdzieś piękną mieszczkę miał upatrzoną, za którą gonił. Polowanie to jednak nie musiało się poszczęścić, bo w pół godziny wrócił do Jaksy kwaśny, zły, po niemiecku klnąc polskie dziewczęta, że się do nich zbliżyć nie było podobna.

Siedli razem w izbie, którą dla gościa Lorkowa opróżniła i teraz dopiero szerzej się rozmówić mogli. — Helmut pochwalał bardzo Jaksie, iż na dwór księcia a raczej księżnej przybywał, gdyż znać się zdawał tylko ks. Agnieszkę. Zapewniał, że pani młode twarze i młodych ludzi lubi, a rada się świetnym ich otaczać orszakiem.

— Ja bo księżnie służyć nie myślę — przerwał Jaksza.

— A komuż? — spytał Helmut.

— Księciu — rzekł Marek.

Rozśmiał się Niemiec i dziwną zrobił minę, jakby go sobie bardzo lekko ważył.

— Nie ujmuję waszemu księciu — rzekł — zacny pan jest, ale masz to wiedzieć, żeć przecie przy siostrze cesarskiej on wiele znaczyć nie może. Kiedy ją brał ks. Władysław łącno mógł obrachować, że ona tu panować musi.

— To u nas nie jest w obyczaju — rzekł Jaksza.

— Nie wiem co w obyczaju — odparł Helmut — lecz kiedy was to szczęście spotkało, że wam dano przyrodnię cesarską — musicie ją poszanować. Ona też sama wie, co jój należy i nie da o tém drugim zapomnieć.

Udasz się do księcia, on sam nie uczyni nic, odeśle cię do Dobka, Dobek zapyta ks. Agnieszki, a że ona zwykła się zdawać na niego, wyszłoby na jedno, gdybyś od razu wprost Dobkowi się pokłonił!

Jaksa, chociaż słyszał o ulubieńcu księżnej, udał jakby go nie znał i nie wiedział o nim, pytając.

— A Dobek ten, cóż to zacz?

Na to pytanie Helmut ręce załamał.

— Zkądże przybywasz? — zawołał.

— Z mojego gródka — rzekł spokojnie Jaksa.

— I o Dobku tam niewiecie?

— Wiem o naszym księciu, o wojewodach, Żupanach, urzędnikach, o ojcach duchownych — ale — o Dobku! cóż mi tam jeden jakiś dworak! Któż on? Polak? Niemiec? — począł Jaksa zwolna.

Helmut dziwować się począł.

— Patrzcież go! — zawołał — na dwór jedzie, niewiedząc co się na nim dzieje, kto tu rządzi i co kto znaczy!!

— Nauczcie mnie — rzekł obojętnie Jaksa.

— Trafieś na takiego co więcej zgaduje niż wie — począł Helmut — zawsze jednak pono lepiej od ciebie będę uwiadomiony. Co do pana Dobka, mnie się on na pewno wydaje Niemcem, choć on i za waszego brata uchodzić i sprzedawać się umie. Za młodu pono dostał się do was, żył i tu, powracał do Niemiec, chleba kosztował wszelkiego, jest tym kim mu być potrzeba. U księżnej Agnieszki on wszechmocnym, marszałkuje u niej, u króla, nadwornemu rycerstwu hetmani, trzyma od skarbcza klucze, jest pierwszym doradcą — a reszty możesz się sam domyśleć, bo mi się mówić nie godzi.

Śmiać się począł Helmut.

— Chcesz rady i przestrogi — dodał — masz wiedzieć, że tu niema w Krakowie jeno księżna pani, a Dobek — książę się z dziećmi bawi, na łowy jeździ, gonitwy sprawia i wczasu używa.

Do niego ci darmo iść i prosić o cokolwiekbądź — nie może nic.

— Mam silne polecenia i listy od stryja mojego biskupa — wtrącił Jaksa.

— Zostaw je w kieszeni — przerwał Helmut — więcej ci to zaszkodzić niż pomódz może. Choć obcy nasłuchałem się przypadkowo mów różnych. — Z biskupami my tu niekoniecznieśmy w przyjaźni. Od Wrocławia zaś zawiewa owym Petrkiem, którego tu nienawidzą. Dobek zazdrości mu i odgraża się nań. Wnet Cię w podejrzenie podadzą listy i niechęć ściągną.

Roztropny Niemiec w istocie życzliwą dał radę i Jaksa musiał uznać, że miał słuszność. — Potrzebował się dobrze rozmyśleć co miał począć teraz, a gdy Helmut po długim posiedzeniu go pożegnał, Jaksa, który gotów był na dwór jechać, wstrzymał się, ważąc z sobą, jak postąpić. — Ciągnęła go młodzieńcza ciekawość, — wstyd się było cofać, a lękał fałszywego postawić kroku. Zrażało go od dworu to szczególnie, iż ten nieprzyjaciół Petrika miał być pełen, a on właśnie dla niego i rodziny najgorętszą powziął życzliwość. Z drugiej strony jeźli co knowano, czy nienależało mu rozsluchać się, dojść, aby w porę ostrzedz zagrożonego?

Tak jeszcze wahając się, poszedł tego dnia na dwór biskupi, niosąc pokłon od ks. Janika.

Po wrocławskim biskupim dworze, tutejszy wcale odmienną miał postać; podwórca stały ciche, ludzi było nie wielu, spokój wielki, duchownych więcej niż rycerzy, niż sług i świeckiej drużyny. A świeccy nawet tutaj mieli w pół klesze postawy i obejście.

Przystęp do pasterza nie był trudny; wpuszczono go natychmiast. Staruszek przygarbiony z twarzą łagodną, włosy siwemi, wyszedł powolnym krokiem ku niemu na kijku się opierając. Był to Rupert Korabita, niegdy także wrocławski pasterz, potem krakowski, mąż miłujący spokój, dla ubogich dobroczynny, wszystkim przystępny, ale już podeszłym wiekiem oderwany od świata i więcej o przyszłych myślący rzeczach. Pierwszy to był pono pasterz w Polsce, co po kilkudziesięciu latach pasterstwa w jednej owczarni, przeszedł z niej na drugą.

Gdy mu Jaksza od ks. Janika poselstwo sprawiał, na wspomnienie Wrocławia uśmiechnął się staruszek i westchnął głęboko.

— Z Wrocławia więc jedziecie — odezwał się — o! jak miło mi widzieć was! Tęsknię dotąd za moją pierwszą owczarnią i trzódką wiernych, z którymi tak dobrze mi było, wprawdzie, niech imię Boże będzie błogosławione, dobrze jest i tu! ale się dawne lata chętnie na starość wspomina.

Potrząsł głową siwą. — Tutaj stolica, pański dwór, ludzi wiele, tłumno, gwarno, pokoju mniej, a ja więcej go dziś pragnę.

I począł rozpytywać o Wrocław, o Petrka, o Opata, o wiele osób i rzeczy, o których Jaksza mało mu powiedzieć umiał.

W ostatku rozjaśniło się o co szło, iż ks. Janik prosił, aby ks. Rupert młodzieńca do dworu pańskiego polecił i wstęp mu doń mógł ułatwić.

Starzec pilno i długo popatrzył na mówiącego.

— Do zalecania jam się mało zdał pono, dziecko moje — odezwał się biskup — u dworu nie wiele mam zachowania, szczęścia do niego jeszcze mniej. — Księżna pani kapelana ma Niemca, księcia ja widuję mało, chyba czasu uroczystości. Na nas duchowną starszyzną źle tam patrzą, zwłaszcza na ojczyców, cośmy tutejsi.

A po chwili szepnął biskup półgłosem.

— Marszałek Dobek nie jest mi życzliwym.

Znowu ze wspomnieniem o Dobku spotkawszy się Jaksza, mógł się przekonać, że niedarmo o jego wpływie i mocy mówiono powszechnie. Ks. Rupert zaraz zmieniając rozmowę, powrócił do wrocławskich rzeczy, do ks. Janika i Petrka, o którym sobie rozpowiadać kazał wiele, bo go szanował i kochał. Naostatek nie obiecując nic i nie ofiarując pośrednictwa swego, któreby się przydać nie mogło, staruszek odpuścił Jakszę z błogosławieństwem.

Nie pozostawało więc nic, jak nazajutrz samemu na dwór iść i drogę sobie torować. Nie myślał jednak za radą Helmuta ani Dobka szukać, ani się do księżnej wciskać, ale wprost księciu się stawić.

Gdy wypocząwszy po drodze, rano się na zamek wybrał, słońce już było wysoko na niebie. Koni i ludzi nie brał nie widząc potrzeby, bo do zamku niedaleko było, a tam się dwornie stawić, na nic nie zdało.

W bramie znalazł straż niemiecką z hallegardami, która go przepuściła nie pytając, zobaczywszy rycersko odzianego młodzieńca. W dali pode dworem widać było liczną zwiżającą się czeladź, odzianą barwy jasnymi, w sukniach przepołowionych, pół czerwonych, pół żółtych, strojną i żwawą.

U drzwi jednych gromada jej stała znaczna. Jakszie zdało się, iż tu być musiały komnaty księżęce. Dwornia zmierzwszy go oczyma z uśmiechem i lekceważeniem, gdy o księcia zapytał, odprawiła wskazując drugą wystawkę, przed którą dwóch starszych ludzi na ławach siedziało.

Trafił Jaksza omyłką do ks. Agnieszki dworu, a że się tu chwilę dla rozpytania zatrzymał, marszałek z okna nieznanego zobaczywszy odzianego przystojnie, sam wyszedł przez ciekawość ku niemu.

Łatwo się było Jakszie owego Dobka w nadchodzącym domyślać, którego też dość ciekaw był. A miał się komu przypatrzeć, bo marszałek pięknym mężczyzną był, wzrostu okazałego, statury mężczyź, włosów ciemnych, piersi wypukłej, w sile wieku i zdrowia. Przedstawiał się pańsko i rycersko, strojny aż do zbytku jakby na dzień świąteczny, choć był powszedni, jakby się chciał sobą chwalić i popisywać. Oblicze miał wesołe, rumiane, oczy jasne, ale jakby szklane, nie mówiące nic. Mężczyzn i kobiety czasem natura takimi na świat wydaje, jakby ich na szyderstwo tworzyła; da im wszystko co potrzeba, aby pięknymi byli, tylko w nich duszy nie włoży. I chodzą te istoty, jakby złote latarnie, w których światła nie zażegnęto. Takim właśnie był ów piękny Dobek, który choć nań patrzeć miło było, ani rozumu, ani szlachetniejszego nic w sobie nie miał. Piękność ta zniknęła, gdy się w nią pilnie wpatrzeć było.

Już Jaksza zdala go zobaczywszy miał odchodzić, gdy marszałek skinął nań i zawołał, czegoby potrzebował?

Choć ze wstrętem zapytany odpowiedział, że się księciu panu chce pokłonić.

Więcej z niego nie mogąc dobyć Dobek, który się spodziewał pokłonu dla siebie, dumnie usta wykrzywiwszy dał mu ku drugim się drzwiom obrócić. Tu, owi starzy słudzy, na zapytanie o pana, trochę okazawszy zdziwienia, iż ktoś ks. Władysława widzieć zapragnął, do którego mało się kto wprost udawał; powiedzieli mu, że książe nocą z łowów powrócił i jeszcze zasypia — ale wkrótce się pewnie obudzi.

Dodał jeden, wskazując izbę, że jeśli chce, poczekać tam może.

Pocichu wszedł do niej Jaksa.

Stała prawie pusta, kilka psów się w niej wylegiwało, te posłyszawszy nadchodzącego, głowy popodnosiły, ziewnęły i znowu spać się pokładły.

Kilku dworskich w ciemnych kątach drzemało na ławach; pacholąt dwoje szeptało coś przekomarzając się sobie.

Siadł i Jaksa na ławie cierpliwości zażywając, co chwila się spodziewając jakiegoś końca oczekiwaniu i nie wiedząc czy siedzieć dłużej czy odejść precz.

Przed jednym ze starszych co tu na przebudzenie pańskie oczekiwali stał zegar piaskowy, z którego zwolna piasek ciekł, a gdy się do ostatka wysypał, stary poruszał się, przewracał naczynko, siadał wygodnie i patrzył osłupiałymi oczyma jak ziarenka z jednego naczynka w drugie zwolna się przesypywały.

On i ta klepsydra stanowili niby jedną istotę stworzoną do mierzenia czasu bez czucia jego biegu.

Kiedy niekiedy wśród ciszy, jeden ze psów mruknął wyciągając się, drugi przez sen zaskowitył, pachole w kącie, śmiech tłumiąc prychnęło, i znowu grobowe wracało milczenie.

Od niedalekich drzwi księżnej pani aż tu dochodziły głosy wesołe i dźwięczne, tam się wszelkie życie zamkowe skupiało.

Trwało to już Jaksa niewiedział jak długo, bo przewracania klepsydry nie liczył, gdy wręście na odgłos kłaśnięcia w ręce, weszli dworzanie do komnaty pana, posunęli się za nimi z naczyniami, wodą i ręcznikami pacholikowie, trochę ruchu się wzięło. — Zaniesiono księciu polewkę ranną, wprowadzono doń dwa psy ulubione. Za drzwi zasłoną słyhać było rozmowę prowadzoną zwolna, głosem donośnym i jasnym.

Zbyt długo już napróżno tu się wyczekawszy Jaksa miał odchodzić z niczém, gdy jeden z podkomorzych dał mu znak, że książe wynijdzie wkrótce. Na tego przybysza niezwyklego wszyscy tu patrzali mocno zaciekawieni i zdumieni, jak gdyby się nigdy nie trafiło, by tu kto ze sprawą, z prośbą, z pokłonem do księcia się udawał.

Naostatek podniosła się zasłona, przodem wystąpiły dwa psy ogromne, za nimi szedł stary otyły mężczyzna z laską, po nim dopiero sunął książe, którego Jaksa domyślił się z tego, że miał głowę nakrytą. Inaczej może trudnoby go było rozeznać wpośród dworu, gdyż pańskiej postawy nie miał. Blisko pół wieku już przeżywszy Władysław na twarzy wyryte miał jakby zobojętnienie do życia, spokój i łagodność jęj graniczyły z odrętwieniem. Oczyma rzucał i poglądał tak, jakby go to co widział nie wiele zajmowało, ani radowało, ni smuciło. Rysy już nieco rozlane nie piękne były ani brzydkie, strój nie objawiał dbałości o powierzchowność i okazałość. Suknie na nim leżały tak, jak mu je dano i włożono, nie troszczył się o nie wiele. Jedna poła płaszcz wlokła się po ziemi, druga zadzierała do góry, rękaw założony był na prawej, spuszczonej na lewej ręce.

Zobaczywszy nieznanego Jakse, książe mocno się wpatrzył w niego. Stanął i oczyma zdawał się pytać, coby on tu robił?

— Miłościwy panie — odezwał się młody, schylając mu się do kolan — jestem Marek Jaksa z Miechowa.

— Jaksa? — powtórzył książe. — Jaksów wiem. — Cóż chce Jaksa z Miechowa?

— Przychodzę służby moje ofiarować, miłości waszj.

Książe wysłuchawszy, popatrzał nic nie odpowiadając, mierzył go oczyma w pół sen-nemi od stóp do głowy, jakby niewiedział co ma odpowiedzieć — wreszcie zawahawszy się, odezwał.

— Gdzieżście przedtém byli?

Nie dobrze zrozumiał to zapytany.

— Miłościwy panie, odparł — nie służyłem nikomu.

— Nie byliście u nikogo na dworze? powtórzył uśmiechając się książe.

— Nie, wprost z domu na dwór wasz idę — rzekł Jaksa.

Ks. Władysław zdawał się coraz bardziej zdumionym.

— Rycersko pewnie służyć byście radzi — rycersko? bo to wam przystało.

— Co Miłość Wasza rozkażecie, spełnię — odparł Jaksą.

Podniósł rękę książę, dumiał niepewny jakiś i rzekł w końcu. —

— Dobrze — do Dobka z tém. To jego rzecz — tak — do Marszałka, do Dobka!

Powiódł oczyma do koła, ziewnął kładnąc krzyż na ustach prędko, uśmiechnął się, dobrotliwie młodzieńca po ramieniu poklepał, — mruknął — piękny chłop! i począł iść dalej. Jaksą stał nie wiedząc co ma czynić. —

Rozkazanie pańskie spełnić było potrzeba; zawrócił się nazad w podwórze i rad nie rad, u dworzan pytać począł o Marszałka Dobka, bez którego nic się tu nie działo.

Marszałek był już u swęj pani, czekać mu nań kazano. Miał czas dworowi się przypatrywać, wesolemu, strojnemu, ruchawemu, a znać w dobrym bycie, bo sobie wszyscy cugli puszczała. —

W ubiorach wielka panowała rozmaitość i przepych, tu i owdzie słyhać było nawoływanie tytułami różnemi, oznajmującemi o nieznanym jakichś urzędach i urzędnikach dworu księżnej, jakby na cesarskim mnogich a obco brzmiących.

Wyszedł nakoniec Dobek od księżnej, któremu, gdy Jaksą drogę zastąpił, opowiadając się z rozkazania książęcego, Marszałek spojrzawszy nań, za sobą mu do izby swęj iść kazał.

Jakby dla okazania zamożności swęj wiódł go przez kilka komnat pełnych przeróżnej zbroi, ryszunków i naczyń. W ostatniej sam na krzesło zasłane siadłszy, zwrócił się Marszałek do Jaksy dopytując czegoby chciał, tymczasem oglądając go jako na targowicy konia, co młodemu wielce się nie podobało.

Oba tak, jak to często się trafia, od pierwszego wejrzenia powzięli jakąś niechęć ku sobie. — Dobek za zło mu miał iż się naprzód do niego nie stawił, Jaksie wstydliwem się zdało ładajakiemu ulubieńcowi zmuszonym być się zalecać. — Stawił się dumnie dosyć, jak na możnego rycerza przystało.

Marszałek poczuwszy w nim jakąś siłę, wkrótce się udobruchał i na ławie miejsce mu ukazawszy, począł dość uprzejmą rozmowę. — Jaksą o młodości swęj mu rozpowiedziawszy, śmiałością swą widocznie go zjednał. Począł tedy Dobek prawie nie jasno coś, że wkrótce książę ludzi rycerskich bardzo potrzebować może, zatem i Jaksie miejsce w wojsku poczystne łatwo się znajdzie...

Na zapytanie, jakaby wojna była na widoku, Dobek się uśmiechnął bródkę gładząc i zagadkowo tylko mruknął, że to się niebawem okaże.

Potem zalecał wierność księciu, i sywał obietnicami nagród wielkich, jakich się spodziewać od niego było można; nareście pytać począł co słyhać gdzie było od Sandomierza, Gniezna i Płocka, a innych ziem. Odparł Jaksą że mało co o tém wiedzieć może, bo długo doma nie był, a ludzi wielu nie widział. Badał go tak Marszałek czas nie mały, chcąc zeń coś dobyć, aż o Wrocław i ks. Janika zaczepiwszy, ożywił się jeszcze mocniej; gdy usłyszał, że Biskup Jaksy był stryjem.

— Jeżeliście u pana stryja waszego bywali, rzekł, — to i Pana Petrka widzieliście? zapytał.

Rumieniec mu na twarz wystąpił, a, choć się hamował, widać było, że samo Petrka wspomnienie, gniew w nim wielki obudziło.

— Małom co tam widział, bom i niedługo był — rzekł Jaksą.

— To szkoda! zawołał szydersko Dobek — jest się tam przecie czemu przypatrzeć! Petrek nie lada panek, z książęty się mierzy i na równistać gotów. — Napasł się dobrze za nieboszczyka króla, ledwie dysze. — Sam w zszarzanęj sukni chodzi, a sługi złotogłowem okrywa i dwór trzyma jak książę udzielny... Warto było przypatrzeć się mu, póki jeszcze tém jest czém go Krzywousty zrobił, a co długo nie pożyje!

Na te zjadliwe i pełne nienawiści wyrazy, Jaksą nie odpowiedział wcale, słyhać mu ich było przykro. Marszałek raz wpadłszy na to pohamować się nie mógł i sierdził coraz mocniej, wybuchał, szydził niemiłosiernie. Rozgadał się tak nad miarę.

— Dużo u nas panów i panków, mówił, na tych ziemiach, które księciu naszemu, jako starszemu wszystkie należą, dużo narodziło się wszelakich... Godziłoby się uczynić trochę ładu, aby znali kto tu panem.

Jaksą patrzył tylko i słyhał, a milczenie biorąc za potakiwanie, Marszałek brnął śmiejąc coraz. —

— Strach co panów mamy, ciągnął dalej. — Oprócz świeckich toć i Biskupi na równi stoją z świeckimi książętami! Ks. Jakób ze Znina na Gnieźnie właśnie tak nad nimi głową jak książę Krakowski nad braćmi!! Niewiedzieć kogo słuchać i kłaniać się komu!

Ruszył ramionami.

— Nasz pan w tym tłumie, choć najwyższym powinien być, ledwie go widać, a dotąd i mało o nim słyhać było!!

— Wszyscy mu jednak należnej czci nie odmawiają — szepnął Jaksa.

Bystro nań spojrzął Dobek.

— Nie bójcie się — zawołał, nie da on sobie jęć odjąć! Dobry jest i powolny do zbytku, ale z tego snu gdy się przebudzi, potrafi nakazać posłuszeństwo!.. I czas też aby okazał że dba o władzę swoją, czas! czas!!

Nie dobywszy więcj nic z Jaksy Dobek popatrzał mu w twarz, jakby w nię chciał myśl wyczytać i zakończył.

— Wy służby potrzebujecie u księżęcia, a nam ludzi brak, więc łatwa zgoda. Zbierzcie ludzi swych, gromadźcie, uzbrojcie, aby na zawołanie stawali — to będzie służba wasza. Starajcie się być pogotowiu, nagroda nie minie...

Jaksa wysłuchawszy go, pokłonił się i wyszedł znużony.

U wyjścia spotkali się z Helmutem, który pod rękę go wzięwszy do izby, gdzie się starszyzna gromadziła zaprowadził. Tu już jeno niemiecki szwargot słyhać było, a gdy obcego zobaczono idącego z Niemcem, jak swojego otoczyli go wszyscy.

Na stole dzbany stały i gąsiory, wszyscy byli dobrej myśli, śmiano się i podśpiewywano. Niemiecki dwór księżnej hałaśliwie się zabawiał, rozwalając po ławach, rozsiadając na nich jak na koniach, pasując się, sił próbując i prześmiewając służbę domową, która mowy jego nierozumiała.

— A no! zawołał Helmut — już się wpisał do naszych? Zostajesz więc z nami? Siedziałeś długo u Dobka, zaciągnął cię?

— Książę mnie posłał do niego. — Uśmiechali się niektórzy oczy przymrużając.

— A Dobek co? mówił Helmut. Powinien był cię księżnej pani okazać, boć bez nię, ję rozkazania i woli przyjętym nikt być nie może!

— Ale ja w służbę do księżnej iść nie myślę — odparł Jaksa ostro.

— Do księcia czy do księżnej, obojętna to rzecz, mówił Niemiec — ona tu panią i nad panem. To się wie i tak być powinno. Książę dobry myśliwy, a kłopoty z głowy zrzucił i z tēm lepięj.

Śmieli się niektórzy, przerywali i zagadywali różnie, Jaksa musiał się od nich z Helmutem usunąć na stronę, nie chcąc ani słyhać szyderstw i przekąsów, ani się o nie skłócić.

— Nie mam tu co robić — rzekł do towarzysza — pójdę spocząć do miasta!

— Zabawiłbyś się! wtrącił Helmut.

— Ba, i nauczyć się mógł dużo, zawołał zdala opasły Niemiec szydersko, chcąc widocznie przybysza podrażnić. —

— Czego? zapytał Jaksa.

— Rycerskiego wiele, czego tu u was nie umięją zgoła i czego też wy pewno nie znacie! rzekł opasły.

Jaksa się zzymnął.

— Miły panie, was za nauczyciela nie wezmę!

— A zdałbym się takiemu młokosowi jak wy — krzyknął drab kręcąc węża i pobrzękując na mieczu.

— Arnulf! daj pokój — zawołał Helmut, widząc że się zabiera na zwadę.

— Dla czego mam pokój dać — głos podniósł Niemiec — dla czego? butnemu chłopcu nosa trzeba utrzyć, aby go nie zadzierał. —

— Patrzcie tylko abym ja wam też czego nie utarł! zawołał burząc się Jaksa.

Helmut ręce rozstawiwszy hamował obu, widząc że się im oczy iskrzyły i pięści ścisnęły.

— Chodź się spróbój! krzyknął Arnulf — chodź!

— Ja na to nie pozwolę! przerwał Helmut — to jest mój stary towarzysz i druh — biorę się za niego.

— I obu was się nie zląknę! zaryczał Arnulf zrywając się z ławy.

Świadkowie téj zwady, śmiejąc się, radzi uciesze, poczęli wołać. —

— Na podwórze! na podwórze!

Helmut pochwycił Jakśę pod rękę i wszyscy tłumnie, popychając się, tłocząc do drzwi wytoczyli gromadą w dziedziniec Zamkowy. Przede drzwiami księżnej nie miejsce było do zapasów, poparli się dalej, gdzie za dworcem piaskiem wysypany plac widać było. Jakśa szedł tak zburzony że mu ręka na mieczu trzęsła się krwią miotana.

Niewiadomo do czegooby było przyszło z tych wyzywań, gdyby Helmut, który towarzysza nie opuszczał, niepoczął wołać.

— Na rękę się wyzywać na Zamku nie wolno! Chyba kto chce gardło dać! Z Dobkiem nie żarty.

— Swoim niewolno, dworowi, tak — krzyknął Arnulf, a przybędę jakiegoś obciążę kto mi zabroni?

— Naprzód patrz ty, abys sam nie oberwał — za przyjaciela się zastawiając odparł Helmut. — Ja go znam i wiem co może.

Jakśa stał spokojnie.

— Próbujcie się, dodał pierwszy — zgoda, ale nie przeciw sobie — tylko kto co może! Kto co umieć!

Na wałach stała wywieszona tarcza biała z drzewa miękkiego.

Wpośrodku niej niewprawna czyjaś ręka czarnym węglem nakreśliła człowieka niby straszego, z głową ogromną na dwóch pałkach stojącą. Poznać go było można po dziurach czarnych, które oczy, nos i gębę oznaczać miały.

— Dawaj kusze i strzelajcie! zawołał Helmut — będzie próba kto lepszy.

— Nie zdragam się — odparł Arnulf chwytając podaną kuszę. Jakśa stał w boki się wzięwszy i patrzył.

— W łeb Petrka! krzyknął Helmut.

Drgnął Jakśa słysząc jak tego poczwarnego człeczka zwano, zaśmieli się inni.

— Nie w łeb ale w jedno a potem w drugie oko z kolei, gdy oślepnie dopiero go zwalić — rzekł inny.

— Cóż to za Petrek? spytał Jakśa towarzysza, uderzony tém przezwiskiem.

— A jakizby miał być jeżeli nie Wrocławski ów, którego Dobek cierpieć nie może — rzekł Helmut — ale o tém potem, patrzo, w tarczę...

— W oko! wołał ktoś z boku. Arnulf począł mierzyć kuszę oparłszy, i puścił belt, który poszedł utkwić w prawo po nad głową i czapką narysowanego pana Petrka.

Tymczasem Jakśa chwycił inną kuszę na ziemi leżącą, obejrzał ją, a gdy Arnulf swą ze złością cisnął, podjął tę porzuconą i począł naciągać w milczeniu. Wszyscy się z wielką uwagą przypatrywali.

— Do Petrka żadnego ja strzelać nie myślę i nie będę, bo mi ani żyw ani namalowany nie zawinił nic, do czegoż mam? Hę? wszak ci tam nad tarczą pręt stoi?

Arnulf się rozśmiał szydersko — inni głowami potrząsali. — Jakśa położył kuszę na widłach i mierzył długo a uważnie.

Brzękła struna, spojrzeli wszyscy chciwie, belt tkwił w kołku i drgał jakby się z nim pasował.

Arnulf słowa nie rzekłszy zawrócił się i poszedł ku dworcowi sam, a Jakśa kuszę położywszy pozęgnął dworaków zdumionych i do gospody pociągnął.

## VII

Nie było co robić w Krakowie, pozostał jednak Jakśa we dworku u mieszczanina, bo i z ust Helmuta i z różnych stron dochodziły go coraz gorętsze wieści o przygotowaniach wojennych; zdało mu się obowiązkiem wywiedzieć się o zamiarach księcia i donieść o nich stryjowi i panu Petrkowi.

Wcale się tu nie tajono już z tém, że księżna słabego męża, gwałtownie nakłonić się starała, do wywłaszczenia braci, zgniecienia wszystkiego co stało na drodze do połączenia ziem rozdzielonych w jedno ciało. Petrek, który dobrze był z braćmi Władysława młodszymi i sprawę ich głośno popierał, zdawał się największą zawadą... Odgrażano się

przeciwko niemu i na Biskupów nawet, jeśliby, jak się zdawało, w obronie testamentu króla, stawać chcieli.

Drugiego dnia pobytu w Krakowie Helmut przyszedł nawiedzić towarzysza. Przyniósł z sobą wiadomość, że wrócili posły z Rusi od krewnych księcia, od których na braci żądał posiłków. — Rada była na Zamku wielka, gdyż wojska z Rusi obiecywano, a z niemi ogromne hordy Połowców iść miały, którym wszystkie wojska królewiczów oprzećby się nie mogły...

Helmut nie krył nic przed Jaksą, którego za sługę księcia już liczył, a gdy o tém mówiąc napomknął, iż naprzód Petrka sprzątnąć się będzie starał Dobek, bo go za najniebezpieczniejszego uważa, dodał uśmiechając się.

— Nie wierzę ja w to żeby jeden taki Palatyn mógł coś ważyć i znaczyć, ale Dobek nań zęb ma, i zemstą płonie, a skarby jego nęcą.

— Za cóżby się mścić miał? zapytał Jaksą.

— Mało kto to wie oprócz Marszałka poufałych — rzekł Helmut — ale tak jest iż Dobek wprzód pokornym był i wielce się Petrkowi wysługiwał. Rzucił okiem na córeczkę jego, téj mu się w małżeństwo z wianem chciało. Mówią że gdy się z tém odezwał do Petrka, poczał się Palatyn śmiać i rzekł mu, że córki jego dostanie chyba, gdy na sosnach rosnąć będą żołędzie. Szyderstwem odprawiony Dobek zemstę poprzysiągł i czyha na Petrka, aby mu i córkę i skarby wziął i życie!!

Nasłuchawszy się co tu knowano Jaksą miał już wprost na Szląsk do Biskupa z tém powracać, gdy Helmut oznajmił mu, że właśnie przybył do Krakowa wezwany z Sandomierza Palatyn Wszebór, na Zamek dwa razy już był ciągnany do księżnej, trzymano go tam i ująć się starano.

Stary Wszebór, niegdy Krzywoustego towarzysz i Wojewoda, który się niemal jako opiekun dostał Sandomirskiej dzielnicy, był też ojca Jaksy druhem wiernym, mężem powagi znacznej w narodzie. Nie chciał Marek odjechać ztąd, póki mu się nie pokłonił i coś z ust jego nieposłyszał.

Mieszkał Wszebór w biskupim dworze, a dwór jego podłe pod namiotami, bo służbę miał liczną i okazałą, jaka się jego dostojenstwu należała, i kochał się w rycerskich pocztach, które rad sprawiał, urządzał i sposobił.

Zrana gdy z kaplicy biskupiej wychodził siwy mąż z pocztem sług swoich, zastąpił mu Jaksą drogę. Wszebór młodzień dorodną, pięknej postawy miłował bardzo, zaraz mu młodzian w oko wpadł, i nim się pokłonił, Palatyn już mu się uśmiechał.

— Miłościwy panie, — dość gdy powiem ci, że jestem Jaksą z Miechowa. — Przychodzę się jakby rodzonemu ojcu pokłonić. —

Wszebór go uściskał.

— A tyś tu zkąd? zapytał.

— Dużoby mówić jakie mnie tu wiatry przyniosły — odparł Jaksą.

— Do izby ze mną chodź na ranny posiłek, tam się rozgadamy — rzekł Wszebór. Niewymowniem rad że mi się stary druh w tobie tak pięknie odrodził.

Szedł Jaksą za Palatynem zaraz, który go do komory bocznej z sobą prowadził, aby poufale sam na sam mówić mogli. — Nie tracąc czasu Jaksą mu się ze wszystkiego wyspowiadał, co widział, słyszał i z obawy jaką miał, aby się nie zamąciło wkrótce dokoła. Palatyn słuchał siedząc a wąsa szarpiąc, to ręce wylamując, bo miał zwyczaj taki, że gdy go co drażniło, palce sobie ze stawów wyciągał ustawicznie.

— Nie inaczej tylko cię tu opatrność Boża zesłała w porę, — odezwał się, gdy Jaksą spiesznie opowiadania dokończył. — Oko masz dobre, węch łowiecki, wzrok co zwierza pod kępiną wypatrzy. — Tak ci ono jest jak mówisz — ale połowę tylko wiesz, którą odgadłeś sam, gdy ja całą biedę na ramionach dźwigam. Miałem ja ślać z oznajmieniem do Petrka, jedź ty, mów mu że tu gore. Postanowiła już księżna, dał się namówić nasz pan że na braci ruszy, królem być chce. My na to pozwolić nie możemy. —

Petrek miał sobie zleconą ostatnią wolę króla i opiekę nad księżętą, szanować go musza, niech on tu zjedzie, niech prawdę rzecze i zagrozi, my go poprzemy, — ja, Arcybiskup Gnieźnieński i Biskupi wszyscy. Krwi własnej rozlewać nie chcemy, dobrze nam tak jak jest i jak nieboszczyk mieć chciał. — Hamować trzeba księcia. Petrek znaczenie ma i siłę, niech przemówi za nas, my mu zawtórujemy wszyscy...

Niechaj zjedzie co rychlej, a choćby pogrozi — ulękną się może póki czas.

Jedźcie, — powtórzył Wszebór — odemnie w poselstwie, zaklinajcie go i proście niechaj wystąpi. — Myślę że go o to zbytńio nękać nie będzie potrzeba. Nie uda się — to wojna bracka za pasem. Księżna zła baba jest, Dobek mściwy i chciwy nią włada. — Jeśli ich nie nastraszy Petrek to nikt. —

— A wy, miłościwy panie! zapytał Jaksą.

— Jam swoje zrobił, — odparł Palatyn, pójdzie i moje na wagę, ale co jeden to nie dwu... Ja prawdy nie zataję, niech on też ją powie głośno...

I naglił powtarzając — jedźcie, jedźcie!

Tak odprowiony Jaksą ledwie do swęj gospody powróciwszy, konie siodłać kazał, paliła go pilna droga. Nie miał już czasu ani Helmuta żegnać, ani na Zamek iść, puścił się wraz z ludźmi gościńcem wielkim.

Już był za Kraków odjechał mil parę, gdy w lesie trąbki myśliwskie usłyszał i psów takie naszczekiwanie, jak gdy zwierza na oko wzięwszy gonią. Zagrała w nim myśliwska krew, zwolnił kroku i po oszczep już sięgał, bo mu się zdało że ot, ot psy zwierza na gościńiec wypędzą.

W krzakach zaszeleściło, mknął właśnie jelonek drogą, gdy oszczep świsnął i utkwiał mu w szyi. A tuż i psy naskoczyły, a za niemi jeździec, który postrzegłszy ubitego jelenia, gniewem się rozżarł wielkim. Starzec to był już, ale gorącej krwi, bo wprost na nieproszonego łowca wpadł z łajaniem, gdy popatrzywszy nań złagodniał nagle i gniew w śmiech obrócił.

Jaksą poznał w nim starego Zaprzańca.

— Nie winujcie mnie, ojcie — zawołał Jaksą, sama mi bestya pod oszczep wpadła, a ja z nięj i wątroby nawet dla siebie nie chcę.

— Szczęście że to wy! odparł stary — innemu bym nie darował, że mi go z przed nosa sprzątnął. Ale wina winą i bez kary nie zostanie. Musisz ze mną do mnie jechać. —

— Ojcie mój, zawołał Jaksą — radbym z duszy, ale dziś to nie może być. Z pilnym poselstwem jadę i do rodzzonego bym z drogi nie nawrócił.

Stary się począł sierzcić. —

— Jesteście druhem Palatynowi Petrkwowi, rzekł Jaksą. —

— Nie pytaj o to, bo wiesz! zawołał Zaprzaniec.

Marek począł opowiadać jak rzeczy stały w Krakowie, zasepił się Żegota.

— Bóg z tobą, jedź sobie — rzekł, ale koniom musisz gdzieś dać wytchnąć, niech ludzie sporządzą *naroki*, my siądziemy. —

Poszli pod drzewa, wzdychał Zaprzaniec.

— Znowu krew się poleje, rzekł, jak ze mną bracia tak Władysław chce z bracią poczynać. — Ustąpcie mi, oddajcie, sam panować będę!! Rycerstwo nie zabieży, a na jego karkach się to skrupi. — Jedź do Petrka, gdybyś ty nie jechał, ja stary bym pospieszył. Niech radzą, niech się opierają, niech nie dopuszczą...

Władysław niema ojcowskiej siły, aby wszystko w jednej utrzymał garści a i nie pora po temu. Księża Biskupi nie radzi jednemu panu, a co oni chcą to będzie. Dziś oni tyle albo więcej co książęta znaczą, i co požądają ziści się, a czego zabronią nie ostoi się. —

Bieźcie dniem i nocą do Petrka, niech przybywa z radą, z groźbą, aby daremnej wojnie zabiegł.

— Jeżeli jeszcze pora! dodał Jaksą. Gdym na Zamku w Krakowie był już o posłach z Kijowa gadano, o przymierzach z Rusią, i o pułkach a gromadach, które na pomoc ciągnąć mają.

Posiliwszy się jeleniami naroki, przegadawszy chwilę, wstali rychło, Zaprzaniec ludzi zwołując, Jaksą do dalszej drogi.

Żegnali się jak ojciec z synem. —

— A będziezli tu u nas w Krakowskiem, rzekł znowu ściskając go stary, zajeżdżaj do mnie. Na ustroni żyję, ludzi mało widzę, rad cię u siebie ugoszczę...

Rozstali się tak, a z rozmowy z nim Jaksą do większego jeszcze pospiechu wziął pochop, tak że dniem i nocą do Wrocławia biegł, koni nie lutując...

Była północ gdy pod dwór pana Petrka podjechał Jaksą. Choć o tak późnej godzinie, u wrót tam straż była, która nigdy nie zasypiała i pilnowała parkanów dniem i nocą. Gdy do zapartej bramy zakolataną, znaleźli się ludzie pogotowiu, i starszy oznajmił, że Petrka budzić nie będzie potrzeba, bo się jeszcze u niego świeciło. —

Wnet kazał się do niego prowadzić poseł, nie chcąc tracić ani chwili. —

Petrek w swoich izbach własnych, jak prosta chata urządzonych, na pół rozdzielony, podobny do starego chłopca, który tylko co robotę porzucił, w koszuli grubiej i ladajakim przyodziewku, siedział na ławie.

— A was tu co o takiej porze przyniosło? zawołał Jaksę poznając.

— Pilna sprawa, bez której bym się wam spoczynku kłócić nie ważył, odparł przybyły. Takim polecenie miał od Palatyna Wszebora, od biskupa Ruperta, i od rozumu własnego, aby was co rychlej zawiadomić co się gotuje w Krakowie. —

Wskazał mu Petrek miejsce na ławie. —

— Siadaj, rzekł, boś zmęczony, wydobądź co masz za nadrą, słucham.

— Miłościwy panie, począł Jaksę — jawna już że księżna Agnieszka do wojny Władysława podzęgła. Z Rusią przymierze uczynił, posiłki mu ciągną. Nie tajna rzecz że braci z dzielnic chce wyrzucić precz, nie własną mocą, ale z Rusią i Połowcami. Sprawa to dumnej siostry Cesarzowej, która koniecznie chce królować. Wszebór nagli i żąda abyście jechali wnet, dla upamiętania księcia, dla zagrożenia mu, że się przeciw niemu i rycerstwo i duchowieństwo obróci. Palatynowie, Biskupi, wszyscy pójdą przeciw niemu.

Jeśli was nie usłucha, to nikogo, jeśli wy prawdy mu nie powiecie, to nikt.

— Wiele chcą odemnie! zawołał Petrek.

— Wiele możecie! rzekł Jaksę.

— Na nic się nie zda wszystko — odparł Petrek. Z Władysławem mówić dobrze było gdyby on sam był, ale za nim Agnieszka stoi, co ja naprawię, ona popsuje. Księżna słuchać mnie nie zechce. Jak niegdy Sieciech u żony Hermanowej, u niej Dobek gospodarzy, a z tym — ja gadać nawet nie chcę. — Nikczemne stworzenie jest.

— Nieboszczyk król, mówią, zwierzył wam nad młodszymi dziećmi opiekę — rzekł Jaksę. Macie prawo słowo rzec.

— Mam i rzeknę je, ale na wiatr ono pójdzie i przepadnie marnie — odezwał się Petrek. —

Wstał z ławy, ręce na piersi krzyżując.

— Pojadę — dodał — powiem com powinien, jak powinienem, w oczy wszystkim, księciu, babie, zausznikom...

Zadumany przeszedł się po izbie.

— Choćby głowę przyszło dać! dodał cicho. —

— Palatyn i Biskup, i wszyscy proszą was, miłościwy panie, o pośpiech. Czas nagli, nie, to ino patrzeć jak buchnie.

— Ja się też ociągać nie myślę — rzekł Petrek spokojnie — ruszę jutro...

A ty, co robisz z sobą? dodał zwracając się do Jaksy.

— Do czynienia niema nic pilnego, rzekł Marek, chętnie zrobię co każecie.

— Nie strachasz się jechać ze mną napowrót! spytał Petrek. — Syna nie chcę brać, za młody jest, albo i zapieszczony. Jedyny on u mnie i z niebezpieczeństw nieoswojony, wy macie doświadczenie i męstwo — kto wie co nas tam czeka! Zdalibyście się mi!

Jaksę się pokłonił.

— Jadę z wami, dodał — bardzo rad że posłużyć mogę. —

Klepnął go poufale po ramieniu Petrek.

— Światosława znasz — dodał poufale — chłopię to moje serdeczne, jedyne, dobre, gotowe za mną choć w piekło, ale dziecię to jeszcze, umysłu nie ma rzeźwego, na łzy mu się rychło zbiera, miękki jest bo go za długo niewiasty trzymały, tyś krzepki, zastąpisz mi jego.

I popatrzwszy nań długo Petrek objął go i uściśnął. — Bodaj mój tak wyrósł jak ty!!

Jaksę poczuł się dumny i na sercu było mu błogo...

— Pójdę z tobą, miły panie, na kraj świata, zawołał — lepszego przewodnika i opiekuna mieć nie mogę. Za cześć i miłość dziękuję wam...

— No — a teraz — dodał weseliej Petrek, idź na nocleg do Światosława, jutro, w drogę...

Odprawiony tak Jaksę, szczęśliwy i wesół kazał się wieźć do Światosława, który osobny dworek w podworcu zajmował, do głównego przytykający. — Tu już spało wszystko.

Ukochane dziecko ojca i matki, miał też gniazdo puchem wysłane, izby najświetlejsze kobiercami powybijane, skórąmi powyścielane, pozawieszane oponami, i z niewieścią pieszczotą wychuchane. Para psów ulubionych spoczywała na straży u nóg jego, i do izby nocą wchodzić nie było bezpiecznie. Musiał sługa kolatać, budzić i opowiadać się Światosławowi, nim ich tu wpuszczono.

Dopiero gdy psom pan kazał do kąta iść, mógł Jaksza bezpiecznie próg przestąpić. Przebudzony zdziwił się tak spóźnionemu gościowi, którego mu ojciec przysyłał, ale powitał go serdecznie. A że skóry wysłane były szeroko, znalazło się gdzie położyć i przespać, opowiedziawszy wprzód z czém i z kąd przybywał.

Zasepił się Światosław o ojca zatrwożywszy. Nie był on bojaźliwym do zbytku, lecz chowany miętko przez matkę, pokój lubił i wszelkie niebezpieczeństwo wstrętliwe mu było. Łowy, śpiewy, tany, przejażdżki konne, gonitwy w polach najbardziej mu były do smaku.

Ojciec się wychowywał w polu i na wojnie i oboje lubił, syn przy matce siedział z księżmi, i inaczej był nawykły. Zachmurzył się wielce usłyszawszy o podróży ojca do Krakowa, przeczuwając coś, bo mu całej prawdy Jaksza nie mówił. Pośpiech, niespodziana droga, niewiadomy cel podróży dawały do myślenia. Rwał się i on z ojcem jechać i zamierzał napierać aby go wzięto.

Prawie do dnia gwarzyli młodzi z sobą i pospali gdy już trzecie kury piały, a we dworze pomału ranny ruch się obudzał.

Gdy dobry dzień się zrobił w dziedzińcach żwawo się gotowano do drogi, rozkazy były wydane, sto kilkadziesiąt, co najprzedniejszych koni towarzyszyć miało Petrkowi.

Ten co w domu jak prosty kmieć chadzać lubił w zgrzebnej koszuli, co pił najmiliej z kubków glinianych i z drzewa, choć miał złote, co na dębowej ławie nie zasłanej rad siedział i legiwał; którego w domu za pana i Palatyna niktby był nie poznał; gdy mu się trzeba było okazać całe innym się stawał. Choć ze wstrętem brał na się pański strój, wiódł dwór pański za sobą i przeistaczał się w możnego Władkę.

Na dwór książęcy jechać musiał tak, aby widziano kim był, więc co najlepszego było w koniach, siadzeniach, rzędach, szatach, gotowano na tę drogę. Od rana dobywano ze skarbców przybory, opatrywano wozy, uprzęże i ludzi. — Ci iść mieli pod znakiem pańskim z chorągwią, z dowódcą swoim.

Marszałek prowadził dwór zbrojny jak jeden człowiek. Na każdym panczer w łuski szyty, kolczugi, tarcze, miecze, łuki, barwa jedna.

Jak dzień widać już było w podworcach konie pookrywane, dziesiętników nawołujących lud do liczby, opatrujących odzież i zbroję. Sam Petrek wychodził oglądać na ostatku.

Zawczasu też samej pani Petrkowej niewiasty znać dały że się do jakiejś drogi pan gotuje, i strwożona pani słała do męża z pytaniami. Straszyc jej mąż nie miał zwyczaj, poszedł śmiejąc się, a nie wyznał jej nic, tylko że go Palatyn Wszebór wzywa na radę, nie przyznając dokąd jedzie. Oka i przecucia niewiasty mało co ujdzie, niedowierzająco słuchała żona powieści, bo z takim występem i okazałością do Wszebora by się Petrek nie wybierał.

Gdy dzień się stał zażądała pani aby wszyscy do bliźkiego kościoła szli na modlitwę i błogosławieństwo, gdzie Opat miał ranną mszę odprawić. — Stało się wedle jej woli i gdy w dzwonek uderzono, wszyscy ze dworu pociągnęli ku bliżkiemu kościołowi. Szła przodem Petrkowa z mężem, za niemi Błogosława z Ochmistrzynią swą, potem Światosław z Jakszą.

Za wszystkie trudy zapłaciło mu to, że złotowłose dziewczę widział znowu, które wśród porannego dnia brzasku, ciemno odziane, smutne, wydało mu się innem teraz, a piękniejszym jeszcze.

Darmo sobie powiadał Jaksza, że się oczyma zdradzać niepowinien, że mu w nią patrzeć jak w tęczę nie godziło się, mimo to ścigał ją oczyma sam nie wiedząc o tém. W krótkim tém przejściu ze dworu do kościoła nie stracił żadnego jej ruchu, skinienia żadnego, a ile razy zwróciła się ku bratu, chwycił część jej twarzyczki, szeptał, nawet szelest sukienki, który go dreszczem jakimś przejmował. —

Dwa czy trzy razy oczy jego spotkały się z jęj niebieską źrenicą, i natychmiast trwożliwe powieki opadały na nie przesłaniając mu ich blaski.

Raz gdy w furtce ku kościołowi zawracać się musiała, Jaksa zobaczył ją z boku, potem gdy ze drzwi kościelnych wchodziła, a gdy się odwróciła od niego patrzył na ramiona, na fałdy sukni, na zasłonę co ją okrywała, i nie mógł oderwać oczu — Zdało mu się że takięj istoty i takich sukni, i takich ruchów drugich na świecie nie było. — Nie zważał nawet że Światosław, który mu w ciągu tego pochodu pilno się przypatrywał, kilka razy przemówił do niego, a nie otrzymawszy odpowiedzi, szydersko się uśmiechnął. W kościele mszą odprowadził Opat. Po nięj nastąpiło całowanie pacyfikału i błogosławieństwo na drogę; do którego za panem Petrkiem kłękł i Jaksa.

Wnet potem tym samym porządkiem wracali nazad z kościoła. Błogosława teraz śmielszą była i weselszą, częściej się zwracała do brata, śmiejąc się doń i mówiąc głośniej, tak że Jaksa mógł ją słyszeć. Napawał się temi dźwiękami, ale do rozmowy z pięknęm dziewczęciem ani prawa nie miał ni odwagi.

Nie było też miejscem po temu, cmentarz i podwórze, a gdy do dworu się zbliżyli, Petrkowa z córką znikła, wchodząc do tęj części domu, która dla niewiast była przeznaczoną.

Wchodząc we drzwi za matką, pewnie ku bratu zwróciła główkę Błogosława, a że zasłona opadła jęj na oczy, odchyliła ją ręką, spojrziała, spotkała wzrok tuż stojącego Jaksy, i — zdało mu się może, jakby go bardzo nieznacznie głowy skinieniem pozdrowiła. —

Nie upłynęła chwila potem gdy Światosław szepnął Jaksie, iż pani matka chce z nim mówić na osobności. — Niepomalu zdziwiwszy się temu Jaksa, z wielkim pośpiechem za Światosławem poszedł, który bocznemi drzwiami wprowadził go do świetlicy samęj pani.

Izba była tak bogato strojna jak te, w których ona gości przyjmowała; tu ona z córką i służebnemi robotami się zajmowała. Stały więc, wśród hodowanego kwiecia różnego krosna ogromne z oponami na nie naciągnionemi, po których motki i kłębki leżały porzrucane. W jednym rogu stał do tkania warsztacik, w drugim ławy dla przadek, co krasną wełnę purpurową snuły. W izbie nie było nikogo oprócz pani Petrkowej, która teraz, gdy zrzuciła płaszcz, a okazała się w sukni obcisłej, z głową odkrytą, na której małe tylko czółko miała, jeszcze jako wielce urodziwa niewiasta z niejedną młodszą mierzyć się mogła.

Wdzięk jęj i to podnosiło że o nim wiedząc nie zaniedbywała się, strojna chodziła zawsze, i nikt jęj nigdy opuszczoną nie widział. — Przy córce nawet, która zdała się nierozkwitlęm dziecięciem, poważna pani w pełni wdzięków stawała nie lękając się przyćmienia.

Ręce znać umyślnie, jak to zwykły były już onego czasu księżne i panie czynić, hodowała wybielone, miękkie i okryte pierścieniami okazywała na jaw, aby widzieli wszyscy, że niemi pracować nie potrzebowała jak inne niewiasty. — Nigdy Jaksa nie widział pani tak poważnej a razem tak wypieszczonęj, tak zda się stworzonęj do tego tylko, ażeby w miętko wysłanym teremie, dumala i śpiewała za kratą. Smutek pański, dumny jakiś oblewał lice jęj białe, przejrzyste, trochę znużone, pociągające cichego bólu jakiegoś wyrazem, odstręczające wnet chłodem.

Gdy Jaksa wchodził, w drugim rogu świetlicy stała jeszcze poprawując złotych włosów Błogosława — ale natychmiast zniknęła. — Spojrzała nań tylko nie sromając się jak na domownika, i włosy zgarniając białemi rękami — uszła. Zjawisko to tak było uroczo piękne, że pokłon matce oddając, w tamtą stronę Marek oczy wlepił i patrzył w drżącą zasłonę, jakby się jego powrotu spodziewał.

Błogosława już się nie ukazała więcęj, tylko zasłona poruszała się, marszczyła, składała, jakby za nią stał ktoś żywy.

Petrkowa z powagą przybliżyła się do Jaksy.

— Jedzicie z moim panem, rzekła do niego — słyszę że do Wszebora. Bogu wiadomo dokąd, ja muszę wierzyć, że tam gdzie on powiada!! Jedzicie z nim, miły panie — powtórzyła głosem powolnym, przedłużając każde słowo, jakby się z niem pieściła — pozwalałam was prosić, abyście mi nad nim czuwali. Ufać wam musi gdy bierze z sobą, do boku, strzeżcież go, proszę. On sam nieostrożnym jest, śmiałym i gwałtownym... Zdro-

wia swojego nie luluje, ludzi nie szczędzi ni w słowie ni w obejściu. Patrzcie, proszę, aby mu się co złego, przez prętkość jego, nie stało.

Ile razy odjeżdża w trwodze mnie rzuca, niemam tu nikogo krom niego, ni brata ni ojca! Pilnujciez go, dobrze, proszę, a strzeżcie.

To mówiąc popatrzała na stojącego młodzieńca oczyma niebieskimi, w których coś było wejrzenia córki i wdzięku jój.

Zdjęła piękna pani pierścień z palca z okiem dużem, i poczęła okręcać w ręku trochę zakłopotana.

— Wiem że to wam niepotrzebne, odezwała się wyciągając go ku niemu, bo w swoich klejnotów dość doma macie, ale, byście o méj prośbie pamiętali, proszę weźcie go odemnie.

— Miłościwa pani — odpowiedział Jaks — i bez pierścienia przykazania waszego nie zabył bym pewnie.

Białą ręką, którą ucałował, wcisnęła mu pierścień, uśmiechnęła się smutnie, westchnęła i dodała.

— Pan mój gorący jest w gniewie, hamować go trzeba, w szyderstwie strzymywać, ale dobrym w sercu jest i lada wejrzenie pamięć mu przywraca. Strzeżcie mi go, a powracajcie z nim zdrowi, abym wam dziękowała.

Sama potem Petrkowa rękę mu dała do pocałowania, a gdy oczy ku zasłonie zwrócił, ujrzał ją uchyloną, i w niej piękną twarzyczkę, która mu skinąwszy na pożegnanie, znikła.

Nie mówili do siebie słowa, nie znali się prawie, a może już się kochali. — Tak się za owych czasów niema miłość rozpoczynała, często długo podsycala tylko oczyma, wejrzeniami tłumaczyła, i w ciszy téj dorastała do takiej siły, że gdy potem ludzi dwoje co do siebie nie przemówili słowa, zbliżyć się mogli, nie potrzebowali już wyrazu — padali sobie w objęcia, pewni że oczy ich nie kłamały. —

Niewieście wstyd było z obcym mężczyzną mieniać słowa, ale oczom otwarte drogi, im wolno wszystko. — Przez długie lata mogły żywić ogień, który za pierwszym wybuchem spotkaniem, tak gwałtownie że go nawet niewieści wstyd powstrzymać już nie zdołał. Dziś na słowa roztapia się miłość, rozwiewa, stygnie, oziębia i z niemi na cztery wiatry leci. — Oongi inaczej bywało!..

## VIII

W komnacie Zamku Krakowskiego, na złoconém krześle, siedziała lat średnich pani, wzrostu, jak na niewiastę, wyniosłego dość, twarzy przeciągłej, oczu czarnych, cery żółtkłej, ni piękna ni brzydka, ni młoda ni stara, z wyrazem gniewnej dumy na czole i w wejrzeniu. Strojna była w powłoczyste szaty jedwabne, bogate, tak jak się ubierają niewiasty, które o wdzięku swym nie myślą albo ón nie dbają, lub go nie rozumieją — bo wiedzą że mają go czém zastąpić. —

Szata zsuwała się jój z jednego ramienia, włos rozplątywał na jednej skroni, pas zchodził z biodr, płaszcz opadał — nic się ją to nie zdało obchodzić. Chude, kościste ręce z pod długich wystające rękawów, prawie męzkie miały kształty; noga co się z pod rąbka sukni wysuwała była duża, płaska i silna. Coś męzkiego miała w rysach, ale brzydką nie była. Gdy twarz jój zapalała ogniem, oczy się zaiskrzyły, usta ścisnęły, gdy nakazując wyprostowała się dumnie, chcąc okazać swą siłę, jeśli nie wdzięku nabierała mocy jakiejś, której się oprzeć było trudno.

W wejrzeniu jój oczu, naprzemian to gorącość jakaś niecierpliwa, to wzgarda, to straszna дума przebłyskiwała. — Ruchy miała majestatyczne, jakby wyuczone, a jednak żywe i gwałtowne.

Była to księżna Agnieszka.

Naprzeciw niej, na ławie okrytej, z rękami założonemi siedział mąż jój ks. Władysław. Osobliwy miał w téj chwili wyraz twarzy, która się często zmieniała, znękany, zrezygnowany, zastygły. Oczy zwracał to na małżonkę, to na ziemię, to niby szukał niemi czegoś po ścianach, znaleźć nie mogąc. Zapatrywał się pilnie w gwóźdź błyszczący u krzesła księżnej, w ścianę, w okno, unikając spojrzenia na żonę. Dwoje ich widząc tak razem niepotrzeba było wielkiego wróżbita, by odgadnąć kto z nich rządził, a kto słuchał, kto był czynną siłą

i bierném narzędziem. Zahukany książę, czasem miał błyski własnej woli, ale ta rychło odparta chowała się do głębi. — I w tej chwili wytrzymał napaść gwałtowną.

— Wahasz się jeszcze, wahasz zawsze, wołała księżna Agnieszka, rzucając na swém siedzeniu — a czas upływa najdroższy. — Trzeba poczynać a śmiało. Król ojciec twój zdał ci nad państwem zwierzchnią władzę, kędyż ona? Ty nie masz żadnej. Tyś sam, jeden, ich czterech, niech popodrastają, wzmogą się, obalą cię i wygnają. —

— To nie może się stać! rzekł Władysław — nie może nigdy.

— To się stanie, jeśli się ich nie pozbędziesz zawczasu, wołała księżna. Nie chcę cię znać, nie chcę się zwać twoją żoną, jeśli nie masz panem być, a na łasce panów braci siedzieć udziałowém książątkiem. Poszłam tu sądząc że królować będę nie słuchać! Wstyd mi! srom mi!

Książę milczał trochę.

— Stanie się po twój woli, rzekł, gotuję się! Nie mogę sam wystąpić — czekać muszę.

Spojrzał ku niej jakby litości błagając. Agnieszka powstała z krzesła, stanęła na podnóżku, wyciągnęła rękę do męża i poczęła głosem gniewnym.

— Gnuśnik jesteś! do niczego! kądziel ci prząść nie berło trzymać. — Gdyby nie ja siedziałbyś beczynny w kozuchu, lub krył się po lasach nie myśląc o sobie, ażby cię bracia wygnali. —

— Bracia! bracia! powtórzył książę obojętnie. —

— Tak — ty ich masz za braci, rozśmiała się Agnieszka, a oni ciebie nie mają za brata. Po ojcu bracia nie po matce?! Co za braterstwo? Takich samych braci dziadowie twoi sadzali do ciemnic, i wyganiaли precz. — Co znaczy państwo pokrajane na kawały — żywe nie jest, trup to jak i ty. —

— Chcąc to uczynić do czego mnie naglisz, odezwał się Władysław spokojnie — mimo woli ojca mego, — potrzeba czasu. —

— Mimo woli ojca? podchwyciła Agnieszka. — Ojciec chciał ażebyś panował; nie mógł ci powiedzieć, idź i wyżeń ich, ale ci dał stolicę i prawo pierworodztwa, któregoś sam użyć powinien, jeżeli mężem jesteś!

— Użyjemy tego prawa! użyjemy! zaprawdę — odparł Władysław głowę spuszczać — trzeba czasu tylko, czasu. — Nie w porę poczęta sprawa w niwecz pójdzie. —

— Nie w porę! pora dawno minęła! zakrzyknęła księżna. — Dnia, godziny niema do stracenia.

Książę nieznacznie drgnął ramionami, rozstawił szeroko dłonie, i milcząc, potrzy-mawszy je tak chwilę, zacisnął rozpaczliwie.

Agnieszka widząc tę obojętność już się na krześle utrzymać nie mogła, skoczyła z podnóżka, zaczęła chodzić, suknię powłócząc za sobą, miotając rękami, rzucając rękawy.

— A! zawołała z goryczą, zaprawdę mi wstyd żem ja, Cesarska siostra, szła za ciebie coś się na parobka rodził nie na króla. —

Książę głową tylko poruszył, z piersi coś mu się jak jęk wyrwało.

— Ja tego upokorzenia nie strzymam, — ciągnęła dalej, ja porzucę cię, ja tak żyć nie mogę. Azali ty oczów nie masz że oni ze swą matką, z Palatynami, z Biskupami spikali się i spikają na ciebie? Czekacłi masz aż się, upatrzywszy chwilę, rzucą i wygnają precz? — A — to nastąpi — to przyjdzie! gdy my ich nie uprzedziemy. Silniejsi są niż ty i rozumniejsi niż ty — przezorniejsi niż ty. —

Pod gradem tych wyrzutów książę siedział ze spuszczoną głową milczący, jak człowiek co się niema gdzie schronić przed ulewą; spoglądał czasem w okno, jakby na pomoc wzywał kogoś, stękał, rozpościerał ręce i składał, ruszał się jak do wyjścia i siedział. W ostatku dopiekło mu znać, za głowę się pochwyił.

— Dość że już! zawołał — dość! czynię co mogę! czynię co chcesz! a jeśli to źle wyjdzie tobie i dzieciom naszym, nie ja winien będę, nie ja, Bóg mi świadek!

Agnieszka przyskoczyła doń ze śmiechem szyderskim.

— Źle nie wyjdzie gdy mnie posłuchasz! Śmiało, z góry, nie zwłócząc uderzyć na nich potrzeba.

— Niechże nadciągnie Ruś! każdej godziny się jęj spodziewam, rzekł książę.

— Nim ona przyjdzie ślij do nich, przerwała Agnieszka — aby się poddawali. Gdy Ruś przyjdzie z Połowcami uderzymy na krnąbrnych, dziś ze swemi już poczynać można i trzeba.

— I nim tamci w pomoc pospieszą, oni się zwalą na mnie! rzekł Władysław głową potrząsając.

— Zwalą się jeśli cię poczyją wahającym i bez siły — złączą się gdy okażesz mężstwo. Ja niewiastą jestem a nie złączą się ich — ja! a ty!

Plunęła na ziemię. Wtém u drzwi kroki słyszeć się dały — księżna obróciła głowę, poznała już kto szedł i lice się jej rozjaśniło. —

Na próg wchodził, bez oznajmienia i pokłonu, Dobek, jako domowy, poufały sługa. Wejrzeniem zmierzył księcia i księżnę, poznając z rozognionych twarzy, co się tu odprawiało. Agnieszka wzrokiem dała mu znak jakiś niecierpliwy.

— Poselstwo przybywa — mruknął szydersko — ho! poselstwo!! nielada! Rozśmiał się cicho — Palatyn Petrek w półtora sta ludzi, jak udzielny książę raczył nawiedzić pana naszego. Zajechał sobie do miasta na biskupstwo, i oto przysyła pytań ażali może czołem uderzyć!

Na wspomnienie Petrka rzuciła się księżna, książę drgnął i z siedzenia wstał, ale czekając na to co powie małżonka, ust nieśmiało otworzyć. —

— Ciekawam z czemże to przybywa? odezwała się Agnieszka, bo że z pustym pokłonem i podarkami nie zjechał — to pewna! Wszak to przecie opiekun książąt młodych, ich prawa ręka, nieboszczyka króla powiernik, on co z biskupy ten głupi testament układał... Bo to jego sprawa! Przyszedł podpatrywać co się tu dzieje?

Dobek przypatrywał się z głową spuszczoną znów siedzącemu Panu, który milczał. Agnieszka się też zwróciła do niego.

— Gościa takiego od wrót odegnąć się nie godzi! zawołała — ale ja, panu memu z nim sam na sam rozmawiać nie dam! Petrek mądry zrobi z nim co zechce! Niech przybywa, będziemy go przyjmowali oboje! Zobaczemy co zaśpiewa!

Nogę na nogę założywszy Dobek stał czekając w progu, o ścianę się oparłszy wygodnie jakby tu nie służył był ale panem. Z pod oka spoglądał na księcia, wyzywając go do odpowiedzi.

Księżę na chwilę poruszony znów popadł był w obojętne milczenie i zadumę.

— Na odpowiedź czekają! odezwał się Dobek.

— Niech przybywa — zawołała księżna, dla czegoż odkładać a z poddanym się nosić jakby on tu jakimś panem był? Toć sługa, niech się stawi.

— Niech się stawi! zamruczał książę chłodno.

Dobek popatrzał jeszcze na pana, potem wejrzenie zamienił znaczące z Agnieszką, która pogardliwie ramionami ruszyła, i wyszedł zwolna. Zaledwie się za nim drzwi zamknęły gdy i książę wstał, chcąc odejść. Wyciągnął się, w okno spojrzął i wolnym krokiem, kołując, niby od niechcenia, zmierzał do drzwi.

— Zostaniesz ze mną, tu, sama nie chcę przyjmować Petrka, a wam go też samemu widzieć nie dam.

Księżę zawrócił się i usiadł pomrukując. Zamilkła małżonka. Milczenie to dolegało widać księciu, gdyż po raz drugi wstał i ku drzwiom zmierzył, a choć Agnieszka zawołała nań, nie odwrócił się. Doszedłszy do nich otworzył podwoje, wychylił się na wpuł, i do stojących komorników, zawołał.

— Janko? a psy moje jadły?

— Karmione.

— Dawano już ptakom?

— Tylko co żer miały.

— Nosi Rabczuk Kobuza? żeby mu spać nie dał?

— Poszedł z nim gdzie największa wrzawa, odparł zapytany. —

Księżę ziewnął. — Idź mi chorego konia zobacz, co mu dzik nogę przeciął.

To powiedziawszy zamknął drzwi i na ławę padł wyciągając się i ziewając — księżna chodziła niecierpliwa, rozgorączkowana. Okna izby dawały na podwórze zamkowe, aż ku głównej bramie. Właśnie się z niej wychylał orszak Petrka, na którego czele jechał pułkownik we zbroi świecącej, z buławą żelazną w ręku, której głowa ostrzami kolczystymi nasadzaną była. Na hełmie u góry spiczastym miał pęk piór, a koń pod nim szkarłatem

okryty, stąpał dzielnie. Za nim po trzech jechała drużyna, wszystka we zbrojach i kolczugach z mieczami u kolan; Chorąży ze znakiem, dworzanie, za nimi sam Petrek, którego poznać było trudno, kto go tylko doma widywał.

Ten co powszednich dni chadzał w ladajakięj siermiędze, strojny był i po książęcemu odziany. Szyszak miał na głowie złocony, płaszcz obramowany purpurą i złotem, ostrogi długie złociste, szaty spodnie przetykane nićmi złotymi, świecił cały od tego złota. Koń pod nim szedł siwy, gruby, silny, stąpając jak w tańcu, przerzucając nogami i żelazo w pysku przeżuując niecierpliwie.

Okolo wnijsia dworca, w jednej chwili zrobiło się tłumno, bo kto żyw biegł patrzeć na orszak Petrka, a księżna się odezwała.

— Patrzno! patrz! ty tak nie możesz wystąpić jak ten włóczęga co się krwią i zdradą z bogaci! pochlebstwem ojcu waszemu w łaski wkupił!! Hultaj! umyślnie się tu tak pysznie stawi aby nas wstydził i upokarzał! Za to jedno by głowę dać powinien!

Książę spoglądał ciekawie, ale wcale po nim znać nie było, ażeby tak bardzo brał do serca wspaniałość orszaku Palatyna, widok ten bawić się go zdawał.

— Konie, psy, sokoły ma doskonale! to prawda! zamruczał cicho. Agnieszka się uśmiechnęła, poszła krokiem powolnym do krzesła swojego, usiadła na niem, układając twarz i szaty, marszczyła brwi, gniewną była.

Księżciu siedzącemu na ławie, wskazała obok siebie siedzenie. Dobek, jako marszałek, z laską pozłocistą w ręku, gościa do drzwi prowadził.

Petrek wszedł poważnie, zwolna, naprzód się panu nisko, do ziemi pokłonił, potem Agnieszce już nie tak pokornie.

Wybąkał kilka słów powitania, a gdy Władysław, nader uprzejmie począł go pozdrawiać, uśmiechając mu się, szepnął że dla ważnej sprawy radby mieć posłuchanie.

Księżna to usłyszawszy, wskazała Dobkowi i komornikom, aby ustąpili precz, dwór też Petrka pokłoniwszy się odszedł do pierwszej izby. Zostali sami.

Petrek jeszcze się wahał czy miał mówić. —

— Miłościwy panie, odezwał się do Władysława, sprawy ziemi naszej główne, przystałoby na osobności odprawiać. —

Zaledwie dokończył, gdy księżna z twarzą zaczerwienioną, podnosząc się z siedzenia, zakrzyknęła.

— A jam ci to co jest? Przecie dzieł z księciem stolicę i panowanie?

— Tak, miłościwa pani, rzekł Petrek, ano w sprawach męzkich nie ma u nas zwyczaju aby niewiasty uczestniczyły, dopóki nam Bóg pana zdrowego i żywego chowa. Z nimby nam mówić sam na sam przystało. Gdyby, co niech niebo odwróci, odjął nam go Bóg, tak samo bym do miłości waszej, jako do panięj szedł i jęj słuchał.

Władysław w czasie tej mowy, twarz miał jakoś tak dziwnie ułożoną, iż poznać po nim trudno było czy to pochwalał czy ganił. Agnieszka piorunujący wzrok rzuciła na zuchwalca i, zerwawszy się z siedzenia, milcząc wybiegła z komnaty.

Łatwo się było domyślać że pozostała niedaleko na straży.

Petrek dumał chwilę.

— Miłościwy panie, rzekł, nie od siebie ja tu przychodzę, ale ode wszystkich ziem twoich, strwożonych bardzo. Mówią i głoszą a roznoszą wszędzie że chcecie złamać wolę nieboszczyka ojca, której ja byłem żywym świadkiem. Nie tajno że wojnę zapowiadacie braciom. — Panie miłościwy, przychodzę was błagać abyście tego nie czynili, przez miłość dla ojca pamięci, przez miłość dla was i dzieci waszych...

Książę słuchał jak osłupiały, widać było że się kogoś po za sobą lękał. Wodził oczyma, nie pewien był co powie. —

— Jeżeli się to ziści czém nam grożą, dodał Petrek, będziecie mieli nietylko braci przeciwko sobie, ale ojców pasterzy duchownych i ziemian wszystkich. —

Władysław coś niezrozumiale pomrukiwać zaczynał. —

— Hm? A któż to te wieści roznosi? rzekł — kto to wam mówi o tém?

— Na okół wszyscy wiedzą żeście slali na Ruś o posiłki — odezwał się Petrek.

Władysław głową dał znak potwierdzający. Namyślał się jeszcze. Po za nim stała żona, która go słuchała pewnie. — Począł zwolna i ozięble.

— Ale bo, tak jak jest to nie może trwać! nie — nie może. Ja sam powinienem być panem — a nie jestem niczym. Panowie bracia się zjeżdżają, radzą, spiskują, chcą mnie wygnać a dzielnicę krakowską zagarnąć. —

— Miłościwy panie! zakrzyknął gorąco Petrek, zaprawdę fałsze wam donoszą. Głowę moję stawię na to. Bronić się chcą książęta młodzi a nie napastować, nie wam grozi zagłada ale im, Władysław głową wstrząsnął.

— Król ojciec, odezwał się nie na co innego dał pierworodnemu Kraków tylko na to ażeby panował. Ja chcę panować — i będę...

Mówił to co go wyuczono, ale tak oziębło, jakby go niewiele panowanie obchodziło, iż pilno mu było tylko co rychlej nudną dokończyć rozmowę.

— Petрку mój — dodał — dość już tego, dość — ty ze mną nie z niemi trzymać powinienes! Rozumiesz, tyś mój!

— Jam wasz! wasz! miłościwy panie — podchwycił Palatyn, alem wprzód poprzysiągł ojcu waszemu że jego woli ostatniej spełnienia będę pilnował i strzegł. Wolą jego było ażeby każdy z braci na swęj dzielnicy spokojnie siedział. — Nie narażajcie się, miły panie, na nieszczęście. — Biskupi szemrzą i grożą — duchowieństwo mieć będziecie przeciw sobie!

Władysław poruszył się niespokojnie, Petrku dał znak ręką aby zamilkł, a ruch ten był jakiś tak dwuznaczny, iż Palatyn zdziwiony umilkł na chwilę. — Nagle zasłona się podniosła, odrzucona gwałtownie i gniewna wbiegła Agnieszka. Nie spojrzała na Petrka ale na męża.

— Dość téj rozmowy, zawołała — dość! z poddanym się mówi jedno — tak chcę! tak ma być! Nie spiera się pan ze sługą! Słuchać powinien podwładny! Kto panuje ten się nie tłumaczy z tego co czyni! Dość rozpraw! Uczynicie co się wam zda — kto nie rad, niech głowy strzeże!

Mówiąc to chwyciła męża za suknię i pociągnęła go za sobą, książę się zwrócił do Petrka, jakby chciał rzec — widzisz żem niemocen? Cóż pocznę?

Palatyn jak stał, skłonił się milcząc i wyszedł powolnym krokiem. Zaraz w progu drugiej izby spotkał czyhającego już nań Dobka, który oburącz się w boki wzięwszy, z góry nań spoglądał i śmiał się usta przekrzywiając. I on i służba, widać wyuczona szydziła i przedriewiała półgłosem, — tak że Petrek słyszeć mógł iż z niego żarty czyniono. A, choć człek porywczy, hamować się umiał gdy trzeba było pogardą zbyć niższych od siebie.

Przez całą drogę do wyjścia, jakby z rozkazu stojąca gawiedz dworska szeregiem, przepuszczała idących przez różgi złośliwych i obelżywych wykrzyków.

Petrek zdawał się nie słyszeć nic — chciano go, znając, wyzwać i zmusić aby się porwał, Dobkowi ludzie, nasadzeni w znacznej liczbie, byliby go zgnietli i w rozruchu zabili może.

Ale Palatyn ani patrzył na nich, ani chciał widzieć, Jaksę sobie do boku zawołał i głośno z nim mówiąc, głuzył wołania gawieździ. Dobkowi, jakby go nie postrzegł, ani ruszył głową, minął jak służalca. Wolnym tak krokiem dobił się do ganku, kędy konie stały, a choć hukaniem i śmiechami za nim goniono, ni drgnął, ani okazał że wie o tém.

I znowu tak samo jak przybył, z orszakiem w porządku, z półkównicą na przedzie, ze znakiem, z wspaniałością i powagą, pociągnął ku wrotom zamkowym, głowę pysznie podnosząc do góry. — Zjeżdżali z Wawelu, a jeszcze na wałach śmiechy słycać było i wołanie — Rabów syn! Porabek! Zbój! i t. p.

Jaksa bladł to czerwieniał słuchając. Trudno się było utrzymać nie dobywszy miecza, ano sam Petrek hamował. — Babska to sprawa! Ja z babami nie wojuję! Książę tak utrapiony jako ja, niewinien nic! Cierpliwości! przyjdzie godzina że się tego pomścimy. Dziś nie pora!

Mówił spokojnie a drgał cały na siodle, pot mu się lał z czoła, rozum brał górę, choć w piersiach gniew wrzał straszny.

— Nasz książę niewinien — powtarzał — ja go znam! Ale i niewinni pokutują! Gdy wicher lby zuchwałym dębom zrywa w lesie, padają i pokorne!

Tak miarkując się dojechali na biskupstwo, a Petrek z konia zsiadłszy na ławie spocząć musiał w podwórzcu, nim poszedł dalej, tak mu nogi podcięło. —

— Niema już ratunku! szepnął — niema!

Poselstwo szło na niczym, i dłużej tu trwać nie było po co. — Petrek z rady Biskupa Ruperta postanowił jeszcze duchownych i ziemian zwoławszy, wyprawić ich do księcia, choć sam wątpił aby i to mogło skutkować. —

Nazajutrz szaro jeszcze było, Palatyn spał, gdy Jaks, który czuwał nad nim, zbudził go. Chłopię jakieś niepozorne przybiegło z Zamku, opowiadając się że posłane było od księcia. — Zdziwił się tajemnemu poselstwu Palatyn.

— Miłościwy pan, przysłał mnie, szeptało drżące pachole, ażeby wam oznajmić że wyjedzie wkrótce na łowy wielkie, a może z tych łowów i do was, do Wrocławia nawróci, abyście się go spodziewali.

Potajemne to oznajmienie, pocieszyło nieco Petrka; rozmyśliwszy się jednak, po odejściu chłopca, który dostał dar książęcy — rzekł sobie w duchu.

— Biada już tam, gdzie się potajemnie przejednywać trzeba, jawnie poważniejszy, z obawy jednej niewiasty!

Na niewiele się łowy przydadzą!.. Tegoż dnia Petrek, już na zamek nie zaglądając, z całym swym orszakiem, o białym dniu, pod znakiem po pod wałami zamku przeciągnął, nazad wracając do domu.

Nie było już żadnego więcej niebezpieczeństwa, gdy tedy za Kraków odjechali, Jaks sobie starego przypomniawszy Zaprzańca, zapragnął go na zamku jego odwiedzić.

— Miłościwy panie — odezwał się do Petrka, obok którego jechał, jeżeli ja wam niepotrzebny w drodze, radbym ztąd wskoczył do Pieskowej Skały, bom się tam obiecał staremu, którego i wy znacie. Pokłon mu należy od młodszych, bo dużo cierpiał i od losu i od swoich.

— Zaprawdę! zawołał Petrek — dobra myśl, ale i jam rad nawiedzić Żegotę! Weźcież i mnie z sobą? Najedziemy go w jego gnieździe na wyżkach. O owęj górze i grodzie nasłuchałem się wiele, a w oczym ich nie widział jeszcze.

— Królewskie to grodzisko, tylko je sobie Zaprzańca u nieboszczyka Krzywousta wyprosił, że mu je puścił, aby sobie na odludziu jak pustelnik siedzieć mógł, a w majętności własnej o braci się nie ocierać. —

— Jedźmy do Zaprzańca!

Ochoczo bardzo myśli tój uchwycił się Petrek, ale, wedle obyczaju swojego, rad był zaraz i zbytniego się zbyć orszaku i owych sukni paradnych i wszystkiego co go otaczało i co mu ciążyło. Kazawszy więc ciągnąć pułkowników swemu z końmi wprost do Wrocławia, sam z małym pocztem, w kilka koni, z Jaksą, nawrócił w dziką ową dolinę wśród której im Pieskowej Skały szukać było potrzeba.

W owych czasach kraj to był daleko jeszcze pustynniejszy niż dzisiaj, choć niemniej piękny. Ludzi owego wieku raził on dzikością swoją.

Do koła stały lasy nieprzebyte, nietknięte siekierą, gąszczami zbitymi podszyte, ciche, milczące, straszne, zaludnione zwierzem i widmami. Osady w okolicy były rzadkie, a ci co się w nich kryli, niegościnni dla podróżnych, zuchwali i niebezpieczni. — Po pieczarach mieszkali zbóje, którzy wybiegali na gościńce. Dróg najczęściej potrzeba było szukać brzegami górskich potoków, głębiami mrocznych parowów. Na stokach gór ledwie dostępne były ścieżyny przez trzody powydeptywane. Zwierza prawie na każdym kroku spotkać było można, bo mu się tu skryć i zbiedz od pogoni łatwo było.

Rzadko inaczej podróżni jak gęsiego jechać mogli, przodem puszczając tego co drogę znał, i za nim ciągnąc po wązkiej, wodami powyrywanęj ścieżynie. W miarę jak się ku Sułoszowej zbliżali, góry coraz wyższe, z odrapanemi gdzieniegdzie stromemi boki otaczać ich zaczynały. Naostatek wjechali w dolinę, wśród której na stromęj górze, a u samego jej wierzchołka gródek się wznosił. Ale ztąd ani go widać było wpośród zarastających drzew, ani rozróżnić od samej góry jakby z kamienia litęj.

Naprzód, na straży zamku stojąca, ukazała się im Skała Sokola, niby słup ręką duchów uciosany, oderwany od innych skał, osamotniony i nagi.

Ztąd widać było dróżynę wijącą się ku górze i gródkowi, ale tak stromą, tak ślizgą, że konie na dole zostawiwszy, Jaks z Petrkiem i dwojgiem czeladzi, pieszo się na nią wdierać poczeli.

Popsuta przez wody i strumienie deszczowe ścieżka, pełna złomków kamieni, dziur i wybojów, znużyła ich pochodem, który trwał dłużej daleko niż rachowali.

Nierychło dostali się do wierzchołka. Tu, niewidoczna z dołu brama, oznajmiła im że u celu stanęli.

Z głazów ogromnych nieforemnie zrzuconych zbudowana, gdyby nie wrota w niej osadzone, nie wydawałaby się dziełem ludzkiej ręki, ale jakimś dziwactwem natury.

W bramie stróż siedział jeden, oszczep koło siebie złożywszy, z trąbką na sznurku, a że mało kto kiedy na zamczysko zaglądał, bawił się strugając sobie coś z drzewa. Niepomału się zadziwił dwu podróżnych zobaczywszy, wstał szybko i za oszczep jakby do obrony ująwszy, cofnął się żywo ku furcie.

Ani się z nim rozmówić było można, tak jakimś połamanym językiem niezrozumiale belkotał.

Przecież na hałas u wrót wyszedł drugi z czeladzi i przybyłych gości do środka wprowadził.

Miejsce to na którym później stanął ów sławny zamek Zaprzańców, pustką jeszcze było jak cała okolica. Otaczał je liche wały, którego do obrony tak skalistej i stromej wyżyny starczyło. Nie było warowni żadnych, tylko pod wałami wewnątrz długie szopy stały, a wpośrodku rodzaj dworu na kamiennym podmurku, z drzewa grubego sklecony.

Zaprzaniec wznosił wśród tych zarośli i łomu kamieni, ogromny krzyż drewniany, który ztąd okolicy panować się zdawał. Tu on, świata się wyrzekłszy, żył osamotniony. Gdy bracia się go i rodzina zaparła, mamkę tylko, która go ocaliła wziął do siebie, a na pogardę rodowi ożenił się potem z prostą, ubogiego bardzo ziemianina córką. Tu z nią się zawlókł na pustynię żyjąc, nie jako stanowi jego przystało, ale jako prosty człek, dla siebie samego. Chociaż majątności odzyskał wielkie i dzierżawę od króla nieboszczyka nadaną znaczną, wsi i osad kilkadziesiąt, choć dochody miał bogate, w okolicy w której wszyscy niemal z braćmi jego powiązani byli żyć nie chciał, stronił od sąsiadów, zamykając się na swęj skale.

Wymykał się ztąd tylko na łowy, które lubił wielce, albo do dalej mieszkających ziemian jak Petrek, w Krakowskiem z nikim przestawać niechcąc.

Gospodarstwo się wiodło u Zaprzańca osobliwe, bo on sam wiele świata i ziem widział, wiele się rzeczy napatrzył, siła miał doświadczenia i rozumu, a z prostymi ludźmi najwięcej przestawał, prawiąc że z niemi się czuł bezpieczniejszym. Lud też wszelki na okół bardzo go miłował, jak do wodza i obrońcy swojego szedł, we wszystkich potrzebach i dolegliwościach. — Na zawołanie jego nie było biednego człeka, któryby nie biegł wnet, rzuciwszy wszystko, i moźni bracia a ich druhowie musieli się go obawiać. —

Gdy na zamek weszli zastali Zaprzańca z żoną siedzącego na ławie u drzwi téj szopy, która dworzec ich stanowiła. Żona przy nim wyglądała gdyby córka, bo była młodą i hożą, dwoje dzieci bawiło się przy nich w jednych koszulinach, boso między kamieniami i krzakami biegnąc.

Ogromne psy, wśród których dzieci bezkarnie się zwiąjały, zoczywszy obcych, rzuciły się na nich całą czeredą i gdyby ich nieodwołano i nieosmagano, jak dzikim, drapieżnym zwierzętom, trudnoby się im obronić było.

Żona odziana była jak prosta wieśniaczka, ale w cienką bieliznę, bursztyny i korale, namitkę białą miała na głowie i fartuch przypasany, jak do roboty. Wstała silna niewiasta i popatrzywszy trochę, wnet się skryła do wnętrza, zostawując męża z gośćmi samego.

Petrek przodem szedł witać, którego, równie jak Jakse, poznawszy zaraz gospodarz, rękami otwartymi przyjmował.

— Bądźcież mi pozdrowieni, wy coście się skały méj nie ulękli! zawołał.

Poczęła się tak rozmowa w podwórzcu zaraz i zaprowadziła ich do wnętrza. Dwór wewnątrz na kilkoro części był podzielony, w lewo do swoich izb powiódł gości Zaprzaniec. Izby niskie były, okopcone, a niepozorne, z ławy kamiennymi i ogniskami wpośrodku. Sprzętu w nich widać było mało i prosty, przybory do łowów, rybołostwa i jazdy. Dopiero w osobnej komorze, którą Żegota swoją nazywał, mieli się czemu przypatrzeć... I ta nie była wytworną, ale tu zgromadził gospodarz owoce swoich długich wędrówek po świecie, odzieże osobliwe, tarcze, miecze, noże, łuki saraceńskie, normandskie, galijskie, włoskie, greckie i na dalekim używane wschodzie. — Misternie wyrabiana stal ze złoceniami, rogi różnych zwierząt osobliwe, skóry i futra nieznanymi bestyi, pióra ptaków jak gdyby malowane, oponicze z tkanin ciężkich, wszystko to okrywało ściany i zwracało

oko, tak że się tych bogactw napatrzeć nie było można. A miał na każde zapytanie o te łupy odpowiedź gotową Zaprzaniec, jak i gdzie ich dostał i czém je opłacił.

Więc Petrek szczególnie, który choć sam się w zbytkach nie kochał dla siebie, ale wszelkiej rzeczy ciekawy był, nie mógł się nasycić oglądaniem skarbcza tego.

Szczęściem dla Zaprzańca, gdy do kraju przybywał a w ręce braci popadł, wszystkie te zdobycze jeszcze w miejscu bezpiecznym złożone były.

Nagadawszy się o dalekich podróżach Zaprzańca, który w małym kole, rad o nich rozpowiadał i ożywał się starami wspomnieniami; mowa się zwróciła na teraźniejsze czasy. A że Petrek nie taił iż z Krakowa od księcia powracał, Żegota go zapytał coby wioził z sobą, nadzieję pokoju czy groźbę wojny?

— Wojny! wojny! — odparł Petrek wzdychając, — a wojnie téj kądziel zamiast buławy będzie hetmanic — książę pono nie bardzo jęj chce, ale Cesarska siostrzyca gwałtu pragnie zdobyć sobie koronę. Cała nadzieja nasza że gdy się od kądzieli pakuły zapala, rychło spłoną. —

— Mylisz się, miły bracie — odparł Żegota, najupartsza to wojna gdy w nię niewiasty żołnierzami. Za podwiką idą szalejąc mężowie, a gdy sami nie poczynali nie będą téż wiedzieć kiedy kończyć. Niewiasta zaś nieubłaganą jest i nienasyconą.

## IX

Na krakowskim zamku kipiało i gotowało się teraz, jak w kotle na ognisku, a co tam przysposabiano nie było dla nikogo tajemnym, bo o tém trąbiono na cztery strony świata.

Wyjeżdżały ztąd ciągle poselstwa i przychodziły posły z dalekich krajów. Jednego dnia jechali z Rusi w kozuchach sobolowych bojarowie, z kołpakami wysokimi na głowach, drugiego rycerze zbrojni, zakuci w stal przybywali od Cesarza, którego nieustannie o posilki i poparcie błagała siostra przyrodnia.

Jednych tylko niewiadać było ziemian i starszyny własnej, ani pasterzy i duchownych, którzy od niejakiego czasu widocznie stronili od książęcego dworu. Nawet ci których powoływano nie radzi się stawili.

Z książąt braci Władysławowej, przyrodnich, osadzonych przez ojca na dzielnicach w Sandomierzu, Płocku, Poznaniu, zdawna się tu żaden nie zjawił, wiedzieli bowiem, iż tu im bezpiecznie nie było. Z każdym dniem rosła trwoga ogólna, gdyż wybuch który gotowała ks. Agnieszka zdawał się przybliżać i co chwila się wystąpienia jawnego ks. Władysława spodziewano.

Obojętnym i zastygłym na pozór okiem patrzył na to sam książę, nie opierając się, niewiele mieszając, chyba aby spełnić żony rozkazy, bo się im oprzeć nie umiał.

Ale bywały na niego chwile odmienne, w których zdawał się brać do serca sprawę całą, ożywał, mówił o nięj gorąco. Trwało to jednak krótko i potem znowu w odrętwienie swe wpadał, lub nawet próbował opierać. — Trudno go było zbadać co w duszy nosił, gdyż na przemiany chwycił przeciwne przekonania i zarówno prędko je rzucał. Dla świętego spokoju w domu, dawał zresztą żonie czynić co chciała.

Po odjeździe tak szybkim Palatyna Petrka, gdy się wszyscy spodziewali przytrzymawszy go dłużej, wymódt coś na nim groźbą lub łaską i pociągnąć z sobą; Dobek jako oznakę buntu, począł postępowanie jego wystawiać. —

Nazajutrz po odjeździe jął księciu przy Agnieszce dowodzić, iż Petrek jeden wszystkiemu winien był, że on innych do oporu miał pobudzać, on głową i sprawcą spisków był, czyniąc się ostatniej woli króla Krzywousta stróżem i wykonawcą.

Książę słuchał cierpliwie, ale nie dał po sobie poznać co myślał. Chwilami potakiwał, to głową potrząsał milczący.

Agnieszka dopomagała w tém ulubieńcowi, aby Petrka zozydzić i obwinić. —

Przez dni kilka nic słychać nie było tylko te nawoływania przeciw Petrkowi i namowy do pozbycia się go co najrychlejszego. Książę Władysław milczał ciągle. Dano mu w ostatku pokój, widząc że ani przeczy ni zezwała. Dobek sam z księżną gotował się wystąpić przeciwko młodszej braci. Rus i Połowce mieli już być w drodze, obiecywano ich codzień.

Upłynęło tak dni kilkanaście, jesień coraz chłodniejsza nadchodziła, liście zmrożone opadały z drzew, wiatr zawiewał z północy, książę Władysław, który łowy lubił wielce,

może dla tego że wyjechawszy na nie głowę miał spokojną, wybierał się z całym myślistwem swym w lasy. Dobek zawiadomiony o tym, gdy już wszystko było pogotowiu, wpadł do księcia.

— Miłościwy panie, zawołał żywo, gdzie tu czas do łowów. Tu nie o łowach myśleć trzeba! Z domu się wam nie godzi oddalać. Każcie ludziom przygotowania te odwołać. — Nie możecie jechać! Władysław spojrział nań namarszczywszy się.

— Wczoraj mi moi ludzie przynieśli wiadomość, dodał Dobek, że Petrek ziemian zwołuje i biskupów, że ich tu nasyła na was, aby oni się pokoju i bezpieczeństwa dla młodych książąt domagali. Ponabechtywał co najznacniejszych żupanów, wojewodów, duchownych, nie z jednej ale z wszystkich dzielnic. — Tylko co ich nie widać. — Wasza Miłość musisz sam tu być gdy przybędą, przyjmując ich i dając surową odprawę, jak należy.

Tych wyrazów domawiał Marszałek, gdy weszła księżna prowadząc dwu synaczków swych, a najmłodszego niosąc na rękach. Dzieci swe księżę miłował bardzo, na widok ich rozjaśniło mu się lice. Ale nie dla zabawienia go niemi prowadziła je tu księżna, chciała z pomocą ich, widokiem potomstwa męża do śmielszego wystąpienia pobudzić.

— Dobek mówił co się gotuje na nas! krzyknęła głośno — kraj cały przeciwko nam podnoszą. Im bez silnej ręki pańskiej, z temi dzieciuchami lepiej, robią, co chcą! Ale ta samowola ustać powinna. Patrz na dzieci twe! o los ich idzie! — wyżeną nas z niemi, one kawałka ziemi mieć nie będą! Stańże jako mąż, jak król! stań przy swym prawie!

Gdy to mówiła księżę się z synkami bawił, głaszcząc ich po główkach. Starszy go za mieczyk chwycił, młodszy za suknię ciągnął, ten który u księżnej na rękach był dłonie ku niemu rozpościerał śmiejąc się. —

Władysław uradowany niemi zdało się że niesłyszał nawet co doń mówiono. Agnieszka oburzona ramionami ruszała.

— Słuchajże przecie! słuchaj! wołała coraz głośniej, przyprowadziłam ci dzieci nie żebyś je bawił, ale żebyś miał litość nad niemi. —

Księżę podniósł głowę wreście. —

— Cóż chcesz! co więcej mam czynić jeszcze?

— Odprawić buntownicze poselstwo jak należy...

Księciu coś błysnęło w oczach, i rzekł żywo.

— Odprawię! — zrobię co trzeba! Zdawał się rozgrzany i pewniejszy siebie...

— Wszystko się gotuje jak było postanowiono; Ruś zjednana, zamki w stanie obrony, ludzie się ściągają, wojnę wypowiem jeśli się nie poddadzą. No cóż więcej! cóż może być więcej!

— Myślisz że się strwożeni poddadzą! przerwała Agnieszka. Choćby się nawet ukorzyli na dzielnicach ich zostawić nie można. Co dziś zażegnamy jutro się wznowi, trzeba raz skończyć! Musisz być sam!

Władysław potakiwał głową, Dobek stojący z boku, chwycił zręczność aby znów na Petrka podzęgnać. —

— Oniby się odrazu poddali i ustąpili dawno — zawołał, gdyby nie Palatyn Petrek, pierwszy zdrajca, pierwszy wódz do wszystkich buntów. Póki on żyw, nasz pan bezpiecznym nie jest. Tu on króluje a nie księżę.

Agnieszka potakiwać zaczęła. —

— Łotr! zbój! przeniwierca. — Zgładzić go trzeba, nie dać żyć temu staremu psu aby nie kęsał.

Władysław dwuznacznie głową potrząsnął.

— He! he! rzekł — pies! Skoro pies ma za sobą całą łaję, jak mówicie, toć go zgładzić niebezpieczna, bo się na nas psiarnia mścić będzie wszystka.

— E! damy my radę psiarni, byle tego co ją prowadzi niestało! dodał Dobek.

Na tym się rozmowa przerwała, bo dzieci poczęły wołać do matki aby do izby z niemi wracała, poszedł niosąc jednego Dobek. Księżę Władysław popatrzał za niemi i z westchnieniem ciężkiem na ławę się rzucił.

Walkę z sobą odbywał — bezsilnym się czując. Myślistwo zapowiedziane odłożone zostało. Trzeciego czy czwartego dnia oznajmiono na zamku że poczty ziemian zewsząd płynęły do Krakowa.

Niczym to było jeszcze, choć Palatyna Wszebora i Ciołków, Biskupa Janika i poczty Korabiów, Łodziów, Dolewów, Grzymałów, Cholewów zapowiedziano, — gdy w ostatku dał ktoś znać że i sam ks. Jakób ze Znina Gnieźnieński pasterz najwyższy, przybywał także.

Ten dzierzył w ręku władzę Rzymu i siłę jego, za nim posłuszni szli pasterze wszyscy, na jego powołanie i ziemianie musieli się tam zwracać kędy wskazał!

Wściekły gniew opanował księżnę, gdy się o tém dowiedziała, a Dobek począł znów swą piosnkę, że i to nie czyją było sprawą tylko Petrka.

Powaga Arcybiskupa niemal przewyższała księżęcą. On stał nad wszystkimi ziemiami państwa Krzywoustowego, gdziekolwiek był, pierwsze należało mu miejsce, przeciw niemu nikt się porywać nie śmiał.

Trwoga padła na zamek, księżna z gniewu we łzach chodziła.

Przez cały dzień jeden wyglądzano poselstwa napróżno, na podzamczu stały tłumy, rozbijano namioty, ale oczekiwano jeszcze na resztę panów, którzy ciągle się zbierali. Na Zamek nie posyłał nikt. Widać było z wałów pozatykane znaki różne, rozbite obozy, kręcące się tłumy czeladzi, ruch na przedmieściach i w mieście nadzwyczajny, a do księcia nikt się nie zjawiał. — Dobek posłał na zwiady, przyniesiono mu wieść, że na znaczniejszych żupanów naczekiwano jeszcze.

Na Zamku tymczasem przysposabiano przyjęcie wspaniałe, nie aby nakarmić i napoić gości, lecz by ich majestatem pańskim olśnić. —

Co było załogi na Zamku otrzymało szaty, broń, dowódcy i wszyscy urzędnicy dworscy stali pogotowiu. Niemieckim trybem książęcych dworów postrojona służba, miała okazywać wielkość pańską i siłę. — A że pod czas i ruscy posłowie na Zamku przebywali i tych w nowe kozuchy i szaty poprzyoblekano, aby się i niemi pochwalić. — Lud to był, choć nie bardzo gładkiego lica, ale srogiego wyrazu i groźnej postawy, dziwnie wyglądający w szatach dostatnich, obok smukłych niemiaszków, prawie po niewieściemu postrojonych. Czekano.

Następnego dnia, przy dźwięku dzwonów kościelnych, ruszył się z biskupiego dworca Pasterz Pasterzy, Arcybiskup Gnieźnieński na koniu siwym jadąc, cały w purpurze i kapeluszu szkarłatnym... Przed nim jadący klecha w komży niósł ogromny krzyż srebrny. — Jechali dwaj Biskupi u boku jego, dalej Archidykoni i Prałaci w szatach i czapkach obrzędowych. —

Za niemi dopiero następowała starszyzna świecka, Palatynowie każdy z drużyną i ludźmi zbrojnymi, miecznikami i tarcznikami swemi, Wojewodowie mniejsi z dzielnic różnych, naostatek Żupanowie i ziemianie wedle zawołania gromadami.

Cały dziedziniec zamkowy zapłynął tym ludem, a po bokach strażę książęcą stały szeregami dokoła.

Władysław gotował się na przyjęcie posłów w izbie wielkiej, gdzie i sama księżna chciała koniecznie siedzenie mieć przy mężu, choćby trzecie, bo pierwsze obok niego należało z prawa Arcybiskupowi, na równi z panującym zasiadającemu. Przed nim niewiasta, choćby się jak Agnieszka chlubiła że siostrą Cesarską była, ustępować musiała.

Wiódł przodem idącego Arcybiskupa, marszałek pochylony pokornie, choć zły w duszy. —

Książdz Jakób ze Znina, który w istocie potężniejszym tu był bez wojsk niż książę Władysław z pułkami i sprzymierzeńcami swemi, późnych lat był mężem, już widocznie nawykłym do rozkazywania a tak godność swą poważnie niosącym, jakby się do niej narodził. Silny, mężny, patrzył z wysoka, spokojnie na tłumy uginające się pod jego błogosławieństwem.

Na ramionach jego spoczywała potęga naówczas najsilniejsza jeszcze, choć się z pod niej Cesarze wylamywali, — Rzym stojący po nad korony i państwa, mający w ręku piorun kłutwy i wyłączenia ze społeczeństwa, moc uczynienia człowieka zwierzem bez obrony i prawa. Arcybiskup Jakób zdawał się czuć i wiedzieć że tym piorunem gruchoczącym władał...

Na widok jego książę Władysław z siedzenia powstał, wyszedł do progu i z pokorą ręką z pierścieniem ogromnym — ucałował. (Były te oznaki godności naówczas tak olbrzymiej wielkości, aby je zdala lud mógł widzieć).

Za księciem, choć niechętnie poszła unizając się Agnieszka.

Książę, Arcybiskup, ona zajęli podwyższone miejsca swoje. Ustawiła się do koła starszyzna kołem, ziemianie za nią mnodzy. Drzwi musiano zostawić otworem, bo wszyscy w izbie pomieścić się nie mogli.

Gdy cisza nastąpiła, Jakób ze Znina zwrócił się do księcia Władysława.

— Miłościwy książę, rzekł, widzisz nas tu gromadnie zebranych nie napróżno. Przychodzimy do ciebie z żalobą, z prośbą, z radą. Wieść chodzi po ziemiach naszych straszna; opowiadają ludzie że pogany na własnych braci swych i krew swą zwołujesz, że chcesz młodszych wyrzucić z dzielnic ich i orężem się dobijać jedyną władzy...

Ojciec twój, miłościwy książę, pobożny pan, był tej ziemi dziedzicem i miał prawo z niej dać dzieciom co mu się podobało. Wyznaczył działy, oprócz najmłodszego... Należy woli nieboszczyka posłuszeństwo. Nie mąćcie spokoju, nie narażajcie się na stratę tego co macie, sięgając po to co wam nie należy.

Książę był już zawczasu przez żonę do odpowiedzi przygotowanym, Agnieszka siedziała też tak u jego boku że mogła mu podszeptać słowo. Niegodziło się jej odzywać samą, ale czuwała aby mąż zostawiony sobie nie uległ i nie ustąpił.

Na licu księcia malowała się chwilę niepewność jakaś, niby srom że mu zadano winę, potem się ośmielił i począł żywo.

— Nie może być dwu ani wielu panów w jednej ziemi. — Od dawna państwo to rozdzielane nie było. Mógł ojciec chory, na łożu śmiertelnym uleż podszeptom żony, mógł osłabły stanowić jakieś prawa — ale ja mam za sobą prawo tej ziemi i pierworodztwa mojego prawo. Jam je od Boga wziął. Ono mówi inaczej. — Braciom co słuszna, dam, ale — nie zapieram się miłościwy ojczy i panie, że chcę być tu jednym i — być nim muszę.

Trochę milczano; duchowni po sobie spojrzeli jakby się nie spodziewali odpowiedzi tak szczerą, i ks. Janik Wrocławski odezwał się pierwszy.

— Powiedzieć co się pragnie, łatwa rzecz, ale spełnić często trudna. I Bóg i ludzie staną w poszanowaniu woli nieboszczyka; rzeki krwi się poleją, kraj opustoszeje, niewiadomo kto w końcu zwycięży, a kto padnie. To w mocy Bożej. Wasza Miłość wezwiesz Ruś, bracia sobie pozwą Czechów i Węgrów może, zleje się obca moc na te ziemie i zniszczy je a kopytami zorzą. —

Orzekał lice księżnej, która zawołała półgłosem. — Panować będziemy nad pustynią!

Władysław powtórzył te słowa — lecz trwożliwie.

Biskupi spoglądali po sobie, twarz ks. Jakóba ze Znina ani drgnęła, ni się zmieniła najmniżej.

— Mieć więc będziecie przeciwko sobie, odezwał się, nietylko braci i ich sprzymierzeńców, ale i nas Ojców swych duchownych, bo my dopuścić nie możemy krzywdy młodszego rodzeństwa. Jesteśmy jego opiekunami.

W tém książę Władysław, nie czekając podszeptu żony, sam z siebie się odezwał.

— Na życie ani na mienie braci nie godzę, chcę by mi byli podlegli i posłuszni, by stali podemną. Młodzi są i ojciec mi naznaczył władzę zwierzchnią nad nimi.

Arcybiskup przerwał.

— Nie oprą się pewnie gdy ich ku obronie powołasz, ale u siebie w domu panami są i zostaną nimi przy pomocy Bożej.

Książę spuścił wzrok na szaty, nie mówił nic długo.

— Stoję przy tém rzekł — dodał cicho.

Z pomiędzy świeckich Palatyn Wszebór wystąpił.

— Miłościwy panie, odezwał się — my z prośbami do ciebie przychodzimy. Ulituj się nami i krwi niewinnej. Wojnę począć może lada kto, a pożar ten ugasić tylko moc Boża. Od obcych ona straszna, od swoich bezbożna! Zmiłuj się nad nami.

Za nim wszystka ta gromada stojąca w izbie i za izbą, zaczęła powtarzać wielkim głosem:

— Miłuj się nad nami!

Poschylali głowy jedni, drudzy na kolana poprzymadali.

— Zlituj się! zlituj!

Władysław poruszył się niespokojny, siedząca za nim Agnieszka płonęła takim gniewem że, sromając się go, to sobie twarz zasłaniała, to mimo woli miotła rękami. —

— Nie waz się ustępować! wołała do ucha mężowi. — Zastraszyc chcą, boją się sami! Nie widzisz, że iż się trwożą ciebie i gardzić będą, gdy się im upokorzysz i ulegniesz?

Książę zwrócił się do Arcybiskupa.

— Ojciec mój, nie mogę zmienić co postanowiłem, rzekł zniżonym głosem słabym — niech — niech się dzieje wola Boża! Od braci ja nie chcę nic tylko posłuszeństwa i daniny na znak méj władzy. —

— Daniny nigdy nie płacili! przerwał Wszebór. — Na wojnę, na nieprzyjaciela pójdą wszyscy, ale w domu, czasu pokoju każdy pan udzielnny.

— Tu niema innego pana, tylko jeden! wybuchnęła Agnieszka.

Nikt na to nie dał odpowiedzi, patrzono na księcia, ten szatę na sobie targał i w ziemię oczy utopił.

Arcybiskup Jakób poszeptał coś z biskupem Janikiem i mówić zaczął.

— Miłościwy książę, złych i płochych masz doradców, ja, Ojciec twój duchowny, radzę, życzę, z kościołem i ziemiami temi nie poczynaj wojny. — Kto przeciwko nam idzie, tego spotka los Szczodrego... nie daj Boże! Prawica Pańska mocną jest, a wygnanie gorzkie. —

— My nie pójdziemy na wygnanie. — Nie! zawołała głośno, nie mogąc się powstrzymać Agnieszka.

Po krótkim milczeniu, Arcybiskup spokojnie odezwał się. —

— Bóg jeden wie co komu przeznacza! stanie się wola Jego!..

Sklonił głowę. — Wiarołomnych on karze. —

To mówiąc wstał Pasterz, starszyzna świecka poczęła znów padać na kolana.

— Zmiłuj się, nie prowadź na nas wojny! zlituj się!

Książę Władysław jakby słuchać nie chcąc odwrócił się od nich, Jakób ze Znina pokłonił się zdala i zabierał do wyjścia, nie podnosząc ręki do błogosławieństwa.

— Nie mogę już błogosławić domowi z którego wychodzi wojna i śmierć, a wiarołomstwo. — Boga prosić będę aby litując się wam, raczył natchnąć lepszym duchem.

—

To powiedziawszy odstąpił od księcia, rękę położył na piersiach, i zaczął iść nazad ku drzwiom w milczeniu. Za nim inni też odpływać poczęli, w dziedzińcach powstał szmer i gwar.

Ziemiańskie głowy niemal głowami ku sobie wskazywali, dając znać iż nic uczynić nie zdołali.

Izba się wypróżniała zwolna, bo wielu szło tak, jakby się jeszcze spodziewali że ich nazad, zmieniwszy zdanie, odwołają, że trwoga ogarnie księcia. Władysław w istocie przejęty był strachem, ale przy nim stała żona, gniewem i dumą oburzona, zapamiętała, patrząca za odchodzącymi z pogardą.

Ostatni jeszcze nie przestąpili progu, gdy na głos zawołała.

— Wszyscy zdrajcy są! nabechtani! nie trwożym się ich grózb, zobaczymy przy kim będzie Bóg i siła Jego. Prawo z nami! Książę nie chce być drewnianym bałwanem, ani strachem na wróble — panować będzie!!

Ścisniętą rękę wyciągnęła groźnie. Władysław padłszy znużony na ławę, zadumał się, ale i w nim uczucie się jakieś ozwało teraz.

— Tak — cofać się nie czas! Uczynię co postanowiono. — Co ma być będzie! Będzieli źle — jam nie winien. — Teraz już to musi być. — Groźbom uledz — srom... Będzie co ma być! powtórzył niespokojnie.

Agnieszka dodała gwałtownie

— Winę biorę na siebie! nie godziło się inaczej, a nie — to lepiej było precz ztąd iść odrazu. — Tak! tak!

Ruszyła się iść. —

— Dobek! za mną! dodała oglądając się.

Marszałek postuszny stawił się i szedł za panią. — W wielkiej izbie książę został sam. — Przed chwilą gwarna, stała teraz pustką, choć jeszcze w niej zdawały się latać groźne słowa, błdzić widma tych ludzi co tu prosili i grozili panu. —

Z siedzenia arcybiskupa spadło było wezglowie i leżało na ziemi, jakby on go tu więcej zajmować już nie miał. Na krześle Agnieszki rozpostarta chusta, zgnieciona, zapomniana,

walała się nosząc na sobie ślady namiętych dłoni co ją w czasie posłuchania szarpały. Władysław powiódł oczyma po pustej izbie. Nareszcie i on tu pozostać nie chciał, wstał i krokiem niepewnym skierował się ku izbom swoim. Za nim ciągnęli komornicy.

— Holsza! zawołał do Łowczego, który zawsze pogotowiu stał na uboczu, oczekując rozkazów.

Holsza? Co myślisz? rychłoli ziemia skostnieje i ponowa spadnie? jak ci się zda?

Łowczy przez okno wyrztał trochę...

— Gdyby tak wedle znaków sądzić, rzekł, śnieg za pasem powinien być. — Lasy szarzeją, a na niebie chmury jak pełne wory ciężkie wiszą.

— Co z księżycem? spytał książe.

— Ku młodzikowi się zabiera! odparł Holsza.

— Gotujże psy i łowiectwo twoje dokończył książe, byle śnieg pruszyć począł — w drogę! Ho! Ho! pociągniemy daleko! pohulamy po lasach! Żywności wziąć dostatek, posiedzimy w puszczy bodaj miesiąc. — Tam! dobrze!!

Rozśmiał się weselęj. — O! tam dobrze!!

— Dobrze, miłościwy panie! potwierdził Holsza.

— Nieprawda? niema to jak las a bór! odezwał się Władysław swobodnie, ja wolę las niż dom, a zwierza niż ludzi! Ej! tam to życie! nieprawda Holsza?

— Prawda, miłościwy panie.

Uderzył go dłonią szeroką po nachylonych ramionach.

— Tam ja nie książe a król! mówił Władysław — tam my panami, Holsza? Pociągniemy puszciami daleko — daleko! póki puszcza nam stanie! Tylko paszy nabrać dużo dla koni i dla nas. — Jak ci się zda? będąc zima tęga?

— Tak ludzie wróżą!

— A! niechby była tęga! mówił książe. Gdy błota staną, rzeki staną, stawy zmarzną jedź wówczas gdzie oczy poniosą! Nieprawda, Holsza?

— Prawda! miłościwy panie!

— A Załaj wylizal się czy nie? począł po chwili.

— Blizna jeszcze czerwona i liże ją dotąd, ale wprędce koniec będzie. Tylko włos na niej neurośnie rychło, rzekł Holsza, bo to dziczy kiel jad ma! ale pies dla tego chodzić będzie. —

— Pies z najlepszym nosem! mówił książe poważnie — złoty ma nos! A po nim szczenięta? he! hoduują się!!

— A jakże, miłościwy panie.

— Gdyby matka karmić nie chciała, choć im mamkę wziąć dodał książe — ażeby mi nie pozdychały!

— E! odezwał się śmiejąc poufale Holsza, juści dla szczeniąt mamki u Aarona kupować nie będziemy, choć on i takie niewolnice ma co za mamki służyć mogą!

Władysław o czémś myślał zadumany, ale Łowczego trzymał przy sobie.

— Słuchaj! Holsza!

— Słucham, miłościwy panie!

— Podemnie niechaj będzie gotów Chwat cisawy, ten nogi ma takie że i na gołoledzi nie padnie a nie rozedrze się, u niego róg taki że i żelaza mu nie trzeba — prawda, Holsza?

— Prawda, miłościwy panie.

Władysław podniósł połę sukni, dobył garść drobnych blaszek srebrnych i rzucił ją w nastawione Holszy dłonie, szepcąc mu na ucho.

— Byle pierwsza ponowa! i w las! w las! prawda Holsza?

— Prawda! prawda! w las! w las!..

— A w lesie panowanie nasze!! zawołał Władysław i nucąc poszedł do swjej komory.

—

W izbie księżnej Agnieszki inna wcale toczyła się rozmowa. Dobek, w swém ubraniu paradném, stał oparty o ścianę, z rękami w tył założonemi. — Agnieszka po izbie chodziła.

— Wszystko to Petrkowe ułożenie, mówił Dobek — byle jego nie stało, wezmą w łeb te spiski i znowy. Jego tylko ubić zdrając, wygnać, zniszczyć. — Zkąd ma te skarby! Zkąd ta wielkość jego? Przywłaszczal sobie co chciał z pańskiego, gdy Krzywousty postarzał. — Co on ma powinno być pańskie! a tam jest się czém pożywić!

Niech go nie stanie, zmiękną oni wszyscy, bo on téj sieci węzły w rękę trzyma! nie kto tylko on! —

— A z nim, niełatwo! potrząsa głową księżna.

Dobek się uśmiechnął chytrze. — Eh! — zawołał, daćby mi go na moje ręce, a ja sobie z nim poradzę! Wojny z nim prowadzić nie potrzebuję, jak mysz pochwycę go w garść i zduszę! Na chytrego chytrłości potrzeba.

— Tak! rzekła księżna — ale książę go lubi — o! ma słabość do niego! Razem z nim po lasach się włóczę, wodzi go po ostępach, psy mu stręczą, sokoły śle i tém go sobie jedna.

— Jakby książę do lasu innych towarzyszków sobie nie znalazł! mruknął Dobek.

— A czemuż ty mu się nie nastęczasz! odezwała się księżna, jemu na łowach naj-  
śnadniej do serca trafić można.

— Tak — odezwał się Dobek, z księciem pojechać w las to się na dwóch, trzech dniach nie kończy, a któż tu będzie miał oko na znowy i zdrady? kto ludzi w rękę utrzyma? Gdyby nie ja czy to by się wszystko nie rozbiegło jak stado owiec? Tu raz wraz i oka i grozy potrzeba!

Zamilkł chwilę, ale wnet do Petrka powrócił.

— Miłościwa pani — odezwał się — prędzej później Petrka zasłużona kara nie omi-  
nie; a komuż słuszniej po nim wziąć co narabował, jeżeli nie mnie, wiernemu słudze  
waszemu?? Mnie się to należy! mnie! Skarby są wielkie, a ja dotąd niemam nic oprócz  
obietnic łaski. Dla tego ludzie mnie szanować i słuchać nie chcą. Ja go zgładzę, mojemu  
państwu spokój zapewnię, ale niechże, szyję stawiając, choć to mam żeby sam trochę  
urósł.

Księżna zapatrzona w okno milczała.

— Dopóki Petrek chodzi po świecie, póty książę zawsze niepewien panowania, a i po-  
tomstwo jego jak szczenięta wytopić trzeba. —

— Krom córeczki, której się Dobkowi zachciało! kwaśno wtrąciła Agnieszka.

— Ja i téj córki nie bardzo żądam — rzekł Dobek. — Co mi tam! Nie dla siebie ja  
o nich myślę, ale dla was! dla was.

Taką rozmową bawił Dobek niemal co dnia panią swoją, ona go z tém do księcia  
odsylała, książę słuchał cierpliwie, ale nie odpowiadał nic. Dobek nasyłał drugich, gotował,  
przysposabiał, lecz szło mu dotąd oporem. —

Książę pilniej niż zemsty śledził nadchodzącej ponowy. Ani mu Połowcy, ani posły od  
Cesarza tak nie byli pożądanymi jak śnieg. Nareszcie jednej nocy doczekano się pożądanego  
mrozu, a w parę dni śnieżnicy wielkiej, która ziemię na stopę pokryła białym całunem.  
Zdawna, wprzód nim tu spadła ponowa, przybywający od Szlązka i Pomorza donosili,  
że tam już nastąpiła zima i sanna.

Holsza przybiegł z dobrą nowiną. Jednej godziny wszystko było na nogach, książę  
zapomniał nawet oznajmić się żonie, chodził po izbach i gnał łowców swoich.

— W las! w las!

Biegała czeladź, rozrywali się wszyscy, księciu jeszcze zdawało się że za powoli chodzili.  
Gniewał się i chmurzył, burcząc nawet i wydając groźne rozkazy. W tém jedném miał  
stanowczą wolę swoją, tu mu się sprzeciwić nikt nie ważył.

Przybory te zobaczywszy posłała pytać Agnieszka.

— Na jak długo i dokąd się książę wybiera?

Władysław aż się rozsierdził.

— Nie wiem! krzyknął — kto na łowy jedzie, nie może powiedzieć kiedy powróci!  
a głupi kto powiada dokąd! Gdzie oczy poniosą, kędy tropy poprowadzą!

Konie stały w podwórzach z jukami, z żywnością, psy skowyczały na sznurach, związał  
się Holsza. Na niebie jeszcze wisiał śnieg, ale powietrze było łagodne.

— W las! w las! rozlegało się po podwórcach.

Księżna po wtóry raz posłała pytać, kiedy powróci — ale Władysław tak był już roz-  
gniewany, że nie szanując posła małżonki, odpędził go fukaniem i groźbą. Sam jednak  
poszedł do Agnieszki, już w kożuchu i kołpaku.

Otworzył jeszcze drzwi mężnie, a na progu cała odwaga go odpadła.

— Przychodzę żegnać — rzekł łagodnie — bo oto bardzo pilna sprawa, ponowa!  
trzeba koniecznie w las, choćby życie dać!

— A kiedyż wracasz! spytała żona.

— Któż to może wiedzieć! Bóg jeden wie! ruszył ramionami ksiązę. — Jeszczem nie jechał a już mam powracać? Możeż to być? — Wy macie krośna i igły a ja łowy moje. Sprawiedliwa rzecz. Ja bez nich nie mogę żyć — to mój czas, to żniwo moje.

— A któż tu za was będzie sędzić i rządzić? spytała księżna.

W téj chwili ksiązę zdala głos nakazujący Holszy usłyszał, nie mógł już wytrzymać, ruszył ramionami, i nieodpowiadając drzwi zamknął. Szedł już.

— W las! zawołał żywo dosiadając konia, jakby się lękał aby go nie zatrzymano. A no! w las!

Gromada ksiązęca już wyruszała z dziedzińców zamkowych, gdy we wrotach spotkała orszak jakiś liczny. Byli to własni posłowie księcia a raczej Agnieszki, powracający od czerwieńskich grodów. Ksiązę uśmiechnął się im tylko, nie pytając nawet co przynosili, tak mu było pilno.

Żwawym klusem ruszono od Zamku, przez podzamcza, aby coprędzej skryć się w lesie. Księżciu paliły się oczy do puszczy i borów. Coraz to spoglądał na Holszę, a Holsza mu się uśmiechnęła, to znów na tropy po śniegu. — Ziemia usłana tym puchem świeżym bawiła go jak pisana karta.

Tuż, na widnokregu niedalekim stały owe ukochane lasy szronem okryte, śniegami ubielone, otrząsając po troszę z obciążonych gałęzi czém je noc przysypała. Na szarém, ołowianém tle niebios malowały się jasno osrebrzone gałązki, a po śnieżnej powłoce popisane przez zwierzęta zygzagi, łowcy tak czytali jak mnichy psalterz malowany.

Księżciu na swobodzie aż się twarz inaczej uśmiechała, aż mu było weseliej i rażniej. W zamku zawsze był milczącym i ponurym, teraz, zapomniawszy troski wszelkiej, podnosił czoło, oddychał, w boki się imał, do psów odzywał, do konia zagadywał, do samego siebie coś podśpiewywał, do Holszy mrugał, odpowiadał na pokłon każdego przechodnia.

Ktoby go był naówczas w czystém polu, na rozmowie z samym sobą podслуchał, zdziwiłby się jak w duszy jego myśli różne ścierały się i kłóciły.

Chwilami chciał sam, potężnie, nad całemi ziemiami siedzieć na tronie, potęga ta wielka uśmiechała mu się, pobratymstwo z Cesarzem wbijało w dumę! Wnet gdy pomyślał że korony we krwi strumieniach szukać było potrzeba, w zajadłej walce ze wszystkimi — odpadała go ochota. Miał i tak lasów dosyć, ludzi dosyć, i sądów i troski panowania.

—

Potém znów zdało mu się że za nim bieży głos żony, wołającej. — Cóżes ty tu, pan czy pół panie, czy tylko ćwierć pana? Azaż nie wstyd mi Cesarskiej siostrze siedzieć przy tobie, pomiędzy trzema czy czterema małej braci, jak prostej ziemiance?

I zdało mu się po chwili słyszeć głos ojca umierającego, który mu polecał braci i na łożu śmierci, mówił ledwie dosłyszaniem wzdychaniem: — Bądź ty im opiekunem i ojcem! bądź im tarczą i obroną! Weźmij ich jak kokosz pod skrzydła swoje, otul i niedopuszcz, aby się nad niemi znęcały jastrzębie!

Widział tego tysiąciami bliznami okrytego rycerza chrześcijańskiego, nawróciela pogan, pobożnego pielgrzyma i budowcę kościołów, rozciągniętego na łożu ostatniém konania, otoczonego Biskupy, płaczącą żonę u nóg jego, relikwiami Świętych pańskich ocierającą stygnące ciało, małe sieroty u kolan przytulone — a siebie stojącego w głowach i słuchającego tych słów ostatnich, z któremi uchodziło życie. —

— Bądź ty im ojcem! Władysławie, bądź im opiekunem!

Potém znów roztapiało się to widzenie, i głos mu szeptał szyerski.

— Azali ojciec twój wielki i święty, nie dał uśmiercić brata przyrodniego Zbigniewa? a Chrobry bracię swą, a Mieszko praojciec tych co mu na drodze do panowania stali? Maż ta ziemia iść rozerwana na zagony i na huby, pójsz w strzępy aby ją potém lada sąsiad wilczemi zębami na ochłapy darł dla siebie?

A głosowi temu w powietrzu potakiwało od Krakowa zalatujące wołanie Agnieszki. — Jesteś ty pan, czy pół panie, czy ćwierć pana? ksiązę czy ziemianin prosty? A czémże będą dzieci twe, synkowie twój, gdy się twoją ziemią dzielić zechcą? Zejdą wnuki na żupanów, a prawnuki na kmiecie!

Jechał tak rozbijając się z myślami, to chcąc to wzdragając się, gdy między czeladzią a łowcami wrzawa się wszczęła.

Zając, szarak przebiegł im drogę, psy się ruszyły za nim, pokazał im tył biały na urągowisko i zniknął.

Tuż stara niewiasta z wiadrami próżnymi na ramionach, przystanęła i patrzyła.

— Złe, do licha, będą łowy! krzyknął Holsza. Książę stanął, popatrzał i na prawo zawrócił, nazad na Zamek ani myślał, tak mu się chciało tchnąć swobodnie, kilka dni niesłyszeć głosu piskliwego pani, wyrzutów jej i szyderstw, Dobkowych napomnień i postrachów. —

Wjechali w las, książę oddychał. —

Nad głowami gałęzie się siecią ciemną rozpościerały szeroko, a z nich niekiedy szmerem tajemniczym zsuwał się powoli śnieg. — Cicho było i spokojnie i jakoś miło jak w domu bożym. Na ziemi coraz gęściej plątały się zwierza ślady, porysowane na wsze strony. Tam zdradził swój pochód lis, choć tropy zacierał ogonem, tu poznał drogę zając, wycisnął łapy niedźwiedź spłoszony z barłogu i poćwiekował śnieg jeleń. — Na dębach krakały gałki i kruki. Czy życzyły dobrej, czy prorokowały złą drogę? Któż to mógł odgadnąć?

Holsza, pomrukując coś puścił na nich strzałę do góry i stado całe zerwało się trzepocząc skrzydły, wrzeszcząc wróżby swoje na lasy, na bory. Głos ich cichł coraz w dali i z szumem drzew zlał się w jeden smętny szmer spokojny.

— E! lasy wy moje, lasy! westchnął do siebie Władysław — w was człowiek o wszystkim zapomni! I tyle życia co w lesie!

## X

Petrek u ognia siedział w izbie swój, gdy mu o gościach znać dano. Jechała pod wrota gromada jakaś znaczna, a nikt powiedzieć nie umiał, kto oni byli? Wiedzieli wszyscy że ludzie musieli być dostojni!

Kupa jezdnych, łowczych, psów, czeladzi stała już u wrót samych dworca i trąbiła, aż się rozlegało. A trąbili też jakoś dziwnie, nie tak jak druh i człek równy, ani tak jak człek mały a pokorny, nawet nie tak jak ks. Janik, gdy bywało z sobą Petrka na łowy wyzywa. Trąbili jak pan na pacholki swe, rozkazująco, gwałt czyniąc we wszystkie rogi, i nie bojąc się gniewu Palatyna. Aż powybiegała cała służba i koniuszowie a nakoniec i młody Światosław wyrzał. — Ten, gdy stojących u wrót zobaczył, pędem pobiegł do ojca, a wrota kazał copędzój na oścież otwierać. —

Gromada się w nich zatrzymała, i trąbiła ciągle na schwał, nie wjeżdżając w podwórze, trąbiła aż się hen, na miasto trwogą rozlegało.

Dziwowali się, zbiegając wszyscy, Petrek biegł prędko, kozuch na siebie zarzuciwszy i przypadł do kolan siedzącego na koniu pana, witając go jak poddany jego, pokornie.

— Miłościwy panie a ojczu! zawołał, nie czyńcież mi też sromu, gdyście na prog, zajędzicie do służki swego, nawrócić ludziom kaźcie! Niech się konie najedzą, niech się czeladź pańska napije, ty, panie spoczniej! Proszę a proszę!

Książę Władysław był bardzo dobrej myśli. —

— Koniom nie czas jeść, ludziom nie trzeba pić, ja nie chcę spoczywać! Kaźcie tu tylko wynieść kubek, abym za zdrowie wasze go wypił — a siadajcie sami na koń, na łowy ze mną! Czas! czas! szkoda takiego czasu! Pojedziesz Petrek ze mną, i ty i łowcy twoi, i psy i wszystko.

Zawahał się nieco Palatyn, coś go w serce kolnęło, jakby sztyletem! POCO CIĘ PAN CHCE BRAC Z SOBĄ? On co się niedawno gniewał, co tak bardzo teraz na ciebie łaskawy?

Obejrzał się po łowczych towarzyszących panu i nieprzyjaciela głównego między niemi nie zobaczył, mężnym też był, trwogi po sobie okazać nie chciał.

— Petrek! na koń! słyszysz! powtórzył książę wesolo...

— Koń i ja pójdziemy z miłością waszą na koniec świata — odparł Palatyn — ale, wstąpcież choć na próg mój, abyście mi serce ojcowskie okazali. Nieboszczyk rodzic wasz nie jeden raz bywał i zasypiał u mnie, chlebem służki swojego nie gardził.

Zawahał się coś książę, i pochylił do ucha Petrkwowi. —

— I wjechałbym i jadł i spał z wami — szepnął, a no wrogów macie co was oskarżają. Gdybym u was sprawiał gody, mówiliby na mnie, żeście ujęli sobie księcia a odwrócili go...

Jedźno ze mną, jedź, na łowach w lesie gdzie drzewa jeno słuchają, lepiej się rozmówić niż we dworze, gdzie ściany uszy mają, a okna gęby. Nie zsiądę do was, ty wsiądź do mnie.

Petrek wiedząc, że go nie zmoże, skinął na Ochmistrza swego, ten, choć mu nie rzekł nic, zrozumiał wszystko. Wnet Światosław stanął na miejscu ojca z głową odkrytą, za uzdę podtrzymując konia książęcego. — Petrek poszedł podpasac się, wziąć kołpak, oręż i sokoła. Konia swego prowadzić kazał i dwudziestu łowczym, psiarzom, naganiaczom, stanąć a psy prowadzić co najlepsze.

Książę ciągle na koniu siedział. — W tém z otwartych wrót poczał wypływać jak-by uroczysty pochód jaki. Przodem Ochmistrz z laską złożoną w ręku, za nim rzędami dwiema czeladź Petrkowa postrojona, na misach i deskach malowanych, na tarczach nawet niosąc kubki, jadła, napoje, chleby. Koniuszowie na płachtach szkarłatnych dźwigali obroki dla koni, w kublach kowanych nieśli wodę, tak że książę nie zsiadając mógł na siodle posilić się, napić, a koniom dać przetrzeć zęby i ugasić pragnienie. —

Z twarzy pańskiej widać było że po troszę rad był gościnie, a trochę też może zazdrościł téj zamożności poddanego, który mógł go przyjąć jak książę udzielny, na srebrze, na złocie, z posługą tak liczną, wspaniałą, przyodzianą i świetną, nad którą piękniejszej w Krakowie nie było.

Popatrzał książę i na pięknego młodziana co mu konia za uzdę trzymał, syna takiego nawet zazdroszcząc Petrkowi!

Wtém wyprowadzono konia Palatyna, Sokoła, który do łowów umyślnym był, dzielne stworzenie z nozdrzami krwawemi, z chrapami czarnemi, okrytego srebrzystą sierścią lśniącą, z ogonem i grzywą wlokącemi się po ziemi.

Wyprowadzono psy Petrkowe po dwa posworowane, tak silne i tak wykarmione, a tak wesoło podskakujące i skomlące, że aż miło było spojrzeć na nie.

Książę konia i psów trochę mu pozazdrościł.

Łowcy też i przybory myśliwskie, pańskim doborem i liczbą nie ustępowały.

— Dobrze się dzieje Petrkowi! myślał książę. — A wtém i Palatyn się ukazał w prostym kozuchu i czapce baranięj, z torebką przez plecy.

— A cóżes to, jak dziad co chodzi za jałmużną, wór przewiesił przez plecy! rzekł książę śmiejąc się — alboż to do noszenia sakw za sobą nie masz ludzi?

— Miłościwy książę, odparł Petrek — taki ja od wieku zwyczaj mam, gdyżem na łowach gorący. Odbiję się od ludzi, zapędzę w las, nie chcę głodem mrzeć, zawsze więc jaki taki kawał mięsa i chleba przy sobie noszę.

Konie jadły jeszcze, ludzie pili, gdy książę już, usta otarłszy po kubku wina, trąbić kazał i sam wołał niecierpliwie. —

— W las! w las!

Petrkowi łowce niechaj prowadzą! gdzie wiedzą że najwięcej zwierza i uciechy, gdzie ostępy pełne, abyśmy z próżnemi rękami nie powracali! W las! w las!

Nigdy jeszcze tak wesołym księcia Władysława Petrek nie widział, ani tak ze sobą poufałym, ni tak dla siebie dobrotliwym. Ani go mógł teraz poznać po tym, którego ostatnim razem spotkał na krakowskim Zamku. Ruszyli więc do najbliższego lasu gościńcem przez groblę Glinianą, około Mikułowej gospody, ale księciu się wnet sprzykrzyła droga bita, kazał nawracać w gąszcze coprędziej, ludziom się wielkim kołem rozsypać na prawo i lewo, iść cicho, a gdy naprzód zabiegną, dopiero w trąby i rogi bić, zwierza napędzać.

Dzień chmurny był a łagodny, niebo ciągle się trzymało szare i smętne, śnieg się z niego zapowiadał a nie sypał. Ledwie w gąszcz wjechali, gdy tuż jelen pomknął — a psy za nim, a książę za niemi, a Petrek za księciem. Ani oszczepu ni strzały nie było puścić sposobu, psy co go oskoczyły i przytrzymać chciały, to się im rogami obronił, kilkoro ich przeprebijał, oskakiwał i gnał dalej na las, na gąszcze.

Petrkowi nie o jelenia szło ale o pana, więc zapomniawszy zwierzęcia, jego ścigał, i wkrótce już dwu ich tylko samych było, bo reszta ludzi w tyle przyzostała, zbłąkała się, rozpierzchła na cztery wiatry.

Książę zapalił się straszliwie, krzyczał na psy, przeklinał pustynię, sam siebie, konia smagał, a cudem głowy nie rozbił o gałęzie, konia o pnie nie rozdarł. Sam już nie wiedział kędy go Chwat niósł, ani co się z nim działo...

W jelenia zrazu tylko patrzył, ale ten coraz pomykał dalej, dalej, aż ze psy zniknął im z oczu. —

Władysław, zapominając się, kłął straszliwie, psów gony ledwie już słysząc było, — jelenia ani ujrzeć — Petrek nie odstępował pana. —

Zapędzali się tak coraz dalej w puszcze, zbaczając to w prawo, to w lewo, przez błota, zarośla i gęstwiny. Sami już nie wiedzieli gdzie byli, a księżę się hamować nie dawał, pręczył naprzód tak długo, aż wreszcie zmierzchać zaczęło.

Ani ludzi ni koni, ni psów, i zwierza nie było ni widu ni słyhu. — Władysław rwał się naprzód, Petrek gonił za nim. —

Wreszcie i koń pod księciem, na lodowisku ślizkiem upadł, porwał się wnet, padł raz drugi, i już powstać nie mógł zdyszany. Petrek ze swojego zeskoczywszy, nadbiegł i Władysława z siedzenia pochwyił. —

Obejrzeni się dopiero że sami jedni byli, a noc nadchodziła.

Gniewny pan trąbkę zawieszoną na sznurze wziął do ust i począł nią gwałtownie przywoływać ludzi. Głos trąbki głucho się jakoś rozchodził i jakby w śniegach utopiony brzmiał słabo. Rogu grania las nie chciał powtarzać — nikt też nie odpowiadał na nie.

— Miłościwy panie, odezwał się Petrek — konie zdajcie na mnie, mam przy sobie toporek zawsze, ognia jest czém naniecić, tu pod dąb na wzgórzu pójdziemy, alisci doczekamy się ludzi. Od czasu do czasu nawoływać będę.

Księżę zbity był bardzo i zmęczony, nie rzekł już nic, na wszystko się godził.

Petrek wszędzie i zawsze umiał sobie dawać rady; na jedną rękę cugle koni zarzucił, drugą księciu podał, aby się spartł na niej, i wywiódł go ze ślizgawicy pod dąb na wzgórze.

Tu wnet ze swego konia kobierczyk jeden zdjął i na ziemi go rozesał, konie powiązał i ustawił, sam, za toporek od pasa wzięwszy, począł gałęzie suche obcinać, chrust zbierać, suche liście odgrzebywać z pod śniegu.

— Miłościwy panie, mówił do nachmurzonego księcia wesoło, dobrze człeku i biedy czasem zaznać, bo potem wie jak sobie w biedzie rady dać. Oto ja co ubogim byłem, dziś się bez sługi obchodzę, bo sam sobie posłużyć umiem. —

Księżę leżał na kobiercu i patrzył tylko, a już mu był ów gniew na jelenia i psy przeszedł — i poczynał się uśmiechać. W puszczy mu tak samemu z Petrkim, pod gołym niebem, na ziemi jeszcze ochotniej było niż na zamku z mnogą czeladzią.

Mrok zimowy spadał jak gęsta zasłona na lasy, niebo coraz ciemniało, drzewa zdawały bielsze coraz. Petrek już był i ognia dobył, huby i siarczystej onuczki, już przysiadłszy na ziemi zgarnął liść, drobne gałązki, susz i płomyk rozdmuchał. Dobywał się jasny ogienek wesoło, jakby go kto z więzienia na świat uwolnił, skakał żółtymi języczkami do góry, zwijał się kapryśnie na prawo i lewo, a pod nim dymek płynął wstęgami sinemi i buremi, aż się robiło rażno w duszy. — Wśród szarych już mroków poczęły się białe gałązki złocić, sosny rumienić. — Ciepło od ogniska rozchodziło się do koła...

Na tém nie dosyć, Petrek z toporkiem poszedł po gałęzie jodłowe, obciął ich kilka, zwłókl na kupę, parę kołków okrzęsanych ze ściętych sosenek wbił w ziemię, na nich jak oponę jedlinę porozwieszał i szałas zbudował u którego wnijscia ogień się coraz lepszy palił. Wprzód nawet i z wiatrem porachował się tak, ażeby gryzący dym precz na łąkę odganiał.

— Miłościwy panie, rzekł, teraz kobierczyk pod szałas zaciągnę, legnijcie sobie wygodnie a spoczywajcie.

— Dobry z was towarzysz — odrzekł księżę — na Boga, doskonały! Jeżeli nasza dwornia nie przybędzie, bodajby się i wasza torba jeszcze nie zdała...

— Byle się w niej co znalazło! zawołał Petrek wesoło — bo pospiesznośmy wyjeżdżali, nie wiem czy do niej co włożyć pamiętali. — Zawsze jednak coś się tam znajdzie — dodał z uśmiechem — bo próżna ona nigdy nie jest.

— Rogi się coś na wołanie nasze nie odzywają, bodaj tak nocy nie przyszło przepędzić. — Dla mnie to nicém, miłościwy panie, bom ja nawykł i na śniegu leżeć i na deszczu spać i na zimnie a skwarze czy odpoczywać czy pracować; ale — Wam!!

— A jam też, choć królewski syn, przecie myśliwy — odezwał się księżę, bywałem i ja w różnych sprawach, a nie smakowało mi nigdy nic jako chłopski chleb o głodzie

i polewka z mąki w chacie na łowach. W lesie człek dobrej myśli znieśie wszystko, więcęj niżeli doma na wezłowiach.

Zwłókl się mówiąc to książę z kobierca pod szalas, Petrek ognia podsycił, buchnął płomień do góry, książę się na nowo ułożył wygodnie i na łokciu oparłszy, począł.

— Petrek! na łowach wy mi druhem jesteście? hę? a czemuście to mi gdzieindziej wrogiem?

— Ja? ja? odparł Petrek — ale ja nigdy i nigdzie wrogiem miłości waszjej nie byłem i nie jestem!

— A przecz że ty mi stajesz na drodze?

— Do czego? gdzie? miłościwy panie?

— A do panowania i korony — zawołał Władysław.

Petrek zmilczał trochę.

— Miłościwy Książę — odezwał się głosem poważnym — póki ja będę żyw nie wyjdzie mi z pamięci ów dzień i godzina, które i dla miłości waszjej, pewnie pamiętne bardzo być muszą. Pomnicie, książę, ów smutny dzień jesieni (28 Października) gdyśmy to oba razem stali u tego łoża na którym król mój, pan mój, ojciec mój, a wasz też rodzic konał otoczony biskupy, wśród modlitw naszych i jęków. Nie wyszła wam z pamięci ta twarz boleściwa wielkiego rycerza, co życie całe przewojował, a miał więcęj blizn niż lat — gdy na tę którą wdową miał zostawić patrzył, na maluchnego swojego Kaźmierza, dla którego ziemi nie stało, na ledwo dorastających książąt bracię waszą, Henryka, Bolesława i Mieczysława...

Ja to do dziś dnia jeszcze słyszę, jako modlitwę ledwie odmówiwszy ostatnią polecać Wam począł sieroty. —

Będzicież wy z dziećmi i wyrostki wojowali i gnębili je? Nie! nie! miłościwy panie! Lepsze błogosławieństwo ojca z za mogiły niż korona! Ja co pomnę wieczór ten, posłusznym głosowi pana być muszę. Bo zwrócił się i do mnie miłościwy pan i rzekł. Wy Ojcowie duchowni, Pasterze, Ty Petрку, wierny sługo mój, wy Wojewodowie, strzeżcie woli méj, aby się dzieciom krzywda nie działa.

A! panie! i ty nie rad przeciw nim pójdiesz — ale — —

Nieskończył Petrek i urwał.

— E! odparł Władysław. Co ja chcę, co kto chce, co ojciec żądał, nie znaczy tu wiele. Pomyślcieno Petrek, nie o sierotach a o ziemi téj sierocęj, którą nieboszczyk jak placek dla głodnych pokrajał. I nie on ją sam dzielił, ale wdowa uprosiła Biskupów, a ci jęj pomagali, aby im rządzić łatniej było samym i panować. Nie my tu już książętami ani oni; i sprawa to nie króla nieboszczyka ale ich. —

— Ja o niczém nie wiem, tylko o tém com z ust pana konającego słyszał, rzekł na to Petrek. Panem on był i mógł tę ziemię dzielić co ją po ojcach dziedziczył, a krwią swoją utrzymał... tak jak Władysław między niego a Zbyszka.

— I Bolko też Zbyszka zabił, aby podzieloną nie była! rozśmiał się Władysław, — błąd ojcowski naprawił.

— Ano Zbyszek jawnym zdrajcą był!

— A bracia moi, młokosy te, porósłszy w pierze zdrajcami nie będą? Alboż to ich dwu już, ledwie pod wąsem nie pożeniła Salome zawczasu, aby im dać sprzymierzeńców! albo to się na mnie nie zjeżdżali w Łęczycy?

— Królowa już nie żyje! westchnął Petrek.

— Ale wola jęj żyje — odezwał się Władysław i nagle, jakby rozmowę chciał odwrócić, począł się uśmiechać.

— E! nie prawmy o tém! Dość! raczej ty mnie nakarm i zabawiaj, bom głodny i tęskny. — I trzymaj ze mną, Petrek, nie z temi co to się bracią mą zwą, a nieprzyjacioły są. Ze mną ty urośniesz jeszcze, a przeciw mnie nie uczynisz nic — i siebie zgubisz.

— Miłościwy książę — odezwał się Petrek, ja przeciw tobie nie pójdę, ale i z tobą przeciw sumieniowi, zakonowi, nie mogę! Nie ja jeden pragnę strzymać prawo, wszyscy panowie duchowni, świeccy wszyscy. —

Książę się namarszczył.

— Patrzajcie abyście przeciw sobie nie ściągnęli tak wielkiej siły, której ani duchowni ni świeccy nie zmożą. — Mówię ci, Petrek, jeszcze raz, trzymaj ze mną.

Petrek za nogi go ścisnął.

— Książę miłościwy, idźcie wy z wolą ojca i sprawiedliwością, a Boże błogosławieństwo będziecie mieć.

Książę przerwał rozmowę. Noc już była czarna.

— Petrek, jam bo głodny! zawołał, do torby swój idź, patrz coś tam w niej niósł.

Dopiero sobie Palatyn torebkę na ziemi porzuconą przypomniał i począł z niej coś dobywać. — Był w niej placek, chleb i trochę soli w węzélku; naostatek kawał mięsa wieprzowego! Petrek wytrząsł torbę do dna, nie było w niej więcej nic. — Rozśmiał się.

— Torbą wziął, rzekł, ale mi ode dnia wczorajszego nic w nią nie włożyli. Wczorajem sobie na łowach kawał dzika odkroił i ten tylko pozostał. Chyba to mięso na drewniku upiekę i tём waszą miłość posilę. Gorsza to jeszcze że mi do torby bezułeczki nie dano, i pragnienia nie będzie czём ugasić chyba śniegiem.

— Tegom już ja próbował — rzekł książę, i nie wzdragam się. — Dawaj co masz. — Dzicyzna przypieczona dobrą będzie na głodny ząb.

Tymczasem chleb jął łamać książę i jadł ze smakiem wielkim, a Petrek u ognia siadłszy, rożenek wystrugał, widelki w ziemię wbił, dzicyznę przypiekać i solić począł, i tak księciu z rożenka ją podawał, który na suchych liściach ją kładł, palcami rozdzielał sobie, jadł chciwie i chwalił bardzo.

— Zaprawdę dzicyzna ta twoja doskonała jest — mówić począł, a z ciebie do wszystkiego człek, choćby i do przyprawy jadła — zdałeś się wszędzie.

Poczęli tedy oba kulki ze śniegu lepić, w usta je kłaść miasto napoju, i tak gasić pragnienie.

Petrek mało co sam jedząc, księcia karmił tylko, potём zryzki mięsa przyskwarczywszy, coşkolwiek tём przegryzł, bo wiele nigdy nie potrzebował. Byle duszę w ciele utrzymać.

Książę się tymczasem na kobierczyku przeciągnął. Poszedł Petrek do koni i ze swojego siadzenie zdjął, niosąc je panu pod głowę.

— Legnijże i ty koło mnie, abys odpoczął, odezwał się książę. Z biedy, choć temu twardemu łozu musimy być radzi.

I rozśmiał się wesoło Władysław...

— Ho! ho! dodał, Waszmościna żona gdzieś tam teraz w ciepłej komnacie, ze swym miłym Opatem Anzelmem wczasu bezpiecznie używa. — —

Petrek, który się jeszcze nie kładł, zamruczał coś.

— Co tam mruyczysz, jak niedźwiedź, mów głośno! zawołał książę.

— Co tam moja żona czyni, nie wiem odparł Petrek głosem drżącym, ale za to szyję daję, że księżna pani Agnieszka z Dobkiem czasu nie traci, boć ten jój chętnie służy — o czём wszyscy wiedzą!

Książę się poruszył i oparł na rękę. —

— Coś to rzekł? zapytał groźnie.

— Ino prawdę — odpowiedział Petrek. A co Dobek zechce to księżna wam czynić każe, nie dla was, ale aby miły Dobek rosnał i wielmożniał.

— Coś rzekł? podchwycił książę groźniej jeszcze.

— A no, prawdę! nie waham się jój potwierdzić — mówił Petrek chłodno. Przez jejmość panią Agnieszkę idzie wszystko, a wy czynicie co jój miły podszeptnie. Nie ja to jeden mówię, wiedzą o tём i mówią wszyscy, miłościwy książę. Gdybyście mnie za język nie ciągnęli nie rzekłbym — ano, stało się!

Książę siedział zadumany i milczący.

— Tak ludzie gadają — odezwał się ponuro — a ty, wierzyszli temu?

— Gdybym nie chciał wierzyć muszę, bo was, miłościwy panie, nie poznaję. Byliście synem dobrym, a oto woli ojca znać nie chcecie. Sprawa to nie wasza, ale tych co wam swoje chętki narzucają.

Przez niewiasty i ich rady padały nieraz państwa wielkie, strzeżcie się, miłościwy książę, aby one i was do zguby nie wiodły. Chłubi się pani Agnieszka że Cesarzowi przyrodnią jest, a dla niej ziemi i państwa za mało, chce, choć krwią panowania nabyć. Daj Bóg, by i tego co jest nie straciła!

Władysław tych wyrazów dosłuchawszy, powoli głowę skłonił ku ziemi, płaszczem się przykrył i zamilkł...

Petrek siedział w ogień patrząc, rozmowa była skończoną.

Gniew i rozdrażnienie Palatynem miotало, sen brać go nie myślał, w płomień patrzył, gałęzi dorzucał, aby ognisko nie wygasало. — Spoczywać nie chciał. —

Książę, który głowę miał oslonioną, leżał spokojnie, ale wiedzieć nie można było czy usnął, bo niekiedy poruszało się na nim okrycie i westchnienia z piersi wyrwały, a rzucał się i przewracał na swém legowisku.

Długą pono ta noc dla obu się wydać musiała. —

O brzasku zerwał się książę i natychmiast za róg swój wzięwszy, począł na dwór trąbić gwałtownie, bez spoczynku. — Głos teraz, skutkiem jakiegoś zmiany w powietrzu i ciszy porannej rozchodził się silnie i daleko.

Petrek téż, naśladując go, trąbkę swą dobywszy dał w nią co miał siły. — Nawoływali i hukali jeden i drugi na przemiany, aż i dzień biały robić się zaczął.

Nie rychło, zdala doleciał ich głos łowieckiego rogu; książę poznał po nim Holszę i wnet odpowiedział raz i drugi, nagłaco. Zaczął się zbliżać odgłos trąbek, które przywabiane, do koła brzmiały podjeżdżając ku miejscu noclegowemu, i w gąszczach zaszeleściало wręście, dwór i łowcy przybywali.

Książę niecierpliwy, gniewny zerwał się zaraz na nogi i począł wołać łając swych ludzi. Cisnęli się oni strwożeni, wymawiając, lecz gdy ich raz przy sobie zobaczył Władysław, słowa nie rzekł już więcej i skinął aby mu konia podawano.

Dwór Petrkowy przyciągał także — dobyto zapasy jadła i napoju, ale książę tknąć nic nie chciał.

— Nakarmileś mnie, Petrek, rzekł z przekąsem, tak żem dziś syt jeszcze... Napij się za to wina mojego i — w drogę.

Kazał beczułkę swoją przynieść Palatyn, ale z téj Władysław kosztować nie chciał, pokrzepił się kubkiem własnego, nagłąc tylko o konia. — Petrek próbował zapraszać jeszcze na spoczynek do swojego dworu.

— Spoczywać nie będę nigdzie, odparł książę, łowami pociągnę do domu. Drogi nasze nie jedne, wy się sobie zawracajcie do siebie, ja pociągnę wprost ku Krakowu.

I stojącemu u konia swego, rzucił książę obojętném.

— Bóg z wami!

Tak zimno się z Palatynem rozstawszy ruszył książę, nie dając mu jechać z sobą. Petrek pozostał z ludźmi swemi i zadumał się nad przygodą. —

— Co się stało — stało się, rzekł w duchu, słowo rzeczone raz cofnąć się nie może, a bodajby nie zaważyło ciężko!

Gdyby drugi raz przyszło do podobnej rozmowy, czuł Petrek, że inaczejby odpowiadać nie mógł i nie chciał. Po nocy bezsennej układał się teraz na spoczynek i nierychło wybrał do Wrocławia, tymczasem książę ze swym Holszą był już daleko.

Łowczy chciał go znów ostępami prowadzić nazad, ale księciu ochota odpadła od myśliwstwa, kazał gościńcem spieszyć, nie zbaczając z drogi, i nad zwyczaj swój pospieszał, a ludzie uważali że sam do siebie mrucał i gniewny był. Nawet Holszy słuchać nie chciał, psów nie wołał, nie patrzył na nic.

— Stało mu się coś, mrucał Holsza — na tym przeklętym noclegu. Ażali go czarownik ten nie otumanił i nie zadał mu czego, bo niesłychana rzecz żeby zagnała mu zbrzydły łowy i wszystko czém się wczoraj zabawiał!! Uciekaliśmy, uciekali z Krakowa, a teraz na łeb na szyję, z powrotem!

Jechali ledwie przystając i podnocowując, pasąc mało i krótko konie i psy, zmęczeni wszyscy aż do Krakowa samego. Gdy już Wawel widać było, stała się w księciu zmiana jakaś, zawahał się, jakby nazad w lasy chciał uciekać. — Zatrzymał konia, brew namarszczył, począł mruzczyć, coś mu w niesmak było, konia targał, obracał nim, aż spiąwszy go nogami poleciał pędem na zamek. Tu przybywszy, jak stał poszedł do swych izb i zamknął się.

Miał dawniej stały ten obyczaj książę, iż wprost z konia do pani Agnieszki szedł ją przywitać, która zawsze dla powracającego czulszą się okazywała.

Zadziwili się wszyscy gdy ani spytał o żonę.

Po godzinie oczekiwania posłała księżna Dobka zapytać Holszy, czy łowy złe były, albo się na nich co stało?

Łowczy nic powiadać nie chciał — ramiony ruszył i zamruczał.

— Czegoś nie swój!

Wyczekawszy późno do wieczora, Agnieszka niespokojna sama poszła do męża. Znalazła go leżącego z głową w dłoniach. — Nie bardzo ją witał, rzucił wejrzenie ponure, zamruczał coś i dodał że znużony jest a odpoczywać potrzebuje.

Nienawykła do takiego obejścia się, dumna pani, zeszła mu z oczów, pewna że gdy przeminie to usposobienie i nadąsanie, mąż sam przyjdzie ją przeproszać. — Tymczasem księcia i tego dnia i nazajutrz nie było — siedział w swój izbie zamknięty.

Chciała Dobka posłać na zwiady ale tego księżę do siebie nie kazał puszczać, odprowadzono go od progu. Złakł się ulubieniec pani. Coś się stało!

Księżna sama z południa, ustroiwszy się, dumna, śmiała i zagniewana poszła do męża. — Co mu się stało nieumiała odgadnąć, ale czuła niepokój i trwogę, był zmieniony. Najczęściej niewiasta gdy się lęka sama usiłuje zastraszyć, tak się i teraz stało. Wpadła nań Agnieszka z góry, iż się z nią wysokiego rodu panią, jak z jakąś niewolnicą śmiała obchodzić. Posypały się łzy i groźby. Przyszło do tego iż księżna oddaleniem się i powrotem do Niemiec odgrażać się zaczęła.

Władysław słuchał spokojnie.

— Więc — rzekł gdy dokończyła narzekania. — Zabierajcie się, miłościwa pani, razem z Dobkiem swym i szukajcie kędy wam obojgu lepiej będzie niżeli tu...

Ledwie wyrazów tych domówił, gdy księżna z gniewem przyskoczyła ku niemu.

— He! krzyknęła — juści ktoś Dobka w nienawiść a mnie w sromotne podejrzenie podał. Już!! Już ci to wierny sługa szkodzi, bo go drudzy za wierność nienawidzą i szkalują. A mnie z nim, aby się mnie i jego pozbyli! Coć to z Dobkiem? co myślisz? o co podejrzujesz! mów! Ja nie ścierpię potwarzy!

Władysław nic nie odpowiadał w początku, lecz zakłopotany był i mięszał się, a księżna nastawała.

— Mówże? z kimeś przestawał? kto ci to splótł, bezkarnie mu to nie ujdzie! Żywą nie będę, póki nie pomścę się na zuchwalcu. — Gardło da! gardło musi dać!

Ale napróżno siliła się, następowała nań, targała Agnieszka, niewymogła na nim nic — kazał jęć iść precz.

Wnet ludzi, którzy księciu towarzyszyli na łowach wzięto na spytki, kędy bywał, z kim się spotykał. Czeladź pomniejsza nie kryła się z tém że stawali we Wrocławiu, kędy ich pojono i przyjmowano, że księżę Petrka zabrał z sobą, i że razem potem w szalacie noc spędzili.

Więcej Agnieszce nie było potrzeba. Wpadła do męża natychmiast pomsty na Petrka wołając, pewna iż on, nie kto inny, księciu musiał Dobka i ją dać w podejrzenie. Władysław nie przyznał się zrazu.

— Nie potrzeba na to Petrka było — rzekł, wszyscy po całej ziemi Dobka palcami wytykają, żeś go sobie wybrała i znasz się z nim...

Usłyszawszy to księżna padła na ziemię z płaczem, rzucając się, klnąc, narzekając na co jęć przyszło, gdy ludzie śmieją sromocić ją i bezcześcić. —

— Nie może to tak być — wołała krzycząc i rozbijając się — albo ja ztąd z dziećmi precz idę do Cesarza brata mego, z żalobą i prośbą, aby ten kraj cały zwojował i zniszczył, mszcząc się krzywdy mojej, lub ten co mnie śmiało oplwać gardło musi dać. I nim gardło da zbrodzień, oczy mu wylupić, nim gardło da język mu podły wyrzezać każę, i psom rzucić — psom!

Na krzyk przenikający księżnej, który się po całym zamku rozchodził, nadbiegły niewiasty i na rękach, miotającą się wyniosły do izb jęć, gdzie chora na łożu legła.

Za nią zaraz wpadł Dobek, z szalem, z zakłęciami, do nóg padając księciu, na potwarczę domagając się sprawiedliwości, wyzywając go na Sąd Boży.

Wśród tych wrzasków księżę dzień cały przetrwawszy, przemęczony, już innym stał się. Agnieszka leżała na łożku, które dzieci płacząc otaczały, na widok ich serce ojcowskie zmiękło, sam siebie naprzód, potem Petrka (bodaj przepadł) obwiniać zaczął.

Dowodu przeciw Palatynowi więcej nie było potrzeba.

Dobek się zaklinał że jeden z nich dwu paść musi, że niema innego środka tylko buntownika i potwarczę śmiercią karać. A stawał tak śmiało i zuchwale że w końcu księżę zamilkł i zdawał się na wszystko przyzwalać. Nie mówił jeszcze nic, żonę jednak pocieszać i łagodzić zaczął. — Ta zemstą najzjadlejszą, wraz z Dobkiem dyszała.

Gdy znudzony Władysław do komnat swych odchodził, pędzono za nim spokoju mu nie dając, ścigał go Dobek, o czém inném nie mówiąc tylko o zemście, tylko o powołaniu do sądu...

Wśród tego zamięszania na dworze dano znać że posiłki z Rusi przyrządzone już w drodze są i Bojarowie przybyli przodem oznajmując o nich. Jechała ich gromada cała w kozuchach długich, w kołpakach wysokich, z toporkami u pasa, a z niemi kilku starszyny Połowców dzikięj, z którą nikt się ani rozmówić ani obejść nie umiał. Ci sobie obóz pod namiotami w podwórcach rozbili, i swym obyczajem w kotłach krupy, mąkę i mięso końskie warzyli. Byli to ludzie nędznie odziani, choć na brudne łachmany chałaty paradne powdziejali, na koniach małych z szerścią najeżoną, z łubianemi kołczanami, z lukami z prostych obręczy, z nabijanemi pałkami. — Kędy oni za bojarami ruskiemi ciągnąc szli, zewsząd kmiecie i ziemianie biegli ze skargami, bo po drodze dzicz ta nic nie szanując plądrowała, zabijała, młodzież obu płci porywała i dokazywała co chciała, świętokractw po kościołach się dopuszczając i straszliwych swawoli. — Trwoga okrutna poprzedzała już te posiłki, które od północy lały się potokiem krwi i płomieni. — Cóż miały ziemie te cierpieć gdy całe zastępy Połowców, nadciągną? Ludzie zawczasu zbiegali w lasy i chronili się do grodków i okopów.

Ze skargami do księcia niedopuszczono ludzi, precz ich z zamku pędząc, a tymczasem posły przyjmowano. Agnieszka wyszła przeciw nim strojna, koronę sobie na głowę włożywszy, obdarzając starszyczkę ze skarbcza, woły i barany rozkazując dla niej piec, kądzie stawić i owsy kupami sypać. Sama z okna na biesiady ich patrząc w ręce klaskała i radowała się bardzo.

Starzy ludzie ze dworu, patrząc na to, chodzili wielce posepni — książe też zrazu zmięszął się, wahał, wyjść odmawiał, lecz wprędce, widząc że kości rzucone są, nabrał otuchy i mężstwa...

Wysłano zaraz urzędników ze dworu i wojska co było, aby zamki osadzać na pana Władysława, i posłuszeństwo mu zapowiadać pod karą śmierci.

Z żoną, niewiadomo jakim sposobem książe się przejednał. Dobek znów pewien siebie, u drzwi stał, służył, biegał, rozkazywał. Z zamku i na zamek dzień i noc szli nieustannie posłańcy, — z duchownych, żupanów, ziemian nie pokazywał się już nikt. Niemcy, Ruś, najemny żołnierz sami byli.

Pomiędzy biskupim dworem a zamkiem jakby przepaść stała, jedno o drugim zdało się nie chcieć wiedzieć. Biskup Rupert od siebie słał po dyecezyi rozkazy, książe na swą rękę. Co żyło z osad nad drogami i gościńcami, z trzodami, dobytkiem, wozami, uchodziło w lasy. Siola stały pustkami.

Księżna Agnieszka zawczasu tryumfowała, bo jęj się zdało że samą trwogą kraj zmuszą do poddania się, książąt młodych do uciezki.

— Muszą się poddać i upokorzyć, wołała — bo im ziemię na kopytach rozniosą i mieczem a ogniem na wskrós spustoszą.

Wpośród tych przygotowań, dnia jednego rano, Dobek, który już całe swe zuchwałstwo odzyskał, przyszedł do księcia we zbroi, przy mieczu, jakby się w drogę wybierał. Pokłonił się do kolan, na twarzy mu jaśniała radość i niecierpliwość, źrenice pały.

— Miłościwy książe, jadę z rozkazaniem waszém! zawołał — klnę się że nie powrócę aż je spełnię jako należy.

Książe Władysław popatrzał strwożony, i rękę podnosząc do góry, rzekł.

— Ale gardła mu nie brać! gardła nie brać! Mówilem.

— Najbezpieczniejszy niedźwiedź gdy zabity! mruknął Dobek.

— Nie chcę by zabity był — nie chcę! przerwał książe stanowczo. Stanie się li przeciw rozkazaniu mojemu, pomszczę nieposłuszeństwo! Na święte relikwie zaprzysięgam! Gardła mu brać nie dozwolę. Nie. —

Dobek zamilkł.

— Masz czego chciałeś, dodał książe jękając się — niech oczyma przyplaci — więcej nie trzeba. Daruję ci po nim skarbiec i mienie. Idź i spraw się jako wiesz. Pomsty tej dosyć dla mnie i dla ciebie. — Życia mu nie chcę wziąć, aby pokutował. — Po kilka razy Władysław powtórzył niespokojnie. — Życia nie brać — bom to porzysiągl.

Milczał Dobek, lecz nie odchodził.

— A jeżeli się bronić będzie i kaleczyć? spytał.

Władysław odwrócił się gniewny.

— Aż ludzi i rozumu nie masz żebyś mu się bronić dał? zawołał. Jadłem chleb z nim, spał u mojego boku, ojcu służył, nie chcę go zabijać. Nawet oczów!.. Wziąć go i osadzić. — Zobaczymy co uczynię. — Żebrakiem w świat...

Księżę mówił, nie kończył, urywał, poruszony był, — a gdy Dobek kłaniając się odchodzić chciał, dodał.

— Pomnij Dobek żem ja na relikwie przysięgał! Uczynisz nad to? — tyleż z ciebie wezmę! Wezmę!

Dobek był już za progiem, biegł do księżnej, która nań czekała.

— Dał wyrok na życie? zawołała niecierpliwa — dał!

— Nie — i zagroził mi, gdybym rozkaz przestąpił, zagroził mocno.

— Nikczemny człek co zemsty nie czuje! odezwała się księżna z gniewem — policzek wziął i karać nie śmie! Lituje się!

Weż życie! ja za tobą obstanę! Niech gardło da! Rodowi nie darować, wytłuc i wydusić te szczenięta, dwór spalić, zniszczyć... Sługom nie przebaczyć! Nikomu! nikomu!

Księżna coraz mocniej rozgorzała, mówiła Dobka za suknię targając.

— Niepowinien żyć, kto się przeciw mnie waży!.. Kołem szarpać, na pal wbić, końmi rozerwać nikczemnika!.. Męczyć go, i niech wie z czyjjej ręki zemsta przychodzi... A puścisz go i nie ujmiesz — nie pokazuj mi się na oczy...

To mówiąc wybiegła Agnieszka. Dobek, jako dobry chrześcianin, na koń siadając się przeżegnał, bo czuł że brzemień niemałe na ramiona wziął i na jakie niebezpieczeństwo się narażał. —

Pociągnęli do Wrocławia. —

# TOM II

## I

Tłum się cisnął do drzwi pół otwartych wielkiej izby na plockim zamku, tój samój w której niegdy spoczywały zwłoki Władysława Hermana, nim je do grobu zanieiono, i gdzie potem Biskupi sprawę Bolesława Krzywousty ze Zbigniewem bratem sądzili, i gdzie wreszcie rycerskie zwłoki mężnego Bolka leżały otoczone dziećmi płaczącymi, czekając by je przy ojcu pogrzebiono.

Nie pierwszy raz izba owa służyła dla gromady zwołanej do obradowania nad losami tój ziemi. —

Cisnęli się tu ludzie znowu, bo było na co patrzeć i nad czém zapłakać — obrazu takiego jaki się tu przedstawiał niewidział nikt z dawna, i nie miał rychło oglądać. —

W koło na ławach zasiadali panowie duchowni, Palatynowie, Wojewodowie i Żupani, głowy sędziwe, które teraz ból, wstyd i smutek pochylał ku ziemi.

W pośrodku na podwyższoném siedzeniu, laskę wielką krzyżem zakończoną w ręku zamiast berła dzierżąc, majestatycznie zasiadał Arcybiskup Gnieźnieński ks. Jakub ze Znina.

Po obu stronach zajmowali krzesła Pasterze, Plocki, Krakowski, Sandomirski, Wrocławski, Kujawski, z prałatami swemi i starszyzną kapituł. Dalej siedziała świecka gromada, z głowy, po większej części i brodami siwizną posrębrzanemi.

W tym wianku mężów sędziwych, jak w naczyniu złotem wiązka kwiatów, — stały pośrodku z rękami pospuszczanemi, z głowy pochylonemi sieroty pańskie, królewskie dzieci Krzywousty. Młodzieniec zaledwie rozkwitły Bolesław, z włosy na ramionach rozrzuconemi, trzymając za rękę młodziuchną Zwenisławę Wsewołodównę, małżonkę przez matkę mu daną; — z męzkim obliczem Mieczysław, przy którym stała piękna, czarnooka Gertruda królowna, córka Beli Węgierskiego, rumieniąc się od wejrzeń ciekawych. — Za niemi stało pacholę uśmiechnięte, Henryk, w którego jasnych oczach święty jakiś ogień zdawał się już płonąć; na ostatek dziecko prawie jeszcze, wydziedziczony Kazmierz, najmłodszy, którego starszy za rękę przytrzymywał.

Wszystko to było na śmierć, zagładę, wygnanie i tułactwo przeznaczone ofiary, skazani przez Agnieszkę bracia Władysławowi, nad którymi wisiał wyrok, aby znikli z oblicza tój ziemi. —

Wszebór Palatyn Sandomirski wystąpił przed nich i wskazał przytomnym na króla rodzinę.

Oczy wszystkich były w nią wlepione, na twarzach malowała się litość, niektórym z oczów łzy płynęły.

Mieliżby ci co jeszcze prawie żyć nie rozpoczęli, być śmierci na łup oddani, i ten uśmiechający się Henryk, z taką mężką już i rycerską pacholęcą postawą, i ten dzieciak wesół, figlarny wyrazu twarzy, potrząsający główką, dumnie, jakby na łasce rodzeństwa nie pozostał bezdomnym?

W oczach patrzących na potomstwo wielkiego króla, zdały się stawać po za dziećmi cienie wielu pomnianych rodzicieli, króla Krzywousty, który Biskupom i starszyźnie krew swą polecił i królowej Salomei pobożnej, nie dawno zmarłej z boleści i niepokoju o los swych dzieci, która umierając obsyłała relikwiami świętymi klasztory aby się modliły o szczęśliwą przyszłość dla sierót biednych.

Pomiędzy pierworodnym króla, Władysławem, a tą dziatwą młodszą, różnica była tak wielka obliczów i rodu, jakby w nich inna krew płynęła. Tamten po matce Rusince wziął siłę ciężką i bezwładną, wielką a nie łącno się poruszającą, ci po niemieckiej pani żywszego ducha krew gorętszą. Ogromna też lat różnica dzieliła czterdziestokilkoletniego Władysława, od dziesięciorocznego Kazmierza.

Los tych dzieci teraz cały zawisł od panów duchownych i ziemian, mogli je opuścić i dać na ofiarę chciwój panowania Agnieszce, albo się ująć za niemi i osłonić, a tę co pokój zamąciła gnać precz z granic zakłóconego państwa.

Wszebór, obie ręce rozpostarłszy, wskazując na gronko stojące w pośrodku jako obżalowanych przed sądem, rzekł zwrócony do Arcybiskupa.

— Ojcie i pasterzu miłościwy! jeżeli wy ich nie osłonicie to nikt, jeżeli wy ich opuścicie nie uratuje żadna siła! Krew to pana naszego, spuścizna po nim najdroższa, a stanie się krzywda jój, padnie wina na sumienie nasze!!

Arcybiskup silnie, gwałtownie laską swą w ziemię uderzył. — Włos im nie spadnie z głowy — zawołał — dopóki ja żyję a władzę tę piastuję, póki kościół stróż sprawiedliwości stoi na tej ziemi, póki tu wiara święta panuje, nie damy ich tknąć!

Królewicze skłonili głowy — a po ławach poszedł szmér.

— Nie damy im zginąć!

Sieroty same za sobą się nie odzywały, najmłodszy uśmiechał się dość wesoło, Henryk szeptał mu coś znac karcąc niewczesne śmieszki, starsi stali zadumani i poważni. Obie księżne młode miały łzy na oczach, a były piękne każda inaczej w swych szatach żałobnych obcisłych, niby dwa posągi smutku i niedoli.

Książęta zagrożeni już wszyscy się tu zbiegli razem, gdyż nigdzie się bezpiecznie nie czuli. Gdy nagle z Krakowa, jak piorun padła wieść, aby składali dań, gdy Władysław żupanom nakazał grody sobie oddawać, a do kilku z nich już się wdarli jego wysłańcy, gdy i z północy kilką szlakami zaczynała płynąć zapowiedziana dzicz, kraj niszcząc i paląc, musieli młodzi książęta zbiedz się razem, aby nawale stawić czoło.

Biskupi pierwsi podnieśli okrzyk zgrozy, ale ten nie doszedł na zamek krakowski, a gdy Agnieszce o nim znać dawano, groziła Rzymem i klątwami duchownym, zapowiadała wojska Cesarskie i zawojowanie, mieczem i ogniem spustoszenie, nawet pasterzom, jedyniej władzy naówczas powszechnie szanowanej, której nikt nie śmiał się sprzeciwiać.

Biskupi byli przerażeni i sami nie śmiejąc nic poczynać, zbiegli się do naczelnika swojego, Arcybiskupa, aby z nim radzić o obronie. Jakub ze Znina, nie ulękły, nie dopuszczający pokuszenia się o walkę z władzą swoją — czekał spokojny. —

I teraz w zgromadzeniu tém, krótko a niemal pogardliwie odezwał się zaręczając, że dzieciom pańskim nic się stać nie może.

— Nie damy ich! — powtórzyli ziemianie do koła.

— Słać by do Czech o pomoc — odezwał się jeden z Biskupów. Gdy książę Władysław Ruś zjednał sobie, im czeskie posiłki przyjść mogą.

— Słać do Węgier — rzekł drugi — boć tu pokrewieństwo pomoc obowiązkiem czyni. Nie odmówią jej.

— Gdyby jedno i drugie chybiło — zawołał Wszebór — czyż nas ziemian i ojczyców nie stanie na obronę praw ich? A toż prowadzi Władysław pogan na nas, dzicz połowiecką, kościoły wywraca, wiarę psuje, czyż nie wartby sam jeden z pogany został, by go odstąpili wszyscy.. wszyscy?

— Pod klątwą!! — dodał Biskup Sandomirski.

— I bez klątwy, gdy się obwoła, odpadną od niego wszyscy, — mówił Wszebór, — niema kto by nie czuł zgrozy tej. Siola nasze płoną, ludzi w pień wycinają, kościoły na stajnie pozmieniali, kapłanów wieszają. —

Szmer zgrozy poszedł po zgromadzeniu.

— Na szlaku którym idą te posiłki, księciu Władysławowi, popytajcie — odezwał się powstając stary Żupan Ruban — powiedzą wam ile już kościołów wywrócono. W innych barłogi swe porozkładali i wszeteczeństwa czynią. Dzieci, chłopców i dziewczęta jak trzody z sobą pędzą.. Żaden się dwór cały nie ostał.

Pralaci niektórzy wołać poczęli:

— Kaim, bratobójca, świętokradzca! Godzien kary parycydów!

— Nie tyle on — przerwał z goryczą wielką Biskup Krakowski — jako niewiasta jego szalona i mściwa, ona wszystkiego początkiem jest i sprawcą!

Tak jest, ona — potwierdził ks. Janik — albowiem nie ma stworzenia zjadliwszego gdy złém jest nad niewiastę, którą szatan włada. Tak jak są święte, czego przykładem była królowa Salomea, są przeklęte jak oto ta!

Wśród szmeru i krzyżujących się głosów, Bolesław, który na zamku był panem, gdyż Płock dostał mu się w udziale, zabrał głos cichy.

— Pojedynczo mu się żaden z nas oprzeć nie może, bo zgniecie jednego po drugim, musimy stać razem wszyscy. Przeto i was, miłościwi panowie, prosimy, przez pamięć dla

rodzica naszego, skupcie się wedle sierot jego a nieopuszczajcie ich.. Razem stać musimy, lub razem ocaleć albo choć ginąć razem.

— Razem! — potwierdził Wszebór. — Gdyby dziczy tej naciągnęło nie wiem wiele, zawsze nas, gdy się zbierzemy więcej stanie, osaczyć ich możemy, wybić i nogi nie wypuścić. Dali Bóg Czechów i Węgrów, prędzej jeszcze z nimi skończemy.

Arcybiskup słuchał z uwagą.

— Zmoże ich prawica wszechmocnego, — zawołał rękę podnosząc. — Klątwę tylko rzucić potrzeba na onę Jezabel, na współnika jej i na wszystkich co z nią trzymać będą. Przyjdzie li chwila — nie zawaham się, pójdę sam, stanę i w oczy cisnę im Anathema!

Po tej groźbie strasznej, wyrzeczonej przez Arcybiskupa, zapanowało milczenie, znano bowiem srogość okrutną tej kary kościelnej, i trwoga przejęła na samą o niej wzmiankę. Śmierć niczem była nad to potępienie za żywota i na wieczność całą. —

Młody Mieczysław, którego twarz już znamionowała silną wolę, i charakter energiczny, mimo wielkiej młodości, podniósł głos po starszym bracie Bolku. —

— Na zamku moim w Poznaniu — rzekł — poczyniłem zawczasu przygotowania do obrony. Jeżeli się inne grody nie utrzymają, pójdziemy się tam wszyscy zamknąć i będziemy trzymać, dopóki zostanie kawał chleba suchego i kropla wody; byleście wy Ojciec nasz a Pasterzu, (zwrócił się do Arcybiskupa) nie opuścili nas i nie wyrzekli się, wy ratujcie, bo macie z sobą siłę Bożą, Jezusa Chrystusa pana naszego i świętych pańskich i grobu męczennika Wojciecha. —

Dziczy łupu chciwiej napłynie bez miary, napłynie, nam się jej pono oprzeć w polu nie będzie można. — Zaleje nas. Lud wystraszony po lasach się rozbiega. — Cała nadzieja na grodach, a najsilniejszy gród łaska pana naszego Jezusa Chrystusa, którą wy dzierzycie, ojciec miły. —

Wszyscy królewicze i dwie księżne zwróciły wejrzenia ku zadumanemu Arcybiskupowi, który patrzeć się zdawał w dal, ale prośby słuchał i myślał o niej.

— Choćby mi życie na męczeństwo dać przyszło — odezwał się — nie bójcie się, dzieci moje nie opuścimy was, ani ja, ani moi bracia w Chrystusie...

I zwrócił się na biskupów wskazując którzy wszyscy głowy skłonili i ręce podnieśli na znak zgody.

— A no patrzcie i rozważajcie, — dodał Arcypasterz, dłonie podnosząc do góry, — jak ta wiara Chrystusowa i ten kościół jego silny jest i pomocny, jaka to opoka twarda. A coby się dziś stało z krajem tym gdybyśmy my nie mieli na odsiecz jemu, siły co kruszy tysiące, co druzgocze oręże, co pada i gruchocze i w proch jak piorun obraca?

Ani tysiące ludu nie stały by wam za nią, bo lud ginie od strzały, od głodu, od powietrza, a krzyż pański i słowo pańskie nie przemijają i nie giną.

— Amen! amen! odzywali się biskupi. —

— Idźcież w pokoju, dzieci moje — dodał Arcybiskup do książąt, — a tak jak się dziś trzymacie za ręce, tak się zawsze dzierzcie miłością braterską, w miłości pana naszego Jezusa Chrystusa. Amen.

— Amen! — powtórzyli wszyscy pochylając głowy.

Bolko wysłuchawszy mowy tej, skłonił się nisko, za nim drudzy, pokłon oddali arcybiskupowi i zgromadzeniu, a potem poszeptawszy coś między sobą, ruszyli się ku wyjściu, aby Radzie panów duchownych i świeckich, zupełną zostawić swobodę.

Wszebór z kilką towarzyszymi przeprowadzili z poszanowaniem królewskie dzieci, na których końcu szedł najmłodszy Kazmierz, niepojmujący jeszcze ani niebezpieczeństwa, jakie mu groziło, ani ważności tej chwili, a zabawiający się widokiem ludzi tyłu, strojów i fiziognomij, które mu się wszystkie uśmiechały. Zdała wielu jeszcze żegnało odwracającego się ku nim, skinieniami życzliwymi.

Po wyjściu książąt w izbie się gwarniej zrobiło. Arcybiskup pochylony rozmawiał z biskupami, ziemianie się naradzali gromadkami. Niepokój widać było na wszystkich twarzach, jedna myśl wyrwała się z ust niemal zgodna — niechcemy jednego pana nad sobą; silniejszym będzie i gnieść może mocniej!

Niektórzy sięgali wspomnieniami w prastare czasy owe swobody, których pamięć żyła jeszcze u ludu i mieci; kiedy gromady stanowiły wszystko, a kniaziowie byli tylko wybieranymi z nich wodzami do wojny i sędziami.

Biskupi też nie chcieli nic innego nad utrzymanie podziału Krzywoustego, bo im łatwiej było swą przewagę i władzę u boku książąt udzielnych utrzymać, niż walczyć z jedną silną dłońią. Dla nich spójnią stanowił Pasterz Gnieźnieński, który jednoczył pod sobą wszystkich biskupów, władza też jego w rozdzielonym państwie rosła i górowała.

Jednakże głosy się odzywały różne, byli i tacy co w podziale ziem, widzieli dla nich niebezpieczeństwo, ale tych zahuczano. Wszebór najpoważniejszy ze świeckiej starszyny, zabrał wręście głos, bolejąc nad tem, że im do narady Palatyna Petrka brakowało.

Spodziewano się go dotąd napróżno.

— Byłby on tu pewnie z nami — odezwał się ks. Janik — bo się wybierał w drogę, ale go coś niespodzianie zaskoczył musiało. — Jechać miał wnet po mnie. — Nie taję, iż niespokojny jestem o niego, daj Boże, aby się co złego nie stało.

— A cóż mu grozić może — odezwał się Wszebór.

— Wszystko złe, wszystko najgorsze! — zawołał biskup.

I dodał ciszej, pochylając się ku niemu. — Wiem, że niedawno z księciem Władysławem na łowy jeździł, co tam między niemi zaszło, mówić się wzdragał, wyznał mi tylko, jakby sam na siebie gniewając się, że w gorącości rozmowy słów bardzo nie ważył i lękał się, ażali księcia nie obraził. Obawiał się zemsty jego. Wyrozumiałem z niego i to, że się musiał z żalem niewczesnym albo przestrożą względem księżnej wyrwać! Książę nie strzyma tego w sobie, niewiasta jest mściwa, a Petrek też ma nieprzyjaciela srogiego w Dobku.

Wszystko to złe wróżby.

Ks. Rupert, biskup krakowski, który dosłyszał co mówił ks. Janik, dołożył, iż, gdy wyjeżdżał z Krakowa na dworze się z tem noszono, jakby Petrkowa wielkość i siła koniec wziąć miała. A i to do myślenia dawało, że w pośród pogrózek i gniewów, nagle Dobek ze znacznym pocztem swoich żołnierzy i siepaczy wyruszył niewiadomo dokąd — i z wycieczki tej tajemnicę jakąś czyniono.

— Już to ze wszystkich najgorszy znak — dołożył Wszebór — że my go tu nie widzimy, bo choroba tylko lub przypadek wstrzymać go mogły. Uchowaj Boże zamachu jakiego nań, w pomoc by mu ciągnąć trzeba, bo gdy Petrka stracimy, jakbyśmy pułków kilka postradali.

— Sam się trwożę — dodał ks. Janik — ale zarazem czuję, że nasze obawy próżne są bodaj. Petrek ma siłę około siebie i zamachy odeprzeć potrafił.

— A zdradzą go nie mogli pokonać? — wrucił Wszebór.

W tem jeden z ziemian, dalej stojących, odezwał się.

— Mam to od tych, co Dobka po drodze widzieli, że ku Wrocławowi podążył. Miał, powiadają, poczet nie liczny, ale ludzi dobranych i zaufanych, których zwykł używać do najtrudniejszych swych wycieczek, kiedy ziemian obdziera lub porywa. Jechał z nim sławny oprawca Wondor i pachółków kilka nienadarmo.

Szmer się wszczął i dopytywania, drudzy, jakby z przerażenia zamilkli, poglądając po sobie.

— Niech Bóg wszechmogący klęskę tę od nas odwróci — rzekł smutnie ks. Janik. — Niema w tych ziemiach człowieka, któryby dziś wszystkim potrzebniejszym był nad Petrka, i niema czyjaby strata boleśniejszą była. Najwięcej siły ma i najlepiej użyć jej umie!

— Nie będą śmieli się nań targnąć! — rzekł arcybiskup.

— Dlaczegoż nie? — przerwał Wszebór — na niego, na mnie, nawet na miłość waszą, ojca naszego, gotowi się rzucić. Księżna Agnieszka ufna w brata nie poszanuje nikogo, a Dobek obcy człek krwi naszej żałować nie będzie.

Biada państwu gdzie zła niewiasta ster pochwyci! Na zgubę powiedzie.

— Siebie i męża! — przerwał arcybiskup z żywością wielką. — Com rzekł, to powtarzam, jeżeli słowa i groźby nie pomogą, rzucę klątwę na oboje i na potomstwo ich i precz ich wyżenę ztąd A wygnany niewróci więcj, choćby go i sam cesarz wiódł!

Na wzmiankę o cesarzu rzymskim Wszebór smutnie zwiesił głowę.

— Najmiłościwszy ojcie! — odezwał się — cesarz straszny i silny jest!

— Rzeczcie lepiej — odparł arcybiskup — iż straszny i silnym mógłby być — ano nie jest. Włochy, z których oka spuścić mu się nie godzi, Saraceni, na których się gotuje, o Polsce mu myśleć nie dadzą. Pomną też Niemce swą wyprawę przeciwko

nieboszczykowi królowi, z której z trupami swojemi nazad płacząc ciągnęli i nie rychło się na drugą wazyć będą.

— Nie daj jednak Boże z cesarzem znowu mieć do czynienia, gdy Krzywousta nam nie stało — rzekł Wszebór — choć do tego jeszcze daleko!

Bąknął ktoś znowu o Petrku, że się już do drogi szykował, po odjeździe biskupa Janika.

— Nigdy to nie bywało — dodał biskup — aby się przyrzekłszy nie stawił, jeśli go niema, nie bez przyczyny.

— Nie bez przyczyny! — powtarzali za nim inni.

Niektórzy upamiętywali znowu, aby zawczasu trwogi nie siać i domysłem dać pokój, póki by się nie dowiedziano czegoś więcej.

Narady a raczej rozmowy różne trwały do wieczora, a oprócz potrzeby łączenia się, nie uchwalono nic.

Nazajutrz biskupi po dyecezyach rozjechać się mieli, Palatynowie i Żupani po grodach. Niektórzy już o ciągnących połowcach otrzymawszy wieści, jakimi szlakami szli, musieli dla uniknięcia ich w lasach szukać schronienia. Wszystkie siły książąt z Sandomierza, Mazowsza, Poznania i z kądkolwiek się one ciągnąć dały, rozkazano do jednego miejsca nad Pilicę gromadzić, pod Wszebora dowództwo.

Pułki z obozowisk swych ruszyły pospiesznie i różnemi drogi ciągnęły.

Jeszcze się wszyscy nie rozjechali panowie, gdy nieznany człek nadbiegł do Płocka z wieścią zatrważającą. Powiadano, że zrana od Wrocławia miał przybiedz, że czeladź go około namiotów widziała i rozmawiała z nim, ale wkrótce później niewiedzieć gdzie się podział i napróżno go w obozie i mieście szukano.

Człek ten wielce wystraszony, jakby przy zmysłach nie był, plótł straszne rzeczy o napaści na dworzec pana Petrka, o zajściu jakimś krwawem, mordach i zdradzie. Mówił, jęczał, nagle przestawał i wypierał się aby wiedział cokolwiek, lecz ze słów jego domyślać się było można, iż mu trwoga zmysły pomieszała. Rozszerzyła się ztąd wieść o wypadku jakimś w Wrocławiu, która, gdy doszła ks. Janika, ten natychmiast koniom i ludziom kazał się do drogi gotować, aby do Wrocławia pospieszać. Starano się biskupa uspokoić tém, że plotka z niczego urosnąć mogła, a po drodze, jak zwykle, nabrzmiała. Godziło się to jednak nadto z przeczuciami jego, aby je lekceważył. Powtarzał ciągle składając ręce.

— Panie odwróć od nas mściwą prawicę swoją!

Nie mniejszą trwogę i niepokój wywołała wieść ta na zamku, w rodzinie królewiczów, bo młodzi książęta w Petrku nawykli byli widzieć opiekuna swojego, szanowali go jako ojca, a na pomocy jego całą kładli nadzieję.

Człowiek ten dla innych często szorstki i twardy, dla młodych panów powolnym był, wylanym, czułym po macierzyńsku. Przez wielką miłość dla nieboszczyka króla, kochał tak dzieci jego, iż własna krew mu nad nie droższą nie była. Na posłuch więc o tém jakimś nieszczęściu, które się stać miało, chciał Bolko mazowiecki natychmiast śłać umyślnie swych ludzi, młodzi Henryk i Kazimierz ręce łamiąc krzyczeli po zamku, aby Petrka ratować.

Kochali go tu wszyscy niemal tak mocno, jak Agnieszka nienawdziła.

Do odjeżdżającego już arcybiskupa, siedzącego na wozie, książęta podbiegli prosić jeszcze, aby Petrka osłaniał i bronił. Jakub ze Znina uspokoić się ich starał tém, że trwoga była próżną, bo nic pewnego nie wiadano, a na możnego i silnego Petrka nikt się tak łatwo porwaćby nie śmiał. Arcybiskup rzekł do Bolka z wozu nie zsiadając.

— Mężni bądźcie dzieci moje, Bóg z wami, Bóg z nami, gdyby istotnie złość szatańska na chwilę górę wzięła, pokona ją krzyż święty.

I zdaleka błogosławiąc ruszył starzec z twarzą spokojną, jaką daje czucie swój siły.

Dnia tego wszyscy się z Płocka porozjeźdzali, ale nie na spoczynek; ludzi się nikt nie mógł, że książę ulegnie i napaści na braci zaniecha. Wojna już była prawie rozpoczęta, którą duchowieństwo całe kaimową zwało.

Książę Henryk, który lat dwudziestu nie miał jeszcze, nie czuł się na siłach sam Sandomierza bronić, Palatyn Wszebór, który go zastępował, nawale gwałtownej jaka Sandomierzowi i Lubelskiemu groziła, sam też oprzeć się nie spodziewał. Dzielnica Henrykowa musiała tymczasowo paść ofiarą, nimby się do walki zebrano.

Książęta wszyscy pozostawszy w Płocku razem, siedzieli tu strwożeni, gromadką się trzymając i przyrzekając sobie, że się nie rozerwą do końca. Zwenisława Bolkowa chciała

śląc do Kijowa, aby u swoich prosić o cofnięcie ruskich posiłków i Połowców, ale za-  
późno już było. Gerta Mieszkowa tak samo na Węgry śląc koniecznie namawiała, żeby  
Madziarowie ich ratowali.

Lecz dziś już i posłom się przedrzeć przez zawichrzane ziemie trudno było.

Henryk Sandomierski, młode chłopię, niedawno jeszcze oderwane od macierzyńskie-  
go łona, pobożnością matki Salomei przejęte, ufało w niebios opiekę i relikwie świętych.

Tych droższych nad wszystkie ówczesne skarby świata, ubłogosławionych szczątków,  
nieboszczka królowa Salomea, chociaż rozdarowywała wiele, zachowała w skarbcu liczbę  
znaczną i dzieciom je rozdzieliła jako tarcz i obronę od wszelkiego niebezpieczeństwa.

Relikwiarze te jak zbroje, nigdy królewiczów nie opuszczały.

Chociaż mnich Ortlieb i Bertold wywieźli ich skrzyneczkę do Zwiefaltenńskiego ko-  
ścioła, razem z ornatami bogatymi i z płaszczami złocistymi, ofiarowanymi im przez kró-  
lowę, w pozostałych relikwiarzach, przed którymi teraz codziennie modlili się książęta,  
mieli część drzewa krzyża świętego, kość św. Jana Chrzciciela, św. Pankracego, św. Ce-  
cylji, kroplę krwi Zbawiciela, mleko Bogarodzicielki, ogniwo łańcucha Piotra świętego  
i mnóstwo innych świętości nagromadzonych przez nieboszczkę królowę.

Wiara w cudowną moc tych relikwii była w owych wiekach tak wielką, iż rodziła siłę  
potężną, budziła nadzieje, odpędzała trwogę, a Henryk najpobożniejszy z młodych książąt,  
cisnąc do piersi tę drogą po matce spuściznę, starszej braci prorokował zwycięstwo.

Siedzieli wszyscy w Płocku niepewni co z sobą czynić mają, bo dwie młode księżne  
strwożone namawiały mężów swych do szukania czasowego przytułku na obcej ziemi, gdy  
przybył tu Jaksa z Miechowa.

Po powrocie swym z zagranicy, młody Jaksa stawiał się był naprzód na dwór ks. Hen-  
ryka. Młode księżę, któremu już serce i głowa paliły się do wypraw rycerskich za morze,  
do dalekich wędrówek — słuchając opowiadań jego, upodobał go sobie wielce. Chciał  
koniecznie zatrzymać u boku swego, ale natenczas jeszcze matka po długim niewidzeniu  
syna stęskniona, upierała się go trzymać przy sobie i na żaden dwór dać nie chciała.

Tęsknił za nim ks. Henryk, a gdy mu teraz o przybyciu jego do Płocka znać dano,  
mówiąc, że Jaksa z Miechowa wprost doń przybywał i o posłuchanie prosił, ucieszył się  
tém wielce. Spodziewał się go zachować przy sobie, a niebezpieczeństwo zwiększało cenę  
ramienia rycerskiego.

Księżę natychmiast powołać go kazał do siebie, i gdy Jaksa do kolan mu się kłaniał  
w ramiona go z radości pochwycił, jak przyjaciela witając.

— Nie zapomnę ci tego, Jakso mój — zawołał — żeś do mnie w zły przybył chwili.  
Bóg ci za to zapłaci, ja zawdzięczę.

— A! miły księżę a panie — odparł zarumieniony Jaksa — wstyd mi aż wyznać, że  
się tu zabłąkał nie dla miłości waszej, ale dla własnej sprawy.

— Choćby i tak było, rad ci jestem — odparł śmiejąc się księżę Henryk — mów co  
chcesz mieć, chyba nie mogę gdy nie sprawię.

— Miłościwy księżę — odezwał się Jaksa głos zniżając — sprawa to pono nie łatwa  
będzie, ale słowo wasze na szali zważy. Krótko mówiąc, otom się wielmi a wielmi rozmia-  
łowałem w córce pana Petrka, a swatać się do niej nie śmiem sam. Ojca nie mam, miłość  
więc waszą prosić muszę o opiekę, o dobre słowo nietylko u Petrka, ale i do własnej matki  
mojej.

Spuścił oczy Marek i przerwał, bo mu trochę srom było, w taki gorący czas o własnej  
myśleć i mówić sprawie.

— A z kądże tu przybywacie? — odparł ks. Henryk — nie już prosto od Wrocławia?

— Nie miłościwy panie — rzekł Jaksa. — Byłem ja z Petrkiem w Krakowie i czas  
jakiś u niego potem przebywałem, alem od niego musiał do matki. Tam przybywszy,  
wstyd wyznać, ogarnęła mnie taka wielka tęsknica za dziewczką, że m dłużej powściągnąć  
się nie mogłem. Pamiętny łaski waszej miłości dla mnie, zbiegłem tu wprost w nadziei, że  
mi dopomóżecie.

— A niczeście po drodze od Wrocławia nie słyszeli? — spytał księżę Henryk.

— Cóż słyszeć miałem? nie wiem nic — odezwał się strwożony Jaksa — czy, uchowaj  
Boże, mogło się tam co stać?

— Wieści chodzą różne, nie wiem — rzekł książę Henryk. — Puszczono tu plotkę jakąś straszną, z którą ks. Janik ztąd wielce zatrwożony pobiegł. Jeżeli wy nic nie wiecie, dzięki Bogu, fałsz to być musi.

— Alem ja, mijając bite szlaki, manowcami tu dążył — rzekł Jaksa przełękły.

— Cóż po ziemiach, kędyście jechali, słyhać? — zapytał książę.

— Wojenne wieści chodzą, wojska się zbierają, o posiłkach trwogi puszcza — mówił Jaksa — lecz wojna nie rozpoczęta, Ruś tylko co kawał kraju zachwyciła, spustoszyła go.

— A grody? zamki? — pytał książę.

— Nie słyhać, aby jakie opanowano.

— Nic więc nie wiesz! — zawołał Henryk zdumiony.

— Do tego się przyznaję, jak do grzechu, żem tego czasu tak sam o sobie myślał, iżem o wszystkiém inném zapomniał! — dodał Jaksa głowę spuszczać.

Książę Henryk zapłonił się, był bowiem pacholęciem prawie jeszcze, przez matkę w wielkiej obyczajów surowości chowaném, a niewiasty imienia sromął się wyrzec — tu mu zaś sprawa przypadała, na którą radzić nie umiał.

Samo owo przywiązanie do dziewczęcia wydawało mu się niemal grzeszném; a na swata cale powołanym się nie czuł.

— Jakso mój — odezwał się po chwili — każesz mi się jąć takiej rzeczy, do której się ja wcale nie zdałem. Dla was też żony sobie szukać bodaj zawczasu, tém bardziej, jeżeli w tém woli matki nie ma... I mnie się żonaty rycersko wysługiwać nie zechcesz, a jam sobie z was wielką pociechę tuszył.

Jaksa niewiedząc co powiedzieć, złożył ożenienie na matkę, że w tém wola jój była. Nie skłamał też, bo go żonatym mieć chciała, ale nie z Petrkówną.

— Jeżeli tak, matce zawsze posłusznym być trzeba — rzekł pobożny Henryk — nie mówię już nic, tylko mi żal, że wy ze mną nie pójdziecie, gdy Bóg da, za morze pociągnę, Saracenów wojować.

— Pójdę z miłością waszą, choć za morze — odparł Jaksa — żonę doma przy matce zostawiwszy — ja też na pogan wielkie pragnienie mam.

Pójdę, ale miłość wasza do pana Petrka mi pomożecie, do którego ja sam śmiałości nie mam.

Henryk zadumany po izbie się przechadzać zaczął.

— Nic nie przyrzekam, bo nie wiem co Petrek myśli i chce — rzekł — przeciw woli jego nie mogę iść. Spróbujemy — aliści nie jedna córka Petrkowa na świecie!

— A dla mnie pono, ona jedna i jedyna! — odparł Jaksa smutno. — Niechcę mówić jaka ona jest, bo bym powiedzieć nie potrafił, ale żadna gwiazda na niebiosach nie świeci tak, jak ona myśli mojej, odkąd ją widziałem.

Henryk powtórnie się zarumienił, widać było że rad chciał odwrócić rozmowę. Począł więc rozpytywać znowu o kraj, o Petrka, potem Jakse o niego samego i co na przyszłość zamysłał. A że czas nie był do swatania, naprzód to warował, aby Jaksa przy nim pozostał.

— Teraz miły mój — mówił — choćbym ci wygodzić chciał, jechać w swaty nie mogę, słać z niemi nie pora, wojna buchnie lada godzina; grody nasze biorą, pulki na nas ściągają, tylko co niewiadać jak wszystko płomień ogarnie. Ze swojemi i przy swoich muszę stać wiernie.. I ty ze mną bądź. —

Już się Jaksa nie wyłamywał z tego i na wszystko przystał. I tak przybiegłszy do Płocka na krótko zasiadł przy Henryku. Codziennie młode książę długie z nim spędzał godziny, ciekaw będąc obcych obyczajów, szczególnie rycerskich i zakonnych.

Pragnął, jakby się tylko uspokoiło, wszystko co gdzieindziej dobrem i piękném było, u siebie zaprowadzać.

Upłynęło dni kilka, gdy raz przybywszy na zwykłą rozmowę do pana, Jaksa zastał go niespokojniejszym niż zwykle. Od progu pytać zaczął, czy nowego nic nie słyszał.

— Nic — odparł Jaksa.

— Od Wrocławia?

— Uchowaj Boże, o Petrku co? — zawołał przestraszony Marek.

Książę wahał się mówić, lecz z oczu mu coś smutnego patrzyło.

— Mówcie, proszę — zawołał nagłą Jaksa — jestli co! rodzony ojciec więcej by mnie nie obchodził!

— Nie trwożcie się — rzekł książę. — Pewną się zdaje rzeczą że się coś z Petrkiem przygodzić musiało, że albo uwięziony jest, lub we swym dworze obsaczony, albo mu grozi niewola od Władysława... Wieści ztamtąd codzien bałamutniejsze przychodzą. —

Jaksa zbladły, trwogi swój skryć nie umiał i ręce załamał.

— Panie mój miłościwy — odezwał się — radbym z tobą wieki mieszkać i służyć ci, lecz jestli tam co, w czym bym ja usłużyć mógł, a choćby nadaremnie się zaoferować dla Petrka, w pomoc mu lecieć moja powinność!! Drogi mi jest jako ojciec rodzony.

— Nam też wszystkim równie — odparł Henryk — ani was trzymać chcę. Jedźcież ale siebie też oszczędzajcie. — Bratu Władysławowi wierzyć nie można, bo jest w jarzmie zły niewiasty. Jeżeli się mści na Petrku i wam nie przebaczy.

Zaledwie się pożegnawszy, Jaksa do gospody swój pod zamkiem pobiegł, a była w miejscu takim, gdzie się różni ludzie zjeżdżali ciągle, od których wiele posłyszec było można. Począł zaraz badać gospodarza, czy od Szlązka co nie przyniesiono.

— Niemaló rzeczy plotą, rzekł mieszczanin, ale prawdy w nich dopytać trudno. Każdy co innego prawi, niewiadomo komu wierzyć. O Palatynie Petrku głoszą, że z nim się coś stało... Morzą go jedni, więżą go drudzy — ale strach ma wielkie oczy i język długi. —

Wpadł Jaksa między ziemian, którzy niedaleko stali, pytając a zaklinając na miłość Bożą, czy co od Wrocławia nie słyszeli.

Tu gwar się wszczął wielki, każdy powiadał co innego, jeden jakoby Palatyna schwyciono i więziono, drugi iż do Krakowa okutego poprowadzono na sąd, inni zaręczali że na śmierć osądzony został. — Z tego wszystkiego to tylko pewnym się zdawało, iż nieszczęście jakieś spadło na Petrka, albo mu zagrażało z Krakowa.

Wszystkie wieści z ust do ust podawane tu przysły, a nikt nic własnymi nie widział oczami. Dowiedział się też Jaksa, o czym mu już na zamku powiadano, że grody na księcia Władysława brano, posłuszeństwo wszędzie po dzielnicach nakazywano, w Sandomirskiej i Lubelskiej ziemi, na skraju Mazowsza i w Kujawach.

Jaksa więc nie zwlekając ani godziny, tegoż dnia siodłać kazał i jechał precz. Dokąd??

Wprost do Krakowa, na dwór księcia, zdało mu się to najbezpieczniejsem, gdyż wszyscy niemal ręczyli, że tam Petrka uprowadzono. Jaksa, choćby gardła własnego nastawiając, chciał się za Palatynem ujmować i stawić, a gdyby w więzieniu był, siłą, prośbą, złotem, poręką go wyzwolić.

Z niewielkim swym pocztem, ale z odwagą wielką, popędził Jaksa przez lasy i manowce, najbliższej sobie drogi szukając do stolicy.

Tymczasem pozostali w Płocku książęta, w oczekiwaniu dalszych swych losów, sposobili się, modląc, do rozpaczliwej obrony. Palatyn Wszebór zbierał ludzi, Arcybiskup powoływał ziemian aby stawali po stronie pokrzywdzonych.. Ruszały się wszystkie ziemie, po myśli duchowieństwa, przeciwko Władysławowi, którego posiłki nim mu pomocą być mogły, już wszystkich od niego okrucieństwa swojemi odepchnęły.

Gromady zbiegów szerzyły postrach do koła, dymy pogorzeliisk gorzkie niósł wiatr z groźbami i co żyło pomsty Bożej wołało na Kaima.

## II

Dobek wyjeżdżając z Krakowa, ku Wrocławiu, nie wielką z sobą zabrał ludzi gromadę, ale dobrał za towarzyszy najzuchwalszych swych oprawców, najposłuszniejszego, wyprobowanego niewolnika, nawykłego ślepo spełniać jego rozkazy. Siłą Palatyna Petrka wziąć nie zamierzał, aby uderzywszy nań, nie wywołać rozpaczliwego oporu, nie ściągnąć niebezpiecznej odsieczy; ufał w wielką zręczność swą, a przebiegły był i chytry, umiający się okryć taką szatą jakiej mu było potrzeba. Spodziewał się, że go tam żadna wieść i przestroga nie poprzedzi, że się żadnej zemsty i napadu nie domyślają i nie lękają. Osnuł więc sobie najście tak, aby o nim ludzie nie dowiedzieli się, aż gdy zostanie spełnione.

Biegł tak z ludźmi swojemi z pośpiechem wielkim, aż pod Wrocław sam, a tu przybywszy, gromadę swą, wedle myśli na czatach dokoła rozsypał, stać każąc na zawołanie. Umówione były i obrachowane godziny, znaki i hasła.

Z kupką małą, nie groźną wcale, pod wieczór przyjechał Dobek pod wrota dworca pana Petrka.

Wiedział dobrze iż mu tu ani wierzą, ani sprzyjają, ale i to znał, że przybywającemu z twarzą wesołą, z ludźmi niewielą, gościny nie odmówią, źle nie przyjmą.

Chmurny dzień był, wiało śniegiem gdy do wrót kołatać zaczął. Tu, wedle zwyczaju, opowiedzieć się każdy musiał, kto był i z czém przybywał.

Zdziwił się mocno Palatyn, gdy w izbie swój odpoczywając, całe nie gotów na przyjmowanie gości, posłyszał, iż Marszałek Dobek z małym orszakiem ludzi, wprost z Krakowa przybył pilno, wioząc dlań od księcia rozkazy ważne i tajne.

Zmarszczyło mu się czoło, bo zgadnąć nie mógł co go czekało, ażali nie wyzwanie do stawania przeciw książętom i sumieniowi — natychmiast jednak otwierać kazał, kożuch nowy narzucił na siebie i jak należało wyszedł na spotkanie.

Dobek u wnijsia z konia rzeżwo skoczył, i, jakby się z sobą nigdy nie waśnili, zbliżył się witając gospodarza obliczem spokojnym i wesołym.

Chciał go, dla uczczenia, do izb gościnnych prowadzić Petrek, ale się oparł przybyły, powiadając, że mało co pozostanie u niego, spocząć tylko trochę pragnie, i prosi by sam na sam w cieplej izbie posiedzieli.

Palatyn poprowadził go do swojego mieszkania, gdzie ogień palił się wielki, zaraz kazał podawać jadła a napoju też co przedniejszego dosyć, bo wiedział że Dobek, jak wszyscy Niemcy, rad pił. I rad go był spoić bo mu się bezpieczniejszym zdawał, gdy głowę zalał.

Siedli tedy za stół, spoglądając sobie w oczy.

Petrek też umiał gdy chciał i twarz ułożyć i mowę. Tak ci dawniej, gdy Wołodara miał brać, ucztował z nim wesoło, niedając po sobie poznać co w sercu trzymał.

Kolnęła go ta myśl, ażali i Dobek z nim tak nie postąpi, ale ją precz odpędził, Niemca mając za zbyt głupiego, aby się na taką chytrą ważył. Przystępem gdy mu w twarz uśmiechającą się spojrział, ani troski na nię, ani zakłopotania nie wyczytawszy, powiedział sobie w duchu:

— Utaił by się przed innemi, nie przedemną! Niema w nim nic! Dobek wyśmienicie udawał człowieka dworskiego, który o swém życiu myślał tylko i niem się rozkoszował.

Trochę dziwnem było Palatynowi, że mu owych żołądźci na sośnie zapomniał, lecz zdało się że i znaku po nich nie pozostało.

— Miał rozum że tego do serca nie wziął — pomyślał Petrek — bo juścić córka moja nie dla takiego bezdomnego wyrostka z niczego.

— Zwiastowano mi — odezwał się głośno — że od księcia pana miłościwego niesiecie coś ważnego i tajnego. Macie rozkazanie jakie?

— Hej!! — rozśmiał się Dobek — jak się wam zda?? Możem ja was tak umyślnie zwiódł, aby mi przedź wrota otwarto, bym na tój srogiej zamieci nie stał! — Cóż? uwierzyliście??

— A czemuż bym słowu waszemu wierzyć nie miał? — odparł Petrek. — Wszakże jestem sługą księcia, i na jego rozkazy gotów zawsze.

— A ja rozkazów dla was tymczasem nie mam żadnych — rzekł żartobliwie Dobek — i jak tu co od was żądać, kiedy wy jawnie sprzyjacie tym co księciu się opierają!

Petrek ramionami poruszył.

— Komuż i jak? — zapytał.

— Młodszej braci naszego Pana, których on rad by wygnać precz.

— Myślę, że księciu się tego odechce, gdy lepiej sprawę rozważy, — dodał Petrek.

— A no! może! — rzekł Dobek popijając. — Kto to tam wie?

Udał jak by mu to było zupełnie obojętném. Dolewał coraz do kubka gospodarz i rozprawiali o rzeczach obojętnych dosyć wesoło, gość przy ogniu i winie stawał się coraz lepszej myśli.

— Dobra u was gościna! — mówił przybyły — dostatek wszystkiego jak u udzielnego księcia!

— Używajcież zdrowi — odparł Petrek. — Nie długo czekać, przy łasce pańskiej i wam też na niczem nie zbraknie.

— Właśnie na to ja pracuję! — chytrze rzekł Dobek — byle mi się powiodło, rychło do tego dojsć się spodziewam.

Zaśmieli się oba, każdy inną myśl mając w sobie.

— Gdzież książę teraz? — spytał Palatyn.

— Jest dotąd w Krakowie — począł Dobek obojętnie — ale się zbiera do wojska, bo wam to nie tajno, że jeżeli młode książęta dobrowolnie się nie poddadzą, siłą ich do posłuszeństwa przyprowadzimy, książę sam tu panem musi być.

Petrek, którego na umyślnie zdawał się tém chcieć drażnić gość, wołał zamilczeć.

— My to dobrze wiemy, — ciągnął dalej poufnie niby — że ziemianom nie na rękę zmiana będzie. Wolą oni małych panków mieć kilku niż jednego silnego, co ich w garść żelazną weźmie. I księżom biskupom król nie w smak pewnie ale go przelknąć będą musieli.

Petrek głowę spuścił, nie mówił nic.

— Wszystko to wiemy — odparł po długiej chwili chłodno.

Dobek postrzegł że gospodarz do picia go zachęcając, sam nie wiele do kubka zaglądał i począł naglić, aby do niego przepijał. W tém Roger Starosta, nie odstępujący prawie nigdy Palatyna zjawił się w progu.

Widzieliśmy go już raz jakim był z lica a lice to nie kłamało, — w sile wieku mąż, umysłu był nieustraszonego i na przebiegłości mu nie zbywało.

Tknęło go to mocno iż ów Dobek który tu nigdy nie bywał od dawna, a po odmowie otrzymanej, jawnym był Palatyna wrogiem, zjawił się nagle poufałym, serdecznym, jakby nigdy nic nie zaszło między nimi. Przybywał więc zbliska się przypatrzeć temu co się tu działo. Nawzajem Dobek który znał dobrze Rogiera i charakter jego, nie rad przybyciu oczy spuścił, zmieszał się, i nie mógł ukryć że mu nie był na rękę. Pomimo to pozdrowili się wzajemnie. Roger stanął skromnie za panem Petrkiem, nie mając ochoty mięszać się do rozmowy, lecz uparcie patrząc w gościa jak w tęczę.

Dobka to tak mięszało, twarz mu się schmurzyła i skrzywiła tak wyraźnie, że i Petrek poczuł iż przytomność Starosty wadziła niemcowi.

Czerwienił się, belkotał, mięszał teraz, gdy przed chwilą, sam na sam będąc z Petrkiem aż do zbytku śmiałym się okazywał. Nadąsany, zaglądał tylko do kubka coraz żywiej, wargi gryzł i odwracał się wejrzeń Rogiera unikając. Ten, jakby nierozumiał, stanąwszy raz w miejscu swém, niemówiąc słowa, trwał jak w murowany.

Rozmowa zerwała się, Dobek począł o zimie śniegu, łowach, psach, naprawdę sam nie wiedząc o czém, nadrabiając niezgrabnie wesołością fałszywą. — Bał się już aby mu z lica nie wypatrzone zdrady, którą miał w duszy.

Biesiadowali tak, ale Palatyn łączno postrzegł iż przybycie Rogiera wpłynęło na gościa dziwnie, i że nie swój był a niemal gniewny, choć udawał obojętnego.

Rogier stał ciągle milczącym tylko świadkiem. Petrek podsunął mu kubek, — odmówił dziękując. —

Gadali niby wciąż, byle nie milczeć, a tym czasem i noc nadeszła. Starosta w ostatku, rzuciwszy raz jeszcze oczyma bystreimi na Dobka, wysunął się z izby po cichu. Gość też ruszył się z siedzenia.

— A co, gospodarzu miły, odezwał się jak by odzyskując swobodę, gdy zostali sami — może to i prawda żem ja poselstwo jakieś od księcia do was wiozł, że je za nadrą trzymam, ale przy trzecim mówić nie chciał. Oto i noc już, jam się waszego ciepłego wina opił, w głowie mi zaszumiało! Teraz już do ważnych spraw nie pora, językby mi się plątał, jutro pomówimy o tém. A co mam sobie gospody szukać, juścić mi pod waszym dachem, z ludźmi mojemu dacie odpocząć. Jutro dokończymy rozmowy. —

— Niech i tak będzie! — rzekł Petrek wesoło, — juścićem ja w życiu mojem nikomu nie odmówił gościny. — Syn mój pójdzie spać gdzieindziej a wam swojej izby i posłania ustąpi. Spoczywajcie zdrowi. —

— Bardzo mi potrzeba już ledz — dodał Dobek bijąc się po piersiach — boście mnie do zbytku opoili!

To mówiąc podali sobie ręce, Petrek klasnął na Marszałka dworu i gościa prowadzić kazał do izby, a ten szedł tak wesoło i swobodnie, jakby o niczem nie myślał, oprócz spoczynku.

Zaledwie się Dobka pozbyli, gdy Rogier Starosta, który podle czekał w komorze, wszedł nazad do izby.

— Panie mój, — odezwał się do Petrka — coś mi ten Dobek, gość wasz nie do smaku — boję się go!

— A czegożbym ja od niego w swoim własnym domu miał się lękać? — odparł Petrek. — Co ci się śni?

— Dzikiemu, zdradliwemu zwierzęciu, choć się lasi nie wierzę — rzekł Rogier. — Po co tu przybył? Juści nie darmo, i nie dla żartów z wami!

Palatyn się śmiać począł.

— Idź spać, stary mój! — zawołał — niema tu strachu dla nikogo, chyba dla niego. — Gdy się on nie boi, czegoż my obawiać się mamy?

Starosta głową pokręcił, westchnął, nie powiedział nic, pożegnał się z Petrkiem i poszedł do dworku, który miał na tymże podwórku u muru do Opactwa Ś. Wincentego przytykającego.

Nikt ani pomyślał we dworze całym o śmiałym zamachu, który został uknuty, szli wszyscy znużeni spać. Dobek, choć niby zmęczony, zaraz się na posłanie rzucił, czekał oka nie zmrzywszy, aż się pośpią wszyscy. Sługę swego zaufanego postawił w progu na czatach.

Drugiego cichaczem wysłał z rozkazem. — Nim rano zaświta żeby mi tu wszyscy moi byli do koła na zawołanie. Ja mało co albo nic spać nie będę, gdy się ruszę abym ich pod ręką miał.

Cicha noc zimowa, niekiedy szumem wiatru przerywana i dzwonkiem Opactwa, wolałym na godziny w chórze, objęła domostwo Petrkowe. Spali wszyscy utuleni ciszą, Dobek tylko jeden sparty na łokciu czuwał i najmniejszemu szelestowi się przysłuchiwał.

Niekiedy przez okno wzywał na niebo, aby, gdy się gwiazdy pokażą z za obłoków, po nich się godzin nocy domyślić.

Jeszcze do ranka daleko było, gdy po cichu wstał i na palcach wyszedł do swych ludzi. Wszyscy oni odzieży nie zdejmując, bronie nie puściwszy z rąk czuwali. Znalazł Wondora swego, oprawców, czeladź na zawołanie gotową. Nie czyniąc najmniejszego szmeru wysunęli się w podwórze.

Wczorajsze wejrzenie bystre i przenikające Starosty Rogiera pokoju nie dawało Dobkowi. — Mówił sobie ciągle: — Jeśli kto, ten niebezpieczny jest, tego potrzeba naprzód pochwyć, aby jako wściekły zwierz pana i przyjaciela nie bronił a na gwałt nie uderzył.

Choć tak było jeszcze wcześniej, postrzegł Dobek że się już w dworku Starosty świeciło. Roger nie spał całą noc, taki go niepokój ogarnął, sam nie wiedział czemu. Żegnał się, modlił, niepomagało nic, przybycie Dobka, jak przepowiednia nieszczęścia jakiegoś z myśli mu wyjść nie mogło. Każdy szelest go przerażał, czuł że coś groźnego wisiało nad niemi.

W tém do drzwi jego zakolatano.

— Kto tam? — zawołał Rogier.

— To ja — to ja, zmiłujcie się, otwórzcie co rychléj, pilno mi bardzo, odjeżdżać już muszę. Petrek spi, zdam więc na was, com mu miał powiedzieć.

Rogier zaledwie poznawszy głos Dobka, drzwi uchylił, światło trzymając w jednej ręce, gdy z obu stron nastawieni oprawcy i pacholkiwie wdarli się do sieni i rzucili na niego. Starosta porwał się do obrony, ale miecza ani bronie żadnej pod ręką nie miał. Dobek dobywszy z pochew nóż zapasny do gardła mu z nim przyskoczył.

— Zdał się natychmiast, niechceszli bym cię tu ubił! Petrek już w moich rękach, żaden zdrajca nie ujdzie!!

Oprawcy wnet mu ręce w tył wylamali i wiążąc je poczęli sznurami, a jeden krzyżącemu na gwałt, knebel w gębę wbił i zawiązał ją. —

Nie miał prawie czasu głosu wydać gdy się tu już wszystko skończyło. — Wnet zgaszono światło, a związanego więźnia położono u drzwi straż dodawszy.

Dobek już spieszył pod dworzec wielki. Tu dopiero najważniejsza miała się odbyć sprawa.

Petrek nie spał. Rogiera przestroga, rozmowy wczorajsze, nazbyt serdeczne obejście się Dobka nie mogło mu wyjść z myśli. Rozważał, dobadywał się, czy w tém w istocie zdrady nie było. Zdało mu się w tém że szmér jakiś niezwykle słyszy w dziedzińcach — po chwili jednak ucichło zupełnie. Sądził że ludzie wstawać muszą do roboty i nad ranem czeladź się rusza w domu jak zwykle; przeżegnał się i począł modlić. —

W tém z cicha pukanie usłyszał do drzwi sypialni.

— Kto tam! — odezwał się podnosząc na łożu.

— Wstawaj panie Pietrze, — odparł Dobek głosem spokojnym — ja to jestem. Pragnę pomówić z tobą z polecenia księcia. — A no, żwawo, tajemnicę ci bardzo ważną przynoszę — czasu nie mam! Wstawaj!

Petrek z łoża się ruszył trochę zaniepokojony, poznał głos gościa swego, ale godzi-  
na, pośpiech, naglenie zdało mu się dziwném. — Podejrzenia Rogiera znowu po głowie  
kołować zaczynały. — A nuż zdradę jaką uknuto!

Wstać czy nie? otwierać? Milcząć czy odezwać się? Sam nie wiedział. Niepewność ta  
trwała bardzo krótko, zawstydził się sam przed sobą że miał tak mało odwagi. Tym czasem  
Dobek coraz niecierpliwiej dobijał się do drzwi.

— No, cóż tam się z wami dzieje? Co się tam tak długo przybieracie? Hej panie  
Pietrze! A no! czekam na was. — Toć nie ja od siebie tu przychodzę, ale jako poseł  
książęcy — książę jest tu sam! Książę stoi w wrót, zmęczony, jechał całą noc, wstawajcie.

Pietrze, a nuże! żywo! Zmiłuj się, chodź księcia przyjmować — a to się pogniewa. —

Usłyszawszy o księciu Petrek zerwał się co prędzej, a że kozuch miał przy łożku, chwycił  
go na siebie, i, jak miał zwyczaj gdy wychodził, nóż który u pasa nosił, wziął w rękę,  
i hełmem na przód głowę przykrył. Otworzył drzwi.

Dobek, zobaczywszy broń, potem hełm, zaśmiał się i krzyknął.

— Cóż to znowu? W hełmie i z nożem w rękę na spotkanie księcia się wybrałeś? Cóż  
to znaczy? Czy na nieprzyjaciela idziesz?

Petrek znowu się zawstydził i co prędzej hełm z głowy, nóż dobyty rzucił na łożo. —  
Lecz zaledwie się odwrócił, gdy przez uchylone drzwi skoczyli oprawcy i pochwycili go.

— Takiś gość! — krzyknął Palatyn szamocąc się — ty — zdrajco!

— Ja? — zawołał Dobek — Ja!! Co czynię to z rozkazu! Nie moja w tém wola!

Z tém mnie posłano! wiązać!

Wrzawa około drzwi sypialni coraz się wzmagająca, zbudziła już dwór niemal cały.  
Światosław którego ojciec obok swęj izby na tę noc położył, zerwał się i wyskoczył. —  
Zaledwie się pokazał gdy Dobek skinął aby go brano. Poczęto chłopca chwyciwszy nie-  
miłosiernie szarpać, dusić i pętać.

Gdy się to działo we dworcu, cała czeladź, opactwo, sąsiednie domy krzykami zbudzo-  
ne, wyspały swą ludność, gromady przelękle zbiegały się, kupiły — krzyczały.. Niektórzy  
do miasta uchodząc uderzyli na gwałt, a że Petrek miłym był wszystkim, lud zewsząd le-  
ciał, garnął się i osaczał podwórza. Dobek by się nie mógł być obronić, gdyby te tłumy na  
niego się rzuciły, ale przemądry człek, natychmiast, przygotowaną chorągiew ks. Wła-  
dysława rozwinąć kazał.

— Z rozkazu pańskiego! wola jego się dzieje! Precz! z drogi! Gardło da kto rękę  
podniesie — wołali ludzie Dobkowi, rozpędzając gromady.

Dnieć już zaczynało. — Lud odepchnięty, rozbity stał jak odrętwiały patrząc co się  
działo; jęki i płacz rozlegały się w podwórcach i po izbach, kobiety strwożone uchodziły..

Gromada ludzi Dobkowych widząc się otoczoną tłumami, co prędzej na koń siadła,  
trzech jeńców związanych biorąc w pośrodek siebie. Sam Marszałek stanął na przedzie,  
chorągiew pańską rozkazując nieść przed sobą i coraz obwoływać, że się to działo z roz-  
kazu pana. Obawiając się utracić już pochwycionych, nie opatrny Dobek, zapomniał  
o niewiastach, które téż chciał zabrać, zapóźno przypomniał je, gdy już się wracać nie by-  
ło można. Brzask dnia oświecał widowisko dziwne, niepojęte, które ludziom nawykłym  
widzieć potęgę Petrkową, zdało się jakimś cudem straszny.

Tego co wczoraj tu panował wiedziono pieszo, skrępowanego jak niewolnika, jak  
zbrodniarza, popychając końmi, pędząc do pochodu włóczyniami.

We dworze plakała ręce łamiąc i od zmysłów odchodząc Petrkowa, u której nóg,  
obejmując je, córka leżała. Dalej, cała gromada, z klasztoru wybiegłe mnichy stali patrząc  
potrwożeni, niewiedząc czy pogaństwo na gród napadło, czy zbójców jakich kupa. W nie-  
których mieszczanach krew kipiała aby się rzucić i odbić niewinną ofiarę, ale chorągiew  
książęca osłaniała siepaczy i Dobek upojony zwycięstwem, rozgorączkowany, wlokąc za  
sobą jeńców pędził na zamek.

Ze trzech brańców najspokojniejszy był stary Petrek. — Słowo jedno z ust mu się nie wyrwało, z głową spuszczoną szedł nie patrząc, milczący, niekiedy tylko ruchem ręki synowi, który się od płaczu zachodził, nakazując milczenie. — Starosta Rogier, któremu knebel z ust wyjęto, błądy włókl się jak upojony wściekłością i gniewem. Widać w nim było zduszoną ale nie złamaną siłę. Patrzał z pod brwi nawisłych na otaczający lud, jakby mu wyrzucał podłość jego, że stał nie ruszając się w obronie dobroczyńcy.

Jedno jakies słowo może byłoby te tłumy podniosło, lecz rzec go nie śmiał nikt. — Petrek sam szedł jak winowajca skruszony, poddający się losowi swemu. W duszy jego powracające teraz wspomnienie przeszłości, przywodziło mu ową chwilę na pamięć, gdy tak samo Wołodara na łowach w zasadzce pochwyconego, wiódł Krzywoustemu. I mówił sobie: — Miarą taką mierzą mi, jaką ja mierzyłem. Stań się wola Twoja!

To go w sumieniu zabijało i odbierało mu siłę. Zdało mu się, że spóźniona Opatrzności ręka na tym świecie chciała mu karę dać ponieść, aby ją zdjąć z niego na innym. Poddawał się jój w pokorze.

Dobek rozgorączkowany, coraz to się ku niemu z konia odwracał drwiąc, ale słowa jego i wejrzenia padały jak na kamień, bo Petrek zdawał się niewiedzieć i niesłyszeć nic.

W chwili téj stał się jakby innym człowiekiem, pokutnikiem pokornym, niemal dobrowolnym. Nie miotał się w więzach, niósł je jako z nieba zesłane.

Dzień już był jasny, gdy Dobek na zamek przybywszy, zszedł sam do więzień, dobierac je dla tych których z sobą prowadził.

Staroście zamkowemu naprzód rzekł:

— Gardło dasz jeżeli ujdzie który, gardło jeżeli do nich przystępu dozwolisz komu, gardło jeżeli im najmniejszą ulgę uczynisz! Książęcy rozkaz! Zdrajcy są przeciw niemu!

Więzienie pod murowaną częścią grodu było na pół w ziemi, izb w niém dwie. Aby Petrek pociechy z syna nie miał, rzucono go do jednej samego, do drugiej Rogiera i Światosława.

Dobek strażą ze swoich ludzi wzmocnił grodową.

Gdy Petrek związany, wepchnięty do ciemnicy padł na słomę, stanął nad nim niemiec śmiejąc się wzięwszy w boki.

— A co? — zawołał — a co? możeby teraz żołędzie się na sośnie znalazły? ale po czasie. — Waszą córkę wezmę nie za żonę ale jak zechcę!

Kładnijcie się wygodnie, Palatynie, do spoczynku będziecie mieli dosyć czasu.. Nie wyjdziecie ztąd aż pod miecz katowski!

Na to nie otrzymał odpowiedzi ani wejrzenia nawet, Petrek leżał nieruchomy. Dobek przeszedł się raz i drugi po ciemnicy, czekał na coś, Palatyn ani jęknął przy nim, dopiero gdy drzwi się z trzaskiem zamknęły za odchodzącym, załamał ręce i modlić się zaczął.

Gdy więźniów tak w tryumfie na gród prowadzono, przestraszona Petrkowa z córką, miała czas, zabrawszy co mogła na prędce, ująć przez Opactwo na bezpieczniejsze schronienie do folwarku benedyktyńskiego, który ona sama mnichom nadała. Tu w chacie ubogiej upadła bezsilna, cała we łzach się rozpluwając i córkę tuląc do siebie. —

Opat Anzelm przedsięwziął wszelkie środki, aby schronienie to bezpiecznym uczynić od napaści, a pogoń w inną skierować stronę, domyślano się bowiem że Dobek niewiast szukać będzie i ścigać je.

Zaledwie one uszły ze dworu, on już napowrót tu bieżał, aby go ograbił i zniszczył. Straż, którą tu zostawił nieliczna, opasana daleko znaczniejszemi gromadami ludzi z miasta i opactwa, część tylko małą dworu otoczyć mogła.. Drugą stroną Petrkowa i dworscy unieśli życie i co uspieli porwać z komnat i skarbcza.

Z powrotem Marszałka poczęło się mściwe gospodarstwo jego.

Pochwycono naprzód wozy i konie, aby na nie zdobyć łądować; Dobek wpadł do opustoszonych komór, z których wszyscy pouchodzili, łamiąc drzwi, rozkazując zabierać cokolwiek padło pod rękę. —

Odbito zaraz skarbiec, którego stało na kilka wozów złota, srebra, naczyń, oręża, futer, jedwabów, sukna, zapasów najdroższych w owych czasach — ale Dobek rozpatrzywszy się w nim zawołał, że to nie był główny Petrkowy... Tamtego, który olbrzymie miał zawierać zbiory, nie wiedzano kędy szukać — nikt go nie znał. Ze ścian i z podłóg dworca

poodzierano potem sukna, opony, kobierce, ze stołów okrycia, a czego zabrać nie było można łamano i niszczone. —

Dobek chodził jeszcze po zakątkach szukając coby zagrabił, gdy ujrzał stojącego zdala Opata Benedyktynów.

Opat, ani przywitawszy grabieżcy, patrzył smutnie po komnatach opustoszonych.

— Cóż się to tak dziwujecie temu co się tu dzieje? krzyknął doń Dobek. Pełnię rozkaz pański. Zdrajcę ująłem, mienie jego całe, ziemie, wszystko do księcia należy.

— A kogoż to i kiedy, odezwał się Opat spokojnie — zdradził ten człowiek? — gdzie ta zdrada? kto go sądził!

— Wyrok książęcy! odparł Dobek. — Wam klecho, ani pytać o to, ani sarkać, chcieli być cali!

— Chceszli ty być całym — krzyknął Opat z mocą wielką, podnosząc habit swój czarny — nie tykaj ani słowem ani ręką téj sukni, abys trupem nie padł! Czyń, jako niewolnik bez litości co ci kazano, ale zdala od ołtarza i ludzi jemu poświęconych, aby cię ziemia nie pożarła!

Dobek stanął osłupiały, zląkł się. —

— Nie rzucajcież kłatwy na mnie! zawołał drżąc — ja tu mojej nie spełniam woli. Sługą jestem. — Opat popatrzał i odwrócił się od niego z pogardą. Powolnym krokiem przeszedł po izbach, mruczając modlitwę, patrząc, stając, niekiedy ciężkiem westchnieniem zdradzając żal wielki.

Dobek tymczasem wysliznął się drugimi drzwiami do wozów, które strażą otoczone pode dworem stały. Łupu zebranego ztąd nie dosyć mu było, wypędzono ze stajen konie, wzięto kolebki i wozy, zegnano psy, pochwymano sokoły, powywracano szopy i zostawiono pustkę i gruzy tylko...

Łupy wyciągały z dziedzińca za Dobkiem, gdy od glinianej grobli nadjechał wóz kmiecy, a ten co na nim siedział, oczom swym nie wierząc, stanął przypatrując się zniszczeniu, wczoraj jeszcze pańskiego dworca. Był to Tychon kmieć, którego znów z podwodą do miasta przygnano, wracający do domu. Jeżdżąc tu często z przewodem i znając ludzi Petrkowych, stanął u wrót, przed którymi dawny odźwierny leżał pobity na ziemi i jęczał.

Tychon, co tak na swój los narzekał, pierwszy raz ujrzał że i możliwym nie lepiej się od niego działo.

— Saku! zawołał do odźwiernego — na miłe Bogi, co się tu u was stało? Toć nie wojna?

Sak jęczał trąc potłuczone boki.

— Książęca ręka nas dotknęła — począł płaczkliwie. — Nie pytajcie lepiej! Wczoraj nasz Petrek z książęty na równi chodził, dziś ze złodziejami. — Powlekli związanego do ciemnicy, jego i Starostę i syna...

I począł zawodzić odźwierny.

— A cóż uczynił? spytał Tychon.

Sak podniósł głowę — — któż to wie? Skarby miał — złupić je chciano... Można był — zazdrościli mu... Bóg tak dał!

Tychon nie pytał już więcej. —

— Zaprawdę, rzekł popędzając konie dalej — niewiedomo czy nie lepiej kmieciem być i podwody a poradne dawać, a z pogonią służyć??

Tak samo może myśleli mieszczanie, których gromady przez cały dzień stały u spustoszonego dworu, patrząc i zdumiewając się téj doli. Niekiedy jęk cichy wrywał się im z piersi i ocierali oczy. Petrek miał może nieprzyjaciół i zazdrośnych, jak każdy możniejszy, ale mu téż na przyjaciółach, sługach wiernych i wdzięcznych ludziach nie zbywało, bo wiele czynił, grosza nie szczędził, a że szczodrym był, szczególnie dla duchowieństwa, i ono mu sprzyjało, modlitwom wiernych polecano go publicznie.

Mnogie klasztory, kościoły, nadania biskupom, przywiązywały doń księży, nieustannie z jego skarbcza czerpiących; wszyscy oni za nim byli, czuł więc Dobek, zasłaniając się książęcym rozkazem, że sobie tysiące nieprzyjaciół uczyni chwytając Petrkę. — Starszyzną i ziemian obruszała téż kaźń bez sądu, i książę Władysław wiedział że tém sobie ludzi nie zjedna, a tylko najłakliwszych przerazi; ale Agnieszka lekceważyła wszystkich, zarówno duchownych jak świeckich. Ufała w brata Cesarza, wołając że on z Rzymu wyrobi rozkazy do biskupów, aby się przeciw Władysławowi nic czynić nie ważyli. Książę ulegał.

Tymczasem w Opactwie, na probostwach, w dworcu Biskupim, wiadomość o uwięzieniu Petrka wywołała oburzenie, i ruch nadzwyczajny. W refektarzu klasztorным Ś. Wincentego wszyscy ojcowie zbiegli się na radę. Opat chciał zaraz biedz do Biskupa, ale tego jeszcze z powrotem z Płocka nie było. — Chociaż Dobek zuchwale się składał rozkazami pańskimi, nie wierzono mu, widziano w tém zemstę osobistą, chciano zaraz ślać do księcia ze skargą, do Biskupów z żalobą, z prośbą aby obstali za prześladowanym. W kościołach nakazano modły publiczne. Opat, który był przyjacielem domu i codziennym gościem Petrka, łamał ręce nad losem, jaki mógł być zgotowany nieszczęśliwemu.

Wieść się właśnie była rozeszła, że księżę Władysław z żoną, na jednym z zamków szlązkich, o mil kilka od Wrocławia się znajduje, nie wiedziano jednak w którym. Opat wstrzymać się musiał, choć gotów już był jechać, aby za uwięzionym przemawiać. —

Wysłano na zwiady dokąd Dobek się udał. — Nie wątpiono że spieszne jego oddalenie się z łupami miało na celu stawienie się księciu z niemi, i wzięcie u niego rozkazów, jak teraz z więźniem postąpić. Władza panującego była naówczas nieograniczoną, nie potrzebował sądów, nie tłumaczył się z tego co czynił. Za jednych tylko duchownych odpowiadał przed Rzymem, za innych przed Bogiem i sumieniem. Nienawiść mogła nastawać na gardło, a jeśli nie na życie to na oślepienie okrutne, które człowieka bezbronny i bezsilnym czyniło, na wieczne wygnanie, które nędznym robiło tułaczem.

Trwały jeszcze narady te w Opactwie, gdy dano znać że ks. Janik z Płocka powrócił. Teżże godziny O. Anzelm, wzięwszy z sobą O. Maura, pospieszył na dwór biskupi.

Konie jeszcze rozsiodłowano i ks. Janik zaledwie był siadł spocząc, gdy mu oznajmiono Opata. Po drodze już orszak Biskupi, od ludzi przejeżdżających dowiedział się o strasznej nowinie. Ks. Janik jój wierzyć nie chciał, ale stanąwszy u wrót spustoszonego dworu, sam oczyma własnymi zobaczył co zeń uczyniono. Płaczący u wrót ludzie, powyłamywane drzwi, porąbane słupy, splądrowane komory, poroztwierane na oścież szopy, dowiodły mu że opowiadający nie kłamali.

Ks. Janik łamał ręce nad losem powinowatego sobie i ukochanego człowieka, gdy Opat błady ukazał się w progu. Nie mówiąc słowa do siebie, stanęli potrzęsając głowami, płakali oba.

— Ojczcie mój — zawołał wręście Biskup — mów proszę! Co się stało u was? Najazd pogański! napaść zbójcka! Gdzie Petrek nasz! gdzie rodzina jego? Niktże nie stanął w obronie?

— Niema go! Spętany siedzi w więzieniu — rzekł O. Anzelm — mściwa ręka niewiasty dosięgła nieszczęśliwego. Zdradą przemierzłą wziął go niegodziwy Dobek z łoża, bezbronnego, niebroniącego się. — Porwał z nim syna, pochwycono Starostę Rogiera. — Wszyscy oni w ciemnicy na grodzie, oskarżeni o zdradę... Splądrowano dom, zagarniają mienie. — Sądny dzień przeżyliśmy.

— Tak — odparł Biskup zadumany — wybiła godzina sądu Bożego — i stało się co Wszchemocny dopuścił! Korzmy się przed Nim, bo on ludzi i namiętności ich używa za narzędzia, woli swój! Tak! Bóg to uczynił nie zemsta ludzka — ale płakać się godzi nad losem dotkniętego!..

— I ratować, ratować go trzeba — przerwał Opat gorąco. — Jeżeli nie wszystko ocalić to przynajmniej życie — życie jego, syna, rodziny!

Biskup westchnął zamyślony, potem rękę podniósł do góry.

— Poza księciem, za Dobkiem, rzekł stoi Agnieszka! Zemsta niewieścia nieubłagana jest i dzika, miary nie zna, nasycić się nie daje. —

— Lecz niemniej starać się, próbować, kołatać potrzeba — przerwał Opat. — Ojczcie nasz kochany! komu właściwiej jak tobie? Księżę jest na jednym z zamków sąsiednich — szukać go, mówić z nim trzeba, upamiętać. —

Biskup cały w sobie stał zamyślony powtarzając: *Alea jacta est!*

— Nie o Petrka tu samego chodzi! lękam się aby ten sam los nie groził wkrótce królewskim sierotom. — Idzie o państwo to, które chcą zagarnąć! Po drodze napotykałem kupy ludzi zbiegających w lasy — księciu płyną posiłki, jego wysłańcy zajmują grody! Petrek był najgorętszym obrońcą praw małoletnich sierot, dla tego jego pierwszego zemsta spotkała — on im stał na przeszkodzie. Nie Petrka już, siebie ratować nam potrzeba! Dziś oni wydziedziczą księżąt, jutro nas to samo spotkać może, odbiorą kościołom nada-

nia, zajadą dobra... Agnieszka chce korony i władzy, duchowieństwo bronić musi sieroty, jutro i ono będzie prześladowanem. —

— Cóż czynić? zawołał Opat łamiąc ręce, mamyż obojętnie patrzeć na zgubę dobroczyńcy naszego, stojąc z rękami założonemi?..

Ks. Janik przeszedł się parę razy zadumany po izbie.

— Cierpliwości, rzekł — niech się okaże jasno czego chcą i do czego dążą. — Dzieła Kaimowego dokonać mu nie damy!

— Pasterzu nasz! zawołał Opat całując go po rękach, powaga wasza wielka, jesteście powinowaci uwiezionego, wy powinniście pierwsi jechać aby się wstawić za nim.

— Właśnie iż powinowaty mu jestem ruszyć się nie mogę — odezwał się ks. Janik. Krokiem teraz od kościoła niepodobna odstąpić. Chcecie wy być posłem moim? wkładam na was sprawę, jedźcie imieniem mém. —

— Dla czegoż nie? odparł Opat. Ta suknia mnie obroni, pojedę choćby w paszczę potwory, nie zleknię się stanąć ze słowem prawdy!

— Jedźcie! rzekł ks. Janik — bądźcie odemnie posłem. —

Dwaj duchowni usunęli się na poufalszą naradę i rozmowę, Opat Anzelm z gorliwością wielką gotował się stawać w obronie dobroczyńcy swego zakonu.

Tejże chwili posłano na zwiady o pobycie ks. Władysława, o którym mówili jedni że w Lignicy był, drudzy że w Opolu, inni że w Głogowie.

Tymczasem los zdarzył że ks. Marcin proboszcz Miechowski, który z Benedyktynami w ścisłych był stosunkach, bo się za ich wychowawca liczył, znalazł się właśnie w Opactwie Św. Wincentego. Obawiano się aby schronienie pani Petrkowej nie dosyć było bezpieczne, chciano ją w głąb kraju uprowadzić i skryć gdzieś w miejscu niedostępnym. Ks. Marcin będący naradzie przytomnym, z wielkiego politowania nad losem niewiasty nieszczęśliwej, rzucił tę myśl aby ją wysłać do Komorowa. Inni natychmiast jęj przyklasnęli. Poczęto naglić staruszką, aby na zamek Jaksów towarzyszył niewiastom, był ich przewodnikiem i opiekunem. Ks. Marcin ani chciał ni się mógł opierać.

— Bóg cię natchnął tą myślą szczęśliwą, zawołał Opat ściskając go. — Któżby mógł odmówić przytułku biednym ofiarom nieludzkiej zemsty? Jedź z niemi, ukryj je! Bóg to nagrodzi! Dopóki się los Palatyna nie rozstrzygnie, niech choć to co on ma najdroższego spocznie w miejscu bezpiecznym. Wieźcie je do Komorowa! powierzcie matce Jaksy! W drodze opieka księdza za pułk cały stanie!

— Ja powiodę je drogami na których niema niebezpieczeństwa, odezwał się ks. Marcin — sam też im będę przodować!

Tak się stało że pani Petrkowa, której imię i dostojęństwo zataić musiano, drugiego dnia już, pod przewodnictwem ks. Marcina jechała lasami i drogami bezludnymi tam, gdzie najbardziej ją widzieć życzyłby był Jaks. Opatrzność zdawała się opiekować nim i piękną Błogosławą, wiodąc je na stary gród cichy, do którego burze wojny dojsć nie mogły. —

### III

Ranek był, gdy wyprzedzając wozy za nim ciągnące, pod zamek w Głogowie podjechał Dobek, wołając zdala ku stróżom, aby mu wrota otwierano.

Czwałem wpadł na podwórze, z rozognioną twarzą, a choć cały był śniegiem i błotem okryty, nie zdejmując z siebie odzieży, pospieszył do izb, w których mu wskazano mieszkanie ks. Agnieszki.

Od rozpoczęcia pierwszych kroków nieprzyjacielskich przeciwko braciom z namowy żony, ks. Władysław był bardzo zmieniony. Kosztowało go postanowienie pierwsze, wahał się nad niem długo, z sumieniem walczył, — teraz już krok uczyniwszy brnął dalej, coraz bardziej sam się zagrzewając i do serca biorąc czém się brzydził niedawno.

Wpływało na to postępowanie zrzeczne księżnej, która poczawszy od podżegania go zdala, dorywczwo, na chwilę teraz męża nieopuszczała. A była dlań wcale inną niż ostatniemi laty, chętną, przymilającą się, uprzejmą. Pilnowała go na krok nieodstępując, aby mieć nań wpływ nieustający. Władysław ulegał coraz więcej, chwilami przekonany iż to co czynił było jego własną wolą. Zamiłowany w łowach nie mógł teraz jechać w lasy, bo się lękano zasadzki, znajdowano przeszkody, księżna nie puszczała go od siebie, wyszukiwała zabawy

i zajęcia, przyprowadzała mu dzieci, rozrywała rozmowę, nieporzucała nawet z myślami własnymi. Książę oswajał się z tą niewolą swoją i zdawał z niej rad. Od rana do wieczora powtarzano mu jedno, jak wielkim się stanie, gdy opanuje działy braci i koronować się każe w stolicy.

Koronę brat Cesarz miał przysłać pobłogosławioną w Rzymie.

Salomea, której wpływu i świętobliwości obawiała się Agnieszka, nie żyła już, sieroty nie miały opieki. Najstarszy z nich ledwie był dwudziestokilkoletnim, najmłodsze — niedoroslém dziecięciem. —

— Niech jadą do Bergu! wołała księżna, tam ich dziedzictwo i panowanie!! Tu dla nich miejsca niema! Dwu może przyjąć klasztor we Zwiefalten, który tak bogato obdarzyła matka, a dwu pójdzie służyć bratu mojemu. Lepsi od nich pod Chorągwią Cesarską chodzą!

Tak codzien prawie mówiła Agnieszka, a książę jęj potakiwał. Bronił się tylko od wydania na nich wyroku śmierci i krwią mazać nie chciał, na wszystko resztę przyzwalał.

Gdy Dobek szukając mieszkania księżnej, wpadł z wielkim pośpiechem do pierwszej komnaty, ujrzał księcia Władysława na niskim siedzeniu, otoczonego trojgiem dzieci, uśmiechającego się do swoich chłopiąt; Agnieszkę na podwyższeniu siedzącą przy nich, i zdającą królować. Zaledwie ujrzała Dobka wchodzącego, z krzykiem się porwała ku niemu. Wiedziała z czém jechał, niecierpliwą była z czém powraca.

Sama twarz Marszałka już dość o tém mówiła; zdjął hełm z czoła uznojonego, potrząsł włosami długimi, aby mu się po ramionach rozpostarły i rażno po rycersku przypadł z pokłonem do kolan pana i pani. Władysław patrzył nań zbladły i widocznie pomieszany.

Na naleganie żony nakazał być uwięzić Petrka, ale w duszy, nawykły szanować go, żałował postanowienia, niepokoił się, pocieszając tém że Dobkowi mogło się nie udać.

Z lica Niemcowi patrzyło iż wiózł pomyślnie dla siebie wieści, uśmiechał się nim przemówił, a gdy nań padło nalegające wejrzenie pani, odezwał się rażno.

— Siedzi Petrek z synem w jamie! Siedzi! Wziętem go jak lisa w dziurze! Trzymamy go! dzierzym! W naszej mocy teraz ten co się nam odgrażał!!

Książę zbladł bardziej jeszcze i głowę spuścił.

Wtém księżna z podnóżka skoczyła klaszcząc w dłonie, dzikim ogniem zaświeciły jęj oczy, zwiwęcę jakoś, straszliwie. Nim słowo się z jęj ust dobyło, bić poczęła rękami, podnosić je do góry, śmiać się. — Chwyliła się pod boki, przechyliła na wznak, wyrabiała z sobą dziwy, tak ją rozradowała sama zemsty nadzieja. Książę patrzył na nią niemal przelekły. —

— Ah! Ah! odezwała się wreście głosem pomieszonym ze śmiechem okrutnym. — Nareście! mamy cię złoty ptaszku w klatce! mamy! Odbierzesz teraz na coś zasłużył, ty, coś się to chciał państwem opiekować, ty coś na mnie śmiał bluzgać i zohydzać mnie w oczach pana małżonka mojego? A! nie ujdiesz już mi teraz! nie! Wybiła kary godzina, a kara być powinna tak srogą jak winy twoje.

Książę milczał; Dobek kręcąc węsą się uśmiechał.

— Jakżeś ty go wziął? spytał ponuro Władysław. — Nie ujął się zań nikt? nie bronili się?

— Oho! nieśmiał nikt! zawołał Dobek, szedłem w imieniu pańskim, z rozkazem waszym, pod chorągwią waszą! A podszedłem go tak jak on drugich podchodził. — Ho! ho! śmiał się Dobek, któremu wejrzenie księżnej dodawało odwagi — nie miał czasu drgnąć zloczyńca! Niedomyślał się zbój co go czeka! Nasadziłem zawczasu moich ludzi, wywabiełem bezbronnego, związaliśmy jego, Starostę Rogera i syna. Wszyscy u mnie! Zamknąłem ich na zamku pod dobrą strażą, a sam tu zbiegłem.

— Dobrześ się sprawił — odparła księżna z pośpiechem, nie dając się odezwać mężowi — ale — dodała ciszej — poco go żywić było mając raz w rękę??

Władysław wtrącił groźno.

— Życia mu brać nie chcę.

— O! zgnieść żmiję! zgnieść! przerwała Agnieszka.

— Dość zęby wybić aby niepuszczała jadu! odrzekł książę. —

— Zęby! nie dość, nie dość! zakrzyczała księżna śmiejąc niby, ale z gniewu gorączką. — Oczy, oczy mu trzeba wykluć co widzą to czego niema na świecie, język uciąć wszeteczny, a w końcu gardło, gardło! Mój to więzien jest, mnie obraził, przeciwko mnie

zawinił, ja mu póki żyw nie przebaczę! Krwi mi jego potrzeba! Wtém obracając się do Dobka i mierząc go iskrzącymi się oczyma, poczęła:

A żona? a córka? a dwór? Coście z niemi zrobili? W perzynę wszystko trzeba było obrócić! w perzynę! z dymem puścić! Księżnę jejmość pyszną dać było żołnierzom dla uciechy, i córkę z nią! Czego było oszczędzać plemię ohydne!

Książę przeląkł się wyrazów żony, niepohamowaną zemstą ziejących i wstał z siedzenia, okazując oburzenie.

Agnieszka zapłonila się tylko i zawróciła ku ulubieńcowi, który dodał.

— Niewiasty się gdzieś skryły! nie wiem! Pewnie do klasztoru pod opiekę mnichów, bo ich tam pod bokiem miały, a ja do tych klechów iść nie mogłem, bo by mnie wyklęli, i ludby na mnie spędzili. — Dwór splądrowano, a co się znalazło tośmy zabrali z niego.

Nim książę miał czas się odezwać Agnieszka wołała żywo!

— Coś zabrał wszystko twoje! książę pan ci to dał! Nie odwoła! Zasłużyłeś na nagrodę starszy leśmistrz temu — najstraszniejszego zbyliśmy się nieprzyjaciela. Teraz pójdzie już rażno wszystko, sieroty bez opiekuna nie wymkną się nam! Połowiemy je po jednym!

Dobek już się nie księżnie ale Władysławowi pochylił dziękować chcąc za podarek, gdy książę ze wstrętem jakimś cofnął się od niego.

Agnieszka za to zbliżyła doń poufale, szepcząc coś po cichu i okazując radość wielką.

Władysław zadumany w okno patrzył. Przychodziły mu pewnie na pamięć te godziny gdy Petrka widywał przy Ojcu swym, poufałym gościem, druhem jego serdecznym, gdy on sam, jak inne dzieci królewskie, stawał przed nim z poszanowaniem, widząc w Petrku opiekuna swojego. — Teraz gdy zemsta przez żonę wymożona, na pół dokonana została, gniewał się na nią, na siebie, na Dobka i niemal na Petrka iż wziąć się dopuścił. —

Chciał przynajmniej ocalić mu życie.

Księżna widząc to męża usposobienie, skinęła Dobkowi aby precz szedł, a sama zbliżyła się do Władysława, rękę mu kładąc na ramieniu.

— Cóż cię to za smutek opanował! spytała szydersko. — Więcej ci tego zbója żal niż mnie, którą on oplwał i znieważył, mnie, matkę twoich dzieci, Cesarską siostrę!! Żal ci tego nikczemnika? Żal?

Nie było na to odpowiedzi. Pierwszy raz od dni wielu, spędzonych w zgodzie, Władysław zszedł jęz z oczów milczący i skrył się w izbie swojej. —

Gdy się to na zamku działo, Jaksa, który był pobiegł wprost do Krakowa, szukać księcia, aby stanąć przed nim w Petrka obronie, po drodze już się o całym nieszczęściu dowiedział. —

Niewstrzymało go to, że Petrek był prześladowany.

W pierwszym probostwie na które zajechał opowiedziano mu ze szczegółami, jakiej zdrady padł Petrek ofiarą, jak rodzinę rozproszono, a mienie jego zrabowano; i że śmierć mu groziła. Dowiedział się zarazem że książę z Agnieszką był w Głogowie i czekał tam na wiadomość co się we Wrocławiu stało.

Strachem zemsty na Petrka wywartęj, chciano wszystkie ziemie do poddania się zmusić. —

Jaksa w rozpaczy niewiedział już co miał czynić, bił się z myślami i rwał choćby na największe niebezpieczeństwa. Bodaj sam jeden chciał iść w obronie Palatyna.

Ale jakież miał ujmować się za nim prawo? będąc zaledwie bardzo dalekim powinowatym, młodym, bez znaczenia i niemając od nikogo zlecenia?

Jaksa niemając pozorów nawet przystąpienia do księcia, chwycił się myśli dziwnej. Towarzyszył on już raz Petrkowi na dwór książęcy, widziano go tam w orszaku Palatyna, u jego boku. Wiedział że Swiatosław zaswatał był właśnie dziewczę wielkiego rodu, które miał wkrótce poślubić. Zmyślił więc sobie poselstwo, choć nie miał żadnego, i postanowił, jakby o niczym niewiedząc, na dwór się dostać, niby wysłany od Petrka zapraszający księcia na wesele. — Dziwna to myśl była, zły pozór aby się na dwór dostać, ale Jaksa, byle stanął przed księciem, resztę zdawał na wolę Bożą. Chciał mówić, zaklinać, błagać.

—

Książdz, któremu się myśli tej zwierzył, choć sam sprzyjał Petrkowi, jak duchowieństwo całe, potrzęsł głową na dziwną myśl młodzieńca.

— Czyż tego nie rozumiecie, rzekł, że dziś się za nim wstawiać, mówić, dopraszać o łaskę, znaczy samemu nadaremnie się na więzy albo i na śmierć narażać. Nie uczynisz nic i gardłem przyplącić możesz.

Jaksa się tém wcale nie dał ustraszyć.

— Uczynię co, czy nic! zawołał, ale zrobię com powinien. W sercu naszego pana niezgasło wszelkie ludzkie uczucie; gdy się kto mu postawi śmiało ocknie się w nim litość, oprze się żonie. Ona go prowadzi — ona!

Nic nie mogło Jaksy powstrzymać, tegoż wieczora ruszył do Głogowa i gdy na grodzie stanął, ogarnąwszy się zaraz, samotnie z dwojgiem czeladzi na zamek poszedł.

Tu, choć dobrém okiem witano ziemian co się pod książęce chorągwie garnęli, na niego koso spoglądano, bo go do Petrkowych liczyli. —

Książę z księżną razem, przyjmował właśnie kilku z okolicy ziemian szlązkich, którzy przybyli miłosierdzia prosząc od Połowców, bo o straszliwém ich ciągnięciu słyszeli. — Ci nawet co z księciem trzymali obawiali się téj dziczy, dla której na obcej ziemi nie było różnicy między przyjacielem a wrogiem, łupiono dwory wszystkie, jakie na drodze stały.

Agnieszka z tryumfującym uśmiechem słuchała płaczkliwie wynurzanych żalów, obaw i próśb o miłosierdzie.

— Jeżeli się ich obawiacie, mówiła, a niechcecie popaść w ich ręce, skupiajcie się do nas, pod książęce chorągwie, a precz wyganiajcie tych, co są wojny przyczyną. Gdy się poddadzą grody, gdy książęta pójdą precz, pokój powróci, odprawimy Ruś i Połowców.

Kłaniali się płacząc Szlązacy, bijąc w piersi a lamentując, gdy Jaksą wszedł, na którego się wszystkie obróciły spojrzenia. — Książę się popatrzał nań, czekając co powie.

Stało się milczenie.

— Z czém przychodzisz! spytał Władysław.

— Miłościwy książę, odezwał się dławiąc tém co mówił i pokłon oddając Jaksą. — Palatyna Petrka syn Światosław, ma poślubić Martę Starzankę, posłano mnie Waszą Miłość prosić o błogosławieństwo i — na wesele!

Niedokończył jeszcze gdy stojący obok niego Żupan Leszczyc, odezwał się.

— Co ci jest? co prawisz! aż nie wiesz że Petrek z synem już w więzieniu osadzony, ani mu o weselu myśleć!

Jaksa zamilkł spuszczaając oczy.

— W więzieniu? odezwał się ze śmiałością wielką podnosząc wzrok na księcia. Palatyn Petrek? — On? Za cóż człowieka tego który tylko dobrze czynił, miałby ten los spotkać?

Książę milczał, ale Agnieszka poruszyła się gniewnie, ręką potrząsając.

— Petrek był zdrajcą! krzyknęła — przeciw panu! przeciw mnie! Łotr jest życia nie godzien.

To mówiąc przechyliła się pięści zaciśnięte podnosząc do góry.

— Nie może to być — odezwał się mężnie Jaksą. Znają go od lat wielu wszyscy, ojcowie duchowni, ziemianie, ziemie naokół całe, — pobożny jest — sprawiedliwy, cnotliwy! Był nieboszczykowi królowi miłym, dobroczyńcą dla wielu, nikomu złym.

Miłościwy panie, takiemu jak on mężowi, choć by obwinionym był, trzeba się dać wywieść i oczyścić!

— Milcz! ty! zawołała Agnieszka coraz gniewniej. — Nie ty, młokosie jakiś, sędzią jesteś, ale pan twój, który ma prawo życia i śmierci, sądu i wyroku!

Władysław patrzył w ziemię zaszepiony.

— Miłościwy książę, ciągnął dalej Jaksą, zwracając się nie do Agnieszki, jakby jęj słuchać nie chciał, ale do księcia samego, miłościwy książę — błaha to jest poręka, ale ja głowę moją stawię ci za niego. Mało lichéj głowy téj, jaką sumę naznaczą w złocie czy srebrze, aby wolen był i niewinność swą mógł wywodzić, położę u nóg twoich. —

Książę błysnął oczyma ku niemu, nie odpowiadając nic. — Agnieszka, czując się przez niego pogardzoną, bo na nią ani patrzył, ani jęj odpowiadał — zaczęła wołać.

— Miej się, ty młokosie, na baczości, abys i głowy zuchwałéj i twego złota a srebra nie stracił. Tyś jego współnik jeśli go tak chcesz ratować, taki dobry jak i on — i ty powinieneś iść do więzienia gnić, albo i gardło dać!

Jaksa teraz dopiero spokojnie podniósł wejrzenie i wlepił oczy w niewiastę rozjadłą, która blasku żrenic tych znieść nie mogąc, w większy jeszcze gniew wpadła. — Rzuciła się i miotała na siedzeniu odgrażając Markowi, który stał bynajmniej niewzruszony.

— Wiem to, miłościwa pani, rzekł Jaks, że i głowę i mienie stawię ujmując się za Petrka, ale mnie to najmniej nie ustrasza. Ażali nielepiej życie dać niż cnotę i sumienie? Błagam więc za tym którego niewinnym sędzę, błagam ponownie i zaklinam was, nie mażcie się krwią męża cnotliwego!

Panie! zwrócił się ku Władysławowi. Książę się nagle nasrożył.

— Milcz — krzyknął — milcz! niechceszli dzielić losu jego!

— Milczeć nie mogę — zawołał Jaks, grzesznymbyłem.

— Precz! precz! począł szybko mówić Władysław, nie tyle z gniewu co z obawy aby księżna nie uniosła się bardziej jeszcze i nie chciała mścić się na nim.

— Idź mi ztąd!

Dwóch dworzan na znak dany przez księcia, pochwyciło go pod rękę.

— Miłościwy książę — odezwał się raz jeszcze Jaks, gwałtem ztąd wyrzucenym być mogę, ale jakim był nieszczęściu wiernym, tak nim zostanę, i com rzekł to głosić będę, póki siły mam. — Petrek jest niewinny! Niewinny!

Agnieszkę gniew oświadczył tak wielki iż mówić nie mogła, gdy Jaksę za drzwi komnaty wyrzuciono.

Jakiś czas cisza straszna panowała w izbie.

Na wszystkich przytomnych to śmiało za Petrkiem ujęcie się, wrażenie uczyniło ogromne, oprócz zajadłej księżnej. Chciała natychmiast kazać uwięzić Jaksę, obawiając się jego zuchwałej mowy, ale nim ochłonęła nieco i pomyślała o wydaniu rozkazu, stało się że już obwinionego na zamku nie było.

Wszędzie są litościwe dusze, a nawet słabych wielka moc ducha podnosi. Ci co by nigdy nie zdobyli się na męstwo stawania w obronie potępionego, gdy posłyszeli jak Jaks go mężnie bronił, poczuli dlań poszanowanie i litość.

Dawny towarzysz Helmut widział niebezpieczeństwo jakie mu groziło, on pierwszy pochwycił się do gorącego spełnienia książęcego rozkazu. Uczyniono z Jaksą, przez miłosierdzie to co się zdawało wyrządzonem ze złości. Helmut obawiając się o niego, udał najokrutniejszy gniew i razem z innemi, począł go co najprędzej wypychać z komnaty, dalej wyganiać z podwórca i pędzić natychmiast za wrota zamkowe, nie dając mu się słowa odezwać, odwrócić, zagadać. — Wyrzucili jego, ludzi, konie tak pospiesznie, iż gdy zawołany Dobek, wybiegł ażeby zuchwałca pochwycić, odpowiedziano mu iż śladu jego już nie było.

Wiedząc o bogactwie Jaksów, łakomy Niemiec zabierał się iść w pogoń, aby choć okup wymódl na nim, gdy Helmut z innemi dworzanami zapewnili go że czwałem ze strachu w lasy pognął ścigać go już próżnem było.

Tak dawnemu towarzyszwowi i kilku pocziwym, winien był życie, choć oni mu się zajadłemi wydali wrogami. —

Na zamku, po odprawie danej Szlązakom, Agnieszka sama pozostawszy z mężem, puściła dopiero wodze gniewom i wyrzutom...

W charakterze niewiast ówczesnych, o których historia dochowała nam wspomnienie, widzimy, nietylko u nas ale po świecie całym, toż samo uderzające zjawisko. Dwojaki są niewiasty tych wieków, albo święte aż do męczeństwa, martwiące ciało swoje aż do kalectwa, poświęcające się bez lży i jęku, słowem natchnione jakąś nadziemską siłą; lub opętane złością bez granic, namiętnościami bez uzdy, wściekłością niemal zwierzęcą. Pomiedzy tém dwojgiem niema prawie istot pośrednich. To co występuje przed nami w dziejach, jasne jest jak słońce lub jak otchłań czarna. A nie jest to całkiem winą tych co wizerunki malowali, ale obyczajów wieku, który i w męzkiej połowie podobne charaktery stawi przed oczy nasze...

Są to rycerze pobożni, we włosiennicy biegnący walczyć z pogany, bosko powracający składać łup u grobów świętych — albo złoćnicy porywający się przeciw ojcom własnym, tarzający się w rozpucie, która miejsc poświęconych nieszanuje.

Jest to wiek namiętności, które tylko religijny postrach kielna powoli, łagodzi i uśmierza. Z pod powłoki chrześcian wyglądają dzicy poganie, a tam gdzie chrześcijaństwo do szpiku kości przejęło, są to posłuszne baranki ofiarne. —

Agnieszka należy do tych czarnych charakterów w dziejach, które do nas najczęściej z Niemiec przychodziły. Z Rusi szły posłuszne i ciche niewiasty, które pod płaszczem tuląc dzieci, modliły się i siedziały zamknięte w teremach, — z Niemiec jechały królowe, które i mężom panować i świata używać żadne były. A jeżeli która z nich, jak żona Władysława Hermana, jak Agnieszka czuły w sobie kroplę krwi cesarskiej, dumie i szałom ich nie było miary i granic.

Przybycie Jaksy, zuchwalstwo z jakim śmiały wystąpić, księcia najmocniej zmięszwały, budząc w nim wstyd i żal. Agnieszka jeszcze mocniej była przeciw Petrkowi rozjątrzoną.

Obawiała się aby nieuszedł jej zemsty, czuła że potrzeba było jak najrychlej ją dokonać, dopóki mnodzy przyjaciele w pomoc nie nadbiegą. Spostrzegła wahanie się w mężu — nieufała nikomu. Petrkowi sprzyjało wielu, mógł mieć skarby ukryte, przekupić ludzi, znaleźć obrońców, ująć pod opiekę młodych książąt i z nimi przeciw Władysławowi wojować. — Chciała co najrychlej dokonać to czego pragnęła. — Gardło! gardło musi dać! wołała.

Tegoż wieczora, gdy Władysław do niej i do dzieci powrócił, odezwała się doń rozkazująco, że nazajutrz do Wrocławia jechać byli powinni.

Książę posłyszawszy to zachnął się niechętnie.

— Poco? zawołał — co się ma dokonać, stanie się i bez nas!

— Ja, ja tam chcę być — krzyknęła księżna — nie wierzę nikomu — ty, ty jesteś miękki i dobroduszny. Ty, tyś gotów uwolnić go jutro, a on na ciebie, na mnie zbójców naprowadzi. Ty mu darujesz, on ci nieprzebaczy! Nie przeciw niemu mówię ale za tobą, za sobą, za dziećmi — lękam się!

Książę leniwo począł się opierać jeździe do Wrocławia, ona słuchać go nie chciała.

— Wszystko jest już do tego gotowe — wołała — jechać potrzeba, wydałam rozkazy w imieniu twojem, nie ścierpię byś mi kłam zadał. Musisz jechać! tam poznasz sam że inaczej niemożna zrobić, tylko twoje życie ratując, jemu je wziąć. — Gardło da! gardło! powtarzała.

Książę, jak zwykle nie opierał się długo, na myśli miał może iż w miejscu prędzej się rozstrzygnie sprawa i on Petrkowi życie ocalić potrafi, gdy bez niego, nie pytając zamordują więźnia, albo go umarłym powiedzą.

Nie rzekł już nic.

Nazajutrz rano stały konie w podworcach, cały orszak książęcy, Dobek na czele, dwór, wozy i ludzie pogotowiu. Niezważano na to nawet że nagle odwilż przyszła, śniegi topniały, drogi się stały prawie nieprzebyte. Agnieszka gnała nielitościwie, coprędzej chcąc być we Wrocławiu. —

W podróży znowu zaczęła męża zagadywać o karę jaka zdrąpcę Palatyna spotkać miała.

Tak dręcząc go nieustannie, nim do Wrocławia dojechali, wymogła to na księciu, opierającym się długo wyrzeczeniu ostatniego słowa, iż Petrkowi odjąć każe wszystkie ziemie, majątki, skarby i cokolwiek miał, a wyżenie go precz na wygnanie wieczne.

Kara ta za niedowiedzione zbrodnie już i tak aż nadto mogła się wydać srogą, ale gdy książę odkrył się z myślą swoją, Agnieszka parsknęła śmiechem szyderskim i zelżywie rzuciła słowo. Nie mówiła już więcej nic, jechali do Wrocławia milczący.

Gdy orszak pański wjechał we wrota miejskie, książę i żona jego poznać mogli łatwo że ich tu nie witano jak dawniej bywało, i jak panu przystało.

Nie wyjechał Biskup na spotkanie, choć mu zawczasu, przodem śląc, znać dano o pańskim przybyciu, nie wyszły z Opatem mnichy Ś. Wincentego, a gromady ludu stały tak groźne i milczące, jakby rachunku słuchać chciały, co się z ich dobroczyńcą stało. Tak wśród ciszy jechali na gród, na który pilno było Agnieszce, aby pod nogami swojemi poczuła wroga, w mocy swój i rękę. — Tegoż wieczora, gdy książę od wieczerzy wstawszy, unikając rozmowy szedł do izby swój osobnej, drogę mu zastąpiła Agnieszka. Z całej postawy jej, wejrzenia, twarzy widać było, iż tu się losy więźnia rozstrzygnąć miały. — Drżała z niecierpliwości, chwytając Władysława za poły sukni.

— Słuchaj — odezwała się — słuchaj! Ty mnie nie zbędzisz milczeniem, chcę wiedzieć coś postanowił. Ja za krzywdę moją pomstę mieć muszę... Mówiłam ci, powtarzam, gardła chcę!

Książę Władysław stanąwszy, walczył z sobą długo, wyroku śmierci dać nie chciał.

— A jam rzekł i powtarzam — odezwał się niewyraźnie — że mu życia nie wezmę. Ojciec mu wiele winien był, rycerz jest możny, zasłużony, choćby dziś winien był litość mu należeć. — Nie wezmę życia — nie! —

Ręką rzucił niecierpliwie jakby się chciał uwolnić od niej.

— Ej! myśl co powiesz, myśl, odparła Agnieszka, bo ty nie na niego ale na siebie wyrok wydajesz, na mnie i na dzieci. Czci żony twój nawet bronić nie umiesz. Ej! myśl! zaważy twe słowo!

— Rzekłem! Co chcesz! razem to rzekł, nie będzie inaczej! odezwał się Władysław.

— A ja ci mówię że inaczej musi być — zawołała gwałtownie żona, musi! bo ja cię znać nie chcę za męża! Idę precz — zostawię cię. — Zabieram dzieci — nie chcę cię znać!

— Tego nie uczynisz! odezwał się powoli książę — nie!

— Uczynię to! przysięgam! uczynię — krzyknęła Agnieszka, nie chcę za męża znać tego, który czci mojej nie pomści.

To mówiąc szarpnęła się gwałtownie jakby odchodzić chciała, a książę który już u drzwi stał, zatrzymał się patrząc na nią. Szła tak aż na drugi koniec komnaty włosy puściwszy na ramiona, z głową podniesioną dumnie, obrażona, gniewem dysząca.

— Tak jest! pójdę! Jutro mnie tu nie będzie! Nie chcę żyć z tobą, a jeżeli ty zginiesz marnie, nie ja po niedołężnym, po słabym płakać będę. — Ty! cobyś ty poradził bezemnie? Siedziałbyś na jednym Krakowie, na lasce u braci, trzykroć od ciebie silniejszych. — Giń!!

Odwróciła się.

— Agnieszko, zawołał książę — ty — tego nie uczynisz co mówisz — a ja tego czego chcesz! Krwi jego na sumieniu mieć nie chcę! Cień ojca prosi za nim, sny miałem. —

— Przecie ojciec twój zabić kazał rodzzonego brata Zbigniewa, a ten — ten gorszym od niego jest zdrajcą. —

Dysząc padła na ławę księżna. Książę stał pot ocierając z czoła. Zaszleściło coś u drzwi, na które księżna zwróciła oczy, czuła bowiem i wiedziała kto nadchodził. — Książę cofać się zaczął ku drugiemu wyjściu, wtém Dobek się wsunął i wprost zbliżył do księcia samego; z pewnym rodzajem poufałości i lekceważenia podchodząc ku niemu.

— Przyszły języki z Płocka, rzekł — Biskupi się tam na Miłość Waszą kojarzyli z książętami i rady były wielkie. Jednego im tam tylko Petrka brak było wielki, czekali nań i wyglądali, a że się on nie stawił, wszystko na niczém spelzło...

Teraz go tylko, choć boso, puścić żywcem, da sobie rady! jak kot co zawsze na nogi upada. O tak! jego im tylko brak, możeby go Wasza Miłość puścić dała? Będą młodzi książęta wdzięczni! Za nic i panowie duchowni wszyscy gdy głowy i wodza niema; to jedyny człek dla nich!

Księżna potakując głośno się śmiać zaczęła.

— Mówno, mów, odezwała się, książę pan tak go miłuje, że chce koniecznie, tój żmiji życie ocalić — a póki w bestyi tój tchu stanie, kąsać będzie!

Zerwała się z ławy.

— Mów, mówże, powtórzyła — niechaj go puści! Niechaj razem i mnie puści, bo ja tu dłużej oplwana mieszkać nie będę — nie. Jutro na Niemcy pojedę, dziś, jak tylko go wypuszczą żywym, mnie tu niema.

Władysław obrócił się nasępiony ku żonie, popatrzał i nie chcąc nic mówić przy Dobku, podniósł zasłonę, drzwi odemknął — wyszedł. Powlokła za nim oczyma gniewnemi Agnieszka, podniosła pięści, potem załamawszy ręce, siadła na ławie rozdąsana aż do łez prawie.

Zbliżył się Dobek.

Na widok jego księżna wskazała drzwi, które mi mąż jój wyszedł.

— Nie mogłam go przemódz! Zacięty jest w tём! życia mu wziąć nie chce. — Groziłam, nadaremnie. — Nie chce!

— Jak go ztąd wypuszczą żywcem, odezwał się Dobek, to my swojego życia nie będziemy pewni. Nie dziś to jutro otworzy mu się gęba, ma przyjaciół dosyć. Mnichy się krzątają i biegają, szepczą, znoszą się. Mnie już ofiarowano okup byle mu ocalić życie!

— Ocalić mu życie! ty! zawołała Agnieszka. — Ty! Ani mi się waż mówić o tём. Bierz okup, ale go bronić?? Nie śmiéj!

Podniosła rękę.

— On musi umrzeć!

Nazajutrz dzień się robił zaledwie, ks. Władysław wstawał z posłania aby rannęj mszy wysłuchać w kaplicy, gdy Dobek nadbiegł oznajmując mu że ks. Janik Biskup zgłosił się, chcąc przybyć do księcia z pokłonem.

Biskupowi nikt drzwi zamknąć nie śmiał. Agnieszka czekała gniewna na przyjazd ks. Janika, postanowiła na krok nie odstępować męża. Poszła z nim razem do kaplicy, a gdy się msza skończyła i do komnat powraca[[i], dano znać o Biskupie. Książę lubił go dosyć, oba równo myśliwemi byli, z nim się jakoś Władysław lepiej niż z innemi duchownymi rozumiał i mógł rozmówić. Dawniej byli z sobą poufale, teraz zmieniło się wielce położenie. Każdy Biskup trwożył księcia, wiedział że wszystkich ich mieć będzie przeciwko sobie.

Według zwyczaju jednak wyszedł do progu przeciw niemu.

Ks. Janik z postawą rycerską, mężnie, z czołem pogodnym wszedł do komnaty, zasiadł obok księżęcia, spytał o coś obojętnego, obejrzał się do koła — nie rozpoczynał ważniejszej rozmowy.

Ks. Agnieszka siedziała na straży, Biskup rachował na to że odejdzie, pytał o małe rzeczy, mówił niewiele, oczyma rzucał ku pani, która odchodzić nie myślała.

Trwało to może pół godziny, ks. Janik wreszcie, okiem znów na niewiastę rzuciwszy, odezwał się.

— Nie chcę kryć tego dłużej żem do Miłości Waszjej przybył w sprawie mojego powinowatego. — Niewiem czém Petrek zawinił tak wielce? Wszyscy zdumiewamy się, aby mąż co stał tak wysoko, mógł nagle, bez jawnej przyczyny i sądu być straconym tak nisko? Cóż uczynił?

Agnieszka ledwie mogąc powściągnąć się, usta zakąsając, milczała; ks. Władysław począł.

— Czém zawinił? Zuchwałym był! oszczercą był, zdrajcą... Kto ze mną nie idzie i nie trzyma ten mi wrogiem...

— Miłościwy książę — rzekł Biskup. Zawsześmy wiernie trzymali z tobą, póki wy trzymaliście z prawem i wolą nieboszczyka króla.

— Co? co? podchwycił książę burząc się. — Ja tu panem być muszę, ja, nie kto! Ja, sam! Petrek przeciw mnie szedł i zmywy czynił. —

— Miłościwy panie, odparł Janik, nie stanie więzień i stróżów, jeśli zechcecie wszystkich imać co trzymają z wolą nieboszczyka pana, dla własnego dobra waszego...

— Ha! porwała się, nie mogąc wytrzymać księżna, — kaci opróżnią więzienia. Ziemia głęboka jest, znajdzie się gdzie chować zdrajców!!

Ks. Janik wysłuchał, ale nie odpowiedział nic zwrócił się do księcia.

— Nie może to być, dodał, abyście chcieli życie temu wydzierać, którego ziemie nasze miłują i szanują jak ojca!

Wstał Pasterz uroczystą przybierając postawę.

— Miłościwy książę! krwi téj nie bierzcie na sumienie wasze!

Książę podniósł się natychmiast i niepatrząc na żonę, rzekł żywo.

— Nie lękajcie się o to, życia mu nie wezmę, nie, ale karę słuszną domierzoną mieć musi.

Biskup odetchnął lżej. —

— Bądźcie litościwym, ciągnął dalej, abyście sami litości doznali gdy jój w życiu potrzebować będziecie. Któż tak mocen jest, aby pewien był iż na nim nie zacieży prawica Boża? Sądy Wszechmocnego zakryte, a miarą tą mierzy Sędzia, jaką mierzył Sądzący... Gdy to mówił z mężkich oczów Biskupa pocięły łzy, których wstrzymać nie mógł. Objaw ten uczucia i słabości razem zmieszał jego samego, popatrzał milczący na ziemię, i, otarłszy oczy, nie mówiąc słowa, nie podniosłszy ręki do błogosławieństwa, wyszedł z izby powolnym krokiem.

Książę idąc za nim ze spuszczoną głową, towarzyszył mu aż do progu, ale Biskup nie odwrócił się już, nie żegnał, nie patrzył i ocierał tylko łzy z oczów płynące. Siadł na konia u drzwi i zawrócił do domu.

Agnieszka przyskoczyła do powracającego męża.

— Coś ty rzekł? coś rzekł? Mówisz że mu życia nie weźmiesz!

— Nie wezmę! nie! nie! zawołał księżę głosem silnym — a gdybyś mi stokroć oddaniem groziła, powtórzę, nie wezmę! gdybyś jechała zaraz — nie wezmę! Nie! Nigdy go tak silnym w sobie nie widziała żona, cofnęła się nieco, bo ją strwożył.

Księżę stał poruszony i drżący, jak człek słaby, który się na coś stanowczego odważył.

— Chcesz krwi! wołał. Naposiadał się na krew jego! Oczy mu wylupić — wygnać go! zubożyć go, ale gardła jego kto tknie, przysięgam, sam je da!

Chcicie słuchała Agnieszka i po za księciem u drzwi stojący Dobek. Czekał skinienia tylko.

— Słyszałeś wyrok pański! zawołała ze śmiechem szyderskim — spełnij go. — Reszta potem!!

Dobek za zasłoną zniknął. —

#### IV

Pod murowaną zamku częścią były ciemnice dla złoczyńców. W dwu izbach zamknięto, w jednej Petrka osobno, w drugiej, za grubym murem, tak by o sobie wiedzieć nie mogli, Rogera i Światosława.

Garść słomy przegniliej i zmiętej możnemu niedawno panu służyła za posłanie. Drżał na niej z zimna okryty jednym kożuszkiem, który wychodząc z rana przeciw Dobkowi, narzucił na siebie. Lecz był to człek od młodu do wszystkich niewygód i niewczasów nawykły, a gdy potem przyszło szczęście nie zmienił obyczajów, nie polubił wygod, siadał na twardej ławie, spał na sianie skórą zaslanem. Na łowach często głodu zażywał, a jadło proste czeladzi było mu najmiłsze. Gości przyjmował winem, drogiemi korzeniami zaprawnym i innymi napojami i jadłem wytwornem a obfitem. Sam najczęściej pił kwas lub wodę i jadł z solą chleb czarny.

Nieraz śmiała się z niego, ramionami ruszając, żona, dziwili mu się ludzie; nie rozprawiał o tém z nimi, lecz obyczajów starego nie zmieniał.

Na dobre mu to wyszło teraz, gdy stróż dzban z wodą i chleb tylko zaschły przed nim stawił. Nie poskarżył się, nie jęknął — modlił się.

Śmierć tylekroć miał przed oczyma, że się jej teraz wcale nie lękał. — Spodziewał się że mu w ostatniej godzinie księdza nie odmówią, tego jedynie pragnął, o tém myślał.

Czasem, wspomniawszy syna ukochanego, córkę piesszotkę, żonę co się nieszczęścia znosić nie uczyła, zaciskał usta, gryzł wargi i było mu na sercu, jakby je kto nożem krajał. Modlił się naówczas, przypominał jak Chrystus Bóg cierpiał w pochodzie krzyżowym, jako bolał na krzyżu, jak znosił urągowiska, plwanie, biczowanie i ostatnie męczarnie, wyrachowane z barbarzyństwem na to, aby jak najdłużej trwały — i myślał: Czémże boleść ludzka przy boleściach tego co cierpiał za nas dobrowolnie? I lżej mu się stawało jakby kto z ramion jego ujął brzemienia. Leżał tak całe dni, noce, mało wiedząc kiedy noc była a kiedy dzień.

W więzieniu tém nic słyhać nie było, ani gwaru dnia, ani nocnej ciszy, przebiegła mysz czasem, zaszeleściało stworzenie jakieś, które dziurą z pod ziemi się dobyło i gdzieś znikło — panowała znów cisza grobowa, ciemności mogilne.

Przez pół okienka nad ziemią, zawiewał wiatr, ciekła woda, wchodziły smrody i stęchlizny, ale światło dnia zaledwie zduszone się wkradało. Drugie takie same okienko, niegdys wychodzące na podwórze, gdy później obok loch przymurowano, pozostało ciemne i patrzyło w jakieś milczące więzienie. Ale nie była to izba podziemna, w której Roger ze Światosławem siedzieli (głosy by ich dosłyszał przynajmniej Petrek) tylko ciemnica jakaś na pół wodą zalana gdzie gnili winowajcy na śmierć już skazani.

Tam też panowało milczenie grobów, ale czasami, rzadko dobywał się z głębin jakby ryk dzikiego zwierzęcia i jakby jęk ludzkiej mowy zdziczałej, gdy człek oszalały sam się z sobą klóci i żre z rozpacz.

Po tym ryku czasem słyhać było jakby drzwi otwieranie i ciężkie razy zadawane kołem, po których krzyk się odzywał wściekły, oddech jakiś konającego i — milczenie.

Petrek głosu nie wydawał z początku, aż trzeciego dnia, gdy wzburzoną duszę ukolysała modlitwa, i stała się spokojną jak morze czasu pogody, począł głośno odmawiać modły swe codzienne i pieśni nucić pobożne.

Umiał psalmów kilka, które często słyszał powtarzane przez Benedyktynów w kościele i kilka hymnów świętych; pociechę mu to sprawiało gdy podnosząc głos, samego siebie słyszał na tym barłogu Joba, wielbiącego Pana, a błogosławiącego Mu w boleściach. —

Śpiewał więc, i nikt słuchać ni słyszeć się go nie zdawał. Ale jednego dnia, coś zaszeleściło, zaskrobało. Drapano mur pod oknem czarném, Petrek domyślił się, poczuł jak tam ktoś pazurami rwał kamienie i zsuwał się nie mogąc ich ująć, jak się czepiał i usiłował wspiąć ku górze. —

Ile razy potem śpiewać począł, tylekroć powtarzało się to drapanie rozpaczliwe. Aż razu jednego usłyszał jęk dziwny i sapanie jakby dzikiego zwierza, a oczy podniosłszy, zobaczył w kratkach okienka, wystającą między dwoma pięściami, które za żelazo trzymały, głowę ogromną, kudłatą, ze ślepiami jak u kota błyszczącymi, z nosem wklęsłym i szerokimi ustami otwartymi, z których jak kły dzika, zęby długie wyglądały.

Głowa ta patrzała nań długo z jakimś wyrazem dziwu i przerażenia, potem mruczenie z niej dobyło się niewyraźne, jakby słowa z gardła, klębiąc się w niém, wydobyć nie mogły, nareszcie stłumiony głos, począł wołać ochrypło.

— Kneź! kneź! Bo tak zwykle Petrka lud nazywał.

Petrek przyglądał się spokojnie. Głowa ta nie była mu obcą i nieznaną, w oprawie tego okna wydawała się inną, ale przypomniał sobie że gdzieś w życiu podobną do niej widywał. I przyszedł mu na myśl miejski stróż, któremu nie jeden raz dawał zboże i szelągi, który się zwał Jarmuchą — przypomniał sobie iż był znikł, a mówiono o nim, jakoby rodzzonego zamordował brata.

Trzymając się na rękach uwieszony u kraty, więzień zdyszany powtarzał głośnieję coraz.

— Kneź! kneź!

— Tyś Jarmucha! he? odparł Petrek wpatrując się w niego. Tyś Jarmucha??

Otworzył się usta szeroko i więzień roześmiał się dziko. —

— Jarmucha! kneź w więzieniu! Jarmucha! kneź? co wy, zabiliście też brata??

— Ja? nikogo! odparł Petrek, a żem tu — Bóg tak chciał!

Jarmucha razem śmiał się i jęczał, patrzył chciwie i napatrzeć się nie mógł. Pojąć nie umiał jak ten co stał tak wysoko niedawno, mógł spaść aż do tego lochu, obok niego i stać mu się niedolą równym.

— Módl się, Jarmucha! odezwał się Petrek. — Jeżeli kiedy Bóg mnie wyzwoli, będę pamiętał o tobie.

Rozśmiał się Jarmucha.

— Mnie powiesz! zawołał z dzikim szalem — powiesz! Z tych lochów nie wyszedł nikt żywym. Kości mi już połamali kołami gdy zakrzyczę, a jak nie krzyczeć, nie ryczeć. — Dzieci moje! dzieci moje!

I ręce wysilone odpadły od kraty a Jarmucha po murze tłukąc się stoczył na ziemię, jęknął i już go ani widział ni słyszał Petrek dnia tego.

Nazajutrz o tej godzinie, gdy modlitwy swe zwykł był odśpiewywać, znowu drapanie się na mur przeszkodziło mu, zasapany Jarmucha dostał się do okna, ale teraz trzymał już lepij, bo kamienie powybił, aby się za nie mógł uchwycić nogami.

Zawołał — kneź! znowu i głową trząść zaczął, jedną ręką trzymając się za kratę, drugą pokazując na gardło.

Petrek tym razem nie przerywał sobie modlitwy, aż póki ję nie dokończył. Jarmucha słuchał ję, czekał, ciekawemi oczyma śledząc każdy ruch Palatyna. Twarz jego zmieniona przyoblekała się jakby litości jakiéjs wyrazem.

Zaczęła się potem rozmowa z tym dzikim człekiem, który prawie mówić nie umiał.

Zapytał go Petrek za co zabił brata, lecz gdy to rzekł i spojrział nań, zobaczył go tak strasznie przeobrażonym, iż w sercu swém pożałował że mu zbrodnię jego przypomniał.

Jarmucha zbladł, zaczął się trząść oczy mu zagorzały, usta się okryły pianą. Nie powiedział nic więcej prócz. —

— Brat! Jam go chował, karmił, odziewał — zdradził, splugawił dom! Krwią zmyć, zmyć krwią trzeba było...

I oczy sobie zakrył ręką, jęcząc.

— Brat — brat!

— Żałujże za grzech twój, aby ci go Bóg łaskaw przebaczył — rzekł Petrek.

Tęgo niezrozumiał Jarmucha, sapnął z gniewu jak zwierz i wnet, puściwszy kratę na dół się zsunął. Wieczorem powrócił znowu trzymając w ręku kawałek chleba. Zdawało mu się może iż Petrkwowi go brakło i że głodnym być musi. Pokazał mu kromkę i cisnął nią do więzienia.

— Jedz, kneź! rzekł — jedz — ja nawykły do głodu — ja nim mar! Ty nie tak! Jedz! Ty mnie karmił. — I prędko spuścił się znowu. —

Podjął z poszanowaniem Petrek ten dar Boży i schował go jako najdroższą ofiarę; lzy mu się w oczach kręciły.

Z duszą męzką znosił swój los Palatyn, a z każdym dniem, zamiast opadać na siłach, zyskiwał nowe, krzepił się na śmierć gotując.

Tęgo dnia gdy ks. Agnieszka dała znak Dobkowi aby wyrok spełnił, jakimś przecuciem pędzony Jaksa, niezważając na niebezpieczeństwo, przybył do Wrocławia, na dwór ks. Janika.

A że wytrwać nie mógł w miejscu, niepokojąc się wielce, poszedł błądzić około grodu, ażali mu się nie da ludzi przekupić i znaleźć środek jaki uwolnienia więźnia.

Wprzód już przyjaciele Petrka i Ojcowie Benedyktyni posyłali na zwiady do grodu. Wiedzieli oni że okno jedno ciemnicy, w której Petrek był zamknięty, wychodziło w podwórze na którym straży nie było. Zamierzano nocą okno to wyłamać, mur wybić i sznur spuściwszy, dobyć z głębi uwięzionego.

Na Opactwie dowiedział się też Jaksa że panią Petrkową z córką wyprawiono na miejsce bezpieczne, ale, mało go tam znając, i młodym widząc, niepowiedziano dokąd niewiasty posłane zostały, aby się to niewydało.

Gdy Jaksa, okrywszy się lada jaką opończą, aby poznanym nie był łatwo, wszedł z innemi ludźmi na zamek, Dobek właśnie rozogniony, nieprzytomny, rad że dopiął swego, bo się spuściłszy po Palatynie spodziewał, leciał z kilku siepaczami do więzienia.

Drzwi jego wychodziły na podwórce. Od tych sam Dobek klucze przy sobie chował, raz na dzień tylko je dając, gdy chleb i wodę dla więźniów noszono.

Otwarto wrota, Jaksa, wcisnąwszy się z innemi, u muru zdala przystanął, przewidując z trwogą po liczbie oprawców, których ściągał Dobek, że się tu coś straszego gotować musiało.

Sam, Niemiec zajadły jak oprawca wyglądał, biegł, spieszył się, chwytął, krzyczał, lajał, lękając się, aby książe danego nieodwołał rozkazu. Chciał go spełnić co najprędzej.

Pachołkowie, których tu Dobek znalazł pod ręką, nimby się swoich, rozproszonych na podzamczu doczekał, byli wszyscy Szlązacy, na służbie przy zamku zostający, których Marszałek nie znał, a oni tyle tylko o nim wiedzieli, że rozkazywać im miał prawo. Słuchali strwożeni, z niewielką do posłuszeństwa ochotą. Domyślali się może iż szło o los Palatyna Petrka, który tu niedawno władał i rozkazywał, a miłowany był powszechnie, bo szczodrotą sobie serca kupował...

Gdy drzwi otwarto, Dobek począł krzyzczeć aby mu wnet wiadziono Petrka i syna jego pod strażą, zostawując w kaźni Rogera.

A że ludzie nie szli tak spieszenie jak chciał, sam ich bijąc do ciemnicy spychał.

Pachołkowie zstąpili natychmiast, Dobek u wyjścia stał niecierpliwie czekając.

Gdy gromada ta oprawców wtargnęła nagle do więzienia, a Petrek ujrzał ich, cisnących się ku sobie, sądził że go już na stracenie prowadzić mają, obejrzał się, ażali księdza nie było.

I pokląkwszy na barłogu, modlitwę począł.

— Chwali dusza moja Pana — —

Lecz długo mu tak na klęczkach nie dali pozostać siepacze, bo z góry wołając, naglił Dobek, aby go natychmiast prowadzili. Jedni więc zeszli po Światosława, drudzy pod ręce wlec zaczęli Petrka, który modlitwę swą pobożnie kończył.

Dopiero gdy w szyi ciemnicy zobaczył syna, wyrwawszy się siłą wielką tym co go trzymali, przypadł doń ściskając dziecię swe. Ale wnet pachółkowie ich, rękami związanych, rozerwali. —

Stary Petrek, choć i na nim widne były ślady więziennych dni i nocy w trwodze ducha spędzonych, nie tyle się odmienił co młode, pieszczone dziecię, wątlesza istota z której

zaledwie cień pozostał. — Światosław szedł ślaniając się, wycieńczony głodem i zaduchą, pół żywy, jak trup wybladły.

Gdy na światło dnia wywleczono Petrka, oczy rażone blaskiem zamknąć zrazu musiał, bo odwykły od niego, znieść nie mógł, po ciemnościach.

Dobek zobaczywszy go z powiekami zmrużonemi, śmiać się począł okrutnie.

— Nie zamykaj oczów! zawołał; napatrz się na światłość dzienną, rychło nie ujrzysz już jój, bo ci twe ślepie z rozkazu pana wyrwać każę. —

Jęknął Petrek i rękę mimowolnie przyłożył do czoła, a syn posłyszawszy urąganie to, zaryczawszy z żalości, chciał biedz do ojca — pochwycono go i strzymano.

Dobek niecierpliwie się miotał i wrzeszczyć począł.

— Sam tu, oprawca jaki! Jest który coby mu ślepie wydarł!

Pachołkowie wszyscy stali niemi. Do starszego z nich przypadł Marszałek bijąc go w plecy.

— Zaraz mi spełnić rozkaz pański! Słyszycie —

Oprawca zżymnął ramionami, bo choć nieraz spełniał podobne rozkazy, Petrka się dotknąć nie śmiał. Szanował go. — Mruknął ponuro.

— Nieumiem.

— Który z was? wołał Dobek.

Nie wystąpił żaden. Dobek z gniewu jak wściekły się rzucił tłukąc tych co poblizu stali. —

— A nuże, psy paskudne!

Jak sobaki was powywieszać każę. — Do czegożście się zdali, nicponie!

Wtém ponad ziemią, w wązkiem okienku, ukazała się z za kraty głowa kudłata.

Był to bratobójca Jarmucha.

Z gardła dobył mu się głos chrypliwy, niezrozumiały. — Wszyscy spojrzeli na tę poczwarę dobywającą się jak z pod ziemi.

Jarmucha mrugał oczyma i trząsał się. — Głosu z piersi zmęczonych dobyć nie mógł. Po chwili dopiero zaczął wołać krzykliwie.

— Ja! ja!!

Dobek wpatrywał się w niego, oprawcy mierzyli pogardliwym wzrokiem — Jarmucha nalegał coraz głośniej.

— Ja! ja! panku! ja!

Niemiec zakrzyczał.

— Co za lichy? kto on?

— Bratobójca Jarmucha, na stryczek osądzony — odezwał się oprawca spluwając z obrzydzenia. —

— Oślepisz go? wyrwiesz mu oczy! Zapytał podchodząc Dobek. —

— A, ja! ja! tak! powtórzył bełkocząc Jarmucha, który się rwał, cisnął i przylegał do kraty całą twarzą. — Życie mi daj! Oślepię ja!

Dobek w tój chwili dałby mu był więcej niż to liche życie, które nic już nie było warte.

— Dawaj go tu! Dawaj! zawołał nagłąc. —

Światosław zakrywając oczy upadł na ziemię, zbliżała się męczeństwa chwila. Petrek stał nieporuszony, spokojny.

Natychmiast dwu pachołków zbiegło do lochu i wywlekło z niego coś zaledwie do człowieka podobnego.

Jarmucha łachmany miał tylko na sobie, gdy go pochwycono obluzganego krwią i wrzucono do ciemnicy. Pół roku już w niej gnił, odzież się popadała, ciało potłuczone ślizło od ran, kij oprawcy zostawił ślady straszne na tym pokurczonym nieforemnym szczątku człowieka, który z chciwością i pośpiechem biegł szukając już żelaza.

Jeden z oprawców miał nóż ostry u pasa, oderwał mu go Jarmucha, rzemień szarpnąwszy i przykląkszy toczyć zaczął na kamieniu z szalonym jakimś pośpiechem.

Kazano przynieść ławę i w tył ręce skrzepować Petrкови, który spokojnie poddał się rozkazom, niekiedy tylko do szlochającego obracając się syna.

Oprawcy nawet podrętwieli litością zdjęci, Dobek cofnął się o kilka kroków, bał się znać aby krew nań nie trysnęła, suknię miał jasną i nową.

— Czego odchodzisz? odezwał się milczący dotąd Petrek. — Przypatrz się dziełu twojemu, niech na ciebie tryśnie krew moja, ażebyś ją poniósł z sobą na sąd Boży.

Marszałek rzucił się w tył gniewny.

— Oczy mu wydrżać — zagrzmiał — i język ten podły uciąć precz, aby nie bluzgał a milczał, psi syn! Oczy i ozór! powtórzył. —

Straszny Jarmucha, odwrócił się jakby poświadczając że rozkaz zrozumiał, szczękał białemi zębami i głową potrzasał. Petrek u którego nóg klęczał, jeszcze nóż tocząc na kamieniu, popatrzał nań z politowaniem.

Stało się milczenie straszne, które lada chwila, jęk straszniejszy nad nie miał przerwać. Jarmucha podniósł się, spojrzął na oprawców i przybliżył do skazanego.

— Kneź — kneź! — szeptał półgłosem — nie bójta się. — Ja umyślnie, ja się wziął aby inny nie zrobił. — Oczy zakrwawię tylko, nie wyjmę, język skaleczę — kneź — siedź, jęcz, krzycz — niech myślą żem oślepił — krzycz!

W czasie tych przyborów, gdy brudnymi rękami, Jarmucha dotykał już skroni Petrka, Dobek się tyłem odwrócił. — Patrzeć nie chciał. Oprawcy, choć widzieli co się działo, wnet zrozumieli litość kata i przez miłość dla Palatyna — milczeli. Oczyma porozumieli się wszyscy, nikt nie chciał się krwawemu widowisku przyglądać. Jarmucha obejrzawszy się bojaźliwie, ciął nożem w powieki, raz i drugi, zakrwawił skroń jedną i drugą, szybko, z gorączkowym pośpiechem oczy pomazał krwią. — Nogami niby dusił na ziemi wyrzucone żrenice. Potem usta otworzył Petrkowi i w język ciął tak że krew oblała wargi.

Za każdym cięciem nogami tarł po kamieniach i piasku, i śmiał się z radością dziką. — He! he! —

Petrek nie jęknął nawet.

Gdy Dobek, wyczekawszy dobrą chwilę, odwrócił się. Zdało mu się że wszystko zostało spełnione.

— Puścić ich — niech idą — o zebranych chlebie. — Niemasz tu już ani piędzi ziemi, Palatynie! Sakwy mu dajcie, kij, wyszczuć go za wrota! Syn ślepemu potrzebny, niech prowadzi!

Won ich za wrota! Won!

Ledwie z pośpiechem gorączkowym słów tych domówiwszy, Dobek zawrócił się biegnąc do ks. Agnieszki, aby jęj doniósł że wyrok spełniono.

Księżna w sieniach stała niecierpliwie czekając nań.

— Dokonano! oślepiiony! zawołał Dobek rzucając się na ławę bo nogi pod nim drżały. — Język mu ucięto!

Agnieszka uderzyła w dłonie, ale pobladła trupio, chciała biedz, w głowie jęj się zawróciło i musiała oprzeć o ścianę.

Oslabłą ze wzruszenia, Dobek, który sam niespokojny był i przejęty, musiał wprowadzić do komnat.

Niepomyślano już na razie o tém co się z okaleczonym Petrkiem stać miało. Tymczasem u drzwi więziennych, jakby wszyscy byli w zмовie, chwycili bliżej stojący Petrka, który krwią mając zalane oczy, słał się na nogach nie mogąc utrzymać. Światosław objął go rękami, a Jaksa z pod muru przybiegł krzycząc i nalegając.

— Uchodźmy, uchodźmy... na biskupi dwór coprędźj!!

Nikt im nietamował drogi, owszem miejscowi oprawcy, litościwi i usłuźni wskazali im i otworzyli furtę boczną do dróżyny za wałami. Jarmucha rzucił się téż za uchodzącemi aby się wydobyć z niewoli.

Z pośpiechem gorączkowym, prawie niosąc go na rękę, Jaksa popychał Petrka, szepcząc mu do ucha imię swoje. Światosław, choć sam ledwie się mógł na nogach wątłych utrzymać, podążał za ojcem. Uchodźć potrzeba było rączo, aby nowy jaki wybuch zemsty, jeszcze nienasyconej, nie dogonił ze śmierci wyrokiem.

Nie mówili prawie do siebie, na słowa zebrać się było trudno. Petrek polykając płynącą mu z ran krew własną, modlił się Bogu dziękując. Jarmucha dłuższém więzieniem okaleczały podążycie nie mógł za uciekającemi, padł zaraz u wałów, i musiał w rowie, do którego się stoczył, pozostać.

Szli. Żaden z nich nie wiedział, nie czuł jak długo trwał ten pochód na dwór biskupi, ani dobrze rozumiał instynktem wybranej drogi. Chwila ta zdała się im wiekiem. Jak-

sa naglił, tak pilno mu było widzieć co rychlój starego Palatyna bezpiecznym. Raz się dostawszy pod opiekę ks. Janika, był już, choć na czas jakiś pewnym że ztamtąd go nie porwą. Nie powątpiewał że Biskup przyjmie nieszczęśliwego, lub że w Opactwie znajdzie przytulek.

Ani Światosław ani Jaksa nie wiedzieli o tém co między katem Jarmuchą a Palatynem zaszło, nie domyślali się że kat ów, co się napraszał tak chciwie do spełnienia wyroku, wzrok mu ocalił i język całym pozostawił. W drodze okrwawiony Petrek ani się odezwał ani dał poznać po sobie co się z nim stało.

Gdy do wrót dworu biskupiego doszli nareście, do których Jaksa natychmiast gwałtownie szturmować począł, powybiegali ludzie biskupi i cofnęli się strwożeni widokiem okrwawionej ofiary. — Wrzawa powstała w dworcu, sam Biskup, mąż pełen życia i energii usłyszawszy o Petrku, wybiegł jak stał na przedsienie, a ujrawszy Palatyna, którego ku niemu wiedziono, podniósł ręce do góry, zemsty Bożej wzywając.

Wprowadzono tak milczącego jeszcze Petrka do izby i złożono go na łożu; bo siły jego wyczerpały się. — Po małej chwili jednak dźwignął się i milcząc ciągle ukląkł, złożył ręce, modlić się począł.

Do koła stali wszyscy niemi i politowaniem przejęci. Biskup Janik pobożnie złożył ręce i męzkim głosem począł modlitwę dziękczynną za ocalenie życia.

Nie było naówczas innych lekarzy nad mnichów Benedyktynów, uczniów szkoły salernitańskiej i żydów, którzy z arabskich ksiąg, niejaki wiadomości medyczne czerpali. Jaksa pobiegł natychmiast na Opactwo Św. Wincentego z wiadomością o ocalonym, ale tam wyprzedził go już braciszek, który przebrany stał na grodzie i miał zlecenie donosić co się z Petrkiem działo.

OO. Benedyktyni na najgorsze będąc przygotowani, ciało tylko umarłego wyprosić chcieli, aby dobroczyńcę swego uczcić chrześcijańskim pogrzebem. Wiedziano już na Opactwie o wylupieniu oczu i wyrwaniu języka, ale nikt nie mógł odgadnąć gdzie się podział Palatyn. — Wtém Jaksa nadbiegł oznajmując że leży na biskupim dworze. Opat i braciszek Cencio lekarz natychmiast w gotowości byli spieszyć z pomocą religijną i balsamy. Brat Cencio zabierał z sobą bieliznę do okładów, leki do gojenia ran używane i cokolwiek w takich razach potrzebnym być mogło. — Wszyscy razem biegli spiesząc na dwór biskupi.

W izbie przyćmionej znaleźli Petrka już leżącego na łożu, z twarzą chustą przysłoniętą, a Światosława przy nim na ziemi, na pół ze znużenia uspięnego; Biskup siedział zdala na straży przy nich i modlił się po cichu.

Surowo zakazanem było ażeby biskupich wrót nikomu nie otwierano, chociażby nawet z rozkazem książeńym przybywał. Ludziom kazano wziąć oszczepy i kusze a gotować się choćby do odpiernania siłą napaści. O tój jednak dotąd nikt nie myślał.

Cudownie ocalony i pokaleczony tylko Petrek, nie wydawał się z tém jeszcze że oprócz krwi nie postradał nic, obawiał się bowiem aby wieść o tém do nowego gwałtu nie stała się powodem. — Milczał.

Dopiero gdy Opat wszedł prowadząc z sobą braciszka Cencio, gdy Biskup się oddalił, a Światosław pozostał tylko, Petrek zbliżającemu się Mnichowi, do ucha go przyciągnawszy, szepnął.

— Cudem niewymownym łaski Bożej, ocalony jestem — kat litościwszym był od księcia, skaleczył mnie, ale oślepić nie chciał, a języka ranił mi i przyciął nie wiele.

Brat Cencio przyklękawszy opatrywać go począł.

Niestety! drżąca i niewprawna ręka Jarmuchy, jedno oko, nie chcąc zraniła srodze, tak że wypłynięciem groziło. Drugie ranione przez powiekę zaledwie się uratować mogło. Język pozostał całym ale przecięty był głęboko i posieczony. Jednak i za to trzeba było Bogu dziękować. — Petrek, choć z bolem i trudnością mógł widzieć światłoienne — mógł kilka słów wymówić; podnieść powieki, wyjęknąć modlitwę. —

— Bogu wszechmogącemu niech za to będzie chwała — odezwał się Opat — cud spełnił nad sługą swoim. — Ale dopóki wy tu będziecie, nie jesteście bezpieczni. — Uchodźcie ztąd musicie, uchodźcie co rychlój, nieczekając uzdrowienia. — Brat Cencio, syn wasz i Jaksa, który o mało życia za was nie postradał, pojedą z wami. — Musicie się dostać tam gdzie są księżęta młodzi i do nich schronić. Ziemię te już całe niemal zajmu-

ją wojska pana Władysława i pogaństwo okrutne. Uchodźcie lasami, manowcami, Bóg, który was od śmierci ratował, doprowadzi do celu. — Cud stanie się bo jest potrzebny, na upokorzenie zuchwałych. —

Szeptali tak długo, aż brat Cencio nakazał spoczynek choremu. — Jaksa, któremu to zlecono, biegł zaraz konie i ludzi zbierać i sposobić do drogi, bo bez poczty silnego w te czasy niespokojne uchodźcie nie było można. Orszak musiał być i dobrze zbrojny i z żołnierza najlepszego a doświadczonego złożony, jawnie zaś go ściągać, ani ukazywać nie godziło się, aby Władysławowi nie ścigali, domyślając się kogo prowadzono.

Na zamku spełniona zemsta, której pragnęła Agnieszka i Dobek, nie sprawiła radości nikomu. —

Księżna oprzytomniawszy z pierwszego wrażenia, znowu się domagała aby Petrkwowi życie odjęto.

Dobek dopiero po godzinie może przypomniał sobie iż nieopatrznie wymówiwszy się, oślepiętego puścić rozkazał wraz z synem.

Sam Władysław gdy się o oswobodzeniu Petrka dowiedział, stał się niespokojnym. Obawiał się zemsty, wyrzucał Dobkowi i żonie, iż głowy potracili.

Natychmiast wyzwolonych gonić kazano, ale nim rozkazy wydane zostały, do których spełnienia użyć musiano ludzi zamkowych, późno już było do pogoni, a nikt do niej szczerzej ochoty nie miał.

Cała ludność wiejska za Petrkiem była, pomódz mu każdy był gotowym, chwytać go wszyscy się wzdragali. Wybiegli wysłani wrzekomo w pogoń, w istocie z pragnieniem wielkim, aby na Petrka natrafić mogli i do ucieczki mu dopomódz.

Bystre oko Dobka teraz już dostrzedz mogło na jak słabych podstawach spoczywała tu władza księżęcia, księżnej i jego. Ziemianie ukrywali się po kątach, gwałtem powołani przychodzili zimni i niechętni, wymawiając się i zwłócząc gdy ich do czego użyć przychodziło. Mieszczanie rozbiegali się i ukrywali, posłuszeństwa nie było i mały orszak księżęcy sam musiał starczyć na wszystko, ciągle się rozbijając o ludzi milczących i opornych. —

Przez cały ten dzień słała co chwila księżna Agnieszka po wieści, czy gdzie wypuszczonego nieopatrznie Petrka nie pochwyciono. —

Nakoniec gniewać się srodze zaczęła i wyrzuty czynić Dobkowi, a ten też rozjątrzony wymawiał księżnie że ona wyroku na gardło wyrobić nie umiała. Zamek rozlegał się hałasami i wrzawą, ludzie biegali jak pomięszani.

Domyślano się wprawdzie że Petrek na dwór Biskupi lub do Opactwa swojego mógł się schronić, ale na jedno i drugie, w niepewności czy się tam znajdzie, porywać się nie śmiano. Prawo schronienia winowajcom nawet jawnym, dawał ołtarz i miejsca poświęcone, targnąć się na nie nikt nie śmiał.

Dobek więc, po namyśle, na Opactwo posłał od księżnej, aby sam Opat stawił się do niej. Niespodziane to wezwanie Ojca Anzelma wcale nie ustraszyło. — Dwu towarzyszków dobrawszy sobie, suknie odświętne, urzędowe wdziawszy, krzyż na szyi zawiesiwszy, poważny mąż pojechał na zamek. Lud, który go zobaczył jadącego, tłumnie się za nim potoczył. Od bram zamku wprawdzie straż go odegnała, ale tuż pod wrotami zaległ jakby na czatach, bo miejska ludność zakonników kochała i gotową była nawet stawać w ich obronie.

Dobek widział zdala to poruszenie tłumu i łatwo mógł się domyśleć co ono znaczyło, gdy gromady te, jak zburzone fale, o wały i bramy się oparły.

W izbie oczekiwała księżna Agnieszka na Opata, po księżęcemu ubrana z przepychem, dwór swój ustawiwszy do koła, bo bez okazałości tej nigdy obcych nie przyjmowała. Księżca w komnacie nie było.

Chociaż czuła w Opacie nieprzyjaciela księżna Agnieszka przyjęła go uprzejmie, posadziła przy sobie, z razu o pobożnych rzeczach rozpoczynając rozmowę, któremi się nie wiele zwykła była zajmować. Opat Anzelm spokojnego udawać musiał, choć nim nie był.

— Wasza Przewielebność, odezwała się w końcu Agnieszka, musieliście słyszeć o losie tego nikczemnego zdrajcy, nad którym małżonek mój miał litość zbyteczną — bo na gorsze męczarnie i na śmierć stokroć zasłużył. Wiadomo że on wasz klasztor wzniośł i uposażył — wyście pewnie zbiegłemu dali przytułek.

— Nie zgłaszał się o to do nas nieszczęśliwy Palatyn — rzekł spokojnie Mnich. — Nierozumem też byłoby dlań, tam się chceć ukrywać, gdzie go pewnie naprzód szukać mogli, ci co zguby jego pragną.

— Więc go u was niema? spytała księżna.

Opat rękę położył na krzyżu. —

— Kłamstwa usta moje nie wyrzekną — odezwał się — na ten krzyż święty rękę, Miłości Waszój, u nas go niema.

— Ale wiecie gdzie jest pewnie — mówiła księżna z udaną łagodnością, ja mu już zguby nie życzę, nie jest dla nas niebezpiecznym. Chciałam tylko przez miłosierdzie radzić mu aby się ztąd oddalił. Sam książę teraz imać go każe. —

— Któż wie co Palatyn uczynił z sobą? — odparł Opat, ja nie wiem co zamierza. Zapewne sam on czuje, iż uchodzić powinien.

I zamilkł...

Po chwili księżna dodała. —

— Opactwu Waszemu, które książę małżonek mój weźmie w opiekę swoją, jeśli mu sprzyjać i modlić się zań będziecie — nada większe ziemie i dochody niż te któreście od Petrka dostali.

— Modlemy się za wszystkich — odparł Opat schylając głowę, a o łaskę Miłości Waszój starać się pragniemy. Do spraw ziemskich mięsząc się nam nie wolno, jesteście biedni i słabi zakonnicy. —

Na tę rozmowę nadszedł książę, który się dosyć chłodno z Opatem przywitał. Widać było że troskę niósł na sobie wielką.

Małżonka wciągnęła go w walkę tę, której czuł że nie podola — na sercu mu ciężyła, chmurą stała na czole. Nie mógł już o niczym mówić, tylko o tém. Jak wszyscy słabi ludzie, Władysław gdy mu na piersi spadło brzemie, dręczył się nieustannie myślą jedną, o niej tylko prawiać ciągle, nawet tym co go zrozumieć nie mogli i wiedzieć o sprawie nie byli powinni.

Zaledwie stanąwszy przed Opatem, rozpoczął natychmiast, jakby opanowany troską.

— Książę Opacie — ja tu sam panem być muszę, tak — opór próżny, com rzekł raz, to uczynię.

Opat zdumiony, jeszcze się nie zebrał na odpowiedź, gdy książę pod ciężarem myśli swój, dalej ciągnął.

— Nie cofnę się, nie odmienię postanowienia, albo się poddadzą lub z kraju muszą iść precz. — Tak — tak!

Mnich patrzył nań milczący — Władysław dodał jeszcze. —

— Ja wiem! wy wszyscy przeciwko mnie jesteście, jawnie lub potajemnie. — Wiem o tém dobrze. Biskupi wszyscy, Pasterz nasz Gnieźnieński, duchowni i wy — mnisi — zbieracie się, naradzacie, knujecie, to nic nie pomoże. Ziemię zwojuję, splądruję, zniszczę i poddać się muszą wszyscy — wszyscy!

Tak, zniszczę — spale! powtórzył groźnie.

— A nad czemże panować będziecie! miłościwy książę? zapytał Opat spokojnie.

— Ludzie się zawsze znajdą — odrzekł książę. — Chcecieli trzymać się tu i mieć dobrze, ze mną iść i przy mnie stać musicie.

— My, miłościwy panie — odezwał się Opat tymże głosem chłodnym — my, przy Bogu i oltarzu stojemy. — To sprawa nasza. Panu, jakiego Bóg nam da, wierni jesteśmy, ktoby on kolwiek był. Modlemy się nawet za nieprzyjacioły kościoła i nasze.

— O! ja wiem, wy, wy chytrzy bardzo jesteście — odparł książę groźnie, chytrzy jesteście i przewrotni, wy i biskupi wasi, jako baranki się odziewacie, a wilcze kły macie w paszczekach. —

Księżna zdumiona tą mową nazbyt otwartą popatrzała na księcia, który się przeszedł kilka krok po izbie zadumany.

Wstrzymać jego wynurzenie się nie można było, mówił jakby z samym sobą.

— Za młodszymi braćmi wszyscy ciągną, nie chcąc znać głowy, a ja tu głową jestem. Poślę o to do Papieża aby duchowieństwu posłuszeństwo nakazał dla mnie. Słuszna rzecz aby jak jeden Papież jest nad całym chrześcijaństwem, jeden Cesarz nad państwem swém, tak i nad temi ziemiami naszymi, jeden król panował.

Opat słuchał milczący ani przecząc ni potwierdzając.

Wtém książę przybliżył się do niego natarczywie.  
— A coście zrobili z Petrkiem? odezwał się.  
— My, nic, bośmy go od nieszczęsnej godziny gdy pochwycony został, aż dotąd nie widzieli — rzekł Opat.  
— Dlaczegoż godzinę sprawiedliwości nazywacie nieszczęsną? pytał książę.  
— Bo to była godzina zemsty, a nie sądu — miłośniwy panie — odpowiedział Opat śmiało.  
— Daliście mu przytułek? zagadnął książę.  
— Gdyby go był od nas żądał, dalibyśmy pewnie — rzekł O. Anzelm, ale się o to do nas nie zgłosił. —  
Księżna stojąca przy mężu wtrąciła. —  
— Już się go nie boimy wcale. — Oczy mu wylupiono i paskudny język urznięto — niech się wlecze żebrac i pokutuje za grzechy! Niech ludzie patrzą na sprawiedliwość naszą, i widzą że nie przebaczymy zdrady.  
Toż samo i drugich spotka!  
Opat, odpowiadał tak skąpo i niechętnie iż się w nim łatwo było domyślać nie bardzo życzliwego słuchacza. Podniósł się wkrótce, obracając do księżnej Agnieszki, z pytaniem — czyby mu co do rozkazania nie miała, i po co był wzywany?  
Agnieszka zmieszana milczała trochę i rzekła dumnie.  
— Chciałam wam kilka grzywnien kazać dać na ofiarę do ołtarza i relikwii świętych, abyście się za powodzenie oręża pana małżonka mojego modlili.  
Skłonił się Opat.  
— Modlić się będziemy — odparł krótko. — Pożegnał się już i odchodził gdy Władysław, przeprowadzający go do progu, mrucał ciągle.  
— Nie chcę niczyjéj zguby, ale wymagam posłuszeństwa. Nie ulegnę, na swém postawię, a duchownych do Rzymu skarżyć będę — do Rzymu!  
Po wyjściu Opat, obrócił się do żony, i na drzwi wskazując rzekł.  
— Chytrzy są! Opat się łasi! Znam go! Petrkowa żona miłsza mu pewnie od samego Petrka!! Będzie ją teraz miał! Ho! ho! Chytrzy są bardzo — ale mnie nie oszukają. — Ja wszystko wiem!

## V

Stare to, ale święte prawdy słowo, że ludzie się nieszczęściami probują, jako kruszce ogniem. Co próchnem jest błyszczącym to spłonie i w popiół się nikczemny obróci, co złotem było, wypłynie strumieniem złocistym.

Niedarmo Dobek, gdy się na zgubę Petrka zasadzał i pochwyć go zamierzał, wprzódy Starostę Rogiera chciał ująć, wiedząc iż mężem był umysłu nieustraszonego, woli żelaznej, której nic złamać nie zdoła. Niedarmo, gdy oślepionego Petrka puszczono z więzienia, dając mu syna za przewodnika i towarzysza, Rogera Starostę nie uwolniono i trzymano pod kluczem.

W ciemnicy w której siedział z synem Petrkowym, Roger cieszył młodzieńca osłabłego i męztwo mu swe wlewał. Od pierwszej chwili kiedy mu usta zakneblowano, aż do téj ostatniej, gdy sam jeden pozostał między czterma murami, odwaga w nim rosła i potężniała. Otuchę miał jakąś, której źródła sam nie znał, płynęła ona z tajemniczych głębin duszy, a każdy dzień mnożył ją, nie ujmował.

Starostą będąc i Sędzią, Roger znał tu wszystkich i wszyscy go znali do najmniejszego pacholika na grodzie. Nie miłowano go tak jak Petrka, który hojną dłonią jednal sobie ludzi, ale pan był sprawiedliwy, nie okrutny, woli nieugiętej gdy domierzał zakon, nie dając się kupić ani płaczem, ani groźbą. Szanowano go więc, i litowali mu się ludzie, nawet gdy się do więzienia dostał, i popadł w niełaskę u pana.

Stróż sam nosił mu po cichu wieści o tém co się działo. Wiedział starosta że oślepieno i okaleczono Petrka, rwał włosy z żalu płacząc, ale coś mu mówiło iż straszna pomsta spotka prześladowców.

Siedział tak w ciemnicy, nie wiele dbając o siebie. Winy mu żadnej nie mogli zadać, krom że był Petrka znieprawionego przyjaciele.

Drugiego dnia otworzyły się drzwi. — Dobek z dwoma przybocznymi sługami, sam się obawiając do więzienia iść — wszedł powoli i ostrożnie się rozglądając.

Na widok jego Roger, na łożu swém spoczywający, ani się podniósł, ni poruszył.

— No — starosto Rogerze — odezwał się wchodzący — jam tu do was posłany przez Pana — słuchajcie mnie pilno i uważnie. O waszą idzie skórę. Ja tam złego wam nie życzę. — Ocalcie się gdy możecie. Z waszym Petrkiem rzecz na wieki skończona. Wszystko mu zabrano co miał ale niezaleziono wszystkiego. Skarby przecie miał wielkie, to wiedzą wszyscy. W domu była ich część tylko, reszta zakopana albo skryta. Nikt o tém lepiej nie może wiedzieć nad was. —

— A wy myślicie, że gdybym wiedział to bym wam wydał? Zapytał Roger.

— Musielibyście to uczynić. —

— Ani pod gardłem! zawołał Starosta. —

— Ja to nie z siebie mówię! rzekł Dobek.

— A choćby mi to i sam książę powiadał, inaczej mu nie odrzeknę! odezwał się więzień.

— Książę nietylko to rzekł — ciągnął dalej łagodnie Dobek, ale, gdy mnie tu posyłał, mówił mi. Znam Rogera, mąż jest szlachetny i rozumu wielkiego. Powiedźcie mu ode mnie, niech już o Petrku myśleć zaprzestanie, bo ten na wieki przepadł, niech mi służy wiernie. — Wyniosę go wysoko i nadam mu ziemie wielkie.

— Tak pan rzekł? odezwał się Roger chłodno, łaskawszy więc jest na mnie niż zasługuję, bo ja komu raz druhem a sługą był temu do zgonu druhem a sługą być nie przestanę. Co jego spotka mnie też. Szczęścia bez niego nie chcę. Wolę pójść żebrać z Petrkiem niż od księcia wziąć najwyższe dostojęstwa.

Służby żadnej nie chcę, winy do siebie nie czuję. — Puście mnie, nie żądam więcej nic. —

Dobek się śmiać począł.

— A któż to tak głupi aby molossy na siebie puszczał z łańcucha?

Roger się odwrócił ku ścianie jakby już dłużej mówić nie chciał. —

— Starosto — dodał posłany — dobrze ci życzę a źle będę zmuszony uczynić. —

— Czyń co chcesz! rzekł krótko Roger. Dobek powstał chwilę, zawrócił się i odszedł precz. —

Na zamku czekała nań księżna, a gdy powróciwszy o swęj rozmowie z Rogerem powiadać zaczęła, łajła go.

— Niezdarne chłopisko, do niczego! wołała. — Idź mu powiedz że na gardle karany będzie. — Co za człek jest aby się śmiał nam opierać?

Dobek poszedł raz drugi. Władysław który przy tém stał milczący, oburzył się na żonę.

— Dosyć już tych krwawych spraw, rzekł — niemi sobie nieprzyjacioły czyniemy. Roger nie winien nic. — Strzymam go tylko. —

— A skarby Petrkowe? wtrąciła Agnieszka. Mało ci to ich potrzeba na wojnę? Zkądże weźmiesz?

Wszczywał się spór między księżną a mężem, gdy Dobek wrócił, ale z głową opuszczoną, zniechęcony. —

— Cóż ten człek? spytała Agnieszka.

— Co? Mówi aby go wiedziono na stracenie — rzekł Dobek.

— A ja go tracić nie dam! zawołał książę.

— Cóż mówi o skarbach Petrkowych? odezwała się pani.

— Powiada iż o nich nie wie, i dodaje. — Chcecie abym się o nich dowiedział, puście mnie, pójdę szukać. —

— Puścić! nie! wtrącił sam książę — przepadnie i nie wróci. — Życia mu nie wezmę, ale nie puszcze. —

— Niech przynajmniej okup da! — odezwała się księżna — naznaczyć ile ma dać grzywien, a potem niech z lichem idzie!

Znowu spór się potoczył długi o okup i grzywiny. — Władysław uległ. — Agnieszka liczbę naznaczyła. — Posłano Dobka do więzienia po raz trzeci. —

Za każdym razem poseł śmielszym więźnia znajdował, tak że zuchwalstwo jego niepojęte, odejmowało Niemcowi śmiałość i odwagę. Gdy go raz jeszcze wchodzącego zobaczył Roger, podniósł się na łożu, spierając na łokciu. —

— Cóż tam jeszcze? co? zawołał szydersko.

— Macie dać za siebie okup, — pięćset grzywien — rzekł Dobek.

— I pięciu nie mam, śmiejąc się, odezwał Starosta. Com miał toście wy sami we dworku owęj nocy zagrabili. — Ale, dla pieniędzy sobie skóry zdzierać nie dam — przeto postaram się o okup, ino puście mnie. W lochu go nie znajdę. Mam rodzinę i przyjaciół.

— Chyba dziesięciu znajdziecie co za was ręczyć staną — rzekł Dobek.

— Zaręczę i dwudziestu gdy będzie potrzeba — mówił Roger. Dajcie tylko znać ks. Janikowi. —

Tak nareszcie skończyły się układy, bo Starosta dłużej mówić już nie chciał. Ze wzgardą prawie obchodząc się z posłem, odjął mu też ochotę i śmiałość; Dobek rad był skończyć z nim co rychléj.

Oboje księstwo pobyt w Wroclawiu znużeni byli, chciano powracać do Krakowa, dla pilnych spraw około wojny, a tu Roger jeden ich trzymał. Książe kapelana swojego wyprawił do ks. Janika.

Spodziewano się rychléj odpowiedzi, tymczasem drugi już dzień upływał, a Biskup milczał. Niecierpliwiła się księżna, wysyłając coraz na zwiady, gdy oznajmiono że Biskup na zamek jedzie.

Jechał w istocie mężny człek, ale nie sam. Zwołał do siebie przedniejszych ziemian i umiał ich przekonać że obowiązkiem jest stanąć za tym, który bratem ich był, a marnie i niesprawiedliwie miał ginąć.

Sam swoim przykładem ich ośmielał, bo pierwszy poręczyć był gotów. — Gdy na zamku zbliżający się orszak ujrzano, książe i żona jego zafrasowali się. —

Okazywała się znowu moc i władza duchownego, który na jedno zawołanie więcej ziemian zgromadził niż książe ich widział u siebie przez ciąg pobytu swojego we Wroclawiu.

Jeżeli wszyscy na zamek jakby umyślnie z przepychem, gromadnie, zbrojno, postrojoni otaczając Pasterza swojego, dwór dlań świetny tworząc i okazując że go uznawali głową swoją. —

Trzeba było iść u drzwi witać Biskupa, co też ks. Władysław uczynić musiał. Biskup, pół rycerz, zawsze się tak stawiał księciu, jakby do równego sobie przybywał, niezłękniomy, nie unizając się, błogosławiąc do koła. Ode drzwi posunął się dalej przodując dumnie, za nim ziemianie liczni, wszyscy w milczeniu uroczystém.

Poczty i ludzie całe podwórza zajmowali. —

— Zezwoliliście, miłościwy książe, odezwał się Biskup wszedłszy do środka — abyśmy za Starostę Rogera złożyli porękę. Otóż, niesiemy ci ją. Daję ja moją, daje nie dziesięciu ale dwudziestu ziemian, za to, że gdy Roger słowo rzecze, na naznaczony czas stawić się będzie. Człowiek jest prawy, a słowo jego nie rdzewieje.

Agnieszka przytomna cofnęła się nie śmiejąc odzywać i mięszać do sprawy, książe który nawykłym był nic bez niej nie czynić, zwrócił się i teraz ku niej. Dała mu znak gniewny, aby się jój nie pytał.

Aż nadto już mówiono o jój wpływie na męża, zdradzać się z nim nie chciała.

Książe musiał stanowić sam, nie mając nikąd pomocy. Spojrzał po ziemianach, stali jakoś chmurni i nasępieni, czytał niemal z wejrzeń ich że za Petrka nań gniewni byli.

— Otoczony jestem zdrajcami — odezwał się ręce rozpościerając szeroko — nikomu wiary dać nie mogę. Bronię siebie i praw moich. Roger z tym nikczemnym zdrajcą za jedno trzymał. —

— Miłościwy książe, przebaccie — przerwał Biskup, my Petrka za zdrajcę nie mamy. — Bogu rachunek z tego zdawać przyjdzie. Nie rad z obrotu rozmowy, książe wyzywająco popatrzał na ziemian, aż krewny Starosty Rogera, którego Leszkiem Wdałym zwano, odezwał się.

— Przyszliśmy tu ręczyć za brata naszego Rogera i porękę za niego wszelaką dajemy.

Wszyscy ręce zgodnie podnieśli. —

— Dajemy! dajemy! zawołali.

Biskup też prawicę wyciągnął. —

— Ja z wami!

Ks. Władysław nie wiedząc co czyni, skinął na Dobka, który stał we drzwiach z tyłu.

— Wezwij go z więzienia i tu przywiedź — rzekł.

Nastało długie milczenie, czekano coraz się na drzwi oglądając. Znali wszyscy starostę jako męża w sile wieku i urody, któremu postawy i oblicza zazdrozczono, — nosił się tóż, wiedząc o tém że urodziwym był, zawsze czysto i strojno. Gdy teraz się w progu ukazał, wprowadzie na bucie i postawie nie stracił, lecz — zaledwie go poznać było można, tak niewola brudem go swoim okryła. — W odzieży poszarpanej gdy go wiązano, z włosami splątanemi, szedł jeszcze tak dumny, jakby złotogłowy na sobie dźwigał.

Obejrzał się w koło, przyszedł naprzód ucałować rękę Biskupa, który go błogosławił, pokłonił się potem księciu, nareszcie oczyma wyszukawszy Agnieszkę, wzrok w nią wlepił tak straszny i groźny, że się przed nim z mimowolnym krzykiem przestraszył, cofnęła.

W wejrzeniu tém co było zemsty, gróźb, gniewu z całego człowieka się zebrało i oczyma wytrysnęło. — Oczów już nie spuszczał z niej i zabijał ją tym wzrokiem. —

— Daję wam wolność, abyście za siebie okup zebrali — odezwał się książę cicho. — Ręczę za was dostojni ludzie. — Idźcie z niemi, a powracajcie na czas z okupem, bo was znajdę i pod ziemią. —

Roger wysłuchał pańskiego słowa spokojnie, wzrok ciągle topiąc w Agnieszce, która w końcu, nie wytrzymawszy go, za męża się ukryła strwożona.

— Miłościwy książę, rzekł, ja i bez rękojmi dawszy słowo stawilibym się w słowie, bo je więcej ważę niż życie.

Pokłonił się. Biskup tóż dziękować zaczął, ziemianie za nim, a że do czynienia nic więcej nie pozostawało, jęli się zaraz żegnać. —

Roger stał przy Biskupie, oczyma jeszcze szukając ofiary swojej, ale Agnieszka wymknęła się niepostrzeżona.

Zaledwie Biskup odjechał, gdy do izby wróciła niespokojna. Książę ją jeszcze nigdy tak wylekła nie widział..

— Co ci jest? zapytał.

— Wzrok tego człowieka! tój źmiji! zawołała. — Puściliśmy go na zgubę naszą. Widziałeś jego oczy! ślepie zwierza wściekłego! Żaden człowiek tak nie patrzy, chyba wąż gdy zwierzę chce struchlałe polknąć. —

Książę się przeżegnał.

— Nie mogłam wytrzymać tego wzroku, dodała Agnieszka. — Nieprzyjaciół dosyć mamy! Biskup przyszedł za nim, ziemianie ręczyli. —

Agnieszka, która nie płakała nigdy, chyba z bezsilnego gniewu, poczęła szlochać rękami obiema zakrywając sobie oczy. Książę nie wiedząc jak ją uspokoić wyszedł, rozkazując Dobka jęj słać, który sam moc miał nad nią. Lecz, gdy się ukazał, precz mu iść kazała, wyrzucając to że wszystkim więźniom, gdy w jego mocy byli, życia nie wziął.

— Człek ten nas zgubi, będzie nieszczęścia naszego przyczyną! wołała.

Nie było co już czynić z niewiastą prawie oszalałą, gdyż żadne słowo przeciwko jęj trwodze nie mogło nic.

Nazajutrz sposobiono się jechać do Krakowa. Dwór z rana wyciągnął w drogę, a księżnę wieziono na pół chorą z wielkiego niepokoju i gniewów. — Dawała coraz nowe rozkazy, wołała i odpędzała ludzi, płakała i groziła.

Po drodze z wieściami się zlepi spotykano. Ks. Władysław, który był pewien iż wszystko mu poddawać się musi, opór znajdował na każdym kroku. — Trwoga o pogan po kraju rozbiegłych i plądrujących, nietylko nie pomogła, ale wszystkich przeciw księciu jednoczyła. Oddziałami całemi ciągnęło rycerstwo do Poznania i Płocka, do młodszej braci. Jechali do nich zbiegając ziemianie, mocniejsze grody otwierały im bramy, z murów na wezwanie Władysława odpowiadając że mu się nie poddadzą. —

Wojna więc była nieuchronną, wojna straszna, z braćmi własnemi, z duchowieństwem, które przy nich stało, z ziemian, ze wszystkiemi. Z Czech i z Węgier spodziewali się posiłków uciśnieni. —

Do tój wojny zajadłój, choćby siły miał w pięści ks. Władysław, w piersiach mu jęj brakło.

Odgrzązał się chwilami i miotał, to znów narzekał na Agnieszkę i sam na siebie że podjął walkę. Księżna i Dobek dawali rozkazy, szli z niemi Niemcy, ziemian, nawet krakowskich,

przy księciu tak jak nie było. Uchodzili, kryli się wszyscy, Duchowieństwo klątwami groziło. Położenie coraz stawało się niebezpieczniejszym.

Książę wątpił czy mu podola, ale żona pchała go dalej na zgubę, nie chcąc słyszeć o niczym innym prócz pogńębienia opornych.

Z Krakowa miano wysyłać natychmiast do Cesarza, z prośbą nową o pomoc i poparcie.

Przez całą drogę niepokój rosł, w Krakowie też nie lepiej stało. Zamek był prawie bez załogi, na biskupstwie nikogo.

Drugiej nocy po przybyciu do Krakowa, opowiadają wiarogodne kroniki, królowa w nocy ze snu zerwała się przestraszona.

Wbiegła wprost do męża, który głębokim snem ujęty, odpoczywał. Ks. Władysław uląkł się niemało ujrzawszy ją z włosom rozpuszczonym, łzami zalaną, drżącą. — Chwyć za oręż przy łóżku wiszący i maleńką tarcz, sądząc w pierwszej chwili że napad jakiś niespodziany zamkowi zagrażał. Księżna przypadła płaczącą.

— A! sen, wołała, miałam straszliwy. — Śnił mi się ów z oczyma wilczemi Roger — patrząc na mnie tak jak patrzył na zamku we Wrocławiu.

Stałam we śnie w izbie mojej, nowe próbując obówie, gdy wpadł człek ten straszny, i nagle obówie mi zdarł z nóg, zostawując bosą.

Stara Regina, którą obudziłam moim krzykiem, zaraz mi sen wykladała i rzekła to, co ja sama czuję, że Roger ten zgubi nas i ze wszystkiego wyzuje. —

Pocoście go wolno puścili! Gonic go, łapać, chwytac trzeba, słać za nim i głowę mu odciąć — głowę! Inaczej spełni się mój sen straszliwy na mnie, na tobie, na dzieciach naszych. —

Gdy tak płakała i zanosila się, książę strwożył się mocno, i wstał na ludzi wołając.

Wyprawiono, nie czekając dnia, do Wrocławia, ażeby Roger stawil się na dwór książęcy. — Szczęściem, Starosta przyjaciół miał wszędzie, nim urzędnik Władysława wyruszył po niego, wyprzedzając go, pobiegł już przodem ktoś inny oznajmic Rogerowi aby się stawic nie ważył w Krakowie, gdyż tu na życie jego czyhają.

Dziwnie się bowiem działo na tym dworze Władysława i Agnieszki. — Panowali oni jeszcze i rządzili a rozkazywali, owszem kusili się o panowanie nad wszystkimi udziałami, a nie widzieli tego iż otoczeni byli niechętnymi, którzy sprzyjali młodziej braci i gotowi byli jej pomagać.

Dobek i garstka Niemców składająca otoczenie Agnieszki ślepa była na to co się pod jej oczyma knowało, nie słyszeli nic albo nie rozumieli. Wierzyli oni w moc swoją, gdy polski dwór Władysława, urzędnicy i ziemianie trzymali z Biskupami, z książęty młodszymi, i temi co z nimi byli. — Petrek i Roger mieli tu przyjaciół gorących, co odzywać się za nimi nie śmiejąc, robili co mogli by im isć w pomoc. Słuchano rozkazów książęcych pozornie, ale ufano w to że wszystkie te wysiłki na nic się nie zdadzą a dumna znenawidzona Niemka precz isć będzie musiała.

Gdy w nocy wielka na zamku wrzawa się wszczęła z powodu snu, o którym mówili wszyscy, zrozumiano zaraz że wykład snu groził Rogerowi, popędził wnet posłaniec tajemny oznajmic mu ażeby się skrył zawczasu.

W kilka godzin dopiero potem, wybrał się opieszale i niechętnie, wyprawiony do Rogera urzędnik, który miał naglic do powrotu, — ale już niebezpieczeństwa nie było, bo musiał być wprzódy ostrzeżonym.

Wszystko tu teraz w ten sposób się działo; bezład panował największy, i zaślepienie razem. — Dwór niemiecki odgrażał się, i już zwycięstwo swe myślał wyzyskiwać, gdy dni jego były policzone. Nie było tajemnicy na zamku, któraby natychmiast wyniesioną z niego nie została, nie było postanowienia książęcego, o któreby wprzód nie wiadano, nim je ogłoszono.

Roger uwolniony za poręką, bawił na biskupim dworze, nie bardzo pilno zajmując się zbieraniem okupu swojego. Natomiast jątrzył umysły i do zemsty wołał za krzywdę wyrządzoną Petrкови.

Gdy ks. Janik pytał go, dla czego nie zbiera grzywien?

— Albo to o grzywiny idzie? odpowiadał Roger przejęty żalem — ani o mnie, ani o okup mój gra się toczy, ale o to aby niezbożnego Kaina na żywot braci nastającego,

wygonić precz! Jakem żyw że się to stać musi, i że się to stanie! A dopóki tego nie uczynimy, o sobie myśleć się nie godzi.

Bił się w piersi i przysięgał...

— Nic mi się nie stanie, mówił ostrzegającemu go Biskupowi, chodzić będę bezpieczny, a oni padną i pójdą precz. Niewinna krew Petrkowa pomszczoną zostanie.

W kilka dni Roger samotrzeć na koń siadł, nie było go przez dni kilka, a powróciwszy na dwór biskupi rozpowiadać nie chciał dokąd i poco jeździł, gdzie był i co robił. Pytających zbywał nie znaczącymi półsłowami.

Powrócił wieczorem gdy Biskup już spał, nazajutrz rano pojechał, konie zmieniawszy. Nie było go znowu. Przyjechał czasem na godzinę w nocy, wyjeżdżał rano, nie opowiadając się nikomu.

Biskup powiadał wszystkim że jeździ zbierać grzywny, o które niełatwo. —

Gdy znowu się na chwilę ukazał, ks. Janik powołał go do siebie.

— Co ty sobie myślisz, Rogerze? zapytał, upływa dany ci czas, masz ty już potrzebne grzywny, czy jeszcze ci ich do liczby braknie?

— Ojczy mój, gdybym je nawet miał, odparł Roger, nie myślę niemi chciwego ich gardła zapychać, ja nie grzywny ale ludzi zbieram! Nie tał się z tém przed Biskupem że dla młodych książąt ściągał posiłki i ziemian do nich posyłał. Właśnie czasu téj rozmowy, nadbiegł z Krakowa usłużny człek, z powieścią o onym śnie z trzewikami królowej, dla którego miano Rogera do Krakowa ściągnąć aby mu tam życie odebrać.

Starosta zamiast ustraszyć się, swoim zwyczajem zaczął się śmiać pogardliwie i przed-rwiewać. —

— Ale! nic mi nie zdołają uczynić! Bóg nie dopuści.

Biskup się pogniewał nań. —

— Człeczce zuchwały, zawołał, ale któż ci tę obietnicę Bożą oznajmił? Zbytek ufności jest téż szaleństwem i grzechem. Masz przykład na Petrku że ostrożnym być potrzeba. —

— Ojczy mój, odparł Roger podnosząc ręce ku niebu z niewymownym zapalem, który i Biskupa zdumiał. — Ja nie wiem kto mi w duszę wlał to bezpieczeństwo które w sobie czuję — aliści taką mam pewność iż mi się nic nie stanie, że w ogień bym skoczył, pewien będąc iż się nie spalę.

Nad wieczorem Szabroń z Krakowa przybiegł od księcia z rozkazem aby Roger natychmiast do dworu się stawił. Komornik ten pański, choć się liczył do Władysławowych sług i zaufanie jego miał, tak jak wszyscy inni prawie, dla Agnieszki i Niemców, niechętnym był księciu.

Posłał go Biskup do siebie wzywając, bo i Roger się tu znajdował. — Opowiedział Szabroń z czém go posłano, ale gdy się obejrzał potem że nikogo, oprócz Biskupa i Rogera nie było natychmiast zmienił mowę. —

— Niechaj was Bóg uchowa, panie Starosto, rzekł, abyście rozkazowi temu zadość uczynili, bo wam niechybnie głowa z karku spadnie. Czeka ją na was siepacze. Ukryjcie się gdzie dopóki ta plucha nie przeminie, aż nasza pani ochłonie. Długo to nie może trwać. Bóg da.

Roger go uściskał. —

— Miły Szabroniu, odezwał się wesoło, otom taki głuptaczek iż pojedę, głowy nastawię, a nie zrobią mi nic! Nic!

— A któż was obroni? spytał zadziwiony Szabroń.

— Sam nie wiem — rzekł Roger, tyłkom tego pewien, że oni mi nie uczynią nic. — Niedoczekanie ich.

— Dla czego?

— Taka jest wola Boża!

Biskup usłyszawszy to znowu go karcicę począł, ten szedł mu ręce całować, zaklinając aby go puścił i powtarzając swoje. —

— Nie uczynią mi nic!

Zdumiewali się wszyscy téj pewności i bezpieczeństwu jego, która się im zaślepieniem wydawała.

Biskup szczególnie, że był tak surowy i charakteru żywego, karcicę go ciągle za grzech mu poczytując tę zabobonną wiarę w siebie. Stańto wreszcie na tém, po długich targach

z ks. Janikiem, że pod błogosławieństwem zakazał Rogerowi aby się z miejsca ruszyć nie śmiał bez Archidyakona Roberta, którego mu od siebie dodać postanowił.

Ks. Robert, któregośmy już widzieli, Włoch rodem, od dawna już w Polsce przebywał; człek spokojny, bystry, przezorny, uczony, wielkiej powagi. Ten tak chłodnym był i rozważnym jak Starosta gorącym.

Biskup się nim w najcięższych posługiwał sprawach, była to jego prawa ręka, doktor praw, do pióra dzielny, w księgach i dekretach biegły zastępował Biskupa tam gdzie on prędko często, unoszący się, ducha wielkiego, byłby swą żywością sprawę kościoła naraził. Nawzajem dobrego serca ks. Janik goił rany, które zbyt surowość i ostrość ks. Roberta zadawała. — Kochali się i byli sobie potrzebni.

Ciężko było dnia jednego ks. Janikowi bez tego pomocnika się obejść, bo czy prawo tłumaczyć, czy duchowieństwo poważnione godzić, czy wiernych karcieć przychodziło, ks. Janik sercem to czynił, a głowy szukał u ks. Roberta.

Odpuścić go od siebie źle było Biskupowi, ale tu szło o życie drogiego na ową chwilę człowieka, który, gdy Petrka nie stało, sam był jeden jeszcze, co mógł coś z ziemianami począć i nad nimi miał przewagę. Potrzeba go było ratować. —

Ks. Robert jechać był gotowym, a Szabronia obdarowanego wyprawiono przodem z tém, że Roger w ślad za nim podąży.

Po mszy świętej, którą ks. Janik sam na tę intencję odprawił, ruszyli podróżni do Krakowa. Na wyjeździe jeszcze musiał Starosta dać Biskupowi słowo, że bez ks. Roberta nic nie uczyni i posłuszny mu będzie. Dopiero go puścił Biskup.

Gdy się już do stolicy zbliżali, nakazał Archidyakon Staroście, aby twarz kapturem i chustami osłonił tak, aby poznanym być nie mógł. A że na posłuszeństwo słowo dał, choć z wielkim wstrętem uczynić to musiał. Do miasta go też nie wwiózł ks. Robert, ale do znanej gospody na przedmieściu u człowieka ubogiego, którego wierności pewni byli. Tu ksiądz, jak w więzieniu zamknął Starostę, zakławszy go aby bez pozwolenia krokiem nawet w ulicę się nie ruszał. Roger narzekał wielce, wrywał się, bo miał i męztwo wielkie i ochotę stanąć z księciem oko w oko, ale słowo go wiązało.

Sam więc Archidyakon pojechał ztąd na Biskupi dwór jawnie, i tam stanął, a nazajutrz rano, odziewszy się obrzędowo, jak do księcia wypadało, na zamek jechał. Poznano go tam zaraz że z Wrocławia był, domyślając się już co wiezie i Dobek w proggu niemal naglić począł:

— Gdzie Starosta?

Ks. Archidyakon zbywszy go milczeniem, do księcia wprost oznajmić się kazał, nie chcąc z Niemcem wchodzić w rozprawy. — Gdy o nim dano znać Władysławowi, wyszedł z kilku panami swemi na spotkanie. — Księżna, uwiadomiona o przybyciu, nie ukazując się, za zasłoną skryta, przysłuchiwała się rozmowie.

— Przynoszę Miłości Waszój, odezwał się Archidyakon do księcia — pokorne służby Pasterza naszego, ks. Janika. Przybywam od niego z prośbą za Starostą Rogerem, który okupu jeszcze zebrać nie mógł, ale niebawem już cały mieć będzie i wypłaci.

Pasterz miłości Waszój o cierpliwość prosi.

— A gdzież się Starosta sam znajduje? spytał książe.

— Za okupem jeżdżąc, po grzywnie od przyjaciół i krewnych ściągając, sam stawić się nie mógł, ale Pasterz nasz ręczył zań, poręczyli panowie — będzie się stawił gdy zbierze.

— Więcej niż okupu ja tu osoby jego żądam, odezwał się książe. — Nie przestał niespokojny matacz Petrka swego oplakiwać, a mnie nieprzyjaciół robić. — Nowe na nim winy są, powinien się stawić na sąd mój. —

Ks. Robert nie chciał ani uniewinniać, ni o tém rozprawiać.

— Pasterz nasz, rzekł, ręczył zań, więc i za osobę jego że do sądu książęcego stawić się będzie. —

To powiedziawszy począł ks. Robert szeroko, uczenie i wymownie dowodzić jaką rękojmnią było słowo dostojnego Pasterza, zapewniając że w nim wiarę nieograniczoną pokładać było można. — Archidyakonowi, jako wielce wymownemu, książe sprostać nie mógł, plątał się nie wiedząc jak miał odpowiadać i w końcu nie dając już się sobie sprzeciwić, wolę objawił stanowczą aby Roger mu się stawił w Krakowie.

Na téj rozmowie spłynęło czasu dosyć, a gdy posłowie jacyś przybyli i oznajmiono o nich, musiał Archidyakon ustąpić, tak jak nic nie sprawiwszy.

W progu już odchodzącemu ksiączę powtórzył że nie okupu chce ale samego człowieka; a zresztą jedno lub drugie natychmiast musi mieć. —

Z tém powróciwszy Archidyakon na Biskupstwo naprzód, nocą, pokryjomu przekradł się do Starosty, który jak niedźwiedź na łańcuchu rwał się niecierpliwym chcąc z niewoli téj wyswobodzić. — Upierał się koniecznie sam stawać i bronić swęj sprawy.

— Ani mi się waź! ani myśl! zawołał ks. Robert. Ja tego nie dopuszczę! Jutro raz jeszcze pójdę na Zamek i spodziewam się u księcia otrzymać ulgę, zwłokę. — Uchowaj Boże obstanie przy okupie raczć pożyczę i złożę grzywny, niż wam dozwolę iść na pewną zgubę.

Roger ciągle rwał się niespokojny.

— Ojcie miły! ojcie kochany! Na rany Chrystusowe zaklinam was, okupu nie dawajcie. Ja się ani kryć ani uciekać nie potrzebuję, ani płacić, jak mnie tu widzicie żywego, stojącego przed wami. Nic mi nie zrobią! Nie ja będę uciekał, ale on! on! co oślepił i okaleczył biednego Petrka, co czyha na życie braci. —

Archidyakon znowu te zuchwałę słowa usłyszawszy, kazał mu milczeć i zabronił wychodzić, zgromiwszy mocno.

Starosta narzekał, oburzał się, lecz słuchać musiał.

Nazajutrz Archidyakon poszedł na zamek do księcia raz jeszcze. Rzeczy tu przez noc zmieniły się.

Ks. Agnieszka i jęj pomocnicy zrozumieli że zbyt wiele wrzawy ze swym snem i groźbą uczynili, że Roger ukryć się musiał nastraszone i ujęć im może. Postanowiono więc dobroć i łagodność udawać, aby trwożę rozproszyć, i Starostę ściagnąć, uspokoiwszy — ks. Robert rozpoczął od wstawiania się za Starostą do księcia, na co mu ten odpowiedział.

— Biskup i ziemianie ręczą więc i nadal za Starostę?

— Najuroczyścięj mi zlecono porękę odnowić, rzekł ks. Robert — ks. Janik ręczy i ziemianie téż, na wszelki sposób.

— Odmawiać więc im nie mogę, i nie chcę — odezwał się ksiączę Władysław, okrutny nie jestem nawet dla winowajców, przedłużę czas. Gdy ten nadejdzie aby mi się z okupem i z pokorą nieodmiennie stawił.

Musiał na wszystko zgodzić się Archidyakon, a że skryptu pod pieczęcią żądano, która Archidyakonowi wraz z kanclerstwem biskupim powierzona była, dał porękę na piśmie, opisując czas na jaki Starosta stawić się był obowiązany. Ksiączę, okazując się dlań wielce łaskawym, zatrzymał go potém jeszcze, namawiając aby Biskup z panem swym trzymał i był mu pomocnym.

W czasie tego posiedzenia nadeszła i księżna Agnieszka z żalami na duchownych i ziemian, pragnąc sobie widocznie Archidyakona pozyskać. Przedstawiała mu po niewieściemu żywemi malując słowy, iż opór próżny był przeciwko takięj sile jaką ksiączę miał z Rusi, od Cesarza i z ziem własnych.

Ks. Robert słuchał, nie przeciwił się wcale — milczał.

— Proście za Starostą, dodała, który powiernikiem był i przyjacielem serdecznym tego zdrajcy Petrka; a wieciez o tém że ślepiec ten, wprost z synkiem do ksiąząt, do Płocka pociągnął i tam zewsząd na nas siły ściągają, do buntu namawiają. — Starosta taki zdrajca jak oni, trzyma z niemi.

— Nie wiem co się z Panem Petrkiem stało, odpowiedział ksiądz, lecz, gdyby oślepiony i ze wszystkiego ogołocony dostał się tam, nie wiele może szkodzić komu.

— Starosta pewnie téż do niego poszedł lub przedrzeć się myśli, mówiła pani — znamy tych ludzi.

— Biskup nasz ręczył zań — odparł Archidyakon — więc mu się oddalić pewno nie da.

Na zamku krakowskim, gdy go ks. Robert opuszczał, bardzo już wojowniczo wyglądało, stały pułki całe na podzamczu, oddziały wyprawiano na grody, wojska się poruszały, Ruś i Polowcy zajmowali ziemie dalsze i posuwali się dla połączenia z wojskami książęciami.

Ks. Władysław sam zbierał się iść z ostatniemi i wybranemi swemi ludźmi; ale co było przy nim jeszcze ziemian i rycerstwa, chodzili wszyscy jak obumarli z żalości i wstydu, ręce łamiąc.

Niemcy tylko radowali się że już wkrótce z panią swą państwem całém zawładną.

Starosta, chociaż z dworku, w którym go ukryto nie wychodził, chociaż tu mało widzieć mógł, od gospodarza nasłuchawszy się co się działo, kipiał z gniewu.

Gdy Archidyakon na ostatku, zakapturzonego znowu wydobył z kryjówki, zaraz za Krakowem ze dwojgiem ludzi, pożegnawszy go, ruszył w świat, nie chcąc powiedzieć dokąd ani po co. — Musiał mu tylko słowo dać że nazad do Krakowa nie powróci i zuchwale się nie będzie stawiał księciu.

Pilno mu tak było na swobodę się wyrwać, że, rozstawszy się ze swym opiekunem i przewodnikiem, w cwał, bez drogi puścił się na lasy, jakby jednej chwili do stracenia nie miał.

Całując rękę Archidyakona, rzekł tylko półgłosem.

— Pomszczę Petrka mojego, albo sam żyw nie będę!

## VI

Staruszek ks. Marcin, któremu się dostało, biedną niewiastę z córką wieźć do Komorowa, przez lasy i pustynne drogi, nie małą miał z nią i o nią troskę. —

Petrkowa, rodu książęcego pani, o czém nigdy zapomnieć nie mogła, nawykła do tego że jój długo wszyscy pokornie bili pokłony, od męża począwszy, który ją dla piękności jój miłował wielce; nieszczęście znośić wcale przygotowaną nie była.

Rozpieszczona od losu, przez męża i obcych, piękna niewiasta stała nadto wysoko aby jój kiedykolwiek przez myśl przejść mogło że ją podobny los spotka — ubóstwo, wygnanie, trwoga o los męża, dzieci i własny.

To co się z nią stało teraz, długo się jój snem i zmorą jakąś wydawało, tak że, gdy się z prawdziwego snu budziła, obejrzawszy się do koła, na swą nędzę i sieroctwo, rozmdlewała się we łzach nieustannych i narzekaniu.

Naówczas to, milczące zwykle, słabe dziecię, co same jak powietrzne widmo, jak ze mgły stworzona wyglądało Rusalka, stawało się silniejszym i mężniejszym od matki. — Cieszyło ją, pieściło, tuliło, tak jak samo niegdyś pieszczoném było.

Ks. Marcin, nawykły mieć do czynienia z prostym ludem, na wszystko zahartowanym, co godzina na nowo dziwić się musiał powracającej słabości matki i sile dziecięcia, a boleć nad niedolą tych istot, które do niej stworzone nie były.

Dla nich stokroć sama śmierć znośniejsząby była nad te męczarnie przedłużone. Za nią uśmiechało się im niebo, tym bolom nie było ulgi i końca.

Dziwiło pobożnego staruszka i to, że owa niewiasta, która o losie męża nie wiedziała — nie tyle się nim trwożyła, co o siebie i o dzieci. Wspomniała czasem — Petrka, ale zawsze z narzekaniem nań, że on zuchwalstwem swém i zbytnią śmiałością księcia obraził, że upierając się przy swém na niewinną rodzinę ściągnął pomstę i zgubę.

Nie tyle bolała piękna pani nad nim co nad losem własnym, wspominając wciąż złociste teremy, ciche ustronie, w którym się chowała; przeklinając przeznaczenie swe, co ją w te obce rzuciło kraje.

Lecz że zarazem dosyć pobożną była kniehinia Marya, ksiądz Marcin słowem Bożém ją uspokajał, modlitwy odmawiając krzepił, pieśniami świętymi zabawiał.

Z początku chciała koniecznie wiedzieć dokąd ją wieziono, i ks. Marcin nie rad był taić tego przed nią, ale po rozwadze, zbył ogólném upewnieniem, iż na zamku, do którego jadą bezpieczną być może, byle się z sobą nie wydawała nazbyt, kim była — aby ztąd po ludziach głosy o niej nie poszły. Nie taił i tego że gród był choć zamożny, niewytorny, a życie w niém proste.

Nie w smak to było, nawykłój do życia wygodnego pani, iż w tém schronieniu, jak je opisywano, nie znajdzie komnat jasnych, ani przepychu domowego, pocieszała się tém tylko że wprędce wszystko to złe skończyć się musi. —

Gdy się już do Komorowa zbliżali, a w okolicy żadnego niebezpieczeństwa dla podróżnych nie było, i samych ich z ludźmi mógł ks. Marcin pozostawić, na godzinę wprzód pojechał na zamek do Jaksowój, oznajmić jój o gościach.

Człeka zostawiwszy pewnego przy wozach, sam starowina, jak był nawykł różnie się włóczyć po świecie, chabeł'a z wozu wyprzągłszy, pomimo nóg nabrzękłych i bolących, siadł nań i przodem pokłusował.

Tu go tak znano że, gdy się tylko u wrót pokazał, wnet mu je otworzono, a stara Jaksowa, odziana tak jak zwykle, na pół po mężku, pół po niewieściemu, wyszła sama na spotkanie.

Zdała się już, a naprzód o swojego jedynaka pytała, bo go miała na myśli.

— Nie wiecie, nie wiecie, co się z nim dzieje?

— Złego mu się nie stało nic, rzekł ks. Marcin, a próżnować nie może, kiedy wszystkie ziemie goreją. — Swoich braci w ogniu odstąpić mu się nie godzi.

— A z kąd jedziecie? pytała stara.

— Ze świata dalekiego, rzekł ksiądz Marcin — co pytacie? dość wam wiedzieć że sam, że ocaloną od dziczy i pogan, którzy wszędzie pładrują i w niewolę biorą, niewiastę znacznego rodu z córką prowadzę Wam. Musicie ją tu przyjąć dla miłości Chrystusowej.

Skrzywiła się stara pani. —

— A! zawołała — zaprawdę wołałabym dziesięciu mężczyzn hodować i karmić, niż jedną niewiastę!

Rozśmiał się na to ks. Marcin. —

— Daremna rzecz — rzekł, wyboru nie macie, co Bóg dał przyjąć potrzeba. Pani jest wielkiego rodu, ksiązęcego, trochę z nią zachodu mieć będziecie, to prawda, bom ja w podróży próbowałem że niełatwą jest, ale co się nie czyni dla miłości Chrystusa Pana?

Jaksowa załamała ręce i zafrasowała się mocno, sposępniała.

— A któż ona jest? kto? poczęła dopytywać.

— Nie pomoże wam nic wiedzieć o tém i nie potrzeba — odparł ks. Marcin. Tyle mi tylko powiedzieć polecono iż ksiądz Pasterz nasz, Janik żąda od was abyście ję przytułek dali, czuwali, doglądali, a swego czasu sowicie się to nagrodzi. (Tak mu zlecili mówić Benedyktynie, choć ks. Janik o schronieniu tém nie wiedział.) Obraziła się Jaksowa niezręcznym słowem.

— Jakbym to ja za miłosierdzie nagrody potrzebowała? zawołała. Ciężar to będzie wielki, bo cudzy w domu, to swój z nim już jakby obcym był. A — co robić? izbę ję dam, chleba nie pożałuję, zresztą niech się sobie cieszą jak mogą. — Ja mam i tak na głowie dużo, do snu im śpiewać nie będę.

Rozmawiali jeszcze w podworcu, gdy wozy i ludzie z Petrkową, na gród wjeżdżać zaczęli. Nawykła do wygod, do gmachów jasnych i przestronnych Petrkowa, gdy z wozu przypatrując się dokąd ją przywieziono, postrzegła nędzne na pozór zabudowania, a przede drzwiami niewiastę dziwną, na pół po mężku odzianą z twarzą surową i niemłą, zdało się ję jakby ją do więzienia wtrącić miano i szlochając oczy sobie zakryła.

Stara Jaksowa wzrokiem bystrym cisnęła na dwie przybyłe i oko ję napotkało piękną Błogosławę, nie mogąc się od nię oderwać.

Co się w nię zbudziło na widok tego dziecięcia, które się około matki rozpadało, tuląc ją i starając uspokoić. — Bóg jeden wie — lecz serce się poruszyło, litość ją zdjęła i, zawahawszy się nieco, poszła sama do wozu pomagać, aby z niego na pół omdlałą wysadzono.

Nie rzekła i słowa na powitanie, ale silną rękę przyłożyć się nie wahała, gdzie ję było potrzeba. W milczeniu poprowadzono ją do najlepszej izby, tu trzeba było pokładać zaraz na pościeli, bo z sił opadała od wielkiego płaczu i żalości. Córka kląkszy przy nię, zimne ję ręce ogrzewała, przytulała do siebie, kołysała jak dziecinę.

Postała nad niemi chwilę stara Jaksowa, popatrzała nie mówiąc nic, a, choć nic dla nich czynić nie obiecywała księdzu, zakrzętnęła się z pomocą i posługą, nie tyle może dla słabej niewiasty, co dla dziewczeczki biednej, której żal ję było.

Tak pięknie wyhodowanego kwiatka dawno nie widziała stara, czy ję nawykłe były do prostych dziewczek wiejskich, nie do takich zjawisk z drugiego świata. Dziwiła się, bolała, mówiąc w sobie. — Jakto źdźbło tak słabiuchne burze życia przetrwać potrafi, jak się w ciężkiej walce nie zmaruje?

Na co to Bóg stworzył tak wątłym, aby ludzie bezbronną istotę, nogami zgnietli?

Petrkowa zaledwie na gospodynię spojrziała, biorąc ją za służkę może, nie spytała o nic, nie dowiadywała się o nikogo, nie żądała ni witać ni widzieć, zapragnęła tylko wszelkich wygod do jakich była nawykła, a których tu znaleźć nie było podobna.

Płacz więc nowy był i narzekanie.

Do wieczora spoczywał ksiądz Marcin na grodzie, choć mu, po długiej niebytności pilno było do Miechowa. Został dłużej nieco aby biednym niewiastom zapewnić tu życie znośne i udobruchać nachmurzoną Jaksowę.

Litowała się ona nad wygnanką, ale zarazem zżymała i gniewała na nią że tak dziecinnie słabą była i zropaczoną. Więcej spólcucia budziło w niej śliczne dziewczę, o które uparcie dowiedzieć się chciała, czyjem było?

Ks. Marcin wołał odkrycie zostawić późniejszemu czasowi, i nie powiedział nic.

— Kto one są, to się tam później od nich dowiedzie — rzekł. — Ja tam coś słyszałem, nie dosłuchałem, ot — nie wiem. Dla mnie kto nieszczęśliwy, pomocy potrzebujący, o nazwisko się go nie pytam. Czyńcie i wy tak, miłościwa pani, na co wam ta ciekawość?

— To nie pusta ciekawość — odparła stara potrząsając głową. — Jam matka, mój ojciec, — kto wie? Lada godzina, mój Marek przybiedz tu może i zobaczysz dziewczynę — kiedy ona mnie za serce tak wzięła — co dopiero chłopca? Będzie mi jeszcze szalał za nią!

Rozśmiał się ks. Marcin.

— No, to co? odezwał się — jak poszaleją, ja pobłogosławię, szal odepdzie a szczęście Pan Bóg da. —

— A! nie! nie — poczęła stara, co mi tam z tego że taka piękna? To pajęczyna, ja z niej pociechy nie będę miała, bo to siły niema, lada wiatr ją we mgłę rozwieje. Ja takiej dla mojego nie chcę.

— E! e! rzekł ksiądz — przecie ta słaba dziewczyna, przez całą drogę matkę piastowała — a miała więcej mocy niż ona!

— A takiej żony krasawicy dla Marka nie chcę — rzekła stara uparcie. Co to warto? będzie się za nią rozpadał, przyłgnie do niej, rozleniwieje! Dzieci mi z niej przyjdą słabe, co je trzeba będzie powijać w jedwabie. — Ja mojego w śniegum kąpała! Nie — nie!

Zadumała się stara macierz. —

— Chyba ją przed nim schowam, dodała — a jak? Oko chłopca piękną dziewczkę przez ścianę dojrzy.

Ksiądz nie chciał mówić więcej, i choć Jaksowa coś z niego dobyć usiłowała, zbył ją ni tēm ni owēm. — Została niespokojną i jak na straży.

Życie na starym gródku zaraz się dla tych gości całkiem zmienić musiało. Co dawniej szło porządnie wedle koguciego piania i słońca, niczēm nigdy niezmacone, teraz rwało się, wlokło, spóźniało, latało niewiedzieć po jakimu. Petrkowej często trzeba było jadał gdy wszyscy spali, a snu gdy największa wrzawa była na grodzie.

Zresztą zamknięte siedziały same z sobą, matka i córka, bo Jaksowa służbę im posyłając, sama nie miała ochoty zbliżyć się do nich. — Petrkowa, którą raz tylko widziała, jakiś wstręt w niej budziła. Wzdragała się do niej iść, potēm ciekawość niewieścia ją brała, i pociąg czuła do pięknego dziewczęcia. Chętnieby ją nieraz wezwała do siebie — wstydziała się i obawiała.

Ile razy ją spotkała, pomyślała o niej, zaraz jēj syn na pamięć przychodził — nuż zobaczy? nuż rozgorzeje?

Zdarzyło się któregoś dnia że Błogosławię, do jēj sukienek zszarżanych i podartych igły i nici było potrzeba. A że służby na ten czas przy nich nie było, wyszło dziewczę same szukać stariej pani, choć z trwogą wielką, bo pomarszczona twarz była jēj straszna. Jaksowa w swojej świetlicy siedziała nad robotnicami, gdy bojaźliwe dziewczę ukazało się na progu z rumieńcem na twarzy. Stara uśmiechnęła mu się, wabiąc je ku sobie i zawiodła do bocznej komory. — Posadziła strwożoną na ławie, a co miała pod ręką, plastr miodu, chleb biały, orzechy, postawiła przed nią i przysiadła się do niej sama.

— Rybko ty moja — odezwała się — jak ci na imię? Zapytała grubym swym zwykłym głosem, który starała się napróżno łagodniejszym uczynić.

— Imię mam Błogosława — cicho szepnęło dziewczę.

— Dajże cię Bóg twēm imieniem błogosławił — rzekła stara. Musiałaś się chować za kratą i bez słońca boś biała jak śnieg i wąta. —

Dziewczę spuściło oczy, łzy jēj się z pod powiek toczyły ciche, bo dawne, lepsze przypomniała czasy.

— Tak odezwała się — pani matka i ja, nie znałyśmy ani zimna, ani skwaru, ani sloty, dopóki... I łzy jēj mówić dalej nie dały.

Jaksowa zlekka śliczną jej główkę do piersi przytuliła. Obudziło się w niej uczucie dziwne. Stęsknioną była za macierzyństwem, spragnioną wnucząt, zdało się jej że jakieś dziecko własne przytulała do siebie.

— Nie płacz — odezwała się, lzy nie pomogą, a oczu twoich szkoda, jeszcze one lepsze czasy zobaczą. Nie śmiała już pytać o więcej i dziewczę mówić nie śmiało, poprosiła o to co mieć chciała i uciekła.

Ale dobra znajomość była zrobiona między staruszką a dziewczęciem. Gdy matka jej spała, Błogosława wyrywała się czasami do Jaksowej, bo się polubiły bardzo. Pod opieką tej mężnej niewiasty, dziewczę czuło się bezpieczniejszym, zdrętwiałej staruszce oddech świeży tego kwiatka, życie i czucie przywracał.

Rozmowy ich były urywane, bo jedna nie umiała mówić wiele, druga nie miała odwagi. Dopiero gdy się tak zwolna, trwożliwie, ostrożnie zbliżyły do siebie, Błogosława więcej ośmielać się zaczęła.

I jednego wieczora, ot tak, w rozmowie — wypowiedziało dziewczę że było córką Petrkową. — Usłyszawszy to Jaksowa ręce załamała w milczeniu, nie powiedziała nic, ale nie nabrała przez to wstrętu do biednej.

O losie ojca nic jeszcze nie wiedziała córka, a tu już wieści były doszły o oślepieniu, okaleczeniu okrutnym i wygnaniu. Jaksowa jej o tym nie powiedziała, tylko gdy dziewczę płakało bolejąc nad zgonem ojca, bo go za zabitego miano — odzywała się.

— A może też nie umarł ojciec wasz. — Czekajcie aż nieszczęście przyjdzie, nie wyprzedzajcie go, gdy o nim nie wiecie. — Ludzie mówią że mu żywot wyproszono — i na wygnanie skazano tylko.

Zaczęła się o te pogłoski rozpytywać Błogosława, ale Jaksowa sama ich nie będąc pewną, nie chciała próżną karmić nadzieją. —

Gdy po tej rozmowie wyszło dziewczę, stara przed ogniskiem stanęła jak słup zadumana, z usty zaciętymi i pytać się zdawała losu jak zrządził i dla czego jej rzucił w dom tę właśnie, której dla syna nie chciała? Miałoż to być przeznaczeniem?

Wprawdzie teraz gdy Petrek być przestał onym wielmożą i panem, nie tyle się go już lękała Jaksowa, ani doń wstręt miała tak wielki, boć za grzech odpokutował, a jednak zawsze dla syna pragnęła innej, czegoś co sama oznaczyć nie umiała, nie tej dziewczyny z mgły i promieni utkaniej, wątłej i słabej...

Troskała się już wielce, a nuż Jaksza przybędzie? gdy ją zobaczy? gdy się miłość rozbudzi, co uczyni z nim? będzili miała siłę się oprzeć?

Gdy się to działo, Jaksza tymczasem wiódł Petrka do bezpiecznego schronienia. W drodze wierny ten towarzysz niedoli dla ojca i syna stał się jakby dzieckiem i bratem. — Los ich zrównał, Jaksza teraz był dla nich dobroczyńcą i podporą. Przedzierając się przez puszcze, w obawie aby ich gdzie nie poznano i nie pochwycono, błąkali się długo, omijając gościńce wielkie i nierychło w Płocku stanęli. — Tu Jaksza mógł go już zdać księżetom młodym w opiekę, bezpiecznym będąc o niego. Ale wnet niepokój go ogarnął o Petrkową i Błogosławę, o których losie nie wiedziano. — Sam Palatyn codzień, co godzina niemal miał imiona ich na ustach. —

Jednego dnia sam Jaksza odezwał się słysząc bolejącego Petrka.

— Pozwólcież mi, ruszę za jej miłością i za dzieckiem waszym, ażeby się choć dowiedzieć co się z niemi stało. Pewien jestem że wam o nich dobre przyniosę wieści.

Petrek, który teraz, dla skaleczonego języka, mowę miał bełkoczącą i mało jej używał, na ramiona mu się rzucił z radości. —

— Tyś dziecko moje, drugim mi jesteś synem, zawołał. — Radbym abyś to uczynił i lękam się o ciebie, chcę byś jechał i boję się. — Czyn jak sam osądzisz — jedź, ratuj ich. — Bóg ci zapłaci i ja nie zapomnę. — Odetchnę lżej gdy się dowiem co się z niemi dzieje.

Jaksza natychmiast usposobił się do podróży, a gdy żegnać się przyszło, Petrek go z uścisku długo nie puszczał. Żał mu go było, bo się do niego przyzwyczał, pokochał i dla Światosława też miał w nim najlepszego towarzysza... Więc się żegnali a rozstać nie mogli, a gdy już jechał, patrzali nań z wrót długo, dając znaki. —

Na dworze młodych księząt, miał tę pociechę okaleczony, który dla nich cierpiał, że go tu szanowano jak ojca, a opiekowano się nim troskliwie. Młodzi księżeta go nie

odstępowali, starsi doń przychodzili po radę, obie księżne czuwały nad starcem, by mu na niczém nie zbywało. Petrek, jeżeli dawniej nie potrzebował wiele dla siebie i żył po prostu, teraz, gdy go dotknęło to co za karę przez Boga domierzoną uważał, za pokutnika się mając, surowszy jeszcze żywot prowadził.

Znaczną część dnia spędzał w kościele, do którego z oczyma chustą zawiązanemi, szedł przez syna wiedziony, surowe odprawiał posty a powtarzał że łaskę Bóg uczynił mu wielką, zasłużoną karą na tym go dotknąwszy świecie.

Los Palatyna zgrozą przejął wszystkich i przyczynił się głównie do tego że duchowni wszyscy z młodemi książęty przeciwko ks. Władysławowi głośno się oświadczyli.

Arcybiskup sam zbierał ludzi, aby z nimi iść w pomoc uciśnionym.

Wojska z obu stron ściągały się ku Pilicy, gdy Jaksa z Płocka wyruszył, zkład młodzi książęta i księżne dwie, w obawie aby ich tu Władysław nie pochwycił, do warowniejszego ciągnąć mieli Poznania. Bliżej też tu byli Arcybiskupa Gnieźnieńskiego, na którego pomoc duchowną i orężną rachowali. —

Jaksa spieszył, jak zawsze przedzierając się na oślep lasami a bacząc tylko aby się w ręce nieprzyjaciela nie dostać. Dobił się tak naprzód szczęśliwie do Wrocławia, gdzie się języka dostać spodziewał. Lecz tu trafiło się właśnie że i Biskupa nie znalazł i Opata nie było, a inni lub nie wiedzieli, albo mu o schronieniu Petrkowej mówić się nie ważyli. Czekać nie chciał, a spuszczać się na własną przebiegłość, gdy pochwycił ślad którędy Petrkowę wieziono, ruszył przepytując, dowiadując się, idąc szlakami jakie mu ludzie wskazywali. Zadziwiony był w ostatku mocno, gdy go przepytywanie to wprost na jego własny Komorow wywiodło. Nie wierzył jednak jeszcze żeby się to w istocie stać mogło czego najmocniej pragnął. Na mil kilka od zamku rodzinnego ślady niewiast znikły zupełnie. Jaksa zniechęcony i znudzony, widząc się już tak blisko matki, nie mógł się wstrzymać aby nie dojechać do niej. Potrzeba też była wielka i gród ubezpieczyć w te czasy niespokojne i ludzi swych pościagać, aby z nimi potem w pomoc iść młodym książętom.

Na grodzie stara matka, choć wzdychała za nim, nie śmiała się syna spodziewać, gdy jednego wieczora u wrót Jaksa zatrąbił po swojemu, i po głosie natychmiast go wszyscy poznali. Rzuciło się co żyło naprzeciw niemu, a najpierwsza matka, zapomniawszy o wszystkiém byle go coprędzej uściskać.

Mrok już padał, Jaksa znudzony był, zdziwił się gdy matka, zamiast go wprowadzić do świetlicy, którą on dawniej zajmował, powiodła go do siebie. Chciał do zwykłego kąta swojego zawrócić, ale rzekła mu zakłopotana nieco aby tam nie szedł, bo gości ma.

— A jacyż oni są? zapytał Jaksa. —

— Niewiasty dwie biedne uciekające przyjąć musiałam — odparła matka.

Tknęło to Jakse, że mu imienia ich nie powiedziała.

— Niewiasty? a zkadże one przybyły?

Stara smutnie zmierzyla go oczyma, jakaś zazdrość obudziła się w jęj sercu.

— Co ci tam do obcych niewiast! zawołała chmurno. —

Młodemu już się roić zaczynało że Petrkowa być tu mogła, ta myśl jak ukropem go oblała. Stanął drżący cały.

— Darujcie mi, kochana matko moja, rzekł, życie moje stawilem ratując Petrka, odprowadzałem go okaleczonego do Płocka, a teraz gonię za żoną jego i córką, abym go o ich losie uwiadomił. — One to u was być muszą, nie kto inny !

Rozgniewała się stara i poruszyła groźnie. —

— To są! są! odparła, ale tobie dziś nie o nich myśleć, tylko o matce, bo ta ci pierwszą być powinna.

Jaksa zamilkł i poszedł za nią zmieniony zupełnie, pokorny ale milczący. Matka nie wytrzymała długo, sama rozpoczęła rozmowę o niewiastach i żaliła się.

— Tak, rzekła, przywieźli mi je tu, te pieszczone kukielki, na które zdala chuchać trzeba. Nieszczęśliwemu dachu odmówić się nie godzi, a baby te ciężą mi. — Dziewczyzna piękna a wątła i słaba, tylko ty mi nie patrz na nią.

— Matusiu serdeczna — przerwał Jaksa, późna twa rada, widziałem ja ją nie raz ale sto razy, a co się ze mną stać miało, to się stało. Miłuję ją bardzo, miłuję strasznie, teraz gdy Petrek wygnańcem jest, spodziewam się ją dostać.

Wyrzekł to śmiało i stanowczo, matka odwróciła się nagle zagniewana, ale nie odpowiedziała nic. — Jaksa podszedł ku niej, odepchnęła go od siebie. Odstąpił i przysiadł

na ławie smutny, gdy stara po chwili przystąpiła doń, głowę rękami objęła i poczęła całować. Stariej nieznanie lzy kręciły się pod powieką. — To odpychała syna, to przyciągała go ku sobie — naostatek odtrąciła i poszła do ognia zadumana.

W téjże chwili nie wiedząc może o niczym, czy też domyślając się, wbiegła do izby Błogosława. — Stara chciała jęj zastąpić drogę, zapóźno. — Wbiegła wewnątrz i zobaczywszy siedzącego Marka, krzyknęła.

Jaksa się zerwał ku nięj — stanęli naprzeciw siebie w niemém zachwyceniu, któremu słów zabrakło.

Staruszka spoglądała na nich z boku, aż gniewna wpadła między nich, aby ich z tego osłupienia wyprowadzić. —

— Pozdrowienie wam od ojca waszego przywożę! odezwał się Jaksa. Dziewczę usłyszawszy ojcowskie imię, przebojem rzuciło się ku Jaksie.

— Ojciec! żyje więc ojciec! zawołała — a! chodźcież coprędzj do matki, poświadczcie to żywém słowem, pociescie ją! Żyje Ojciec. Bóg niech będzie błogosławiony.

Ze złożonemi rękami padła pośród izby na kolana.

Jaksa, który w prostocie swęj, nawet dla pocieszenia tych których kochał, kłamać nie umiał, dodał wnet.

— Żyje ojciec wasz okaleczony okrutnie, ale żywota już bezpieczny. — Ze Światosławem oba odprowadziliśmy go do młodych książąt do Płocka.

Zakrzyknęło znowu z radości dziewczę, posłyszawszy o bracie. Stara Jaksowa już teraz nie mogła nic, bo zapominając na wstyd wszelki, Błogosława chwyciła Marka za suknię u ramienia, i ciągnęła go gwałtem do matki.

— Chodźcie! zlitujcie się! chodźcie! Nie sprzeciwiając się odstąpiła Jaksowa, ale z brwiami namarszczonemi, mrużąc groźnie — że jęj syna zabierano. Szła wieczerzę sposobić dla dziecka, łając dziewczęta i rozpędzając je gniewnie.

Przez sien tylko przejść było potrzeba do komnaty, w której Petrkowa, cały ten czas więcej leżała niż siedziała. Złamana niedolą swoją, bezwładna większą część dnia spoczywała z głową osłonioną chustami, jęcząc i wyrzekając.

Gdy na próg wpadła Błogosława ciągnąc Jaksę za sobą i wołając.

— Żyje ojciec! żyje! Porwała się z posłania Marya, odrzuciła chusty, spojrzała na Jaksę, którego nie bardzo lubiła, jakby przeczuciem że jęj miał córkę odebrać i pytać zaczęła szybko. —

— Gdzie? co się z nim stało!

Jaksa nie zataił nic, opowiadając wszystko czego był sam świadkiem. Płakała znowu Petrkowa słuchając, a wtrącając pytania o syna, o ludzi, o skarby, potem wołać zaczęła rwąc się z pościeli jak nieprzytomna że natychmiast ztąd chce jechać do męża.

Córka objąwszy ją rękami, zaledwie mogła uspokoić.

— Miłościwa pani, rzekł Jaksa, nie może to być abyście teraz z zamku ruszyli. Ja sam ledwie się tu żyw dostałem, poganie dzicy i wojska Władysławowe wszystkie ziemie zalewają. Życia ani wolności nie byłibyście pewni. — Cześć tu potrzeba aż się wojna uśmierzy. W oblężonym grodzie, Płocku czy Poznaniu lepiejby wam nie było, ani bezpieczniej niż tu gdzie my, gdyby i dzicz nadpłynęła, zawsze się obronić potrafimy. —

Z mowy jego dopiero, gdy się szerzj zaczął tłumaczyć, dowiedziała się Petrkowa iż jest u matki Jaksowj, i — zamilkła zaraz zdziwiona a prawie przelękła.

W owych czasach obyczaj były inne — lękała się o córkę, aby ją siłą jęj nie wzięto. Złagodniała więc dla Jaksy.

Po długich pytaniach, na które Marek odpowiadał, coraz nowemi szczegółami, puszczono go nareszcie do matki. Wyszedł smutny i znękany, i widokiem Błogosławy tak przejęty, że sobie rzekł — iż gdy mu ją sam Bóg dał i do grodu przyprowadził, nie odda jęj już nigdy i nikomu, choćby za nią i wojnę toczyć przyszło.

Z tą myślą w duszy do izby powrócił, i myśl tę pewnie Petrkowa odgadła, gdy się strwożyła, dowiadując gdzie się znajduje.

Jaksowa chodziła chmurna jak noc, krzątając się niby koło wieczerzy. Gdy wszedł nie odezwała się do syna — usiadła na ławie naprzeciw niego, sparła na łokciu i patrzyła w twarz swojego dziecięcia.

— Hej! odezwała się długo przemilczawszy, myślałam że ci się zatęskniło do stariej matki, a tyś gnał na złamanie karku, nie do mnie do tych kukiel białych! Nie kłam przede mną, wiedziałeś że one tu są, nie dla mnieś tu jechał a do nich!!

Jaksa poczuł się mężem i odrzekł śmiało.

— Usta się moje nigdy liza nie zmazały — nigdy! nigdy! Szukałem Petrkowej, nie taję, alem nie wiedział że tu jest. Do ciebie mi serce tęskniło jak zawsze. Matka wskazała ręką w stronę izb naprzeciwko.

— A do tamtej, do tamtej, to ci się nie tęskniło??

— Nie skłamię, tęskniłem i za nią, tak już musi być, bo w tém wola Boża.—

Stara wstała od stołu. Milczeli oboje. — Nie mówiąc nic puściła syna spać.

Gdy w komorze legł sam Jaksa, nim mógł pomyśleć co ma czynić — z sobą, ze znużenia wielkiego sen go ogarnął. A że kilkoro nocy spędził drzemając tylko na siodle lub pod drzewem, gdy raz padł na posłanie, objęła go żelazna moc snu i trzymała do rana.

Matka już budziła prządki i ogień rozpalać kazała, a on jeszcze jak legł na jednym boku, ciągle kamiennym snem odpoczywał.

Dzień dopiero białe powieki mu otworzył. — Nim ruszył się z posłania rozmyślać począł. — Co tu pocznę? Nie godzi mi się zostać a nie chce się jechać? Co pocznę? Tak dumając a przewracając się doczekał aż mu matka sama polewkę przyniosła, spojrzął na nią z obawą. Twarz miała smutną a uśmiechniętą.

— Pij i jedz — rzekła — nie dąsaj się — jam ci nie wrogiem, tyś dziecko moje...

Pocałowała go w czoło. —

— Niech się dzieje wola Boża!

— Matuś rodzona! rzucając się jęj na szyję, zawołał Jaksa — ty mnie kochasz, ty mi tego nie wzbronisz!

— Albo ja ci bronić mogę? poczęła stara. — Ja? Tyś mężczyzna nie dziecko, ani się pytać powinienes o cudzą wolę, tylko swoją mieć. Plunęłabym na ciebie! Jedno wiedz. Weźmiesz słabą łątkę, tylko lzy z nią, bo to sił do życia ani do szczęścia niema! Nie daj Boże! A no — Bóg z wami!

Nie mówili więcej, odeszła prędko. Jaksa dumał chodząc dzień cały. Błogosława nie pokazywała się do południa.

Żyć tak z nią na zamku, stać na straży, łapać wejrzenia, zapominać o wszystkim nie myśląc jeno o sobie, błogo było, ale się nie godziło rycerskiemu dziecku.

Z południa poszedł Marek do Petrkowej i rzekł.

— Muszę ztąd z mojami ludźmi ciągnąć do książąt i do pana Petrka — może mi co do niego nakażecie? Pomyślcie, abym miał co odnieść. —

Błogosława spojrziała nań rumieniąc się.

— A kiedyż w tę drogę? zapytała Petrkowa.

— Bylem ludzi moich zgromadził, dziś po nich wysłę zawołanie, za kilka dni pewno pociągnę, rzekł Jaksa wzdychając.

Od Petrkowej poszedł do matki mówiąc.

— Ciągnąć mi trzeba — nie może być inaczej.

— Wiedziałałam ja że trzeba, odparła. — Wojna, to darmo, wojakowi za piecem siedzieć srom, — kisać tu z babami niezdrowo. Jedź — wypędziłabym cię sama. Nie czas się tu miłować kiedy drudzy giną.

Tegoż dnia po włościach Jaksy do Miechowa i za Miechów biegli dziesiętnicy i sotnicy na wojnę wywołując lud zdatny i pędząc do Komorowa. Kupami przychodzili z siół młodszy zbrojni, ale jak to czasu takiój wojny być musiało, licho i po domowemu, w siekiery i oszczepy. Z leśnych osad mieli niektórzy łuki, niektórzy tarcze lipowe, kaftany skórzane, reszta kożuchy proste, pałki nasiekiwane. Więc co było na zamku broni z dawnych czasów, zaczęto lepszym rozdawać, stanowiąc starszyznę, dziesiętników i obozowe straże. Stara Jaksowa sama szła patrzeć i gromadom piwo wytaczać kazała. Rada teraz była z syna i dumna nim.

Dopiero gdy sami się z sobą znaleźli wieczorem, a opowiedział jęj Jaksa, bez przechwałek ale szczerze, jak się mężnie księciu stawiał aby Petrka ratować, jak się ważył wszędzie, życia nieszczędząc gdzie powinność kazała; całować go poczęła w głowę, ścisnąć i twarz jęj chmurna rozjaśniła się radością.

— Idź tak dalej! zawołała — ojciec twój takim był — tobie innym się nie godzi być.

Ostatniego dnia, gdy już z zebranymi ludźmi ciągnąć przychodziło, nadjechał ks. Marcin. — Słyszał on już o tym co się działo w Komorowie, chciał się przypatrzeć oczyma własnymi.

Stara zobaczywszy go poszła na przywitanie z uśmiechem dwuznacznym, wskazując na drzwi za którymi siedziała zamknięta Petrkowa.

— Wyście to mnie, ojczu, biedy tej naprowadzili!

— Ja się tego nie wypieram — rzekł ks. Marcin, wyście się nadąsali, a może się już i cieszyście?

— Co mam robić — odezwała się Jaksowa po swojemu — muszę syna słuchać gdy męża nie mam! Ale ani on ani ja dłużej z tego pociechy mieć nie będziemy!

— Jam tu przybył nie o tym z wami rozprawiać, odezwał się ksiądz, ale radzić kędy ciągnąć. Książęce Władysławowe wojska są wszędy, dzicz po gościńcach potokami płynie. Bić się z nimi samemu nic potem, trzeba do kupy się zbierać, a jak się nasz dostanie do gromady?

Nadszedł właśnie Jaksu i księdza w rękę pocałowawszy.

— A — lasami! rzekł krótko.

— Byle wam ich starczyło — odparł ks. Marcin, i byleście w porę nadążyli, bo siły się pościągają nad Pilicą i bitwa za pasem.

— Więc dniem i nocą ku Pilicy pociągniemy, rzekł Jaksu, Bóg da że w porę staniemy, aby Władysława bić i gnać!

Ks. Marcin pokiwał głową.

Któż wie kogo pobiją? rzekł cicho. Pogan wam życzyć przeciw sobie mieć nie Władysławowych ludzi; a nuż Jaksu na Jaksę następować będzie musiał, i brat się potykać z bratem? Niedobra to wojna, odwróć Panie. Prosty lud i w dwu siołach sąsiednich nie czuje się do jednego rodu, ale wy, rycerscy ludzie jednego zawołania — co poczniecie?

— Bóg łaskaw, odezwał się Jaksu, my może nic poczynać nie będziemy potrzebowali, bo co jest pocziwych staną po stronie książąt, a Władysław zostanie z najemnikami swojemi. —

— Amen! zamknął ks. Marcin. —

Gdy wsiadać na koń przyszło, poszedł Jaksu raz jeszcze do Petrkowej żegnać się. — Stara matka oczyma tylko powiodła za nim, mruczając — niech już czyni jako chce!

A było to żeganie osobliwe, bo w niem narzekania więcej niż dobrych słów Jaksu posłyszał. Pieszczonę niewieście wszystko tu w niesmak szło, czém ją karmiono, jak cieszono, przez co los jej osładzać chciano — za każdą więc sposobnością skarżyła się tylko i bolała nad sobą. — I teraz zamiast poleceń do męża, rozwodziła żale nad dolą własną.

Plakała za utraconą wielkością swą, po życiu przeszłym, i wszystkiém co je przypomniało. Nie lubiła szorstkiej męskiego ducha gospodyni, nie podobał się i syn, ni ten stary dwór w którym znalazła przytułek. Wszystko dla niej szło na opak, a że córka była z nią zawsze, na Błogosławę spadały łzy, żale i kwasy nieszczęśliwej, — Błogosława milcząca znosiła wszystko, a, żeby nie pokazać że cierpiała, gdy obcy patrzali na nią uśmiechała się im smutnie.

Gdy Jaksu przyszedł opowiedzieć się że jedzie, a dodał że może do pana Petrka przedrzeć się potrafi i zanieś mu, co poleconém zostanie; zapłakała kniahinia, podniosła głowę, białemi ramionami ruszyła pogardliwie. Zdawało się że nic nie miała do nakazania biednemu ślepcowi, na którego narzekała ciągle, że z winy jego w to nieszczęście popadła. —

Błogosława widząc że matka milczy, odezwała się cicho.

— Powiedźcie ojcu niech nas do siebie zabierze, radaby matka i ja z nim i Światosławem być.

— Dziś to niemożliwe — rzekł Jaksu, wiecie że przez zwojowane ziemie przedrzeć się trudno. Da Bóg lepszy czas — uczynicie jak wola. Przebaczone jeśli wam tu u nas niewesoło i niezaczyszno i niemilo może — cóż robić? myśmy z matką do prostego życia nawykli.

Petrkowa nic nie odpowiedziała, poruszyła głowę, rozplakała się, rzuciła ręką, zakryła oczy i pochyliła się na poduszkę. Jaksu spojrzął na dziewczę oczyma błagającymi — zarumieniło się. —

Matka widzieć nie mogła, wyciągnęła mu rękę i ścisnęły się ich dłonie, bez słowa, w milczeniu.

— Wracajcie! wracajcie zdrowi! szepnęła po chwili Błogosława. Niech was Bóg prowadzi i odprowadza. — Modlić się będziemy. — Głos zamarł jój w piersiach, zakryła oczy, Jaksza wysunął się z izby...

A gdy siał na koń, obejrzał się jeszcze ku dworowi, i w okienku mignęły mu włosy złote... Ludzie już wrotami tłumnie ciągnęli w pole za chorągwią białą. — —

## VII

W gospodzie pod Wrocławiem letniego wieczora pełno było, gwaro i szumno. Po najważnicy wielkiej deszcz padał od godzin dwu, więc ktokolwiek tędy jechał z miasta czy do miasta zajeżdżał się schronić pod szepę, bo się rychło rozpogodzenia spodziewano.

Po skwarze długim ulewa ta przysła na ludzi jak błogosławieństwo, przynosząc z sobą woń drzew i traw odświeżonych, odżywione powietrze, trochę chłodu i jakby wiosenne tchnienie.

Cieszyli się nią wszyscy, ci nawet co od niej przemokli i ci których siano na pokosach leżało, a najwięcej ci którym w podróży dokuczyl upał i pył gościńca.

Stary Mikuł, żona jego Samicha, stary gęślarz wędrowny znowu się tu znaleźli, jak przed rokiem, tylko nie tak milczący i zaspani. Był i kmieć ów Tychon powracający znowu z Wrocławia, nie z przewodu ale z targowicy, było innych ludzi wielu, rycerskiego zawołania kilku, czeladzi różnej dość, kupca tylko żadnego, bo od tego czasu jak ksiązę Władysław wziął się do wojny przeciw braciom, Rusi i Polowców naściągawszy, nie wazyli się z żadną kupią do Wrocławia bezbronni handlarze, których siła po drogach Połowy pozabijali i z mienia poodzierali. —

Gościnnie dwór we Wrocławiu przy rynku pustował dawno, a w bramach stróże spali nie mając od czego brać opłaty.

Wśród tego tłumu, podzielonego na gromadki, dawny nasz znajomy otyły, rumiany, rubaszny Ojciec Maur znajdował się także, przyczekując rychłoli deszcz ustanie, wyglądając coraz przeze drzwi, bo mu cizba ta niesmakowała, i nie miał się z kim rozgadać, gdyż po większej części w gospodzie prości ludzie byli.

Ten i ów przyszedł go milczący pocałować w rękaw i odchodził odebrawszy błogosławieństwo.

Wtém od słoty obmokły jezdy jakiś, opończą okryty, zbrojny dobrze, na koniu podbiegł do drzwi i począł wołać gwałtownie, aby mu parobcy konia wzięli, bo sam już z niego zsiadał. — Widać po nim było podróż długą i pospieszną. Na koniu i na nim pyłu było dosyć osiadło, który deszcz zmienił w błoto. Suknie miał poszarpane, a wpatrzywszy się dostrzedz było można na odzieży jego ślady strzał i cięć, jakby z niedawnej walki wyniesionych.

Młoda twarz acz zmęczona, ożywiona była jakąś radością promienistą, w głosie jego brzmiała wewnętrzna pociecha.

Wszedł na próg, okiem rzucił w głąb na ludzi, a tuż mu się i Ojciec Maur nawinął. Ten się z ciekawością prawie natrętą zbliżył do niego.

Podróżny go witał a mnich przypatrując mu się wołał.

— Ale na Boga wielkiego — ja was znam! Gdzieżeśmy się to widzieli? bo, nie pamiętam!

— I ja nie wiem! odparł podróżny — może we Wrocławiu za innych czasów, gdy tam nasz Palatyn Petrek tak jak panował. — Wszak pewnie od Świętego Wincentego jesteście, ojcze?

— Pewnie! Zkądżeby był? To zgadnąć łatwo! Jeśliśmy się gdzie widzieli na tym świecie, to nie gdzieindziej tylko około Opactwa, koło którego my jak pszczoły koło ula brzęczemy.

W tém uderzył się Ojciec Maur w czoło.

— Ale! czekajcież! Nie pamiętacie? Tu w tej gospodzie, zjechaliśmy się ze starym Zaprzańcem jednego wieczora! Nie wy to byliście?

— Jam był — przypominam sobie, odezwał się podróżny.

— Od tego czasu wody dużo upłynęło! zawołał ksiądz.

— O! i krwi! dodał podróźny.

To mówiąc obejrzał się do koła i w głąb gospody, kędy ludzie stali zbrojni, trochę nieufnym mierząc ich okiem. Mnich przypatrywał mu się, badał go wzrokiem pilnym i coś poszeptywał.

W tém na gospodzie, gdzie ciżba była narodu wszelkiego, wszczął się gwar wielki, zaczęli mu się przysłuchiwać oba.

Tychon kmieć głośno prawił, ręce powkładawszy w kieszenie.

— A mnie tam co do tego kto nad nami będzie panował? Ten czy drugi zawsze ze skóry drżać będzie, bo nasza kmiecia skóra na to jest. Im mniej tych co jój potrzebują, tém ona calsza. Jak nam książę Władysław jeden królować będzie, a resztę wyżenie precz, tém ci lepiej. — Choć odetchniemy, póki małe książątka nie podrosną.

Drudzy patrzali na kmiecia koso, ten prawił śmiało.

— Jakby i tych Biskupów, klechów i mnichów, dodał wskazując na Ojca Maura, przetrzebili trochę, a mniej się ich zostało, nie szkodziłoby to kmieciom nic. — Mruknął ktoś z kąta, wszyscy słuchali w milczeniu, ale ramionami ruszano.

— Ino na Ojców nie mówcie nic — odezwał się jeden, jest z nich korzyść bo rozumu i Pana Boga uczą, drzewa i ziola sadzą, sięją zboże nowe, i rzemiosła zaprowadzają.

— Jakby my wprzódy za dziadów naszych — odezwał się rozochocony kmieć ani Boga ani rozumu nie mieli. A im i za Pana Boga i za to co uczą płacić trzeba, dziesięcinę dać, służby odprawiać, stróże posyłać, ba i —

Tu głową dziwnie pokręciwszy, rozśmiał się i nie dokończył.

Niektórzy mu, zrozumiawszy go głośnym śmiechem odpowiedzieli.

— E! e! zawołał drugi od stołu, prawcie wy sobie co chcecie. — Pogany nam kraj zalały, zjedli nas i stratowali, te chrząszcze czarne, co ledwie ludzką twarz mają. Wojna! niechby nasz pan wojował ze swojemi, a to — wszelkiego paskudztwa nawiódł, że się nam trupami i popieliskami ziemia zasała. Niemcy gdy najadą, złe i dzikie, Węgry gdy przyjdą, okrutne, Czechy, choć naszą mowę mają, jak zwierz nas żrą i szarpią, ale ci co ich tu teraz lichy nagnało, gorsi od tamtych wszystkich — stado wilków wściekłych i głodnych. —

— Wszyscy oni jednakowi, odparł Tychon, tylko że oto dziś tego plugawstwa więcej, gorzej nam dojada. — A kiedy się to skończy!

— He! Nie bójta się, odezwał się jeden ze zbrojnych, skończy się to rychło, da Bóg. Nasz książę Władysław dopiero rozpoczął, jeszczeście nie kosztowali co on wam gotuje. — Połowy tego nie było co będzie, — ale potem — odpoczniecie!

— A! Chryste broń! zawołał Mikuł ręce podnosząc do góry.

— A toć was stłukli na miazgę pod Pilicą — odezwał się ktoś z tłumu, uciekaliście wy i książę jak myszy przed kotem, nie bądźcież butni!

— Co za dziw że nas pobili pod Pilicą? krzyknął jeden ze zbrojnych. Ziemianie księcia zdradzili, ich ile jest wszyscy zdrajcy, z książęty trzymają. — A czemu? Bo książątka młode jak zechcą za nosy wodzić będą, a naszego starszego księcia i Agnieszki nie potrafią. Toć młodych wołą; zamiast coby oni panowali, ziemianie im będą przewodzić!

— No, a godziż się to, przerwał jeden z gromady, mieszczanin z Wrocławia, ażeby po królu nieboszczyku jeden zabierał wszystko, a drugim nie dał nic? Gdzie to kto widział aby starszy brat młodszych ograbiał i wypędzał?

— Albo co? przerwał Tychon — a małoż się tego widziało? Kto siłę ma ten dusi, swat czy brat, choćby rodzony ojciec, jak się nie obroni won iść musi!

Niechby małe książątka sobie jechali za siostrunią do Niemców — nam tu i jednego dosyć. — Wojnaby się skończyła.

— Pewnie że skończyłyby się — dodał jeden ze zbrojnych. Nasz pan jój nie winien, opuścili go wszyscy i obcemi musi własne dziedzictwo zdobywać. —

— Ani on je będzie widział! zawołał ten co wprzódy mówił o porażce pod Pilicą. — Pobili was raz, pobiją dziesięć razy. Nie zawojujecie tych ziem! Któż z wami? Sami obcy, — księża Biskupi i ojcowie na was, bij, zabij, juści oni wiedzą gdzie sprawiedliwość!

— Eh! zawołał żołnierz. — Biskupy i mnichy pójdą z tym kto zwycięży. Oni do wojny niezdatni, my się ich nie bojemy.

— Na! na! przerwał towarzysz pierwszego, zbrojny także — to nieprawda. — Ho! ho! mają oni czary wielkie i siły w rękach — więcej mogą niż pułki całe. Czyżście to

nie słyszeli, co było niedawno, ksiądz wyszedł na pagórek, ino ręką machnął, sotnie się powaliły na ziemię jak kosą podciął.

— Że oni coś znają, to pewna — potwierdził Tychon, który między rozprawiającemi rej wodził. Znają wiele i są czarnoksiężnicy. — Z niemi się zadawać niezdrowo!!

W tém z ciżby ktoś zawołał.

— A jakże tam było pod Pilicą? dużo natłuki?

— Natłuki dosyc — rzekł żołnierz — i rozbiegło się i porozchodziło dużo. A co to ma do tego? Teraz już wszystko naprawione. Było kilka tysięcy tych czarnomazów, teraz jest ich chyba kilkadziesiąt. Ćma niepoliczona.

Gród za grodem się poddają — ino jeden jeszcze podobno został. Jak ten weźmiemy, wojna skończona, książąt niestanie, a Ojcowie księża nam się pokłonią.

— Jakież to tam gród się trzyma? zapytał inny?

— Poznań! rzekł zbrojny.

Gdy się tam rozmowa toczyła przerywana śmiechami i wykrzyknikami, Ojciec Maur słuchając jój po troszć, że mało rozumiał, odciągnął na bok przybyłego.

— Prawdaż to co ci ludzie tam plotą? zapytał.

I widząc że podróżny się zawahał, dodał zaraz.

— Przedemną wy mówić możecie, wiecie że my wszyscy Petrkwowi jesteśmy słudzy, z księciem Władysławem nie trzymaliśmy nigdy i — da Bóg, trzymać nie będziemy. Prawdaż to że pogaństwa ćmy płyną znowu?

— A, prawda! odparł młody spokojnie, ale one płyną i rozplyną się. Rozbiją się o Poznań jak fale o skalę!

— Gród że to tak mocny? zapytał Mnich.

— Mocen ci jest! — dodał młody, ale tém że ma w sobie ludzi mocnych. Arcybiskup Gnieźnieński i wszyscy panowie Biskupi z nami. Jadę po ks. Janika.

— A u nas prawią, że Władysław już wszystkie ziemie opanował, i że nadziei wybawienia od niego niema.

Podróżny wzgardliwie ruszył ramionami.

— Tak to wygląda dla tych, co bliżej rzeczy nie baczą — rzekł. Książę Władysław, prawda, owałdnął wielą zamkami, a że mu bracia ustępowali na Poznań ciągnie, ale tam go koniec czeka.

Mnich spojrział niedowierzająco.

— Hej? hej? czyżby tak było? pewnali?

— A cóż w życiu ludzkiem pewnego? odparł wzdychając młody. Mówię wam co ludzie rozumni i poważni twierdzą — więcej nie wiem. Co Bóg da, on jeden świadom.

— A wy? jedziecie po ks. Janika?

— Tak jest.

W izbie zaczęli się ścierać, ci co byli za księciem Władysławem, z temi co za młodszemi książęty ciągnęli, klócić się już gotowali, a Tychon się śmiał.

— Dajcież pokój, trutnie — wołał ze swą butą kmiecą — a co wam potem czy jeden czy dwu panować będzie? byle wam kury niosły i pszczoły miód dawały, krowy się cielify i na owcach wełna rosła? Nie wasza sprawa ani ich kochać, ni ich nienawidzić? Byle wojna ustała, kto z niej wyjdzie cały, mnie wszystko jedno. Książę Władysław zostanie? pokłon mu biję, będzie Bolko, padam na twarz przed nim, dadzą mi Mieszka? i ten dobry. Żaden poradnego nie daruje. Co innego gdyby żadnego nie stało!! Hej! hej!

Potakiwało mu wielu, bo im się najrozumniejszym wydawał. — Ojciec Maur słuchał usiłując zrozumieć i niecierpliwiąc że nie wszystko pojmował.

Tymczasem deszcz nie ustawał jeszcze.

— Nie wiecie tam, ojczu, zapytał młody podróżny, co słyhać o pani Petrkwój?

— Tylko tyle że gdzieś bezpieczna siedzi w mysiej jamie — rzekł ksiądz. Nasz Opat, który wielkim jój przyjacielem jest, spokojny o nią, pewnie jój dobrze być musi. A wy, o Petrku nie wiecie?

— Owszem, z książęty jest razem, a, choć mu oczy wydarto, widzi, choć język urzeczano, mówi!

Ojciec Maur ręce złożył.

— Cud Matki Boskiej! zawołał. — Cud prawy! A nie dla czego innego Bóg nad nim miłosierdzie miał, tylko że naszego Ojca Benedykta reguły klasztorów tyle fundował... Za to mu płaci niebo. Ale jestże tak istotnie? Mówcie? Widzieliście go sami?

— Jako was widzę, ojcie mój — rzekł podróżny. Wy płynęło oko jedno, drugie cudem ocalało, język ucięty służy mu, mówi nim. —

O. Maur stał w zachwyceniu.

— Relikwie miał przy sobie tak szacowne, dodał — jakich nikt nie posiada! One mu wyjednały opiekę i ocalenie cudowne.

— I jak on cudem ocalał — odezwał się młody podróżny, tak my cudem nad Władysławem i jego sproszeni tłumami zwycięstwo odniesiemy wielkie.

— Amen! Amen! dokończył Mnich. Wojna ta i nas już kosztuje dużo. Klasztorów kilka złupili poganie, kościołów popalili niemało, braci naszych brodatych poginęło wielu!

Deszcz powoli ustawać zaczynał. Do stojących we drzwiach zbliżył się ciekawy gęślarz, przypatrując się im, podsłuchując i dopominając jałmużny. Poznawszy księdza po sukni wnet się cofnął, bo między śpiewakami ludowymi, sprawiającymi jeszcze jakby rodzaj potajemnego kapłaństwa, a duchowieństwem nigdy zgody nie było. Gnano tych ludzi, podejrzanych o gusła i czary precz, pozbywano się ich zewsząd. Mimo to żadne wesele, chrzest, pogrzeb nie obszedł się bez tego, aby się tam nie wkradł choć jeden guślarz, i nie odprawił cicho jakiegoś obrzędu, nie odśpiewał pieśni, nie wziął należnej daniny.

Od czarnej sukni Mnicha, gęślarz jak przestraszony, pierzchnął zaraz na stronę i usiadłszy na ławie zdala, brzdąkać nawet po strunach przestał.

Gwar się wzmagął w gospodzie, po piwie rozgrzani wszyscy prawili i opowiadali o tém co kogo bolało. —

Jeden gromadzie opisywał, jak z sioła nad gościńcem uchodził.

— Widziałem ich sam na własne oczy moje — prawił, tych pogan z za morza. Lud mały, ogorzały, śniady, włosy czarnego, ślepią wpadłe jak u kreta, nosa mało co, gęby dużo, zęby ostre białe, a choć to szataństwo drobne i wątłe się zdaje, mocne jak żelazo. Kozuch ma ledwie wytarty na grzbiecie, łuk i strzały, kawał noża krągłego, konie małe jak żaby — ale sunie się tego jak mrowia, jak gąsienicy i gdzie to przejdzie zje, spali, stratuje że żdźbła po sobie nie zostawi. A żrą bestyje nawet padło. Jak naszli Osowiec, z którego kto zwawszy uszedł na błota i lasy, jak tam pół dnia postali, nie było i kolka w płocie. Kościół złupili, księdza obwiesili, dzieci z kolebek powyrzucali i pognietli — a gdy odciągnęli nikt swęj chaty miejsca nie odszukał. — Czego zabrać nie mogli to spalili... i poszli dalej. —

Milczeli słuchający, grozą przejęci.

— A dobrze wam tak! zamknął zbrojny człek. Po co ziemianie panu naszemu Władysławowi opór stawiają? Po co? Albo pan zły?

— Taki jak i drudzy, wtrącił Tychon, bo oni wszyscy do siebie podobni, ta tylko między nimi różnica, że jeden co się objadł odpoczywa, a ci co głodni więcej jedzą. — Ja sytych zawsze wolę!

Mikuł rozdając piwo ciągle powtarzał:

— Aby już temu raz koniec był!

Słota się nareszcie kończyła, deszcz coraz drobniejszy przekrapiał, niebo miejscami odsłaniać zaczynało, strzepnął opończę swą młody, zabierając się na koń wsiadać, mnich też wyjrawszy, do odjazdu się sposobił.

Ten i ów z gromady szedł do koni, gospoda się wypróżniała. Na młodego podróżnego, rycerskiej postawy, którym, jak się czytelnicy domyślą łatwo, był Jaksa nasz, dwaj zbrojni książęcy ludzie, zaczęli spoglądać ciekawie, szepcząc coś pomiędzy sobą. Odzież i broń wydawała się im snadź podejrzaną.

Ten już się wybierał jechać, gdy oni też za nim wyszli do swych koni, i, co rychléj na nie powsiadali. Jaksa właśnie na siodło skoczył.

— A wy to zkąd? zapytał jeden z żołnierzy.

— A wam to na co? odparł Jaksa.

— Bo my jesteśmy ludzie książęcy, którzy straż sprawiamy wedle grodu.

— Toć, ja go wam przecie sam jeden nie opanuję! odparł szydersko Jaksa.

— A cóż tu robicie? badał natrętnie się podsuwając, starszy.

— Czyż to już ziemianinowi swobodnie po gościńcu jechać niewolno? spytał Jaksa.

— A no! a no! wołał żołnierz, musi się przecie przed strażą wywieść, kto i co jest. Jam tu dziesiętnikiem. Teraz ziemianie różnie trzymają, oko na nich trzeba mieć.

Jaksa się już nie oglądając na nich i nie odpowiadając, ruszył z miejsca — ale, oba żołnierze tuż przy nim jechać zaczęli.

— Nie powiecie coś zacz? pytał dziesiętnik do konia się przysuwając.

— Jadę do miasta, w mieście się opowiem, nie na gościńcu — zawołał Jaksa gniewnie.

Popatrzał na ich konie, jakby chciał obrachować czy od nich ująć potrafi. Szkapo mieli dość liche i pomęczzone. Koń Marka był też drogą podbity, ale silnych nóg i bardzo skorych chodów.

Nagle więc wśród rozmowu wyprzedzać ich zaczął nieznacznie. Skoczyli za nim truchta nawołując.

— Stój tam! Słysz! Stój!

— Stójcie sobie, ja wam nie broni — zawołał Jaksa. Ja uczynię co mi się zda, bo słuchać was nie potrzebuję.

W tém konia ostrogą spiął i popędził. Żołnierze za nim. Ale znać było od razu że oni mu nie podolają.

Słyszac tę żwawą rozmowę, co było w gospodzie patrzeć się wytoczyło. Jaksa kłusował już bardzo spieszenie, dwaj zbrojni gonili go, konie ćwicząc napróżno. Jednemu z nich szkapa nad miarę chłostana znarowiła się, ogonem merdać poczęła ze złości, stuliwszy tylne nogi, a przedniemi hece wyprawiać i dęba stawać.

A im ją zajadłej siekł, tém uporniej stała; drugi tymczasem na towarzysza nie zważając, wysworował się naprzód i pędził. Pogoń była osobliwego rodzaju, bo koń żołnierza zmęczony ledwie się na trucht mógł zebrać. Jaksa zaś swego nie puszczając czwałem, na siodle się zwrócił twarzą do goniącego, kłusował powoli śmiejąc się i odsadzał się od niego coraz dalej, choć nie bardzo spieszył. Tamten zaś kłął a kłął i swojego podjezdka i uparte zwierzę, które towarzysza jego w miejscu trzymało.

Zebrał się nareszcie na tęższego kłusa, gałąź ułamawszy aby konia nią okładać, ale na wyciągniętego jak Jaksie niestać go było, i Marek coraz się bardziej oddalać począł. Wóz też Ojca Maura, wyjechawszy z pod gospody, rączo ruszył gościńcem, bo miał spase konie klasztorne.

Tychon, którego żołnierze do pogoni chcieli zabrać, ani myślał się ruszać.

— Albom głupi! wołał — wołę powracać do domu! Na gościńcu mnie do pogoni brać nikt nie śmie, okrom księcia samego. Co mi tam!

Jaksa w dali coraz znikał, nareszcie za wierzby nade drogą się skrył. Tyle go widzieli.

W gospodzie śmiechu było pełno. Guślarz wyszedłszy na próg, stał i brząkał coś a mruczał jakby podśpiewywał sobie.

Zbliżył się do niego jeden podpiły, i klepiąc go po ramieniu, rzekł śmiejąc się.

— No — a wy, starowino, co myślicie, kto u nas będzie na wierzchu?

Guślarz począł wahać głową, palce po strunach biegały mu coraz żywiej.

— Sokół i sokolicha długo wróble jedli — począł podśpiewywać sobie, nie patrząc na pytającego, — jedli i latali górą! Aż się wróble zbiorą kupą, za sokołem lecą, to ten dziubnie, to ów dłuźnie, pióra z niego miecą. A gonią a gnają. — Co się sokół zwróci, to wróbel upada, ale cztery stada, gromada nielada. Już i kruki z niemi, pędzi cała chmara! Sokół mdleje, siada, wróble, kruków mnogość leci, dziubią oczy, skubią skrzydła. — Wróble poczęły, skończyły kruki, rozerwały na sztuki, na sztuki! Krucy lecą, kości świecą. — —

Ludzie słuchając pokiwali głowami, guślarz pobrzdakał jeszcze, na ławę siadł, głowę spuścił. Szeptano cicho. —

— Byłby Sokół cały, gdyby nie Sokolicha!

Na drodze nie widać już było Jaksy, dojeżdżał do wrót grodowych, stróże w nich stali. Zwolnił sobie kroku, włókł się pomalutemku noga za nogą. Dojechawszy do bramy, gdy stróże przepytywać wstali, konia spiął nagle, przez wrota skoczył i minął ich. Zerwali się za nim wołając, ale już przepadł kędyś między chałupami, ani śladu! Kie lichu! Kie lichu! Pokiwali głowami i usiedli!

Jeden drugiego łajać począł.

— Tyś winien. — Tyś się zagapił. — W tém nadjechali społem już oba zmęczeni pogońce.

— Jechał tędy konny?  
— A juściż. —  
— Kimże się opowiadał?  
— Końskim ogonem — odparł jeden ze stróżów z gniewem, tyleśmy widzieli go co nam pod nos zamiótl chwostem.

Cóż robić było? Ziewnęli u wrót stojący, zakłęli i siedli.

Jaksa tymczasem już do biskupiego dworu się zbliżał, a tu, nie czekając aż mu otworzą, z konia zsiadłszy do furty walił. Co trzy razy uderzył, to stanie i czeka. Za drugą trójką otwarto wrotka, wpadł przez nie, konia ciągnąc za sobą. — Zamykać! zawołał — a spyta kto? mówić, nikogo nie widzieliście. —

Opasły stryjaszek witał już w podworcu synowca i ścisnął go ciesząc się. Razem poprzedzili do ks. Janika.

Biskupowi wojna już srodze była dojadła. Księży mu wybijała jak muchy, dziesięciny zagrabiała, mnożyła niepokój, zły też był na nią, bo i na łowy trudno się było wychylić.

Zobaczywszy tu Jakś znowu, uląkł się ks. Janik.

— A pocóżeś tu głowę przyniósł? zawołał.

— Musiałem! odparł Jakś, was ztąd wyciągnąć mi kazano.

— A jaż tam po co? odezwał się ręce składając ks. Janik. Mało ich tam jest i nie wiedzą sami co czynić? jeschcem ja im potrzebny, który od nich nie więćej wiem!

— Jako ono jest to jest, odezwał się Jakś, ks. Pasterz Gnieźnieński pilno was do siebie do Poznania powołuje. Z tem jadę.

— A ja mu tam do czego?

— Biskupów potrzeba jak najwięćej, odezwał się Jakś, aby ich powaga siły nasze poparła. Sam ks. Arcybiskup wybiera się do obozu. —

Biskup podniósł oczy do góry. —

— Daj Bóg abyśmy mu cokolwiek pomogli — westchnął. Wojna to z ludźmi co ani Boga ani sług jego nie szanują. Myśleliśmy gdy się nam poszczęściło pod Pilicą, że temu już będzie koniec. Niezbożni dwakroć więcsze siły zebrali i poszli brać grody, i pobrali jedne po drugich. — A nas szczupła gromadka!

— Nas duzo, ojcie kochany, poczał Jakś ręce jego całując. Wszystko się tak składa że gdzie oni tryumfu się spodziewali, tam zgubę znaleźć muszą. Odbiegną Władysława wszyscy, gdy ujrzą że Bóg go opuścił, gdy Arcybiskup klątwę nań rzuci uroczystą.

— Gdzie? jak? kiedy! spytał ks. Janik.

— We własnym jego obozie, wobec jego ludzi — mówił Jakś — tak jest postanowiono.

Ks. Janik zadumany, milczał.

— Więć mnie tam żądają? rzekł po chwili.

— Z tem tu przybyłem, poczał Jakś wesoło. Do samego Wrocławia chwytałi mnie po drodze, nie mogąc pochwycić. — Oto dzięki Bogu stoję u celu, a teraz gdy suknię waszego sługi przywdzieję i z wami nazad jechać będę, już mi się nic stać nie może.

Ks. Janikowi twarz się powoli rozjaśniała.

— Powiedz mi co o naszym Petрку? Jak mu jest?

— Mężny jako żaden, cierpliwy jakom nie widział nikogo — odpowiedział Jakś. — Wszyscy go tam jako męczennika czczą, albowiem się nim stał i odmienił a stał prawie innym, świętym człowiekiem. Modli się i w duszy pogodę ma, jak gdyby z tego co mu się przygodziło, cieszył. —

Mówili jeschce, gdy po rączym chodzie i jasnym głosie, poznał Biskup nadchodzącego Starostę Rogera. Zwrócili się ku drzwiom wszyscy. Wszedł rażno, wesół i śmiejący się jakby walną bitwę wygrał. Biskup patrzył nań gdy mu ręce całował, nie pytając a czując że sam zaraz spowiadać się zacznie.

Jakoż Starosta głowę podniósłszy, wnet mówił.

— Wasza Miłość jużeście i nieciekawi i zkad jadę?

— Owszem, czekam abyście mi waszą wesołą twarz tłumaczyli.

— Jadę od Mikowa i od Jerzego z Głogowa — zawołał Roger. Prawda żem się im i kłaniać i modlić i nogi całować musiał, alem naostatek ich obu pozyskał. Jerzy zamku nie poda! nie! Mików będzie trzymać z nami i ta dzicz pogańska padnie, rozlezie się jako gąsienice po ulewie w błoto wsiąkając. — Będziemy górą!

A obejrzawszy się na Jaksę. —  
— Ty z kąd tu! Jakso? zawołał.  
— Z tamąd gdzie, maluczko a wszystko się rozstrzygnie — rzekł uśmiechnięty Marek.

— I widziałeś kochanego pana mego?

— Jak was widzę!

Roger skoczył ku niemu. —

— A mówże, mów, jak on jest? Padłli? znękan? przybity? Zwątpił? Chory czy zdrów?

— Tak jak wy w miłosierdzie Boże ufa — mówił Jaksa, i wesół jest jak wy, i powiada że cały wzrok odzyska, gdy Kaima z ziemi wyżeniemy. —

— A że bezbożnik wygnany być musi! okrzyknął Roger wielkim głosem, to tak pewne jest jak że Bóg na niebie! Jam na jedno okamgnienie ani zwątpił ni się uląkł! W powrozach ich, w więzieniu, pod groźbami śmierci, śmiałem się i radowałem zwycięztwu! Jak ono przyjdzie? z kąd? Spadnieli z niebios, wyrośnie z ziemi, nie wiem; ale wierzę w nie jak w Boga wierzę.

Biskup Janik przejęty, uściskał go.

— Mówi pismo iż wiara góry przenosi, nie wiem, może ta twoja wiara uparta, którą ja naganiałem nieraz, zwycięztwo przeniesie na stronę naszą. — Ale prawdaż to że Mikowa zyskałeś, że Jerzy z tobą!

Roger palce złożył jak do przysięgi.

— Opierał się Juras, rzekł — bał się Mików, pókim ich nie poruszył wstydem, nie ubłagał prośbami; nie pokazał że sromemby się okryli gdyby nie pomścili zbrodni na Petrku dokonanej, na tym panu, który w sercu nieboszczyka króla pierwsze miał miejsce, który ziemie nasze wielokroć wybawił, który je kościołami okrył, klasztorami zasiał, murami odział, a bronił sprawiedliwości przeciw bezprawiu. —

Jaksa z poszanowaniem ujął Rogera za długo wiszący rękaw zwierzchniej sukni i kraj jego pocałował w milczeniu. —

— Bóg niech wam nagrodzi! szepnął cicho.

— Nie mnie nagrodzi on, przerwał Starosta, ale tego pana, męczennika, którego tryumf oglądać będą oczy nasze! Sprawa Petrkowa sprawą Bożą, a Władysławowa szatańską. Zapalił się tak Roger, aż Biskup znak mu dał ażeby się miarkował.

Mówić zaczęto o innych grodach, do których książę Władysław rozesłał gońców, aby się na gwałt mu poddawały. Radzono jak je obronić. Biskup mniej miał odwagi, wiedząc jak ogromną przestrzeń ziem zalewały posiłki Władysławowe. Jeden prawie Poznań pozostał już w rękach młodszej braci.

Roger się tém nie trwożył. —

— Co odpadło powróci! mówił — dosyć mieliśmy panowania krwi i ognia — ostatnie to konanie jego!

Biskup, który się zrazu zdał wahać z podróżą, teraz gdy pomyślał, że na koń sięć będzie mógł, a ciągnąc kawał drogi lasami, może i zwierza zobaczyć i sokoła gdzie spróbować — odżył nieco i nagle począł sam. —

Jaksa rad był zbiedz jeszcze do Komorowa, ale mu na to czasu dać nie chciał ks. Janik, zaraz nazajutrz wybierając się do Gniezna, rozkazując aby konie miano w pogotowiu, ludzi mu dobrano i dwór, sakwy, psy i ptaki.

Z małym bardzo orszakiem puścić się w drogę nie było można, bo, choć od wszelakiej napaści duchownego suknia i krzyż bronił, Połowcy dzicy na nie nie zważali. Trzeba było gotować się aby w razie napaści jednej z kup, które się po kraju wałęsały samopas, skutecznie się jej obronić. Dla Biskupa taka przygoda wstrętliwą nie była, rycerski duch jego, który suknia przygniatała, rad był być zmuszonym do życia obrony i zdobycia bodaj oręża, którego mu, zwykłego czasu nosić nie było wolno.

Sprawy Biskupstwa zostawały przy Archidyakonie Robercie, reszta psów i sokołów na opiece pana brata, któremu opasłość z miejsca się ruszać nie dozwalała. Co miał zwawszego ludu ks. Janik, wszystkim nazajutrz hasło dano, aby z końmi gotowi byli do pochodu. Wszyscy też długo między parkanami zamknięci, rozkazowi byli radzi. —

Na zaraniu odprawiło się nabożeństwo, konie pod kościołem już prychały gotowe, czeladź mnoga kręciła się około progów. Dzień był piękny i świeży po deszczu wczorajszym.

Jaksa wdziawszy dworską barwę, wmieszał się do biskupiego orszaku. Wyjeżdżającego Biskupa, żegnał Opat z Benedyktynami, przeprowadzał Starosta Roger, który na Szlaku pozostać musiał, aby tę ziemię dla młodych książąt zachować.

Jechali tak do wrót miasta, u których straż stała jak wczora. Przed Biskupem pokłonili się pokornie, ale jeden z nich podniósłszy nieco głowę, Jaksę zobaczył i poznał. Potrącili się łokciami.

— Ten sam jest! szepnęli — Biskupi sługa!

Letnia podróż na dziarskim koniu, komuby nie była do smaku? Biskupowi też czoło się zaraz wyjaśniało, gdy powietrzem wolnym odetchnął i okiem sięgnął ku sinym lasom. Chwalił Boga w cudownych dziełach jego, w krasie letniego poranku pełnego wonności świątecznych i blasków tęczyowych.

Lecz dalej jadąc zasepiało się czoło. Przerzynali okolice któremi przeszła już wojna, a po niej naówczas nie pozostawało nic — popiół tylko i kości!

Wśród lasów zabiegły im drogę gromady ludzi głodnych, na wpół nagich, wycieńczonych, żyjących grzyby i jagodami leśnymi lub pochwyconym zwierzem — prosząc o chleba okruchy. Gromady te trupów żywych płakały po spustoszonych siołach swoich, a gdy je minęły, długo jeszcze jęk ich gonił za nimi i w uszach się odzywał...

Gdzie przepłynął ów strumień śmierci, tam i liści na drzewie nie pozostało; w wielu miejscach gorzały lasy, płonęły wyschłe łąki, świeciły dogorywające stogi, chmurą czarną dym się nad puszciami kłębił, płowemi płomieniami poroździerany.

I gdy ciągnęli drogą padały podpalone sosny obsypując ich iskrami, zwierz spłoszony wybiegał stadami przelękły, zmieszany pospołu, żubry, łosie, sarny, wilcy, — bo płomień gnało za nimi.

Drugiego dnia już tylko czarne, zwęglone przebywali zgliszcza, z których kruki się zrywały, ogryzujące kości białe, zwierza i ludzi. —

W dali czasem mignął im mały oddział jakichś ludzi, i chował się w gęstwinę.

Poobalane leżały krzyże, pospalane i poryte cmentarze, na rzekach mosty były powywracane, pustynia smętna wszędzie, a nad nią to niebo wiekuiście pogodne, jasne, wesołe, które straszy jak nielitościwy wyrok, nawet lżą nieskropiony.

## VIII

Jak gród grodem stał nad Cybiną i Główną, nigdy tu jeszcze takiego zbiegowiska ludu nie było jak teraz, gdy Poznań ks. Władysław oblegał. —

Jak okiem sięgnął rozkładał się do koła obóz Władysławowy, albo raczej kilka obozowisk połączonych z sobą.

Stały jedne przy drugich szałas, jak grzyby z ziemi wyrosłe, ciasno zbite, dalej namioty białe, szare i pasiaste, i szopy naprędce poklecone, a wpośrodku na pagórku widać było, niby dwór ogromny namiot pański, nad którym wysoko czerwona wiała chorągiew. — Wiała wysoko, dumnie, zdając się urągać wieżycy na zamku oblężonym, która też czoło podnosiła do góry, a na nią tkwiło także czerwone znamię królewskich dzieci. —

Niewielki gród, choć warowny, wśród tej okolicy gęsto, szeroko ludem nabitę, zdawał się jakby orzechem w potężnej dłoni, co go ścisnąć mogła i na miazgę zgruchotać.

To też na zamek ów patrzano z obozu księcia Władysława, jako na łatwą zdobyc, którą każdej godziny pochwycić było można.

I księżę Władysław teraz inaczej myślał, innego się spodziewał, niż gdy z pod Pilicy sromotnie uchodzić musiał. Coraz wychodził z namiotu swojego, i w boki się ująwszy, spoglądał na gród, bo w nim zebrani byli wszyscy, których ująć chciał aby wojnę zakończyć. Bracia młodszy czterej, Petrek zdrajcą mianowany, Wszebór zdrajca drugi, a mnodzy inni, których zdrajcami zwano.

Na grodzie oblężonym tak cicho było, tak się wydawało pusto, jakby go już rozpacz ogarnęła, i oniemiła, albo nadzieja karmiła niepojęta.

Czasem z wieżyczki nad tumem słyhać było dzwonek wołający na modlitwę, niekiedy trąby zwoływały ludzi, potem na wałach, za ostrokołami i przymurkami ledwie się gdzie głowa z hełmem pokazała i znikła.

Na wieży tylko grodowej czasem widać było wchodzących kilku zbrojnych, co się po okolicy rozglądali. Widok jaki się z niej rozpościerał, najmężniejszego mógł strwożyć serce.

Tysiące koni pasło się po łąkach, tysiące ludzi obsiadało ogniska, gwar, jak z kipiącego kotła, dzień i noc nad obozem się unosił; gwar zmieszany dzikich pieśni, krzyków ludzi, rżenia koni, beczenia i ryku stad na rzeź pędzonych, niezrozumiałe brzęki i szczęki broni i ruchów tłumu.

Osobną ławą leżeli Połowce, prawie bez namiotów i osłony, na gołej ziemi u kotłów swoich. Kupa ich każda kocioł swój miała i do niego się garnęła, a na tykach pozatykane były znaki ich dziwne, ogony końskie i pierze a skrzydła jakichś ptaków.

Czasem na małym koniu, przytulony do niego, jakby z nim zrosły, człeczek mały, nogami brzuch jego obejmując, zwieszony nad grzywą, przesuwał się między namiotami, schylał się ku ziemi, chwytając z niej co chciał, zsuwał ze szkapy, wskakiwał na nią, nie wstrzymując w pędzie. —

Czasem dwu się ich uganiało z oszczepy, podrzucali je w górę i łapali, wiskiem dzikim napelniając powietrze. U ognisk gdzie niegdzie odprawiały się jakieś obrzędy, zwlekali ludzie w milczeniu, nagle jeden z nich padał, wil się pniąc i wrzeszcząc, a drudzy jak szaleni latali w koło, póki nie popadali znużeni, i nie nastąpiła cisza grobowa.

Indziej związanych trzymano jeńców na powrozach, owdzie ryhocząc dzielono pobrane łupy, ucinano łby wołom, odzierano ze skór barany i pieczono je na ogniach i kamieniach. — Tu i ówdzie stały kadzie i beczki, a gromady leżały przy nich. Górą po nad tém nosiły się kruki i galki, jakby już sobie ludzi na żer znańczyły, i na ich trupy zmawiały.

Namiot pański zdala poznać było można, bo był ogromny płatami szkarlatu okryty, a pobudowany tak, aby książęcia, jego dwór, kuchnie i czeladź mnogą pomieścił.

W pośrodku namiotu wrota na przestrzał stały otworem, tak by mógł wóz zajechać w pośrodek, i stać pod płócienną od sloty osłoną. W prawo poprzedzielane ściankami i oplotki, były izby pańskie, księżnej, starszyny kilku. U wnijscia strażę chodziły, psy się wylegiwały na słońcu. — Było przed południem, wojsko wszystkie odpoczywało — nie miano się czego spieszyć, gród był w ręku. Osaczali go do koła, nie siłą to głodem wziąć mogli, lada chwilę strwożony musiał się poddać. Czy dziś wieczór czy jutro rano szturm doń przypuścić, wszystko już było jedno, nie mógł mieć znikąd ratunku.

Książę Władysław siedział na pniu pokrytym suknem, a dumiał sobie roztargniony. Księżna się na siedzeniu miękkim naprzeciw niego rozpościerała. Patrzali na się, Agnieszka tryumfowała — błogo jój było.

— A cóż? mruzczała spoglądając na męża z wyrzutem jakimś i pogardą — a cóż? nie stałoz się jakom mówiła? Tyś się chciał układać po Pilicy, a oto ich wszystkich w garści mamy, i już nie ujdą nam!

Władysław patrzył w ziemię. —

— Cóż z niemi uczynimy? co? zapytał.

Agnieszka wstrząsnęła się z odrazą i niecierpliwością. —

— Cóż? czy jeszcze pytać trzeba? Czy się to żywi co szkodliwe?

— Na wygnanie ich wszystkich — odezwał się jakby nie słysząc Władysław. — Pójdą za siostrą Gertrudą — pójdą!

— Ażeby ztamtąd wrócili ze sprzymierzeńcami? zaśmiała się Agnieszka. — Albo to niema zamków i lochów dla nich, gdzie bezpiecznie siedzieć mogą, dopóki nie wyzdychają!

Książę ciągle był z myślami swemi, i kończył nie zważając na żonę.

— Jeden Petrek głowę da. — Temu nie przebaczę, a i Wszebor wart pod topor, ale stary człek... stary człek!

— Hm! Petrek! śmiała się księżna — a co nam po jego głowie! Gdy niestanie książąt, co nam ten robak szkodzi? Starszych oślepić trzeba, młodszy. — Nie dokończyła, bo Dobek podniósłszy ściankę wszedł do nich.

— Na grodzie się coś ruszać zaczyna, rzekł — ludzie się kręcą. — Pewnie posły wyprawią o łaskę prosząc. Co czynić, gdyby zażądali rozmowy?

— Przede mnie ich prowadzić — odezwał się Władysław. — Tu.

— Nie potrzeba słuchać żadnych posłów — przerwała Agnieszka. — Niech książęta przyjdą sami, i co przedniejsi z niemi, topór się rozmówi, i koniec będzie!

Na wykrzykownik ten Dobek nawet nie rzekł nic, i kończył swoje.

— Mówią, że u nich już wody nie ma, studnie powypijali, reszta wyschła, pragnienie panuje straszne, lud mrze.

Zaśmiał się Dobek.

— Poddadzą się, nie dziś to jutro — dokończył z obojętnością Władysław.

— Nie ma wątpliwości — dodał Niemiec. — Byle nie pozakopywali wprzód skarbow swych, które książęta zewsząd tam pościągali, łup będzie ogromny.

Cudzym ludziom do grodu nie trzeba się dać ani zbliżyć.

Książę Władysław głową to potwierdził, wstał i wyszedł się znowu cieszyć widokiem milczącego grodu, który, jak skała ruchomem morzem głów ludzkich stał otoczony.

W istocie na zamku w tej chwili ruch większy widać było, bieganie za murami, zbrojnych więcej u wałów. Tu i owdzie stożkowaty szyszak błyszczący wytknął się do góry i zniknął.

— Sposobią się już do poddania, niechybnie — rzekł w duchu książę.

Wtem konny człek dopadł do książęcego namiotu. Książę i Dobek, który za nim wyszedł, popatrzyli nań. Twarz jakąś miał pomieszana, jakby przełęklą.

Wskazał ręką daleko, niby po za obozowe szranki.

— Tam! het — począł zdyszany — jest ich dość, wałą a wałą się.

— Kto? gdzie? — spytał Dobek.

— A woje! woje!

— Nasz lud?

— Nie, mówią, że dla obleżonych gromady ciągną.

Książę się rozśmiał pogardliwie.

— W matnię sami idą — odezwał się — a niech idą! Spóźnili się pewnie na odsiecz zamkowi, a chcieliby się teraz do niego dostać!! Ha! ha! niech przybywają!

Nadbiegł drugi z tém samém.

Pytano: — Dużo ich tam?

— Kto policzy? hej! kupy się suną! dużo tego.

Kazał książę ślać na zwiady, ale się nie strwożył nikt.

Co znaczyły nędzne kupki przeciw nagromadzonym tysiącom? Śmieli się niektórzy.

— W porę się zebrali na nas!

Już miał książę nazad wniść do namiotu, gdy z drugiej strony nadbiegł Sotnik stary.

— Drogą ode Gniezna orszak tu jakiś ciągnie — rzekł. — Krzyż przed wozem niosą. Wóz czerwono wysłany na nim siedzi mąż wiekowy, w sukni szkarłatnej.

Książę Władysław zatrzęsł się.

— Arcybiskup z Gniezna! — zawołał. — Hej! Dobek! na koń i drogę mu przetorować do mnie, aby go nie śmiał tknąć, ani nie poszanować lud. Pasterz jest!

Z tém wszedł niespokojny trochę do namiotu, gdzie siedziała Agnieszka.

— Z Gniezna arcybiskup jedzie! zawołał.

— Można się go było spodziewać — odparła księżna. — Jedzie za książętami prosić, bo oni wszyscy z nimi trzymają. Czują, że dla nich nie ma ratunku. Nie ich to sprawa ale nasza, litości nie trzeba mieć. Pokłonem się go odprawi. Co mu do tego?

Ludzie na wzgórzu kupili się i patrzyli, bo na gościńcu widać już było poczet niemały. Krzyż srebrny, który świecił cały od słońca, wiózł na koniu siedzący krucyfēr. Za nim jechał dwór konny i liczny orszak zbrojny, a w pośrodku na wozie krytym jechał sędziwy Jakub ze Znina. Co było ludzi chrześcijańskich po drodze padali przed nim na kolana, a on ich w prawo i lewo palcami złożonymi błogosławił. Cisza się stała w obozie uroczysta.

Wóz ten szkarłatny, ciągnący powoli, straszny był, jakby na sobie dźwigał potęgę wielką.

Patrzano za nim jak się posuwał zwolna, toczył poważnie zmierzając wprost ku namiotowi książęcemu. Kto bliżej mógł spojrzeć w twarz starca, dojrzał w obliczu tém, jakiegoś oburzenia i gniewu, który przerażał.

Starzec oczyma wodząc po obozie, wstrząsał się ze zgrozy.

Za nim w komżach, ze świecami zapalonymi postępowali duchowni, a na czele ich Rupert biskup krakowski, i ks. Janik wrocławski, w sukniach obrzędowych, kościelnych, z laskami i świecami w ręku.

Ten występ duchowieństwa tak odświętny, uroczysty jakiś, patrzącym z namiotu wydał się dziwnym, strasznym prawie. Coś w nim było pogrzebowego. Książę Władysław stał błądy i pomieszany, Agnieszka zarumieniła się niespokojna.

Orszak jakby naumyślnie ciągnął noga za nogą, zatoczył się na wzgórze aż pod sam namiot książęcy, i na dany znak przez arcybiskupa, zamiast stanąć u wnijscia jego, zawrócił w samą namiotu bramę i wjechał w nią. Duchowni wszyscy weszli za nim ze świecami w rękach, i do koła patrząc stanęli.

Arcybiskup nie powstał, na wysokim siedzeniu, jak na tronie siedząc, czekać się zdawał. Panowało milczenie, ludzie się gromadzili, wyszedł zwolna książę odkrywszy głowę, wysunęła się za nim Agnieszka.

Stanęli jak winowajcy przed tym starcem, który ponad niemi rozsiadłszy się, z góry spoglądał chmurno.

Władysław po krótkim namyśle, do wozu się zbliżył, zdało mu się, że arcybiskup wysiądzie.

Nie ruszył się starzec.

— Nie gościem ja tu do was przybyłem, ale mścicielem — odezwał się powoli, głosem poważnym. — Pogwałciliście bożkie i ludzkie prawa, ziemie nasze zaleliście pogaństwem, obalone kościoły, pomordowani słudzy boży, trupami usłane pola!! To sprawa wasza! Idziecie nastając nielitościwie na gardła braci waszych! nieopamiętani niczem.

Wstrzymał się, wzruszenie mu głos w piersi zatamowało. Władysław blady milczał. Patrzył na żonę, której oczy krwią zabiegały, rękami trzymała płótno namiotu, gniotąc je jakby poszarpać chciała.

— Nie kajacie się, Kainy! nie kajacie się, niezbożni. Niech więc spadnie na was grom Boży!

Wstrzymał się raz drugi, czekając. Władysław milczał dumnie, groźba obudziła w nim nie postrach, ale gniew uporny. Zwolna kołpak, który trzymał w ręku, nałożył na głowę i spojrzął na biskupa zuchwale i wyzywająco.

Czuł się tu panem.

W starcu gniew urósł jeszcze.

— Nie kajacie się? — powtórzył — niech spadnie na was grom Boży!

I podniósłszy się z siedzenia, ręce do góry rozpostarł wołając.

— Anathema na ciebie Władysławie, anathema na żonę twą i współniczkę, na cały ród twój, do dziesiątego pokolenia. Bądźcie przeklęci na ziemi, w życiu i po zgonie, bądźcie przeklęci z Kaimem i Lucyperem! Anathema na was! anathema!

Biskup cisnął świecę podaną mu przez księdza, a za nim inni wszyscy poczęli rzucać i gasić światła, powtarzając chórem, głosami wielkimi.

— Anathema! anathema!

Ks. Władysław drżący stał słupem, ci co go otaczali słuchali odrętwieni. Agnieszka padła na kolana, potem porwawszy się wnet, za ścianę namiotu ukryła.

Rozlegało się — Anathema, a po nim groźne milczenie.

Arcybiskup usiadł twarz odwracając, na dany znak wóz z pod namiotu, w którym stał, zwolna wyciągać zaczął na plac, gdzie mnóstwo żołnierzy i ciurów zbiegło się patrzeć na przybyłych duchownych jak na widowisko jakieś dziwne, którego znaczenia nie rozumiało.

Lecz tłum ten, do którego nie dochodziły wyrazy strasznej klątwy, drżał od trwogi przeczuciem.

Wtém woźnica arcybiskupi, gdy już z pod namiotu wyjeżdżał, jakby umyślnie kołem zawadził o słup utrzymujący płócienne okrycie, i zaledwie się wóz wytoczył, gdy one drzewce zachwiało się i namiot cały runął na głowy stojących pod nim, księcia Władysława, żony jego i dworu<sup>2</sup>.

Krzyk przerażenia dobył się z pod płócien, pod którymi poruszali się, dobywając przynieceni.

Nie można było posądzać, że się to stało umyślnie, ale że Bóg uczynił znak, zgubę przepowiadający Władysławowi.

Stojący dokoła ludzie rzucili się wnet odgarniać płótna i wydobywać z pod nich przyniecionych niemi. Tymczasem wóz arcybiskupi, który otaczało duchowieństwo, zwolna ciągnąc obozowemi uliczkami, witany po drodze przez strwożonych żołnierzy, bez przeszkody oddalił się, zostawując za sobą przerażenie i grozę.

<sup>2</sup>...namiot cały runął na głowy stojących pod nim, księcia Władysława, żony jego i dworu — historyczne. [przypis autorski]

Z pod namiotu pierwszy wydostał się książę Władysław z ruskim swym sprzymierzeńcem kniazem Wsewołodem, który wypadkiem tym, więcej był przerażony od niego. Chłodny, obojętny prawie już, ostygniwszy z pierwszej trwogi, Władysław nie rzekłszy nic, patrzył na odjeżdżającego arcybiskupa.

Ani narzekania, ani jeden wyraz gniewny nie dobył się z ust jego.

Takie było nawyknięcie do posłuszeństwa dla duchownych, takie poszanowanie tego stanu, wrazone przez pierwszych panujących, u których oni stali na równi z królami i mocarzami, iż porwanie się przeciw kapłanowi, niesłychaném, niemożliwém było.

Kłątwa, która strąciła z tronu Szczodrego, stała jeszcze w pamięci wszystkich.

Taką samą teraz cisnął arcybiskup na księcia, na żonę jego i na wszystkich współników, dopomagających mu przeciw braci.

Książę stał zadumany, upokorzony, a jednak mało nią poruszony, gdy Agnieszka z płaczącym gniewem doń przybiegła.

— Słać potrzeba natychmiast do Rzymu! do Papieża, do Cesarza! ze skargami, z żalobą — wołała targając suknie na sobie. Niepierwsza to niesprawiedliwa klątwa, której Pan Bóg nie wysłucha! Zważać na nią byłoby tchórzowstwem, zgubą, podłością! Nie mieli już innego ratunku, to ostatnia ich strzała. Gdy ta nie poskutkuje poddać się muszą.

Tak mówiła księżna, a zbiegający się Niemcy gorąco ją popierali, śmiejąc się z księży, którzy mieli nic nie sprawiwszy, okryci hańbą, prosić sami później o przebaczenie.

Ruski kniaź patrzył i słuchał niewiele rozumiejąc; wszelako jemu się to nie podobało i dawało do myślenia. Gdy Władysław do niego z pytaniem się zwrócił, począł mu szeptać.

— Ej, brat ty mój! Zgodzićby się z niemi może! Ze świaszczennikami niedobra sprawa. U was oni wielką wolę mają, musicie ich słuchać! Zgoda lepsza! A toż bracia wasi.

— Nie bracia są, wrogowie, nieprzyjaciele — wtrąciła gwałtownie Agnieszka — z niemi zgody być nie może. Jeżeli im życie darujemy, niech i za to dziękują Bogu! Z klątwy nas starszy nad nich Biskup Rzymski rozwiąże, a my postaramy się, aby ją rzucił na tych, co śmieli prawego pana swojego znieważać!

Wśród zwawych rozmów o tém całego dworu, Władysław stał zimny i niemal obojętny. Z dziwnie chłodną jakąś krwią spoglądał na gród oblężony i jakby nie słuchając co mówiono dookoła, odezwał się po przestanku.

— Poddać się muszą! muszą.

Namiot tymczasem coprędzej podnoszono i umocowywano, słudzy nawet ślady kół wozu arcybiskupiego zamiatali, aby zatrzeć znaki i pamięć wypadku, który dwór, żołnierzy i wszystkich przejął straszną trwogą.

Około książąt kręcący się Niemcy pokrywali śmiechem wewnętrzny niepokój, powtarzali za księżną odgrazanie się Rzymem i udawali, że lekce to sobie wazą. W wojsku przybycie biskupów, uroczyste ich wystąpienie w obronie młodych książąt obudziło obawę o własne bezpieczeństwo. Wiedziano co klątwa znaczy.

Nad wieczór przybywający dowódcy twarze przynosili posępne, Dobek postrzegł, że wojsku odwaga i ochota od boju odpadła. Rozpowiadano sobie w obozie, jak na jedno skinienie ręki starego arcykapłana sam z siebie, nietknięty namiot runął na głowę księżęcia. Tłumaczono to jako znak i przepowiednię zguby.

Wieczorem gdy się wieści coraz bardziej trwożące szerzyły, Dobek, nie wiedząc czém w wojsku męztwo odżywić, kazał beczki powytaczać, aby się ludzie napojem raczyli jako chcieli.

Mimo to milczenie znaczące, cichemi przerywane szeptami panowało w dolinie nad Cybiną i Główną.

Cicha noc letnia pokryła ją swym płaszczem gwiaździstym.

Do powiększenia obawy wzbudzonej klątwą, przyczyniało się i to, że na tyłach od rana pułki jakieś pokazywać się zaczynały, które poza obozem na nocleg legły, postawiwszy straż na przodzie.

Dwa wojska dzielił niewielki rozdół tylko, którym ciekł na pół wyschły strumień, gdzieś się jeszcze sączący. Tu z obu stron ciągnęli żołnierze, przypatrując się sobie, wyzywając, zaczepiając i łając, odgrazając i przedrzwiewając.

Poznawano w sobie przeciwników. Z tamtej strony ludzi pana Władysławowych nazywano poganami; z tej wywdzięczano łając przybyłych jako kleszych ciurów.

Tu i owdzie począwszy od łajania, przechodzono potem do rozmów spokojniejszych, do rozpytywania i utyskiwania. Śmielsi niektórzy z za strumienia podchodzili namawiając Władysławowych, aby do nich zawrócili, rzuciwszy spółkę z wyklętym; lękając się gniewu Bożego i pomsty. Gdy noc czarna nastąpiła, kupki z obu stron nad Główną stojące, połączyły się powoli, szeptały zgodne, porozumiewano się, biegano i ciemność pokryła wszystko. Do żadnych zaczepek i starcia nie przyszło.

Nazajutrz rano rozpocząć się miał napad na zamek.

Nie spieszono z tém bardzo, nie chcąc nadaremnie tracić ludzi, gdy i tak poddanie się grodu było nieuchronném. Ten i ów podsuwał się pod mury i wały, śmielsze kupki ochotników rzucały się samopas, spinały pod ostrokoły, wtém nagle spadała belka, toczyły się kamienie, zębate koła, i garść wystraszona, zostawiwszy kilka ofiar w miejscu, cofała się z przekleństwami.

Lada chwila oczekiwano poddania się zamku.

— Ufają w siły swojego arcybiskupa — powtarzała Agnieszka mężowi — gdy się przekonają, że na jego klątwę nie zważamy, będą prosić o łaskę.

Czekano więc cierpliwie.

Około południa wszystko w obozie szło na spoczynek. Książę Władysław pod namiotem, którego ściany podniesiono dla upału, aby wiatr przewiewał, siadł razem z księżną i kniazem Wsewołodem za stół. Ztąd jak na dłoni widać było gród obleżony, wieżę za kościołem Ś. Mikołaja i ciągle na nią występujących ludzi, którzy się ztamtąd obozowi przypatrywali.

Przy kotłach i kadziach zasiadło wojsko nieco rozweselone, posilać się i spoczywać. Upał był srogi. Sam on już ludzi nękał, choć się walką nie zmęczyli.

Z obozu w grodzie, z grodu w obozie ludzi i twarze niemal rozpoznać było można. Niekiedy ku murom śmielszy ktoś się podkradłszy wypuszczał strzałę i śmiech z siebie czynił, gdy ta w powietrze świsnąwszy spadała napróżno, a natomiast z za parkanu belt raził śmiałka, który z guzem lub raną uciekał.

W wielkich misach i na szerokich deskach liśćmi podesłanych, noszono na stół książęcy naprzód polewki, potem mięsiwa pieczone, których było dostatek, potem kasze różnie przyprawne. Podczaszowie nalewali w złote kubki, a dokoła psy książęce siedząc, stojąc, skomląc na rzucane im kości czekały.

Ks. Władysław patrzył ogryzając kość sarnią ku grodowi, gdy kniaz Wsewołod siedzący przy nim ręką mu wskazał na wieżę za kościołem Ś. Mikołaja.

Na wieży téj ciągle widać było kręcących się ludzi, których głowy oknami wyglądały, ale ich tam żaden pocisk nie mógł dosięgnąć. W chwili téj właśnie kilku ludzi stanęło na murze u samego wieży wierzchołka i podnieśli do góry ogromną tarczę czerwoną, jakby świeżo we krwi zbroszoną.

Znak to był jakiś. Kniaź Wsewołod potrącił Władysława, ukazał mu godło krwawe i zapytał.

— Co to jest?

Władysław popatrzał chłodno i głową strząsnął.

— Co ma być? Widzą, że niezarty, dają nam znak, że się chcą poddawać.

Wtém tarcza znikła za murem. Oczy wszystkich na wieżę były zwrócone.

Zwolna tarcza czerwona poczęła się raz drugi podnosić ku górze i zawisła w powietrzu długo.

Kniaź Wsewołod zapytał znowu.

— Patrzajcie no, bracie miły, tarcza się wychyla raz wtóry?

— Proszą o łaskę i rękawicę — odparł uśmiechając się książę — ale rękawicy dać nie mogę.

Nastało milczenie, kazano kubki nalewać nowe, księżnej oczy połyskiwały radością dziką.

— Juściż nie może to być znak inny, tylko że się poddać pragną — wołała rękami bijąc i spoglądając na męża. — A cóż? a co? nie zdało się mężstwo nasze, nie miałam słuszności, gdym żądała, aby trwać przy swém i nie dawać się zastraszyć? A co? a co?

Gdy cześnicy nowe kubki naleli, kniaz Wsewołod, który z oka wieży nie spuszczał, trącił księcia Władysława.

— Patrzajno, bracie, tarcz spuścili.

— Toć znaczy pokorę — rzekł Władysław — i lby ugną do ziemi tak samo.

Znikło całkiem krwawe znamię.

W obozie zaczynano też sobie więzę pokazywać palcami a szydzić z obłązonych. Już się radowano łatwym łupem.

— A szczeniaki przekłete! a! przysła na was godzina — wołali Niemcy otaczający namiot, którzy wywabieni tarczą powybiegali i na głos się śmieli.

Wtém tarcza krwawa dźwignęła się po raz trzeci, ale teraz jakby ją jakaś siła potężna uniosła, nad mur, wysoko wzbila się w powietrze, zawisa długo, a potem jak piorun na dół runęła.

Książ Wsewołod pokazał ją Władysławowi, niedowierzając znaczeniu tego godła. Książę Władysław śmiał się<sup>3</sup>.

— Jawna rzecz, o łaskę proszą!

— Nie bądźże nadto surowym dla nich — odpowiedział Wsewołod — gdy ci Bóg dał bezkrwawe zwycięstwo... Pokaż się im bratem, przyjmij ich pokorę.

Agnieszka nie dała odpowiedzieć mężowi.

— Los ich postanowiony! ten się już zmienić nie może.

Książę potwierdził głową i dodał dumnie.

— Nie proście już darmo za niemi, zdrajcy są i zdrady nie zaniechają dopóki żywi.

Domawiał tych wyrazów, gdy ogromny wrzask powstał w obozie, widać było nagle od kotłów zrywających się ludzi, biejących ku koniom i broni.

Pierwsza wrzawa powstała od strony grodu, z kąd już biegł komornik książęcy wołając, że z zamku wypadła garść zbrojnych ludzi i na obóz uderzyła.

Władysław dopijał kubka, gdy książ Wsewołod baczniejszy zerwał się z siedzenia prędko i do swojego namiotu pobiegł co żywiej, zbroję i hełm przywdziać. Wołał za nim książę, aby pił jeszcze pospołu, ale go słuchać nie chciał.

Wtém i na tyłach obozu rozruch się stał także. I tam ludzie napadnięci u kotłów i kadzi bezbronni, porzuciwszy napój i jadło, lecieli do szałasów po pałki, siekiery i tarcze, które do kupy poustawiane były.

Na wieży Ś. Mikołaja wiała teraz ogromna chorągiew szkarłatna, pysznie jakoś i zwycięzko, ponad gród i dolinę.

W całym obozie już ruszało się co żyło; Dobek napół uzbrojony wpadł do namiotu.

— Zdrajcy! — zawołał — z dwóch stron napadli nas razem! Z grodu wyskoczyli jedni, wypatrzywszy, że nasi nie pogotowiu, zgnetli ich, na tyłach walka, cisną naszym...

Wstał książę i jeszcze nie zatrwożył się, gdy i Agnieszka przypadła ręce łamiąc. Dopiero teraz przyszedł jój na pamięć ten namiot, co runął na ich głowy, przecucie złowrogie ogarnęło ją nagle.

— Koni! koni! — poczęła wołać głosem przelekkym — dwór do pana! Kto żyw, do nas!

Teraz już i książę się poruszył.

— Zbroi — zawołał do komorników — kaftan mi tu dać! Hełm! miecz! Nie może to być aby ta garść śmiała i mogła na nas się porwać!

Książ Wsewołod w tój chwili już zbrojny na koniu, z drużyną swoją ruszał tam, gdzie walka się rozpoczęła, mijając namiot oszczepem ukazał na bijących się, a z twarzy mu widać było, że niezbyt ufał zwycięztwu.

Pod namiotem książęcym, na dany znak przez Agnieszkę, której słuchać więcej niż pana ludzie byli przywykli, wszystko się ruszało z pośpiechem wielkim, trwoga ogarniała, bo krzyki i szcęk walki aż tu dochodził.

Zewsząd rozlegało się wołanie rozpaczliwe — koni! koni!

Księżna to ręce łamała, to zakrywała oczy, to krzyczała na głos cały tupiąc nogami z gniewu.

Na tyłach obozu z małego szumu stał się też wkrótce zamęt i wrzask wielki.

I tam latali ludzie potraciwszy głowy, chwytając ladajaki oręż, który im wpadł pod rękę, drudzy koły wyrwali z szałasów, do broni się nie docisnąwszy.

<sup>3</sup>...tarcza krwawa dźwignęła się (...) Książę Władysław śmiał się... — historyczne. [przypis autorski]

Dwór z pośpiechem już zwił namioty książęce, rzucano na wozy naczynia, suknie, oręż, co kto pochwycił. Konie wystraszone wrzawą rwały się wóznicom z rąk, że je ledwie piesi pacholkiwie, za lby chwytając utrzymać mogli.

W obozie kurzawa powstała jak chmura płowa, która widzieć nie pozwalając, co się za nią działo, przestrach jeszcze pomnażała.

Ks. Władysław siadł na koń, księżnę wsadzono na wóz, i nie na pole walki spieszyli, ale wydobyć się z niej chcieli, bo ich zewsząd ogarniała. Z obu stron nadbiegali ludzie popłoszeni, których bezmówne, blade twarze donosiły już, z której strony było zwycięstwo.

Dobek, który przy księciu stał, nie wiedział sam, kędy zawrócić, bo z tyłu sunęła się wielka ława ludu i gniotła a rozpraszała Władysławowych, którzy w bezładzie uciekali tarcze rzucając, broń gubiąc, padając pod konie, i waląc się jedni na drugich.

Gdy książę Wsewołod, cofając się już od grodu, odepchnięty od niego z innymi, dobił się do tego miejsca, kędy przed chwilą stał namiot książęcy, znalazł tu tylko poobalane koły, kupy słomy i siana, ogniska wygasające i powywracane ławy, które naprędce skłeciono. Księcia i księżnej śladu już nie było, a na pytanie kędy uszli, wskazano mu drożynę, którą uciekający ludzie biegli ku lasom.

Z wieży kościoła Ś. Mikołaja, jak na modlitwę uroczystą we święto odzywał się dzwon, w którego głosie wczorajsza klątwa arcybiskupa jeszcze się odzywać zdawała.

Walka trwała ciągle, jeżeli nią mordowanie bezbronnych prawie nazwać było można. Władysławowi ludzie uchodzili i tylko naciśnięci przez rycerzy książęcych rozpaczliwie się bronili.

Z przeciwnej strony zajadłość była straszliwa.

Z dwóch boków pochwycono wojsko księcia Władysława, choć liczniejsze, na miążgę starte zostało. Ludzie się nie spodziewali napadu, a opitych postrach gwał bezumny. Kupami leżały trupy, konie jak oszalałe rżąc i wierzgając miotają się na pobojuwisku. Z zamku wybiegła garść wybranych, która bój rozpoczęła, coraz teraz rosła, wychodzili z murów wszyscy, wrota zostawując otworem, bo się już obawiać nie było kogo. Na wałach widać tylko było niewiasty w bieli podnoszące ręce do góry, i mnichów w czerni błogosławiących krzyżami walczącym.

Wieczór spuszczał się powoli na krwawe brzegi Cybiny i Głównej, bój był już tak jak skończony.

Odzierano trupy, wiązano pochwytych, okrzyki dzikiego upojenia zwycięstwem unosiły się nad pobojuwiskiem, a dzwon od Ś. Mikołaja brzmiał teraz jakby Bogu na chwałę za tryumf uciśnionych.

Wśród zajadłej walki nikt nie pomyślał o pogoni za księciem Władysławem i Agnieszką, którzy z małą garścią dworu i straży swój zdołali dopaść do lasów i niemi ujść przed nieprzyjacielem.

W milczeniu ponurém wlekli się wszyscy. Na wozie, Agnieszka głowę na rękach sparszy płakała, ale lzy jej gniewu i żółci były pełne. Niekiedy pięściami uderzała po kolanach, i z piersi jej dobywał się głos stłumiony.

— Nigdy!

Władysław, z głową na piersi zwisłą, jechał niemy.

— Zwyciężyli nas u Pilicy — wołała niewiasta — rozproszyli i tu, ale wojna nieskończona jeszcze! Cesarz mój brat w pomoc przyjsć musi! jego rycerstwa nie pokonają tak łatwo jak téj gawiedzi. O! nigdy! Do Krakowa! na gród. Zamkniemy się tam, nie będą śmieli przystąpić! Tam jesteśmy bezpieczni, aż cesarscy nadciągną.

Niemiec z tyłu się włókł nie słysząc nic, nie wiedząc co się z nim działo. Czasem go rozbudzał głos pani, to znów wpadał w osłupienie. Klątwa arcybiskupia leciała za niemi.

Wieczór i noc ciszę przyniosły z sobą na polu krwią oblaném. W tumie rozlegały się pieśni, na wałach brzmiało wesele, walka była wywalczona, Władysław uszedł.

Późną już nocą wszyscy książęta zeszli się do dolnej izby zamkowej. Dwu z nich było w walce i z niej wracało, Bolko i Mieszek, dwu młodszych patrzali na nią z wieży i drżeli jeszcze grozą tego widoku przejęci.

Z zawiązaną głową w pośrodku nich stał palatyn Petrek, szepcząc modlitwę dziękczynną.

— Dales mi panie dożyć téj chwili sprawiedliwości twój, odpuść mnie teraz w pokoju. Amen.

I uściskał stojącego obok Światosława.

Radość wielka była na zamku, ale obawy resztką mieszała się z nią jeszcze. Wtém z pola walki wracający dopiero, we zbroi cały, wszedł hełm zdejmując Wszebor palatyn, wołając od samego progu.

— Przy nas zwycięstwo! Radujcie się miłościwi panowie nasi. Niewiele uszło! Rozbite ich pułki i rozproszone, ścigają nasi po lasach. Cybina i Główna potokami krwawemi do Warty płyną. Chwała Bogu na wysokościach, który nam dał zwycięstwo! Bądźcie pozdrowione sieroty pana mojego, którym powrócone jest dziedzictwo ojca waszego!

Petrek ręce podnosił do góry.

— Nie koniec to, początek tylko — wołał — ale mocen Bóg i ten kto Bogu ufa!

Okna izby, w której wszyscy stali, wychodziły ku wałom i pobojuwisku, na którym zwijały się światła mnogie i smolne pochodnie. Wszystek lud z zamku wybiegał odzierać trupy. Widok był straszny i smutny. W pętach pędzono jeńców pokrwawionych, do sznura poczepianych, wozy pełne łupów huczały na zamkowym moście.

Dwaj starsi bracia, Bolko i Mieszek milcząc rzucili się ściskać z sobą, jakby oba drużbę i pokój na przyszłość sobie poręczali. Kaźmierz i Henryk w oknach wywieszeni napół, zabawiali się światłami migającymi na pobojuwisku...

Wiatr zrywający się niekiedy niósł woń spalenizny i krwi, głosy jakieś rozpaczliwe a stłumione, niekiedy okrzyk wesoly, który dreszczem przejmował.

## IX

W Komorowie siedziały niewiasty karmiąc się wieściami, które im ludzie przynosili jak noszą z lasu grzyby i jagody, takie jakie znaleźli po drodze, świeżo urosłe po deszczu, zwiędłe od skwaru, stare i nowe.

Czasami trwoga na gródek padała, naówczas stara Jaksowa macierz, szła do swoich ludzi, stawiała strażę, sposobila się jak do obrony. I gdy jednego dnia wieść przychodziła straszna, groźna przerażająca o poganach już już ciągnących tutaj, drugiego ktoś przynosił pociechę wielką, która we trzy dni rozwiła się w powietrzu niczém.

Ludzie mówili, że tam widziano już dzicz w pochodzie, ówdzie, że ją ścigano w ucieczce bezładnej, jedni głosili Władysława zwycięzcą, drudzy pobitym na głowę i wygnanym.

Jednego dnia na wozie przybył ks. Marcin, aby odprawić w kapliczce mszą świętą i wszedłszy do sieni zapowiedział, że będzie im zwiastował pociechę wielką. Jemu już wiarę dać było można. Powiadał, że książę Władysław na głowę został pobity, po klątwie rzuconej nań przez arcybiskupa. — Prawica Boża — rzekł — dotknęła Kaima!

Uchodzić musiał z pola walki nad Cybiną i znikł, niewiadomo było, gdzie. Jedni mówili, że do Niemiec zbiegł do Cesarza, o posiłki go prosić, ziemie mu swoje poddając, drudzy, że na Ruś uszedł z kniazem Wsewołodem. O Agnieszce i dzieciach jój słychu nie było.

Tyle już razy zwiedziona Jaksowa, słuchała głową potrząsając, a w końcu rzekła do starego.

— Póki téj prawdy nie zobaczę, nie uwierzę!

— Rychło i to nastąpi — odparł ks. Marcin — bo Petrek na swój dwór powraca, gotują się już na jego przyjęcie, książę Bolko Kraków obejmuje i zwierzchnie panowanie.

Błogosława, która wybiegła była, aby się od przybywającego o czémś dowiedzieć, wróciła do matki przynosząc jój wesołą nowinę. Poszedł za nią i ksiądz, upewniając sam, że to co mówił miał z ust ludzi, którzy na klęskę nad Cybiną sami patrzyli.

Ożywiła się twarz kniehini Maryi, ale tego jój nie było dosyć!

— Jeżeli tak jest — poczęła — dla czegóż Petrek nie śle zaraz po mnie, aby ztąd wyzwolił? bym na swój dwór powróciła i tulać się przestała po obcych kątach?

Czemuz zaraz nie przybył tu syn mój? slugi moje? Więc już tak zapomnieli o mnie, jakbym ja niczém nie była?

Rozpieszczona pani i teraz jeszcze nie była rada, bo myślała tylko o sobie.

Choć jój w Komorowie dogadzano, miasto miłości dla gospodyni, powzięła do ni-  
ej odrazę i nienawiść prawie. Dwie téż to były istoty, co nigdy by z sobą pogodzić się

nie mogły. Stara Jaksowa żyła miłością dziecka, pracą, milczeniem i wielką duszą, którą w piersi nosiła; Petrkowa kochała siebie tylko, a resztę świata jakby za stworzoną dla siebie trzymała. Całymi dniami bolała i płakała nad sobą zawsze, narzekając na męża, za którego cierpieć musiała.

Błogosława napróżno się ją ukoić starała, zyskując tylko wymówki od matki, że jej nie kochała. Znosiła to w pokorze. Dla niej ta matki niedola była jakby chorobą jakąś, budzącą litość niezmierną i miłość coraz gorętszą. Znękane jednak czuwaniem i jękami dziewczę wędło w oczach i usychało.

Jaksowa, która na nią teraz jak na synowę patrzyła, stękała i bolała, że swojemu dziecku, kwiatka tego jasnego wychuchać nie umiała! Pieściła ją za matkę, żywiła, przytulała, tchem własnym rada ją wzmocnić. Napróżno! Dziewczę w oczach wędło powoli, nie czując nawet że słabo, nikło, rozpływało się jak mgła w powietrzu.

A była coraz piękniejszą, rosły jej oczy błyszczące, twarzyczka smętnego nabierała wdzięku. Gdy stara Jaksowa dopytywała, czy ją co nie boli, zaręczała że jest zdrową, że jej było dobrze, że się czuje szczęśliwą.

Czasem wychodziła na wały puste i z góry rozpatrywała się po okolicy, po lasach, po polach, słuchała jak śpiewało ptastwo, jak na zamku gwarzyli ludzie, jak piosnki się przez okna otwarte z izby dziewcząt rozlegały. Słuchała, patrzyła, wracała potem do złotej kądziółki przy łóżku matki i karmiła się jej narzekaniami.

Z twarzyczki jej znikły rumieńce, na ustach tylko trochę krwi zostało, a oczy, oczy coraz jaśniej świeciły, jakby gdzieś za światy przejrzeć chciały.

Jednego ranka zatętniało, Błogosława rzuciła kądziel i wybiegła. Podwórca pełne były ludzi, konnych, wozów, a w pośrodku na koniu stał Światosław i w koło oczyma rzucał. Zoczywszy siostrę skoczył z siodła i padł sobie na szyję płacząc z radości. Ona wiodła go do matki.

Na widok dziecięcia ukochanego, zerwała się kniehinia Marya, krzyknęła i napół omdlała upadła na posłanie. Syn nogi jej całował. Słowa mu się w ustach plątały.

Zrozumiała Petrkowa, że po nią przybył syn, że ją z tej nienawistnej dobiej jamy, że dawna wielkość powróciła do ich domu i że we dworze pod Sobótką czeka na nią pół ślepy mąż, który sam jechać nie mógł, bo siły postradał.

Jednej godziny tu dłużej pozostać nie chciała, powiedziała sobie, że nic ją tu powstrzymać nie potrafi. Znalazła siły, aby zerwać się z łóżka, zaczęła odziewać coprędzej, wołając, że choćby zaraz wyruszy w drogę. Płakała i śmiała się razem. O stariej gospodyni swój nie wspomniła nawet.

Ale Światosław jechać nie mógł, dopóki drużyna jego nie spoczęła, miał też podarki do oddania od ojca i z Błogosławą poszedł do Jaksówój.

Ta stała w izbie swój u stołu, sposobiąc jadło dla przybyłych gości, poważna a smutna.

Uścisnęła Błogosławę tak, jakby córkę ścisnęła własną, a gdy Światosław przemówił, że ojciec jej posyła dzięki i podarki, odezwała się.

— Najlepszy dar byłbyś mi tu przywiózł, syna mojego biorąc z sobą; za resztę wdzięcznam, odrzucać się nie godzi, ale mi potem nic. Dajecie wy, no, to weźmiecie też odemnie, mam i ja czém się dzielić i obdarzyć.

Choć Petrek odarty był ze wszystkiego, lecz, skoro Władysław upadł, a on powracał do majątności, we mgnieniu oka znalazło się co utracił. Roger starosta, Jerzy Żupan z Głogowa, Mikow, Wszebor złożyli się nań szatami, sukniami, sprzętem srebrnym i złotym, futrami, końmi i groszem. Dali królowice swojemu obrońcy obfite dary i Petrek miał się już czém dzielić. A że dla siebie nie potrzebował wiele, dla drugich zawsze będąc szczodrym, nie wyprawił Światosława z próżnymi rękami po żonę.

Wiózł Światosław kubki złoczone, misy srebrne, jedwabów sztuk kilka, kun worów dziesiątek.

Gdy dary te złożył, stara podziękowała i rzekła.

— Tak ci jest, darzyć się i obdarzać trzeba, ja też was upominkami dla ojca obciążę, kto bierze, ten dawać musi.

Chodźcie no ze mną.

Uśmiechała się starucha chytrze. Zawróciła się do Błogosławy i rzekła do niej.

— Chodź i ty, abys wiedziała, gdzie co leży, bo to ci się kiedyś przyda.

Zarumieniwszy się dziewczę szło w milczeniu.

W komorze zamczystej, do której sama ona tylko chadzała, staruszka silną dłonią podniosła drzwi na ziemi leżące, które skórąmi przykryte były. Ogarek zapalony w gli-  
nianej miseczce niosła w ręku.

— Zchodźcie — mówiła — a nie bójcie się, choć stromo jest, po bokach sznury wiszą.

Pod drzwiami loch był w ziemi i kamieniu kuty, czarny, otchłanny, straszny jak więzienie. Przodem śmiało kroczyła stara, niekiedy oglądając się na Światosława, który siostrę prowadził. Zawrócili się w lewo, poszli w prawo potem, spuścili w dół, pięli się do góry, aż doszli do drzwi zamkniętych. Jaksowa z pod fartucha dobyła klucz i odsunęła rygle.

Sklepienia izbica szeroka, długa, niska ciągnęła się gdzieś w głąb, że końca jęj było nie dojrzec. Zaduch w niej panował, bo powietrze tylko kędyś z góry szparami jakimiś przez błony wpadało.

Dziwy tu ujrzeli.

W prawo i lewo pod ścianami na podkładach dębowych stały skrzynie ogromne, wisiały wory, leżały kupami odzież i całe sukna wały. W rogu srebra i złota świeciła się kupa ogromna aż do sklepienia. Co kosztowniejsze stało na skrzyniach.

Oręza i zbroi pospolitej było też podostatkiem. Stara z dumą się zwróciła do Światosława do góry podnosząc ogarek. Nie mówiła nic, ale twarz jęj powiadała.

— Co myślicie? jest tego dość?

Światosław, choć u ojca nawykły był skarby oglądać, zdziwił się mnogości nagromadzonego mienia i rzekł do niej.

— Daj nam Boże nie mieć takiego jak wy wroga, coby skarby te rozgrabił!

Jaksowa już ogarek postawiwszy wybierała co godnym Petrka sądziła, cztery drogie pierścienie na sznur związała, dwa złote wzięła kubki, sztukę szkarlatu odłożyła na stronę.

— Wybieraj sobie ty, co ci lubo! — rzekła do chłopca — abys mi ztąd z próżnemi nie wyszedł rękami.

To mówiąc pierścien jeden na palec włożyła Błogosławie, dała Światosławowi jeden, dwa dla rodziców.

Zmuszony wybierać młody gość wziął tarczę małą wyrabianą wzorzysto, bo niczem ostrzem obdarzać się nie godziło. Sztukę szkarlatu na plecy mu zarzuciła stara, sama misy i kubki wzięła w silną rękę i dawszy im po skarbcu popatrzeć, szła z powrotem.

A gdy znowu szli, nietylko ów skarbiec podziwiał Światosław, ale drogę, którą doń niewiadomemu trafić było trudno, bo pod zamkiem, jakby krety ryły, wążkami szyjami i chodnikami się rozbiegały do góry, w dół, porozgałęziane na wsze strony.

Gdy powrócili nazad do izby, już znaleźli od Petrkowej służę, która do wyjazdu nagliła, a stara nie wstrzymywała, choć na Błogosławę patrząc, lzy jęj w oczach stawały.

W ostatniej chwili kniehini się przywlokła żegnając i dziękując.

— Nie ma tam za co! — odparła dumna niewiasta obojętnie.

Dziewczę ze łzami rzuciło się jęj w objęcia.

— Powracaj do mnie! — szepnęła jęj do ucha — wracaj, gołąbko moja, źle ci nie będzie!

A tu już do wozów i koni naglono, kniehini na swoim siedziała, córkę wywołując niecierpliwie do siebie.

I jak stała w progu stara Jaksowa, tak wkuta, nieprzytomna, zapatrzona została długo, zapomniawszy o bożym świecie. Z oczów lzy ocierała.

O synu wiedziała, że przy Petrku pozostał, któremu jak rodzonemu służył ojcu, jako dziecko własne ukochany. Nie mógł przybyć ze Światosławem razem, bo jeden z nich przy na w pół oslepłym zostawać musiał.

Powrót Palatyna do dworu pod Sobotkę, tak uroczystym był, jak okrutne z niego porwanie. Gdy się o zbliżającym dowiedzieli starzy druhowie, jechał naprzód starosta Roger z ziemiany o mil dziesięć, aby go poczestnie wprowadzili na dworzec, już na przyjęcie jego przysposobiony. A gdy miał do domu wjeżdżać, zaszedł mu drogę OO. Benedyktyni z opatem na czele i mieszczanie, wyjechał ks. Janik z archidyakonem Rogerem, zebrał się wszelakiego ludu tłum ogromny, uderzono we dzwony na kościele.

I była chwila uroczysta, która ludziom z oczów łzy wyciskała, gdy go ujrzeni z oczyma chustą białą zawiązanymi, pieszo naprzód idącego do kościoła, na podziękowanie Bogu. Kościół cały światłem płonął, pieśniami się rozlegał. Tu kląkszy Petrek u ołtarza, upadł na twarz, a ludzie płakali, a mnisi śpiewali.

Do kruchty, choć go popychano i odpędzano, wcisnął się odarty, straszny, z głową kudłatą Jarmucha. Szedł a krył się i bał się aby go nie poznano, a choć uczynił co mógł, lękał się aby się na nim za krew nie mszczono. Widzieć chciał Petrka, choć zbliżyć się doń nie śmiał. Śmiał się, drżał, popłakiwał, do słupa tulił, a gdy napowrót lud wypływał z kościoła, jakaś siła nieznaną nade drogę go popchnęła.

Ujrzał Petrka, jako teraz szedł chustę z oczów zrzuciwszy przed ołtarzem, jedną źrenicą całą, drugą krwawą, patrzącego wesolo na świat Boży.

Gdy tak szedł Palatyn a spoglądał dokoła, zobaczył Jarmuchę, który się za czyjeś plecy chował — i stanął.

Ponieważ ręką skinął ku niemu, wnet czeladź rzuciła się na obszarpanego biedaka, precz go chcąc odegnąć, ale Petrek stał, wołał go ku sobie i przykazał, aby go za nim do dworu wiedziono.

Tu go przyobleczono w suknie nowe, i dano mu izbę przy straży, aby we dworze mieszkał.

Na dworcu swym, choć mu go przystroili druhowie, nie zastał palatyn wspaniałości dawniej, ale w tych izbach, które zajmował sam, gdzie nie było co odzierać, powitał ławy swe i ogniska i stół, i wszystko co tu zostawił, a to go najwięcej rozradowało.

Zapełnił się dwór znowu biesiadnikami, gośćmi i wrzawą jak za dobrych czasów. Petrek na żonę i córkę czekał, dni rachując, Jaksę pytając — kiedy przybędą?

Rachowali dnie oba.

Aż jednego ranka dano znać, że jedzie Marya, wyszedł Petrek naprzeciw, a wstyd mu było prawie stawić się przed piękną niewiastą z krwawymi oczyma, twarzą wybladłą i zestarzałą.

Gdy wóz się zatoczył przed dwór, Petrkowa spojrziała na męża, krzyknęła i zakryła swe piękne oczy. Ocucono ją i wiedziono do domu. Biedna niewiasta szła ręce łamiąc izbami, których nie poznawała, za nią córka wiodąc ojca, łzawymi oczyma wpatzonego w młodą jej twarzyczkę, przekwitłą niedołą, zwiędłą od smutku, co się uśmiechać musiała.

I Jaksza szedł za niemi nie spuszczać z niej wzroku, nie wiedząc czy się cieszyć, że wracała, czy smucić, że cień jej widział tylko...

Nim się biedna Petrkowa oswoiła z nową dolą swoją, z mężem kaleką, z życiem, z ludźmi, których brakło wielu i nim wylała żale i bole, powtarzane każdemu z kolei, trochę upłynęło czasu. Jaksie już dawno Petrek powiedział, ściskając go. — Córkę ci dam, choćby mimowoli macierzy, bom ci dłużen wiele, a no, bądź cierpliwy, kwiatek to nierozwity...

Nierychło, raz wieczorem siedzieli we dwoje Petrek na ławie w kącie, pani na wezłowiach, i jak zwykle, rozwodziła żale, jako jej w Komorowie było, iż w więzieniu nie mogło być gorzej.

— A toć będzie gniazdko córki naszej! — odezwał się Petrek.

Rzuciła się na to kniehini.

— Ja, dać im córkę moją? na to wygnanie i pustynię? Tój niewieście za dziecko, która prostą chłopką jest?

— Nie jej, ale Jaksie ją dam, bo mi on drugim synem był — odezwał się Petrek — i miłuje mnie i ją, a naszym będzie.

W płaczu długo utulić się nie mogła Petrkowa, nie chcąc córki dawać, męża starając odwieść, w końcu niezdoławszy tego uczynić, ani go przekonać, wpadła w gniew wielki. Nie pomogło nic. Jechały swaty, przyjął Petrek Jaksę za zięcia.

Gdy księżna Agnieszka uciekać potem musiała z Krakowa z Niemcami swemi, a Bolko objął stolicę i w kraju na czas ucichło, bo Niemcy się tylko zdala odgrażali i burzeli, — sprawiono wesele wielkie, jakiego Wrocław nie widział jeszcze.

Szła panna młoda do ołtarza, że się ludzie dziwili, czy niewiastą była żywą, czy cieniem a duchem, bo w niej już krwi nie stało na rumieniec i siły do uśmiechu.

Potem jechali młodzi do Komorowa, i Światosław ich jako brat prowadził, a przyjmowała matka stara i gromady na zamku okrzykiwały, jakby gniazdo ślali na długie szczęście i życie.

Było to jesienią.

Na wiosnę z zamku szedł pochód wielki, przed nim w kapie czarnej ks. Marcin, którym ślub dawał, za trumną mąż w rozdartych szatach, i brat i ojciec. Matki nie było.

— Zabili mi ją! — mówiła płacząc.

A kto ją zabił, Bóg osądzi.

Jaksa w strapieniu wielkiem po żonie, gdy księżę Henryk szedł do Ziemi Świętej, walcząc o odzyskanie grobu Chrystusowego, pociągnął z nim razem, zginąć chcąc, aby zycia nie dźwigać, które srodze ciężyło tęsknotą.

Nie wzięła go przecie ani strzała, ani miecz niewiernych, i wrócił cały do stariej matki do Komorowa. I on był, co mnichów Stróżów Grobu Chrystusowego przywiózłszy z sobą, pierwszy zakon ich na ziemi polskiej, w Miechowie osadził.

*Przepisano  
we Florencji.*

*1878. Marzec.*

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#). Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/historya-prawdziwa-o-petrku-wlascie-palatynie-ktorego-zwano-duninem>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, *Historia prawdziwa o Petrku Właście palatynie którego zwano Duninem*: opowiadanie historyczne z XII wieku, tom I, Spółka wydawnicza księgarzy w Warszawie, druk: Wł. L. Anczyc i Spółka, Kraków 1878.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, a korektę ze źródłem wikiskrybowie. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0432-6

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.